

OBLĄKANE HISTORIE



Adwentowska Chilimończyk Francik Gręda
Gris Iwaniak Kajoch Kolenda Lipka Loraj
Marciniński Matlachowski Matyszkiewicz Mielnik
Nadratowski Pankowski Pazdan Pomierny
Poważyńska Smolarek Tomczak



Audiodeskrypcja okładki dla osób niewidomych

Na środku grafiki znajduje się łóżko przypominające szpitalne, z prostą metalową ramą, cienkim materacem i białą pościelą. Wszerz łóżka leży mężczyzna ubrany w białą koszulkę, spodnie i skarpetki, niczym w szpitalu psychiatrycznym. Głowa praktycznie zwisa mu poza ramę łóżka. Mężczyzna trzyma się jedną dłonią ramy łóżka, drugą trzyma zmiętą poduszkę. Nogi opiera o ścianę, prawa noga jest ugięta w kolanie, lewa wyprostowana, co sprawia wrażenie próby chodzenia po ścianie. Tuż nad stopami mężczyzny jaśnieją dwie podłużne neonowe żarówki, oświetlając najmocniej ten fragment obrazu. Po bokach, z ciemności, wyłaniają się cieniste postacie, z lewej wysoka, z włosami do ramion i jedną ręką lekko zgiętą w łokciu, z zakrzywionymi palcami dłoni; z prawej widać głównie dwie ręce z dużymi dłońmi i zbyt długimi palcami, przyłożone do ściany, a za nimi niewyraźną sylwetkę reszty postaci z przekrzywioną głową. Spod łóżka wystają dwie blade, prawie białe ręce z wygiętymi i mocno wbitymi w podłogę palcami. Całość grafiki utrzymana jest w prawie czarno-białej konwencji. Na górze okładki znajduje się duży napis: *Obłąkane historie*, na dole nazwiska wszystkich autorów opowiadań: *Adwentowska, Chilimończyk, Francik, Gręda, Gris, Iwaniak, Kajoch, Kolenda, Lipka, Loraj, Marciński, Matlachowski, Matyszkiewicz, Mielnik, Nadratowski, Pankowski, Pazdan, Pomierny, Poważyńska, Smolarek, Tomczak*. Na dole po prawej stronie, obok nazwisk, znajduje się logo wydawnictwa Gmork, przedstawiające sylwetkę kota spacerującego po literach układających się w słowo „Gmork” i przetrącającego łapką literę O.

OBŁAKANE

HISTORIE

Korekta i redakcja:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA
PRZEMYSŁAW RYBA

Skład:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Okładka:
JOANNA WIDOMSKA

*Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są
własnością ich autorów*

Gmork
www.gmork.pl
email: kontakt@gmork.pl

2023

Dagmara Adwentowska

Poręba

Wszyscy wiedzieliśmy, że nie wolno chodzić na porębę za torami.

Zakaz ten słyszało każde miejscowe dziecko, które chodzić dopiero zaczynało, ale musiało już rozumieć, gdzie mu chodzić nie pozwalają. Tacy jak my – podrzucane dziadkom miastowe wnuki – o restrykcji dowiadywaliśmy się pierwszego dnia pobytu, ledwie przekraczaliśmy próg. Już nam zostawało zabronione, już sękaty palec siekł nam powietrze przed oczami. A myśmy w takt narzucany przez palec miarowo potakiwali głowami.

Co więcej, zakaz należał do tych kategorycznych i nieprzekraczalnych. Poręba stanowiła obszar święty i nietykalny, istotniejszy nawet od sadu proboszcza. Można to było poznać po tym, że za szaber kościelnych czereśni groziły kary straszliwe, ale jasne, znane i wymierne – bo wszak nie raz i nie dwa tak było, że się zdarzyło, a dobrodziej nie omieszkał przyłapanych złodziei ogłosić z imienia i nazwiska z ambony na najbliższej mszy.

Co się stanie, jeśli pójdziemy na porębę, jaka kara nas czeka i dlaczego – nie wiedzieliśmy.

Ściągała nasze oczy za każdym razem, gdy przejeżdżał pociąg i rzucaliśmy wszystko, by policzyć wagony. Nitka torów ciągnęła się przewężeniem pomiędzy wzgórzami, widzieliśmy ją z niemal każdego miejsca w naszej wiosce. A za turkoczącymi na łączeniach cysternami i węglarkami, przysnute mlecznym oparem z komina parowozu – wznosiło się wykarczowane zbocze, na które chodzić nie było wolno. Pniaków nigdy nie usunięto. Tkwiły wśród splątanych chaszczki jeżyn i malin niby zęby w dziąśle, ronily butwiejącą korę w jesiennej słońcu, by latem bić w oczy bielą martwego, wyschniętego na słońcu drewna. A słońce paliło tam mocno, bo stok skłaniał się ku południu. Zaś na szczycie stało jakoweś domostwo z cegły czerwonej, otulone rozrośniętymi zaroślami bżów, tarnin i głogu. Opuszczone, bo i z oddali straszło pustymi oknami, a w nocy ciche było i ciemne.

Wszyscy wiedzieliśmy, że nie wolno tam chodzić. Poręba za torami, jak wszystko, co zakazane, ściągała do siebie oczy i myśli.

– To się stało, jak wykarczowali las – powiadomił nas Kacper, gdy całą trójką wychynęliśmy z szałas, by policzyć przetaczające się poniżej naszej kryjówki wagony. Pociąg włókł się niemiłosiernie w letnim skwarze. Pniaki na porębie białeły w słońcu.

– Podśluchałem, jak ojciec ze starym Świniarskim gadali – kontynuował Kacper świszczącym, podekscytowanym szeptem. – Że jak nasi przyjechali spod Lwowa, zaraz po wojnie... to nic się nie działo. Dopiero jak rok potem ktoś z kolei kazał las wykarczować, zaczęło się – zakończył złowieszczym tonem.

– Ale co się zaczęło? – dopytywał Michał, najmłodszy w naszej paczce i najbardziej niecierpliwy.

– No... – Kacper uciekł wzrokiem w dół, do ostatniego wagonu znikającego między wzgórzami. – Tego to już nie podsłuchałem. Deska mi skrzypnęła pod nogą, zorientowali się i ojciec mnie zza drzwi wyciągnął za ucho – przyznał markotnie.

– A dom na szczycie? – dopytywał Michał. – Mówili coś o domu?

– Nic – odparł Kacper i wsadził w usta źdźbło trawy. Kłós zatańczył na wietrze. Wszyscy oderwaliśmy wzrok od sunących w ślimaczym tempie wagonów, podnieśliśmy go wyżej, na samotne domostwo. Po raz pierwszy w życiu pomyślałem wtedy, że mury ze starej cegły mają kolor starej krwi, tej zakrzepłej, zestalonej w strup.

Michał, jak się okazało, pomyślał o czymś innym.

– W takich starych domach zawsze są pochowane skarby. Monety, pierścionki – wyszeptał, a niebieskie jak farbka ślepka załśniły mu pożądliwie i szkliście. – Skoro nikt tam nie chodził, to i nikt dobrze nie poszukał...

– I my też nie będziemy – zarządziłem autorytarnie. Michał wywrócił oczami. Kacper przesunął źdźbło w drugi kącik ust i uniósł brew.

– Dajcie słowo. Bo jak was przyłapią, to...

No właśnie. Co?

– ...to będziecie tyrać przy zniwach dniami i nocami, a jak wrócicie z pola, to was przypną łańcuchem jak Burka do budy – dokończyłem. – I tyle z lata użyjecie. Przysięgajcie – zażądałem uroczyście.

– O Jezuuu – skomentował Michał przeciągle, położył rękę na chudej piersi i obiecał posłusznie, zezując na porębę i na dom na jej szczycie.

Gdy następnego dnia w południe Kacper przygnał mokry od potu, by przez okno w kuchni wydyszeć, że stara Maciejakowa biega po wsi jak kura bez głowy i wszystkich wypytuje, gdzie jej wnusio, tośmy też już obydwaj wiedzieli. Gdzie Michał ma przysięgi i gdzie poszedł.

Pamiętam, bąki i pszczoły buczały w główkach malw rosnących przy ścianie domu. Niektóre kwiaty były bordowe, niektóre różowe, a niektóre białe, jak kostki dłoni Kacpra zaciśniętych kurczowo na parapecie. Rzuciłem za siebie spojrzeniem, czy w kuchni nie ma nikogo. Czy nikt nie usłyszy, czy nikt nie będzie wiedział.

– Idziemy na porębę – zarządziłem szeptem.

– Co? – syknął Kacper.

– Idziemy – powtórzyłem tym samym nagłym szeptem. – Jak go tam znajdą, to będzie miał przesrane. Musimy odszukać go pierwsi, przed wszystkimi. Zabrać z poręby. I nikomu nie powiemy, to będzie nasza tajemnica.

I na tym stanęło. Kacper co prawda trochę się wahał, ale wizja kolegi w niebezpieczeństwie uruchomiła w nim pokłady szlachetności i dyskrecji. Kiwnął głową. Człowiek, jak jest młody, to jednak jest głupi. Nawet jeśli już coś wie. Zwłaszcza jeśli wie, że robi źle, ale ta świadomość nie jest go w stanie powstrzymać.

Pobiegliśmy. Od razu ogrodem i dalej sadami, pod gałęziami grusz i jabłoni uginającymi się od owoców, na tyłach gospodarstw. Żeby nikt nas nie zobaczył i nie

zawrócił. Spomiędzy budynków dobiegały nas już sporadyczne nawoływania.

– Michaaa! Michaaaaaaa! –

Zaczęli szukać, tak na poważnie. Z każdą chwilą wieść rozniesie się szerzej i więcej osób przyłączy się do poszukiwań, więcej będzie czujnych oczu i uszu. I z każdą chwilą mnożyć się będzie panika oraz proporcjonalna do niej i do wysiłku włożonego w odnalezienie zguby – nieuchronna kara.

– Szybciej, szybciej – popędzałem Kacpra, kiedy wspinaliśmy się na nasyp kolejowy. Zsunęliśmy się po drugiej stronie w lawinie podsypanego pod tory tłucznia, przypadliśmy do ziemi, żeby złapać oddech.

Musiałem skaleczyć się przy tym o ostry patyk czy kamień. Kostka rwała bólem, z podwójnego skaleczenia wypłynęły bliźniacze krople krwi. Słońce prażyło żywym ogniem. Po skroni Kacpra pełzła lepka kropla potu. Powietrze nad porębą drgało od skwaru.

– Widzisz go? – wysapał Kacper. Pokręciłem głową. Widziałem drogę przez karczowisko zarośnięte jeżynami. Starą, brukowaną okrągłymi kamieniami. Zasypaną zeschlłym błotem i ułomkami kory, znać, że nieużywaną od dawna.

Ruszyłem pierwszy. Krok za krokiem, krok za krokiem, moje stopy połykały wyslizgane brukowce. Przepocona koszulka lepła mi się do pleców, dyszałem ciężko i zaczynałem żałować, że nie wzięliśmy nic do picia.

Rozglądałem się po porębie, bo jeśli Michał zszedł z drogi, mógł się ukryć w jakimś wykrocie. Powiniennem krzyknąć, jeśli usłyszysz, to wyjdzie...

– Michaaa! – zawołałem cicho, żeby echo nie dotarło na drugą stronę torów, do wioski ogarniętej wirem poszukiwań.

Nic, choć nie kompletna cisza. Poręba bzycała ferworem owadziego życia. Coś tam się poruszało, większego niż pszczoła, ale na pewno mniejszego niż dziewięcioletni chłopiec. Słyszałem szelest ściółki, powolne, nieśpieszne tarcie o suche liście i chrust. Pewnie jakiś gryzoń, wydedukowałem sobie i otarłem pot z czoła.

Z wioski dobiegło mnie odległe echo nawoływań i wtedy zdałem sobie sprawę, że na drodze przez karczowisko zalane słońcem jestem jak na patelni. Upieczony i doskonale widoczny. Wystarczy, że ktoś w wiosce podniesie głowę i spojrzy na zbocze za torami. Zobaczy od razu moją sylwetkę brnącą mozolnie w górę.

Odruchowo cofnąłem się na skraj drogi, by choć trochę zasłoniły mnie skłębione jeżyny rozrośnięte wokół pniaków. Jeśli się zgarbię, schylę do ziemi, pod ich osłoną powinienem dotrzeć do opuszczonego domostwa z czerwonej cegły.

Takie w każdym razie miałem nadzieję i zamiar. Przyczaiłem się pod osłoną kolczastych pnączy, spojrzałem w cień pod nimi i krew uderzyła mi do głowy, zadudniła w uszach, serce zatłukło boleśnie w panice.

To nie owady szeleściły wśród chrustu. Wiły się tam węzowe sploty, łuski tarły o łuski, rozdwojone języki siekły rozpalone powietrze, badając mój zapach. Niektóre gady kotłowały się na sobie, inne – bo było ich więcej – poza cieniem jeżyn wylegiwały się nieruchomo na nagrzanym słońcem pniakach. Kilka trójkątnych głów obróciło się w moją stronę, oczy węży zdawały się nieruchome

i martwe jak kamyki. Jeden wąż był większy, musiał mieć ponad dwa metry długości. Ten uniósł łeb tuż przede mną, podpierając się na zwiniętym ciele. Rozwarł paszczę i błysnęły mi w słońcu ostre jak igły zęby.

Wtedy świat zwariował.

– Ani kroku dalej! – syknął gad. Głos miał suchy jak wiór i gwałtowny jak trzask bata.

Wrzasnąłem wysoko i cienko. Wróciła mi władza w sparaliżowanych dotąd paniką nogach. Okręciłem się na pięcie i puściłem w dół wariackim biegiem, wrzeszcząc jak opętany. Jakimś ułamkiem świadomości zarejestrowałem, że nie było za mną Michała i to wycisnęło ze mnie kolejny przerażony wrzask.

Zaraz potem zobaczyłem, że drogą przez karczowisko biegną ku mnie wujek i jeden z sąsiadów. Twarze mieli białe jak szkolna kreda i też krzyczeli.

– Nie schodź ze ścieżki! Nie wchodzić w trawę!

I coś jeszcze, co już do mnie nie dotarło. Kilkanaście kroków przed nimi potknąłem się o wystający kamień i poleciałem twarzą wprzód, by zderzyć się z poniemieckim brukiem. Zalane słońcem karczowisko zastąpiła lepka ciemność błogosławionego niebytu, w którym nie było mówiących węży i nie musiałem już uciekać.

Następne dni były korowodem dziwacznych snów i przebudzeń. Na dobrą sprawę nie wiem, ile ze wspomnień należało do jawy, a ile do wytworów mego wymęczonego przeżyciami umysłu. Pamiętam, że Michał trzymał mnie za rękę, mówił, że karetka jedzie, zabiorą mnie do szpitala. Za jego plecami Kacper krzywił twarz i wzdychał, że to im wszystkim

załatwiłem wakacje, teraz rodziny naprawdę przypną ich łańcuchem do budy, dla bezpieczeństwa. Kiedy sanitariusze przekładali mnie na nosze, czynił mi jeszcze gorzkie wyrzuty.

– Po co żeś tam gnał... przecież mówiłem, że Michał siedzi dalej przy torach. Pytałem, czy go widzisz... Po co żeś gnał na tę porębę? Jak głupi jakiś.

Ponoć wołał za mną, ale nie słuchałem.

– Wszedł na żmijowisko – mówił obsłudze karetki wujek, a jego głos zdawał się dochodzić z innego świata. – Od kiedy las wycięli, pełno tam węży. Wylegują się w słońcu. Ostrzegaliśmy go...

Oglądali mnie z każdej strony, przekładali w prawo i w lewo.

– Ugryzła mnie – zdałem sobie nagle sprawę i od razu wyraziłem to na głos. – Kiedy zbiegałem z nasypu. Zaboląła mnie kostka.

Potem były białe sufity szpitala i białe kitle lekarzy. Pochylali się nad moją kostką, dziwili, dlaczego nie puchnie. Ordynowali kolejne leki. Majaczyłem o skrzydlatych wężach i uskrzydłonych ludziach o łuskowatej skórze gadów. Czasem śniło mi się, że latam. Pewnie dlatego próbowałem wyskoczyć oknem – tak mówili, mnie ten moment nie zapisał się w pamięci. Aż wreszcie wakacje się skończyły i skończyły się pomysły doktorów na to, co mogło mi się stać i jakim medykamentem w związku z tym należy mnie potraktować. Wyszedłem z rozpoznaniem udaru słonecznego oraz zatrucia jadem żmii.

To były ostatnie wakacje na wsi, po tym wypadku rodzice nie zamierzali spuścić mnie ze wzroku ani przez

chwilę. Michała nie spotkałem już nigdy. Podobno jego rodzinie udało się uciec na Zachód. Kacpra zobaczyłem dziesięć lat później, na pogrzebie jego wujka, który w jakiś odległy i pokrętny sposób okazał się i moją rodziną.

Po ceremonii stanęliśmy przy murze cmentarnym, Kacper wyciągnął z przepastnej kieszeni płaszcz a pół litra żytniej wódki.

– Pozmieniało się – podsumował, zataczając łuk dłonią.

Tym, co najbardziej rzucało się w oczy, był dziesięcioletni brzozywy zagajnik, który porósł zakazaną porębę. Pnie białeły w zapadającym zmierzchu, podobne duchom lub sennym widziadłom, drobne listki drżały na wietrze. Tylko pociąg sunął po łuku w dolinie między wzgórzami w tak samo ślamazarnym tempie, długi i giętki jak wąż.

– A wiesz, co mi babka opowiadała, jak cię wtedy do szpitala zabrali? – zaśmiał się gardłowo po drugim łyku i oddał mi butelkę. Pokręciłem głową, skąd miałem wiedzieć.

– Że ten Niemiec, do którego należał przed wojną dom na wzgórzu, miał żmija na usługach. Potwora takiego, rozumiesz, trochę wąż, a trochę nie-wąż. Ten żmij dbał, żeby mu było dobrze. Kradł plony innym gospodarzom, a jemu znosił do stodoły. Jak Niemiec musiał wyjechać i zostawić gospodarstwo, nie zabrał żmija ze sobą. Wtedy potwór się wściekł. A potem wycięli mu las, w którym mieszkał – to wściekł się jeszcze bardziej.

Rozprawiał o tym takim tonem, jakim opowiada się bajki o żelaznym wilku. Pociągał głęboko z flaszki i śmiał się, rozbawiony do łez.

– I to niby dlatego nie wolno było chodzić na porębę. Z powodu wiejskich bujd. Powariowali wszyscy ze szczeniem. Pewnie od tego bimbru, co go cichaczem po stodołach pędzą.

Pokiwałem mu głową, że prawda to najprawdziwsza. Pociągnąłem łyk z zaoferowanej butelki i nadstawiłem ucha kolejnym skargom na gminny zabobon. Gdy flaszka pokazała dno, podałem mu ramię i doholowałem go, bełkoczącego nieskładnie, do bezpiecznej przystani remizy strażackiej, gdzie w najlepsze trwała stypa.

Czy wtedy, tego upalnego lipcowego popołudnia, to świat oszalał, czy jednak ja oszalałem? Zostawiłem za plecami rozświetloną, wypełnioną gwarem i brzękiem kieliszków remizę, i z wolna zacząłem schodzić w dół, ku torom i tego, co za nimi.

Dom z czerwonej cegły na szczycie wzgórza stał nadal, choć bzy zarosły go aż po okap spadzistego dachu. Tym razem postanowiłem do niego dotrzeć.

Wąż czekał w połowie drogi. Wylegiwał się na bruku nagrzanym po ciepłym dniu, ale na dźwięk moich miarowych kroków drgnął, rozwinął sploty i uniósł w górę trójkątny łeb. Rozdwojony język przeciął powietrze.

– Pamiętam cię – stwierdził sycząco.

Jakub Chilimończyk

Charyzmatyk: Druga strona szafy

Podobnie jak wiele innych, tę podróż również odbył w najdalszą część świata – w głąb siebie.

Zaprowadziła go do drzwi w szafie. Za nimi czekała ciemność, a w niej mieszkały rzeczy, z którymi nie potrafił sobie poradzić.

Uciekł. Do miejsca, gdzie żyły upiory.

Upiory

Cisza. A w niej lęki.

– Baxley – krzyknął słabo, krzywiąc się od porannego kaptcia w ustach. – Baxley!

Odpowiedziało mu szczeknięcie i klekot pazurków o drewniane panele. Zza drzwi wyłonił się smutnoszczęśliwy basset z uszami podskakującymi od powolnego człaposprintu. Podbiegł do wystawionej dłoni i musnął ją mokrym, zimnym nosem.

Będzie dobrze, człowiek, wstawaj.

I dopiero kiedy Baxley zniszczył część porannych lęków swoim nosem, Koen Strass był gotów zwlec się z łóżka i zmierzyć się ze światem. Mógł też zostać w wyrku, ale wtedy prokrastynowałby w nerwowej atmosferze szczuplejącego stanu konta.

Życie charyzmatyka. Opcje. Żadna z nich naprawdę dobra.

Wstał, włożył wczorajsze ciuchy i zrobił szybki obchód po mieszkaniu, szukając czegokolwiek, co wzbudziłoby jego niepokój; odcisniętych twarzy w ścianie, żywych cieni, wypalonych znaków – lista była długa i wciąż dorzucał do niej nowe rzeczy. Wprawdzie otoczył swoje mieszkanie kilkoma sztuczkami, ale nie ryzykował nadmiernej pewności siebie. W tym zawodzie była to częsta przyczyna złego poranka.

Podobnie jak pukanie do drzwi o 9:01.

To oznaczało kilka rzeczy: jego biuro było otwarte od minuty. Ktokolwiek pukał, miał na tyle pilną sprawę, by

czekać na zewnątrz. A ludzie nie lubili być w pobliżu biur charyzmatyków. Paradoksalnie uważali, że w takich miejscach straszy. Więc sprawa była tak wielkiej wagi, by znieść strach i dzielnie zająć pierwsze miejsce w kolejce.

Sprawy wielkiej wagi raczej nie składały się na prostą, lekką i przyjemną robotę. Spojrzał tęsknie na ekspres do kawy i przypomniał sobie, że jeszcze nie spłacił kredytu za niego.

Otworzył drzwi.

Dziewczyna. Na oko dwadzieścia parę lat. Po stroju oraz fryzurze stwierdził, że albo była chodzącą autoekspresją, albo ukrywała się za pozą z przypinek, naklejek oraz nadruków. Pomiędzy grafikami z queerowymi ship-pami, rozwalającym się tęczowym haftem, znalazł takie teksty jak *nobody's illegal, my adjectives: queern i świr* oraz kilka innych, których nie skumał. To powiedziało mu wiele o osobowości dziewczyny – lub też o osobowości, do której dążyła.

Ale to jej spojrzenie przykuło uwagę egzorcysty. Smutne oczy kogoś, kto właśnie kogoś stracił.

Czyli miała sprawę.

– Eee – zająknął się, zdając sobie sprawę, że ma przed sobą osobę queerową. – Zaimki?

Uniosła brwi, zdziwiona. Koen nie winił jej. Miał aparycję rysunkowego jeża i wyglądał jak wiecznie utrapiony normik cishet, którego średnio interesuje cokolwiek innego niż jego normickie życie. Wszystko, co wiedział o queerach, pochodziło z podglądania w mediach społecznościowych oraz okazjonalnego googlowania. To było jego pierwsze spotkanie z osobą... Jaką?

Nagle dotarło to do niego. Poczul się bardzo winny i jednocześnie spanikował, że nie będzie wiedział, co powiedzieć albo jak się zachować. Dziewczyna chyba to dostrzegła, bo uśmiechnęła się lekko, przyjmując ten drobny gest świadomości.

– Ona/jej – odpowiedziała. – Miła.

Wyciągnęła dłoń w jego kierunku, a on ją uściśnął. Była drobna i zimna.

– On/jego. Koen Strass – przedstawił się. – Egzorcysta.

– Tak, wiem. – Wskazała na pozłacaną tabliczkę obok drzwi.

Koen Strass. Usługi egzorcystyczne.

Odpowiedział uśmiechem, który miał mówić „przepraszam, jestem głupi”, i odsunął się, wpuszczając ją do środka.

– Kawy?

– Tak, chętnie.

Kilka minut później już siedzieli w gabinecie z parującymi kubkami karmelowej czarnej. Dziewczyna rozglądała się – każdy klient był ciekaw, jak wygląda biuro egzorcysty – i obracała w palcach wisiołek. Na końcu rzemyka ujrzał triskelion.

– Wisiołek – zaczął Koen, a widząc pytające spojrzenie, doprecyzował: – Triskelion. Z takimi symbolami często są kłopoty. Stworzył go ktoś z malentem? Jest przeklęty? Mam to odczytać?

– Malentem? – Smutek w jej oczach na moment zamienił się w błysk fascynacji.

– Magicznym talentem – wyjaśnił Strass, starając się nie brzmieć mansplainingowo. – Talent magiczny. To taka egzorcystryczna nowomowa, brzmi trochę...

– Brzmi ok – stwierdziła nieco zawiedziona. – To tylko wisiołek.

Oczy wróciły do mglistego przygnębienia. Dotarło do niego, że nie była zainteresowana rozmową, po prostu nie wiedziała, jak zacząć.

Rzucił więc klasykiem:

– Poukładaj myśli i zacznij, kiedy będziesz gotowa.

Wyciągnęła telefon, zaczęła obracać go w dłoniach zamiast wisiorka. Koen sięgnął po benzynową zapalniczkę, by też mieć coś, co pozwoli mu skupić myśli.

W końcu, po którymś kliknięciu zippo i n-tym obrocie smartfona, Mila wypaliła:

– Moja mama zmarła.

Kurwa.

Czasem ludzie przychodzili do niego, by porozmawiać o śmierci. Szukali odpowiedzi, gdzie mogą być ich zmarli bliscy, ale Koen ich nie miał. Charyzmatycy patrzyli na to, co jest *po drugiej stronie drzwi*, ale ich wizja była ograniczona do zerkania przez dziurkę od klucza. A używali jej głównie po to, by precyzyjnie przez nią coś nadużywającego gościnności pośród żywych.

– Przykro mi – zaczął, starając się być taktowny – ale...

Niech pogada z ojcem?

– Moja mama umarła, ale ją przywołałam – wyrzuciła z siebie tonem, który przypominał raczej telemarketerkę niż zrozpaczoną córkę. Spojrzał na nią: twarz Mili nie

wyrażała absolutnie nic. Patrzyła na niego, ale było to spojrzenie tysiąca kilometrów, puste i nieobecne. Widział to już wcześniej: klienci, którzy stracili kogoś tak bliskiego, otaczali się kokonem dystansu i odcinali od emocji na tyle, by załatwić sprawę na poziomie wizyty w urzędzie.

Czekała na reakcję, a on wiedział, czego się spodziewała: egzorcysty, który zaraz wyjmie krzyż, wodę święconą oraz złoty pistolet i ruszy za nią w bój. Dziewczyna się rozczaruje na wielu, wielu poziomach.

- Czy ktoś z twojej rodziny jest zagrożony w tej chwili?
- Nie. Miałam tylko mamę.
- Tata odszedł?
- To istotne?
- Może być – przyznał Koen niechętnie.
- Dawca spermy.

Koen odczuł głęboki dyskomfort, kiedy ta informacja zaczęła kiełkować w różne domysły. Przeszedł więc szybko do następnego pytania.

- W jaki sposób przyzwałaś ją z powrotem?
- Obejrzałam tutorial na YouTube – przyznała wstydliwie.

Ukrył sapnięcie irytacji za łykiem kawy. Miał ochotę jeszcze przewrócić oczami i ponarzekać, ale zwalczył to w sobie. Straciła matkę, nie musiała znosić jego humorków.

- Pokaż mi ten filmik, proszę.

Mila wklepała coś na ekranie i podała mu telefon. Spojrzał na tytuł filmiku: *Jak przyzywać niczym charyzmatyk?* i od razu wiedział, że nie będzie pozytywnie zaskoczony. Przez kilka kolejnych minut czuł, jak umiera w nim chęć

do wykonywania zawodu, a rośnie chęć mordy dla takich internetowych gwiazdek jak GhostRider7.

– Pentagram, świece, totem, podróba tablicy Ouija... – westchnął Koen, oddając dziewczynie telefon. – Miła, to kompletny bullshit.

– Ale mi się udało – zaperzyła się dziewczyna. Nieco za mocno, nieco zbyt agresywnie, jak osoba, która przywykła do tego, że musi się bronić i jedyne, czego się spodziewała, to atak.

– Wierzę – uspokoił ją, czując, że balansuje na cienkiej nitce porozumienia. – Ale ty jej nie przyzwałaś.

– Więc kto?

Nie odpowiadaj. Jeszcze nie.

– Kilka kolejnych minut może być przytłaczające, więc jeśli poczujesz – zrobił gest dłonią, który mógł znaczyć cokolwiek – daj mi znać.

– Poradzę sobie – prychnęła.

Mam nadzieję.

– Dlaczego chciałaś przyzwać matkę z powrotem?

– Jakie to ma znaczenie?

– Ma.

– Jakie? – zapytała agresywniej. Najwyraźniej to była karta przetargowa; świadomość, do czego posłuży mu ta wiedza.

– Miła – postarał się o pełen cierpliwości ton – egzorcyzmy to nie pentagramy, łacina, woda święcona i zajebicie długie świece. – Wskazał przy tym sugestywnie na telefon, który trzymała w dłoniach. Bawiła się nim, odkąd jej go oddał, jakby próbowała zwalczyć jakiś nawyk. – Równie

dobrze możesz używać kranówki, esperanto i bazgrać na ścianie nazwy mebli z Ikei.

– Wiedziałam, że to nie może być tak proste – westchnęła cicho, a w jej oddechu było coś ciężkiego i znamiennego. Po raz pierwszy zdradziła się, że przeżywa coś więcej. – Po prostu – spojrzała na niego błagalnie – muszę wiedzieć.

– Najczęściej ludzie – zaczął wyjaśniać – chcą przywołać kogoś bliskiego wtedy, kiedy nie pożegnali się. Kiedy śmierć była nieoczekiwana i naznaczona silnymi emocjami. To wtedy też najczęściej zmarli wracają, a ja, żeby ich odesłać, muszę rozumieć ich emocje oraz relacje z tymi, których odwiedzają, bo egzorcyzmy to praca na emocjach. Muszę wiedzieć o niedokończonych sprawach. Z tym, że to nigdy nie są rachunki czy nieodebrana paczka, to zawsze jest coś grubszego...

Urwał. Nie wiedział, czy to kofeina zaskoczyła, czy jego mózg w końcu wyszedł z mroków niewyspania, ale poczuł znajome łaskotanie, kiedy klocki zaczęły składać się w obraz.

Spojrzał na Miłę, a po jej reakcji wiedział, że spojrzał na nią w zupełnie nowy sposób. Jakby dopiero co ją odkrył.

Kolorowe włosy. Defensywno-agresywna postawa. Cały queerowy vibe. Naszywki, naklejki, koszulka. I triskelion, który do niczego nie pasował.

– Pokłóciłaś się z matką, bo wyszłaś z szafy – mruknął w olśnieniu, a egzorcyzyczny zmysł zaczął się jeżyć jak kot. – I to było ostatnie, co... – Zmysł sam nakierował spojrzenie na wisiołek. Dlatego bawiła się telefonem. Nie chciała dotykać symbolu. – Ten wisiołek.

Instynkt charyzmatyka odpalił się w momencie, kiedy upiór wyskoczył z triskelionu w jasnym, oślepiającym błysku. Koen odpalił zapalniczkę jednym, płynnym ruchem.

Mama zatrzymała się tuż za płomieniem.

Badanie wizualne. Wykorzystał moment, by przyrzec się matce Mili i sprawdzić, czy nosi jakieś ślady po swojej śmierci. Nie były to przyjemne widoki: rozciągały się od ran ciętych lub postrzałowych przez złamania po totalną sieczkę. Upiór przed nim nie miał żadnych *postum vestigia*. Jedynie jasną, świetlistą aurę.

Badanie empatyczne. Lodowata aura zamieniała oddech w parę i opadała na niego szronem emocji. Skupił się na wrażeniach, które odbierał, a tym, co powracało najczęściej, było poczucie winy i żal, nieoderwalnie zszyte z widokiem płaczącej i krzyczącej Mili. Ten obraz wypalił mu się pod powiekami.

Badanie praktyczne, inne dla każdego egzorcysty. Koen posługiwał się ogniem, więc zamknął wrażenie ducha w płomieniu i zatrzasnął gwałtownie zapalniczkę. Upiór zniknął, chowając się z powrotem w triskelionie i czyniąc zeń totem.

Temperatura wróciła do normy.

– Odesłałeś ją? – zapytała przerażona Milla, a coś w jej tonie odpowiedziało mu, że nie tego chciała.

– Tylko z powrotem do wisiora – wyjaśnił, pozwalając sobie na oddech ulgi. Mimo że upiór wydawał się całkiem prosty i nie był groźny fizycznie, to jednak mógł namieszać mu we łbie na kilka tygodni. Zapił nagłą suchość w ustach kilkoma łykami kawy. Była lodowata.

Dziewczyna krzyknęła ze strachu i zerwała wisiołek. Rzuciła go na biurko.

A więc nie wiedziała.

To troszkę zmniejszyło jego poirytowanie.

– Mila, jeśli mam ci pomóc, muszę wiedzieć więcej – zaczął rzeczowo, widząc, że dziewczyna zaczyna odjeżdżać w kierunku paniki. Patrzyła w triskelion jak zahipnotyzowana. Musiał ją odciągnąć jak najdalej, gdzieś, gdzie będzie czuła się bezpieczna. A zaczął robić się głodny. – Ale najpierw chodźmy coś zjeść.

Pożywka dla upiorów

Z powodu nieznanego żadnemu charyzmatykowi, nieumarli trzymali się z dala od mrocznego symbolu kapitalizmu.

Dlatego śniadanie zjedli w Maku. A właściwie on zjadł, bo Mila nie chciała. Jak się dowiedział, jedzenie w *takich miejscach* jest dla libków. Koen celowo przekomarzał się z Milą, że *bycie głodnym* jest gorsze od *bycia libkiem*. Od razu wyskoczyła z dyskusją, którą on miał zamiar przegrać. Chciał odciągnąć myśli dziewczyny od matki chociaż na chwilę, dać jej czas, by ochłonać.

Podziałało. Po pół godzinie rantu na temat libków, Mila sama podjęła temat główny.

– Moja mama, Tamina – wypowiedziała to imię z dozą niezręczności – miała tętniaka. Pękł po tym, jak jej powiedziałam. Po naszej kłótni. Znalazłam ją... – urwała na moment, ale wzięła oddech i kontynuowała z trudem, jękając się i gubiąc sylaby. Wiedziała, że jeśli teraz tego nie powie, to nie da rady później. – ...rano. Potem działały się rzeczy. Wiesz, jakie.

Pogrzeb, ceremonie, krewni, testamenty. Koen kiwnął głową.

– Zaczęłam słyszeć jej głos – wydusiła z siebie. – Na początku myślałam, że mi się zdaje, tęsknię i... w ogóle. – Pociągnęła nosem. – Ale głosy były wyraźne. Czasem... wydawało mi się, że ją widzę. Znasz to, prawda? – Spojrzała na niego, a niebieskie oczy zdawały się tonąć w morzu smutku. – Zawsze gdzieś z boku, na skraju...

Cienie pomiędzy cieniami, przemykające między mgnieniem oka. Powidoki w szybach, które znikają, kiedy tylko skupisz wzrok. Kształty na końcu korytarza.

Skinął głową.

– Słyszałam o egzorcystach i w ogóle... – oddech, sapnięcie, bieganina oczu po otoczeniu – to pomyślałam, że spróbuję się z nią porozumieć. Pogadać. Nie kończyć tego... w ten sposób. Chciałam po prostu z nią porozmawiać. Wyjaśnić. Sprawić, by zrozumiała, dlaczego jestem... – głos się jej zaczął łamać – ...ona chciała rodziny. Myślała, że będę miała męża i dzieci. Ale... – popadła w kaskadę niezrozumiałych sylab i wyrazów.

Usłyszał wystarczająco, by mieć podstawy do egzorcyzmów.

– To nie twoja wina – zapewnił, wyciągając w jej kierunku dłoń. Wystarczająco blisko, by dać jej do zrozumienia, że może ją chwycić, jeśli czuje taką potrzebę, ale wystarczająco daleko, by nie łamać jej poczucia prywatności. – To nie jest twoja wina. Nie umarła przez ciebie, umarła przez tętniaka. Po prostu... – zastanawiał się jak łagodniej powiedzieć, że to kwestia przypadku – ...tak wyszło. Przykro mi. Nie musisz mi więcej opowiadać. Wiem wystarczająco. Chcesz z nią pogadać. To jest... – chciał powiedzieć, że niebezpieczne, że matka jest upiorem, którego ciężko będzie przywrócić do użytkowej postaci, że nie wszystkie rozdziały da się zamknąć i lepiej będzie ją po prostu odesłać, zanim kogoś opęta. Ale nie miał do tego serca. – ...wykonalne.

– Tak? – W jej oczach pojawiła się nadzieja, a on próbował nie dać po sobie poznać, że coś w nim pękło. – Za ile?

Zapomniał zacząć od ceny. To się właśnie dzieje, kiedy klient puka o 9:01.

Mila źle odczytała przedłużające się milczenie.

– Mama zostawiła mi trochę oszczędności.

– Nie przejmuj się – zaoponował. – Dogadamy się. I nie mam na myśli nic...

Wykonał gest ręką.

Uśmiechnęła się rozbawiona. Sięgnęła dłonią odruchowo do miejsca, gdzie wcześniej był wisiorek, i nie znalazła go. Lepszy humor prysł szybciej, niż się pojawił.

– Ten wisiorek. To jej szczęśliwy talizman. Dostałam go od mamy na moje urodziny. – Jej mina zatrzymała się w pół drogi pomiędzy rozrzewnieniem a smutkiem. – Tydzień przed jej śmiercią. Naprawdę musiał przynosić farta, huh?

Koen zamarł z frytką w pół drogi do ust.

Wszystkiego najlepszego?

– Ten koleś z filmiku mówił, by mieć coś, co było bliskie dla... no, zmarłej – szepnęła z trudem i szybko kontynuowała, by emocje nie zdążyły się spiętrzyć między oddechami. – Coś emocjonalnego. Jakąś *pożywkę dla duszy* – zacytowała nie bez żenady. – Więc mówiłeś, że odesłałeś ją do wisiorka?

Zawiesiła na nim spojrzenie w oczekiwaniu na odpowiedzi.

Zastanowił się, o co Mila tak naprawdę go pyta. Bo to, że odesłał upiora do wisiorka, wiedziała. To nie było pytanie. Zastanawiała się, *czym* stała się jej matka po śmierci. Nie wiedział, jak to ubrać w słowa, a nie istniała żadna encyklopedia nieumarłych, którą mógłby

się wesprzeć. Całą swoją wiedzę zawdzięczał praktyce, więc zdecydował się na praktyczne rozwiązanie. Skoro i tak miał zamiar podjąć się próby konwokacji, to równie dobrze mógł już teraz *pokazać* dziewczynie, z czym się będą mierzyć. O ile egzorcyzmowanie upiora było w miarę proste, tak konwokacja wymagała już innego podejścia do sprawy oraz udziału wszystkich zainteresowanych.

– Posłuchaj mnie – powiedział, chcąc mieć jej pełną uwagę. – W tej chwili mogę egzorcyzmować twoją matkę od razu. Nigdy więcej jej nie zobaczysz. Ale też nie porozmawiasz z nią.

Skinęła głową z trudem, że rozumie. Ale niebieskie oczy mówiły jasno, że czeka na alternatywę.

– To, co musimy zrobić, byś mogła zamknąć sprawę z twoją mamą... To bardziej skomplikowana sprawa. Wymaga twojej obecności. I jest ryzykowna.

– Jak bardzo?

– Bardzo – powiedział tonem nie pozostawiającym miejsca na złudzenia. – W tej chwili twoja matka nie jest niebezpieczna. Jeśli konwokacja pójdzie źle, to będzie. Bardzo i od razu.

Mila nie wydawała się przestraszona. Spojrzała przez okno i zawiesiła na czymś spojrzenie. Podążył wzrokiem w tamtym kierunku i ujrzał parę gówniarzy na ławce. Wyraźnie mieli się ku sobie.

– Nigdy tego nie miałam – powiedziała Mila, patrząc na parkę badawczo, niczym laborant na egzotyczne zjawisko. – Bo się bałam. Bałam się przez lata... I rozgrywałam wszystkie scenariusze w głowie. – Wzięła frytkę

i zaczęła kręcić nią kółka. – Wszystkie możliwe scenariusze. Wszystkie. Jak zareaguje mama. Jak źle może pójść. Jak mogę ją zranić albo jak ona zrani mnie. Jak zareagują ludzie. Jak będą na mnie patrzeć, jak ja będę widzieć świat i czy będę jego częścią. Jak ona będzie na mnie patrzeć. Myślałam o tym, jak odbieram jej marzenie o rodzinie, której nigdy nie miała. Jak niszczę te wszystkie opowieści o tym, jak poznam kogoś... I wiesz. Założę rodzinę. Jak niszczę jej marzenia tylko dlatego, że... – westchnęła, przetrzymała łzy w oczach – ...że jestem. Taka po prostu jestem. Wiesz, jak to jest być queerem, Koen? Jakbyś mieszkał w ciemnościach. Nawet jak wyjdiesz z szafy i jesteś po drugiej stronie drzwi, to po prostu jesteś w większej, zajeździej ciemnej szafie pełnej niewiadomych. Zawsze masz wrażenie, że coś jest obok ciebie, a ty nigdy nie widzisz, co to. Nigdy nie wiesz, co się stanie tego dnia. Nieważne, jak bardzo przyzwyczaisz się do mroków, zawsze żyjesz w strachu przed niepewnością.

Przerwała na moment, wzięła kilka głębokich oddechów.

Koen nic nie mówił. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał najmniejszego pojęcia, przez co Mila musiała przejść. Mógł sobie tylko wyobrazić. Więc nawet nie udawał, że rozumie. Po prostu słuchał i miał nadzieję, że to wystarczy.

– Lata – rzekła, a w jej głosie pojawił się nagle gorzki ton. – Lata zbierałam się na odwagę. Nawet dawałam jej do zrozumienia... Kurwa, spójrz na mnie. Nalepki, plakaty, wszystko... Ignorowała to, bo się bała. A oni się nie boją, kurwa. – Spojrzała na parkę za oknem z płomiennym gniewem w oczach i zazdrością wymalowaną na twarzy. – Nie czują się każdego dnia jak kłamcy. Tak się czułam za

każdym razem, kiedy snuła plany po jakiejś durnej komedii romantycznej. Jak podsylała mi chłopaków albo próbowała mnie namówić na randkę z którymś. Jakbym kłamała. Oszukała ją. Siebie. Jakbym nie była jej córką. Kimś innym. Tą osobą... i tą drugą. Mną. I nie mną.

Zaśmiała się panicznie.

– I kiedy w końcu jej, kurwa, powiedziałam... umarła! – parsknęła przez łzy. – Staram się nie myśleć, że ją zabiłam, ale coś w niej zabiłam, prawda? I nie zdążyłam jej wytłumaczyć. Wszystkie scenariusze wałkowane przez lata, każdy, co do jednego... – zrobiła gest dłonią, jakby rozsypywała piach na wietrze – ...puf. W ciemność – prychnęła.

Śmierć nigdy nie jest częścią planu.

– Spóźniłam się, Koen – kontynuowała, a w jej oczach dojrzał coś nowego, co nie było smutkiem ani żalem. – Spóźniłam się, bo się bałam. Co to za świat, w którym córka boi się powiedzieć matce, kim jest?

– Całkiem chujowy – bąknął, czując, że to był dobry moment, by się odezwać.

– Całkiem chujowy – zgodziła się. – Więc widzisz... Ten upiór mnie nie przeraża, Koen. Bo przeraża mnie tysiąc innych rzeczy. A na pewno bardziej przerażała mnie wizja rozmowy z moją matką, kiedy jeszcze żyła.

Wzdrygnął się.

– A zatem konwokacja – potwierdził.

– Ona musi zrozumieć, Koen. *Potrzebuję* tego. Nawet po jej trupie.

Po trupie

Kierowca wysadził ich przed domem Mili i odjechał.

Stali przed jednym z szeregowców zbudowanych zaraz poza obrzeżami centrum, gdzie zieleń parków zaczęła przeważać nad betonozą.

Dom nie wyróżniał się niczym szczególnym.

Ale Koen dostrzegał ciężką, ponurą atmosferę wiszącą nad tym miejscem niczym stado kruków nad padliną. Było to bardziej wrażenie niż realna obserwacja: powietrze wydawało się wolniejsze, przetkane kształtami, które wymykały się oku. Normalni ludzie pewnie podświadomie odczuliby niepokój – każdy znał sytuacje, w których nagle dostawało się dreszczy i czuło ten irracjonalny dyskomfort, że nie jest się *do końca* samemu. Egzorcysta zajrzał na wszelki wypadek w okna i miał wrażenie, że w ciemnym wnętrzu za firanką poruszały się kształty, które działały mocno na wyobraźnię.

Był charyzmatykiem. Musiał sprawdzić, czy to była *tylko* wyobraźnia.

– Nie boisz się? – Mila przełknęła ślinę głośno.

Koen spojrzał na nią i zauważył, że przygląda mu się badawczo. Wzruszył ramionami.

– Nie. Po którymś zleceniu strach zszedł na drugi plan.

– Zawsze chciałeś być egzorcystą?

– Nie – uśmiechnął się ponuro. – Ale też nie miałem wyjścia.

– Czemu?

– Kiedy już zaczniesz widzieć zmarlaków, to nie możesz tego ignorować. Nie da się. To jak drzazga, która wiecznie tkwi w oku i przez całe życie nie możesz jej wyciągnąć.

– Jak właściwie zostaje się egzorcystą?

– Później – uciał Strass. Wiedział, że Mila po prostu przedłuża moment przed wejściem do domu po śmierci mamy, ale im dłużej zwlekali, tym większa szansa, że konwokacja pójdzie źle. – Masz wisiołek?

– Tak – westchnęła, wyjmując z kieszeni triskelion. – Nie opęta mnie?

– Nie – zapewnił. – Upiory nie mogą opętywać, chyba że im pozwolisz. Demony mogą, kiedy chcą.

Mila zamrugała szybko, przyswajając tę informację z pewnym zakłopotaniem. Rozejrzała się, jakby chciała się upewnić, że dalej funkcjonuje w tej samej rzeczywistości, i westchnęła z cichym pogodzeniem.

– Chcesz coś jeszcze wiedzieć? – zapytała.

Zastanowił się.

– Wiem, co znaczy queer. Ale queern?

– A – zachichotała bez entuzjazmu. – Połączenie słów queen i queer. Taki mój lingwistyczny wynalazek. Dodaje pewności siebie.

– Fajnie – przyjął to do wiadomości. – To co, idziemy?

Ruszyła za nim w kierunku drzwi, wyciągając klucze. Weszli do środka.

Pachniało w ten charakterystyczny sposób, w jaki pachną mieszkania, do których dawno się nie wchodziło – ma się wrażenie, że wraz z kurzem wdycha się ostałe wspomnienia i emocje. Koen przesunął spojrzenie

po rozwieszonych wzdłuż korytarza fotografiach, a przedstawiały one w większości matkę i córkę przy najróżniejszych okazjach: urodzinach, imprezach rodzinnych, zakończeniach szkół, wspólnych wakacjach... Zawsze były we dwie. Miał poczucie atawistycznego ciepła, kiedy patrzył na zdjęcia niezmordowanej miłości, jaką dźwigała samodzielna matka. Ale świadomość, że ktoś tutaj umarł, wykrzywiała dla egzorcysty to wrażenie; każda emocja zawarta w fotografiach w pewnym momencie zamierała, cichła i stygła w szepcie kostuchy.

Jak kwiat ścięty kosą.

Zerknął na Milę. Widział już ludzi, którzy stracili bliskich. Każdy wyrażał to inaczej, ale pod rozpaczą i łzami zawsze krył się strach.

Nie przed śmiercią. Ale przed życiem w jej cieniu.

– Jest tutaj? – zapytała z przejęciem, patrząc lękliwie w głąb korytarza.

Strass na wszelki wypadek wyciągnął zapalniczkę. Czuł... *coś*. Definitywnie nie byli tutaj sami. Zrobił szybki obchód po domu, zaglądając nawet do sypialni Taminy, gdzie znalazł ślady po rytuale Mili. Przy okazji uzupełnił wiedzę wrażeniami z pamiątek, osobistych bibelotów, stanu domu. Nic nie pozwoliło mu sądzić, by Tamina była złą matką lub w ogóle złą osobą. Cokolwiek się stało podczas *coming outu* Mili, musiało wyjść z jakiegoś naprawdę głębokiego miejsca.

Wrócił do dziewczyny. Ta czekała na niego w korytarzu, z lękiem rozglądając się po wszystkich możliwych kątach. Wiedział, że dla niej to już nie jest dom – tylko coś przerażającego. Ona również odczuwała w powietrzu pewną

obecność, a jego coraz bardziej irytowało to, że nie potrafił namierzyć jej źródła. Musiał spróbować czegoś innego.

– Pokaż mi wisiołek.

Podążyła mu triskelion, metal był zimny i dziwnie ciężki. Zapalił zapalniczkę i pozwolił, by ogień owinał symbol.

– Egzorcyzmujesz ogniem – uświadomiła sobie, zaskoczona.

– Tak – mruknął półgębkiem, zapuszczając się duchowym zmysłem w kierunku zawartości wisiora. – Spodziewałaś się czegoś innego?

– Powiedzmy. Wody święconej albo strzelby.

– Woda święcona nie działa. Strzelba czasem.

Płomień stał się nagle biały i niespokojny.

– Jest uwięziona – potwierdził Koen, krzywiąc się. Wolałby, by nie była. Wtedy wiedziałby, co takiego pojawiło się na końcu korytarza. – Nie jesteśmy sami.

– Ale przecież...

Cokolwiek to było, zdawało się wywodzić z mroków i półcieni. Cienkie witki przylepiały istotę do ścian i sufitu, ale jednocześnie zdawała się być od nich niezależna.

Strass poczuł nieprzyjemny dreszcz, kiedy coś wdarło się pomiędzy synapsy, zostawiając za sobą echo. Grzmiało gniewem i zawodem, a obrazy, które przykleiły się do tych emocji, również krążyły dookoła Mili.

Koen westchnął. Wiedział, z kim mają do czynienia.

– Tamina – przywitał upiora, zasłaniając dziewczynę. Szepnął do niej: – Jakby co, to wiej.

Włączniki od światła kliknęły nagle, rozganiając mroki, a on od razu wiedział, że to nie był ten sam upiór, którego

zamknął w triskelionie. Ta wersja nie posiadała głowy – wyglądała, jakby eksplodowała przy karku w setki czerwono-czarnych wici, które pięły się po ścianach i suficie niczym trujący bluszcz.

To była wersja matki skrzywiona przez złość, gorycz i strach. Druga połówka duszy rozdartej podczas śmierci pomiędzy matczyną miłością a równie matczyny gniew. A to oznaczało, że w triskelionie uwięził tę lepszą wersję, która chroniła Milę.

– Co to jest? – szepnęła przerażona dziewczyna.

– Rozdwoiła się – wyjaśnił pospiesznie, ściskając triskelion w dłoni i gorączkowo wodząc spojrzeniem po wiciach, próbując zmusić swój mózg do tego, by wyklął dla niego jakiś pomysł. – Na tę, która cię kochała i tę, która cię znienawidziła.

– Znienawidziła? – Głos Mili stał się nagle pusty.

Miał pomysł. Ale nie podobał mu się, więc szukał innych.

– Tak – mruknął. Zjawia naprzeciwko nich po prostu wisiąca; najwyraźniej była na tym etapie, kiedy jeszcze nie potrafiła do końca kontrolować siebie ani otoczenia. Pstryknięcie światła to kuglarska sztuczka. – To dosyć częste. Ta nienawiść przemija. Czasem.

– Co robimy?

Ach, kurwa, nie mam nic lepszego.

– Muszę dać się opętać.

– Co? – Dziewczyna była przerażona.

– To najszybszy sposób.

– Musi być coś innego...

– Nie ma – warknął zniecierpliwiony. – Myliłem się, kiedy mówiłem, że mogę egzorcyzmować twoją matkę. Nie mogę, kiedy jest ich dwie.

– Serio, w ogóle? – Mila przytrzymała go za ramię.

Spojrzał na nią poirytowany.

– Ryzyko zawodowe – sarknął. – Jeśli coś się zacznie dziać, wiej.

Życie charyzmatyka. Opcje. Żadna z nich naprawdę dobra.

Chwycił triskelion, doskoczył do ściany, przycisnął wisiołek do jednej z upiornych wici, a ta natychmiast oplotła dłoń. Ściany zaczęły się trząść – Tamina się bała, a jej strach objawiał się zdjęciami spadającymi ze ściany i przedmiotami lecącymi w jego kierunku. Oberwał lampą w tył głowy. Zamroczyło go, ale nie na tyle, by nie być w stanie odpalić zapalniczki i przysmażyć sobie dłoni wraz z triskelionem. Zacisnął zęby, ignorując pieczenie i mdlący zapach przypalanej skóry, kiedy próbował w płomieniu scalić część duszy w wisiorze z jej rozwścieczonym odpowiednikiem.

Gdzieś z tyłu krzyknęła Mila. Dopadła do niego i próbowała oderwać od ściany.

A potem za ogniem przyszyła ciemność.

W szafie zawsze jest ciemno

Rozpoznał wewnątrz własnej głowy.

Stał przed drzwiami od szafy. Wiedział, co za nimi czekało. Zgodnie z planem miał gości. Nacisnął klamkę, a była ona o wiele cięższa, niż powinna.

Ciemność. Taka, którą znał dobrze – spowijająca, ciepła i przytłaczająca. Wszystko w niej nabiera kształtów. Każda wątpliwość, lęk, niepewność, sekret i marzenie, wszystko staje się jeszcze jednym cieniem przemykającym po bezdennym tle.

Oprócz wspomnień. To był ich plac zabaw.

Salon. Córka i matka. Obie we łzach – jedna ze wściekłości, druga z żalu. Krzyczały na siebie, ale żadne słowa do niego nie docierały.

Wiedział, co robić. Wyciągnął zapalniczkę, by egzorcyzmami odnaleźć drogę pomiędzy wspomnieniami, ale ktoś położył dłoń na jego ramieniu i powstrzymał go.

Tamina. Nie upiór, lecz pamięć po niej, najbardziej ludzka wersja, jaką może przyjąć zmarły – charyzmatycy nazywali je reminiscencjami. Miała takie same oczy jak córka, tylko zmęczone i osadzone w znoszonej twarzy.

Darowali sobie uprzejmości. Wiedziała, kim jest – w końcu byli w jego głowie. Gdzieś wyczuwał także obecność Mili.

– Nie – powiedziała ochryłym głosem długoletniej palaczki. – Byłam głupia. Ale musisz to zobaczyć.

Przeciągnęła go na drugą stronę wspomnienia, a wrzaski natychmiast ich połknęły.

– Mamo, to dalej ja, Mila, po prostu jestem...

– Wiem, czym jesteś! – krzyknął nowy głos, którego nie rozpoznał. – Wiesz, jakie to niebezpieczne? Chcesz ryzykować, bo wolisz być nienormalna?! Nigdy nie założysz rodziny, nigdy nie... Nie, nie zgadzam się!

– Wiedziałam, że jesteś jebaną homofobką.

– Nie chcę, by moja córka przekreślała sobie szansę na normalne życie i rodzinę...

– To jest ta matczyzna akceptacja? – głos Mili wibrował w krzyku. – Czego ja się spodziewałam po lasce, która nie potrafiła utrzymać żadnego faceta przy sobie.

Krzyki przerwał soczysty plask. Dziewczyna zatoczyła się, złapała za policzek.

Tamina patrzyła na swoją córkę ze wściekłością, która powoli ustępowała przerażeniu, kiedy dotarło do niej, co zrobiła. Wypuściła powietrze i nagle zapadła się w sobie, przytłoczona i pełna skruchy. Wyciągnęła ręce w kierunku Mili, ale ta odskoczyła tylko ze łzami w oczach.

– Całe życie sama – wycodziła Mila. – I chcesz, by wszyscy inni też byli sami.

Koen dostrzegł coś nowego: ciemna aura wzbierała dookoła głowy Taminy. To był moment, kiedy pękł tętniak. Kobieta złapała się za skroń, postąpiła kilka chwiejnych kroków.

– Ty... ty... – wymamrotała słabo.

– Ta – prychnęła Mila. – Ja, twoja córka.

Mila zniknęła ze wspomnienia, zostawiając matkę samą.

Obserwował, jak umierająca chwiejnie podąża do sypialni. Jak kładzie się do łóżka i uświadamia sobie, że coś

jest nie tak. Już nigdy nie miała wstać. Strass obserwował, jak aura dookoła niej rozwarstwia się – kobieta zdawała sobie sprawę, że umiera, i nie była na to nic w stanie poradzić. Nad jej ciałem zaczęły wisieć dwa kształty, krążąc w powietrzu niczym eteryczne sępy nad padliną. W pewnym momencie kobieta zaczęła coś szeptać, ale nie mógł jej usłyszeć. Podszedł do niej i dał się zrobić.

Odskoczył. Sekundę za późno. Skrzywiona wersja Taminy chwyciła go za gardło i ścisnęła boleśnie. Ujrzał twarz wychylającą się z gąszczy krwistych witek, upiorną i odmienioną przez nienawiść.

– Zostaw!

Drugi upiór mignął mu przed oczami i porwał ze sobą swój mroczny odpowiednik.

Koen przetoczył się i poderwał na nogi, ignorując mroczki przed oczami, ale dusz nigdzie nie było. Jedynie nowe wspomnienie.

Na łożu śmierci leżał starzec. Jego chrapliwy oddech wypełnił pustkę niczym chór potępionych. Przy nim klęczała młoda dziewczyna. Charyzmatyk miał wrażenie, że jest pomiędzy nimi wielki dystans, pomimo tego, że łączył ich kolor oczu.

Młoda Tamina. I jej ojciec.

Starzec mówił głosem, który wybrzmiewał już zza drugiej strony drzwi.

– Tamina – wysapał z trudem. – Rodzina jest najważniejsza. Nie pozwól, by twoje żądze ją zniszczyły.

– Tato... – próbowała powiedzieć dziewczyna, ale umierające spojrzenie starca miało w sobie jeszcze wystarczającą moc, by zamilkła.

– Nie pozwól. Obiecuj. – Mężczyzna zacisnął ostatkami sił pięść na jej dłoni. – Obiecuj!

Dziewczyna zalała się łzami. Łkając i próbując uciec z uścisku ojca, spełniła ostatnie życzenie umierającego:

– Obiecuję.

Wspomnienie rozplynęło się jak bańka mydlana we mgle.

Głos, jak poprzednim razem, rozbrzmiał tuż obok:

– Nikt, kto kończy życie, nie powinien mówić, jak żyć, tym, którzy dopiero zaczynają.

Obrócił się. Reminiscencja wpatrywała się w niego, oczekując reakcji.

– Twoje żądze – domyślił się Strass. – Też wolałaś kobiety, prawda?

– Tak – skinęła głową. – Wyparłam to. Nikt z mojej rodziny mnie nie akceptował. A ojciec...

– Wymusił na tobie, aby rodzina była najważniejsza – dokończył egzorcyta.

– A więc wiesz, jak to jest – zauważyła.

Uśmiechnął się krzywo, skinął niechętnie. Stanął kiedyś przed podobnym wyborem, ale w innych okolicznościach i sprawie zgoła odmiennej. To sprawiało, że rozumiał i nie rozumiał jednocześnie, ale przede wszystkim miał świadomość, że tu nie chodzi o niego.

Więc zmienił temat.

– Dlaczego tak zareagowałaś, kiedy Mila ci powiedziała?

– Bałam się o nią. I cały czas bałam się, że mój ojciec... patrzy. Obserwuje. Czuwa, by obietnica została spełniona. A ja miałam wrażenie, że go zawodzę.

Nie była smutna, zła ani rozgoryczona. Jak większość zmarłych mówiła z charakterystyczną rezygnacją. Wiedział jednak, że to echo, przez które emocje przeciwskają się z trudem.

– Twojego ojca nie ma w pobliżu – pocieszył ją.

– Nie?

– Nie wyczuwam go. Jeśli był, to dawno temu.

W niebieskich oczach pojawił się błysk.

Nadzieja?

– Musimy mnie zabić – rzekła z nowymi siłami. – To, co zostało. To nie ja. Nie chcę, by Mila tak mnie pamiętała.

– To już moja brocha – zaproponował Koen. – Ty z nią porozmawiaj. Ona potrzebuje tego, byś ją zaakceptowała. Zwłaszcza... – Wskazał znacząco miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą wisiało wspomnienie z jej ojcem.

Skinęła głową z lękiem. Było coś w pośmiertnej jasności umysłu, co sprawiało, że dusze mocniej zdawały sobie sprawę z konsekwencji ich czynów i słów. Wiedząc, że mają tę jedną, ostatnią, zapożyczoną z zaświatów szansę na odkręcenie błędów, byli przerażeni. Nie każdy się na to decydował.

Wyciągnął zapalki, chcąc płomieniem przedostać się przez resztę wspomnień, by odnaleźć Milę, ale Tamina powstrzymała go.

– Wiem, gdzie jest. Woła mnie.

Przeciągnęła go przez korytarz wspomnień i urywków pamięci losowo rozrzuconych w ciemnej przestrzeni. Widział chwile, które obie zachowały w sobie jako cenne, widział też te, o których obie wołały zapomnieć.

Momenty, które raniły i momenty, które cieszyły, trudności łączące je razem, a także bolesne różnice.

Widział więc matki z córką. Takie relacje nigdy nie były proste.

Na moment zapadła ciemność. Byli tylko oni: egzorcysta i dusza, która chce naprawić to, co zepsuła za życia. A potem, miał wrażenie, kotary rozsunęły się, prezentując im ostatnią scenę.

Najpierw ją usłyszał.

– Mamo, to ja, to ja, Mila, chcę tylko porozmawiać... Wróc. Wróc, proszę. Chcę tylko porozmawiać...

Rozejrzał się. Mila klęczała przy pentagramie z soli, świece lewitowały dookoła niej niczym księżycy. Koen dostrzegł płataninę kształtów na skraju cienia – mieszaninę krwistych wici i jasnego światła. Upiory szamotały się ze sobą, jedno próbując pochłonąć drugie.

Tamina była obok. Jej wzrok biegał między duchami a Milą.

W jej oczach dostrzegł wątpliwość: bronić córkę czy zostawić to jemu i porozmawiać z nią?

Los chciał, że miała ze sobą specjalistę od wyborów.

– Idź – rzekł Koen, dobywając pudełka zapalek z kieszeni. – To, co musisz przegadać z Milą, to już nie moja sprawa. To sprawa między matką a córką. Upiory z kolei... – cmoknął znacząco.

– Rzucają się na ciebie, Koen. – Tamina próbowała oponować, ale bez przekonania.

– Jeśli jedno z nich wchłonie drugie, to wtedy będzie dopiero przejebane – uciął. – Nie mogę na to pozwolić.

W tej chwili mam jeszcze szansę, że uda mi się je spętać, przynajmniej na tyle, byś mogła dokończyć rozmowę. Więc – poklepał ją pocieszająco po plecach – gadaj szybko i od serca.

Dla Mili relacja z jej mamą była wszystkim. Zwłaszcza po jej śmierci. Dlatego nie pozwolił Taminie tracić czasu na głupoty i wepchnął ją do wspomnienia, nim zdążyła zaprotestować.

Głupotami może zająć się on.

Spojrzał na mglistą kotłownicę, w której dwie dusze próbowały rozerwać się na strzępy i skonsumować.

Wyciągnął zapalki.

To tylko egzorcyzmy.

Skupił się na emocjach i wszystkim, co zapamiętał z historii matki i córki. Oto przed nim prawdziwy test: czy gdzieś pomiędzy jego empatycznymi neuronami znajdowało się chociaż szczątkowe zrozumienie tego, przez co przeszły Mila i Tamina?

Zapalił zapalkę. Młode upiory były niczym dzika zwierzyna, reagowały na ogień i dźwięki.

– Hej! – krzyknął w ich stronę, uśmiechając się paskudnie. – Po moim trupie, okej?

Upiory ruszyły w stronę nowego wroga.

Ale on był gotowy. Znał pierwsze słowo egzorcyzmów.

– Samotność.

Zapalka eksplodowała w jego dłoni płomieniem, wystrzeliwując serpentyny ognia i zamykając dusze w potrzasku. Pomiedzy iskrami i dymem ujrzał coś niewielkiego, umykającego oczom.

Znaczenie.

Gdzieś pomiędzy czaszką a skórą poczuł mentalne imadło, kiedy upiory zaczęły z nim walczyć.

Druga zapałka.

– Odrzucenie.

Upiory zawyły ze wściekłości. Zatoczył się, kiedy nagły ścisk w głowie wyrwał go na moment ze świadomości, a oddech stał się płaski i urywany. Coś wezbrało w ustach, wypuł nadmiar żółci, powstrzymał wymioty.

Wyciągnął trzecią zapałkę, kątem oka zerknął we wspomnienie.

Rozmawiały. Śmiały się. Krzyczały. Płakały. Głównie płakały.

Z jakiegoś powodu poczuł ulgę.

Wyciągnął trzecią zapałkę.

– Rodzina.

Upiory uderzyły z impetem w jego umysł, zalewając go kaskadą obrazów i emocji z różnych momentów życia Taminy. Wiedział, że nie ma sensu zamykać oczu, więc po prostu patrzył. Chłonał. Przeżywał horrory i komedie, dramaty i rutynę obyczajów. A kiedy nogi zaczęły drżeć, mięśnie dostawać skurczy, a imadło zacisnęło się tak, że krew buchnęła z nosa, pozwolił sobie opaść na kolana.

Wyciągnął czwartą zapałkę.

Spojrzał na Taminę oraz Milę i czekał cierpliwie, mimo narastającego bólu w głowie, od którego chciał krzyknąć, mimo skurczy i przemykających przed jego oczami obrazów z życia, które do niego nie należało. Czekał i zaciskał zęby.

Aż w końcu obie obróciły się i spojrzały na niego w ten sam sposób.

Matka i córka. Pogodzone.

Tamina skinęła mu delikatnie głową, dając mu znak, że nie musi czekać dłużej. To było pożegnanie.

– Akceptacja.

Pamiętał tylko płomienie.

I skowyt upiorów w ciemnościach.

Część świata

Mila siedziała na fotelu, a Baxley położył jej głowę na kolanach.

Koen posłał pełne wyrzutu spojrzenie zdradzieckiemu psiakowi, ale ten miał w dupie pretensje właściciela.

Poprawił tampony w nosie, wcisnął w siebie jeszcze jedną dawkę leków przeciwbólowych i popił kawą. Była zimna.

– Więc mam u ciebie pracować? – zapytała jeszcze raz Mila.

– Tak – westchnął Strass, zmęczony tłumaczeniami. – Od dawna szukałem szansy na to, by uczynić rynek egzorcystyczny bardziej inkluzywnym.

– Ha, ha, ha – sarknęła Mila. – I serio mogę tutaj mieszkać?

– Do czasu, aż nie ogarną ci chaty po pożarze, tak – bąknął, czując się nieco winny.

Ryzyko egzorcyzmowania ogniem – nigdy nie wiadomo, kiedy się przesadzi. Podrapał odruchowo poparzenia na dłoni. Przypalony triskelion leżał na biurku i zdawał się z niego drwić.

– A co powiedzą sąsiedzi? – żartowała.

– W dupie mam, co powiedzą sąsiedzi. Nie potrzebuję pozwolenia.

Kiwnęła głową. Baxley przewrócił się na plecy.

– Dziękuję, Koen – powiedziała, a szczerść w jej głosie rozbijała do głębi. – Za wszystko.

Koen nie był *w tym* dobry. Wolał dostać zapłatę lub wystawić fakturę, potrząsnąć dłońmi i wyrazić głęboką nadzieję, że więcej nie będzie potrzebny. Ale z Milą było inaczej. A przez to jeszcze bardziej niezręcznie.

– Drobiazg.

– Opętanie, poparzenia i pozwolenie mi tu kimać to drobiazg? – prychnęła. – Myślałeś kiedyś o wolontariacie?

– Pamiętaj, że pracujesz dla mnie za darmo – sprostował ją. – W ramach zapłaty za usługi. Więc, asystantko, idź i urzędź się.

Mila wstała mimo protestów Baxleya, ale zawahała się.

– Koen? – Chciała go zapytać o coś ważnego.

Skinął zapraszająco głową.

– Czy to dziwne, że... nie wiem jak to ubrać w słowa... po tym wszystkim czuję się jakoś bardziej częścią świata?

Charyzmatyk spojrział jej w oczy.

Nie mógł potem zrozumieć, czemu powiedział to, co powiedział. Może coś rozumiał, tylko nie zdawał sobie z tego sprawy. Może coś do niego dotarło, ale jeszcze nie poukładał sobie tego w głowie. Nigdy nie miał okazji wrócić do tego myślni ani powiedzieć komuś innemu.

Ale pamiętał to.

– Tacy jak my zawsze będą częścią świata.

Szafa Koena

Podobnie jak wiele innych, tę podróż również odbył w najdalszą część świata – w głąb siebie.

Zaprowadziła go do drzwi w szafie. Ale za nimi czekała tylko ciemność, a w niej mieszkały rzeczy, z którymi wiedział już, jak sobie poradzić.

Otworzył je.

I wszedł do środka, aby walczyć ze swoimi upiorami.

Agata Francik

Tam, gdzie mieszka kosmiczny Kocur

Gdyby Dawid wyznał komukolwiek, dlaczego wyruszył w kosmos, zostałby natychmiast wyrzucony z misji i obwołany szaleńcem. Całe szczęście, lata praktyki nauczyły go nie wspominać ani słowem o Kocurze i tych wszystkich nocach, gdy oczarowany oglądał jego taniec.

Dawid oderwał się od pracy, by ruszyć do części wspólnej. Teleskop na pokładzie Oriona 2 wciąż zadziwiał jakością obrazu. Choć astronauta miał skupić się na Neptunie, jego myśli ciągle wracały do o wiele bliższego Marsa, a ostatnimi minutami coraz bardziej do jedzenia.

Brzuch burczał od dłuższego czasu, ale Dawid nauczył się go ignorować. W pewnym momencie zapominał, że był głodny, i mógł pracować dalej. Tym razem jednak powinien bardziej o siebie dbać, zanik mięśni i kości w kosmosie wciąż był sporym problemem.

Ruszył wzdłuż krótkiego korytarza, by zaraz znaleźć się w jadalni. W środku siedziały Kate z Ksenią, przypięte pasami do foteli, i trajkotały o czymś między sobą,

jakby nie miały nic lepszego do roboty. Niesamowicie jak szybko zdołały się poznać, polubić i pokochać. Rudowłosa Rosjanka i ciemnoskóra Amerykanka, ciekawe połączenie.

Dawid poleciał w stronę kontenera z jedzeniem, wyciągnął meksykańską tortillę i ostrą zupę w tubce. Przez zatkany nos i tak mało co miało smak.

Usłyszał, jak drzwi rozsuwają się akurat, gdy podrzucił kawałek tortilli w górę.

– Nie słyszałeś, że to nieładnie bawić się jedzeniem? – spytała Lena, kolejna Amerykanka.

– Słyszałem, ale mam to gdzieś – odpowiedział, goniąc za tortillą. Dawid próbował nie zauważać, że Kate i Ksenia spojrzały na niego jak na półgłówka.

– Brakuje mi tu coli – zaczęła Lena, podchodząc do kontenera i szukając czegoś do zjedzenia. – Albo czegośkolwiek gazowanego.

– To nie najlepszy pomysł – wtrąciła się Ksenia, mówiąc z tym okropnym, ruskim akcentem.

– Wiem. – Lena wybrała tę samą zupę co Dawid oraz – dzięki błogosławionej Lavazzie – kawę. Dawid nie wyobrażał sobie, jak musiały wyglądać pierwsze loty w kosmos, z tymi wszystkimi tubkami jak po farbie. – Jak obserwacje Neptuna?

– Naprawdę dziwnie się zachowuje – mruknął, siłując się z zupą. – Zaobserwowałem znaczne odchylenie od standardowej orbity, ale nie wiem, jaki to ma związek z tymi sygnałami. Trochę zagłusza je mikrofalowe promieniowanie tła, ale jak już podlecimy bliżej, może coś uda się ustalić.

Kilka miesięcy temu Neptun zwariował. Żaden ziemski jajogłowy nie potrafił wyjaśnić jego zachowania, zupełnie

przeczącego prawom fizyki czy choćby rozsądku. Coś wysyłało w nieregularnych odstępach bardzo... specyficzne sygnały. Początkowo wszyscy uznali je za żart, ale gdy potwierdzono, że źródło na pewno pochodzi z Neptuna, media zaszumiały o kosmitach, a na pierwszych stronach gazet pojawiały się coraz to głępsze teorie. I mimo, że każdy chciał zabrać głos, to tak naprawdę nikt nie miał bladego pojęcia, co się dzieje. Dlatego też wysłali misję załogową, aby podleciała jak najbliżej, by dopiero potem stwierdzić, że też nie wiedzą, o co chodzi.

– Dalej martwi mnie, że każda z wysłanych sond wariowała w pobliżu Neptuna – powiedziała Ksenia. – Cały świat patrzy, chyba nie wysłaliby nas na pewną śmierć? – W jej głosie pojawiła się zdradzająca wszystko nerwowa nutka, nieumiejętnie ukrywana pod uśmiechem.

– Aj tam, nas to nie szkoda. Może dlatego kapitanem jest Bhatt – zaśmiała się Kate, już bardziej naturalnie.

– Temat wałkowany milion razy, oddalam. – Dawida wciąż bardziej interesowała zupa, niż konwersacja. Bo ileż można nawijać o tym samym? Boją się to było nie jechać.

– A te dziwne wiadomości? – drążyła dalej Ksenia. – Godzinę temu Voyager 4 złapał kolejną, cytując: „To nigdy nie jest twoja wina”.

– Mnie najbardziej zaintrygowała: „Mamusia miała co do ciebie rację” – zaśmiała się Lena, jakby zupełnie jej to nie dziwiło. Jakie było zdziwienie naukowców, gdy po odszyfrowaniu wiadomości dostali zapis rodem z kłótni starych małżonków.

– I ten dziwny szyfr... Kosmici? – spytała Kate, chociaż na moment odrywając wzrok od Rosjanki.

– Albo coś bardziej ulotnego. – Dawid zignorował zdziwione spojrzenia. – To co teraz robi Neptun, jest nienormalne. A więc albo mamy jakiś inny obiekt, na tyle masywny, by zmienić orbitę planety tak dużej jak Neptun, albo cała nasza wiedza będzie musiała zostać zweryfikowana.

– A ciemna materia? – Ksenia najwyraźniej miała nieco więcej oleju w głowie od swojej tępej kochanki. – Albo... masywny statek kosmiczny!

– Możliwe, że ciemna materia potrafi gromadzić się w jednym miejscu, ale to nie miałyby sensu. – Dawid nie miał pojęcia, czemu próbuje nawiązać z nimi dialog. Nudy? A może nerwy? – Innym wytłumaczeniem mogłaby być zmodyfikowana dynamika Newtonowska, albo grawitacja kwantowa, jak teoria strun. Sam nie wiem, zresztą...

Dźwięk z głośnika przerwał wypowiedź Dawida.

– Wszyscy natychmiast stawić się na mostku na odprawę! – ryczał głos Bhatta.

– To by było na tyle – powiedziała Lena, wyciskając resztki zupy z tubki.

Dawid ruszył jako pierwszy. Komu jak komu, ale jemu bardzo zależało na tej misji. Tylko od jej powodzenia zależały szanse na ponowne ujrzenie Kocura i dotarcie w pobliże Marsa.

Kocur biegł ile sił w nogach, omijając co większe asteroidy. Łapy krwawiły od obtarć, sierść przygasła. Cel wydawał się tak daleki, Neptun był ledwie małą kropką, jednak nawet stąd wyglądał inaczej niż zwykle. Ciągle

zmieniał kolory, to kurczył się, to znów rozciągał jak gumowa piłeczka. Kocur nie potrafił tego określić, ale czuł cały Układ Słoneczny jak własne członki, znał wszystkie jego troski, rozumiał, co mu dolega. I stąd wiedział, że z Neptunem było coś bardzo nie tak.

Wydobył resztki sił. Nie dobiegnie, nie zdąży! Zwolnił nieco tuż przy końcu pasa asteroid. Zdusił chęć nabrania tchu, w końcu znajdował się w zimnej pustce kosmosu. Trudno było mu się przyzwyczaić, że już tego nie potrzebował, podobnie jak ciepła. Pobrał trochę unoszącej się masy z pyłu, zamienił ją w energię i naprężył ciało.

Po chwili wziął się w garść i ruszył dalej.

Po raz pierwszy Dawid zobaczył Kocura na obozie harcerskim. Przez korony drzew przebił się niesamowity, hipnotyzujący blask. Wiedziony dziecięcą ciekawością, ignorując strach, poszedł za światłem jak ćma wiedziona do ognia.

Stanął na granicy obozu i spojrzął na las, teraz mroczny, pełen potworów i dziwadeł. Coś zaszeleściło w krzakach, gdzieś dobył się pisk. Dawid zerknął w stronę bezpiecznego ogniska, przy którym spał jego kolega, mający trzymać wartę razem z nim. Byli tu za karę, po tym, jak w środku nocy wstawili całkiem głośną syrenę alarmową do namiotu znieawidzonej drużyny i ją włączyli.

Dawid podreptał w miejscu i zdecydował. Zagłębił się w ciemnościach, mijając namiot drużynowego. Szedł wzdłuż rzeki, ogłuszony żabim rechotem i szumem drzew, co rusz podskakując, gdy jedno ze straszliwych monstrów, kreowanych dziecięcą wyobraźnią, ukazało cielsko.

Polanę, na której wylądował Kocur, okrywała mgła. O tej porze księżyc odbijał się w rzecznej toni, a pałki wodne kołysały na wietrze niosącym zapach mułu rzecznego.

Gruby Kocur przycupnął na piaszczystej plaży i zupełnie jak zwykły dachowiec po kociemu wygiął grzbiet. Sierść zaświeciła niczym obsypana brokatem, rzucając refleksy na całą polanę jak kula dyskotekowa. Ogon, długi jak całe ciało, wyglądał niczym część spadającej gwiazdy, błyskając karmazynem, lazurem, burgundem oraz seledynem. Przez chwilę zdawał się być zupełnie płaski, jakby egzystował jedynie w dwóch wymiarach, by potem zafalować i przejść do trzech.

Dawid, ukryty za młodą wierzbą, wstrzymał oddech, łzy zaszklily oczy. W życiu człowieka nadarza się kilka chwil, gdy niesamowity widok, dźwięk bądź wydarzenie wprawiają w stan niemej fascynacji, ukazują piękno tak niesamowite, że niemalże nierealne, dotykające tej cienkiej granicy między prawdą a fikcją. Na długo po takim zdarzeniu człowiek zastanawia się, czy to był sen, jawa, a może coś pomiędzy, gdy zmęczony umysł płata figle, jak wtedy, gdy widzi się w kącie pokoju potwora z ubrań.

Z otwartymi ustami obserwował, jak wielki kot najpierw obchodzi polanę, pomrukując cicho, potem łąsi się do ziemi, a na koniec – niewiarygodne – wstaje na dwie łapy i miaucząc, żywo gestykuluje. Kocur zatańczył, ledwie muskając ziemię, zamachał długim ogonem, podskoczył, wykonał obrót, zadrobił łapami, wzbijając w górę piach i trawę.

Zaraz jednak zatrzymał się w bezruchu, niczym tancerz po występie. Mimo chłodu nocy chłopcu zrobiło się gorąco, policzki nabrały rumieńców.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem mgła ustąpiła i ziemia wydała jakby zadowolony pomruk. Kocur nadal łaślił się do białego piachu, ocierał o twarde kamienie i tarzał, gdy głośne westchnienie Dawida zwróciło jego uwagę.

Kot opadł na cztery łapy, wpatrując się w niego szeroko rozwartymi oczyma. Zjeżył futro na grzbiecie, wysunął świetliste pazury. Przez moment wszystko zastygło, nawet pałki wodne ani rzeka nie śmiały drgnąć, jakby zamarł sam czas. Dawid nabrał tchu i zastygł. Wszystkie mięśnie napięły się w oczekiwaniu, jedynie serce przyspieszyło.

Wstał powoli, niepewnie poprawił harcerski beret i ruszył w stronę kota.

– Kici kici? – Zaryzykował, wyciągając drżącą dłoń.

Kocur zamiauczał cicho, po czym skoczył w górę i odbijając się od powietrza jak od poduszki, powędrował w stronę kosmosu, by zniknąć wśród gwiazd.

Dawid stał jeszcze długo, wbijając wzrok w niebo, aż rosa osiadła na jego ramionach, a chłód wypędził go do obozu.

Nikt oczywiście nie uwierzył w tę historię, a z biegiem czasu i on sam zaczął wątpić.

– Powtórzę jeszcze raz, bo tutaj słowa mają inny wydźwięk niż na Ziemi – mówił Bhatt, podstarzały Hindus, który jakimś cudem został kapitanem statku. – Żadnego alkoholu, używek ani intymnych relacji! Jesteśmy profesjonalistami i tak mamy się zachowywać. Zrozumiano?

Czwórka załogantów niechętnie mruknęła coś w stylu: „Tak jest”. Ksenia wymieniła wymowne spojrzenia z Kate. Ciemnoskóra Amerykanka przygryzła wargę.

Spotkania miały odbywać się codziennie na mostku. Kapitan stojąc, a raczej unosząc się pod oknem, wyglądałby całkiem malowniczo na tle kosmosu, gdyby nie ta gęba orangutana. Przelatywali obok Marsa, czerwona planeta powoli zapełniała przestrzeń za oknem.

– Dawidzie Kruczyński – Bhatt ledwie wymówił jego nazwisko – chcę mieć codzienny raport na temat aktywności Neptuna. Składasz je mi bezpośrednio, nikomu innemu.

– Tak jest – odpowiedział Dawid, który już od kilku dni przesiadywał w laboratorium. Tamci mogą narzekać, on nie zamierzał. Jeśli teraz dobrze się zaprezentuje, miał dużą szansę na kolejne misje. Z całej załogi tylko on i Lena zasłużyli na ten lot. Ksenię wpuścili, bo Rosja naciskała – wciąż produkowali silniki dla NASA. Kate sponsorowała telewizja, a Bhatt... cholera go wie. Dawid zerknął tęsknie w stronę Marsa. Tak blisko.

– Leno Pratt, każda, nawet najmniejsza usterka ma być natychmiast meldowana.

Lena kiwnęła głową, by po chwili potwierdzić, już różnie. Bhatt przypominał Dawidowi drużynowego, z tą różnicą, że tamtego nie dało się nie lubić, a kapitan już z daleka zajeżdżał bufonadą. Podrażniony jak pachy po goleniu, wściekły jak baba w mięsny. A do tego ten wąs, gdzie on wyczytał, że nie będzie wyglądał z nim jak klaun?

Kapitan nie odpuszczał, kolejni członkowie załogi musieli, chyba po raz setny, potwierdzić zakres obowiązków i głośno przytaknąć. Znudzony Dawid wbił

wzrok w Marsa. Żadne ze zdjęć nie jest w stanie oddać tego, co czuje się, będąc na miejscu. To coś jak stanąć na szczycie góry i spojrzeć na małe miasta. Poczuć tę wysokość, to zdumienie z mieszanką strachu i fascynacji. Dla tego widoku warto poświęcić życie na Ziemi. Tam i tak nie miał nikogo wartościowego.

– *A Monika?* – Cichy głosik gdzieś w głębi umysłu znów odezwał się wtedy, kiedy nie powinien. Wbrew woli Dawida przypomniał mu się obraz roześmianej kobiety i wspólnych wypraw na lody, jedyne momentów, gdy nie myślał o Kocurze.

Odgonił głosik jak najszybciej i skupił się na Marsie.

Powierzchnię znaczyła ciemna siatka kanałów marsjańskich, kratery, wulkany, doliny, kaniony i polarne czapy lodowe. Kiedyś mówiono o nim, że był potencjalnym środowiskiem życia. Dziś nikt nie miał złudzeń, sama woda nie wystarczała. A może nawet wcale nie była potrzebna?

Dawid westchnął ukradkiem, starając się nie zwrócić na siebie uwagi Bhatta. Spojrzał na równie znudzoną Lenę, podobnie jak on podziwiającą Marsa. I wtedy dostrzegł rodzące się na twarzy zdumienie. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i włosy stanęły mu na karku.

To był on! Kocur, jak gdyby nigdy nic, lewitował gdzieś na krawędzi wzroku!

– Widzicie?! – Wskazał okno.

Cała załoga natychmiast spojrzała w tę stronę, ale po Kocurze nie został nawet ślad. Zapadła cisza, zagłuszana jedynie szumem urządzeń. Dawid przełknął głośno ślinę i spojrzał błagalnie na Lenę, ale ta odwróciła głowę.

Zastygł na moment, jednak kobieta nie ustępowała. Odbił się więc od siedzenia i popłynął w stronę okna.

– Dawidzie Kruczyński. – Bhatt spojrzał na niego surowo. – Co się dzieje?

Dawid zupełnie go zignorował. Zajrzał w zimną pustkę kosmosu, starając się dojrzeć, czy Kocur nie siedzi na kadłubie statku. Bo przecież tam był! Nie wymyślił go sobie!

Za jego plecami rozległy się szepty, przypominające młodzieńcze czasy, gdy mówił o Kocurze.

– Dawidzie Kruczyński. – Głos kapitana nabrał surowości. – Natychmiast zamelduj mi, co widzisz.

Nic, cholera, nic nie widział! Ale jeszcze przed chwilą tak, był pewien!

– Muszę wyjść na zewnątrz – oznajmił Dawid, ignorując pomruki zdziwienia reszty załogi. Starał się utrzymać opanowany ton, choć zdradzało go drżenie dłoni.

– Zabraniam ci. – Bhatt napiął mięśnie pod koszulką. – Kseniu Petrova, sprawdź kamery.

Rosjanka zgrabnie podpłynęła do terminala i zaczęła wstukiwać komendy. Dawid natychmiast znalazł się przy niej. Cholerny ekran ukazywał jedynie pustkę kosmosu.

– Nic tu nie ma – odpowiedziała po chwili.

Dawid miał ochotę zgnieść ten pieprzony komputer.

– Musiało się coś nagrać – nalegał.

– Kseniu, sprawdź. – Bhatt również podpłynął bliżej.

Po chwili na ekranie ukazały się nagrania sprzed paru minut. Na jednym z nich niewyraźna plamka przybrała kształt kota.

– Mówiłem! – krzyknął Dawid. – To on!

Kątem oka dostrzegł, jak Lena przybliżyła się do stanowiska. Ze złośliwą satysfakcją stwierdził, że rozdziawia gębę.

– To? – spytał Bhatt, wskazując niewyraźny obraz Kocura. – Jaki on? To jakaś smuga, Dawidzie Kruczyński. Przywidziało ci się.

Tym razem to Dawid rozdziawił usta. Przecież tu był, w końcu miał dowód, czarno na białym! Spojrzał na Lenę, ta znów odwróciła głowę. Rozejrzał się po pozostałych.

– Nie widzicie?!

– Pieprznęty – cicho zaśmiała się Kate, wymieniając spojrzenia z kochanką. Ją też najchętniej by zgniół.

– Dawidzie Kruczyński. – Niezwykłym talentem Bhatta było zawieranie najgorszych znanych ludzkości gróźb zaledwie w tonie głosu.

Milczenie się przeciągało.

– Przywidziało mi się – powiedział w końcu Dawid, czerwony jakby ganiła go przedszkolanka.

– Rozumiem – powiedział kapitan, choć wyraz twarzy wskazywał coś zupełnie przeciwnego. – W takim razie rozejść się!

Nie umknęło uwadze Dawida, że jako pierwsza mostek opuściła Lena. O nie, nie wywinie się tak łatwo.

Drugi raz Kocur ukazał się Dawidowi, gdy ten obserwował gwiazdy na szkolny konkurs. Wymknął się wtedy na dach budynku gospodarczego, choć mama zabraniała

mu tam wchodzić. Zawsze zrzedziła, że spadnie, a Dawid wiedział, że stąd miał najlepszy widok.

Wyjął z kieszeni rysunek Kocura, który zrobił tuż po pierwszym spotkaniu. Przypomniały mu się wszystkie drwiny kolegów i całe to piekło, przez które musiał przejść, by wreszcie nauczyć się trzymać gębę na kłódkę.

– Ten twój Kocur jest równie prawdziwy jak Budda! – powiedział mu kiedyś szkolny geniusz. I tacy potem rządzą krajem...

Prychnął, zmiął rysunek i cisnął jak najdalej.

Bywały chwile, kiedy zaczynał wątpić w swoje działania, a im starszy się stawał, tym łatwiej było mu zgonić całą sytuację na wyobraźnię. Był dzieckiem, takie rzeczy się zdarzają, zwłaszcza stojącemu samotnie w lesie, w środku nocy. Tak mówili wszyscy wokół, więc czemu im nie wierzyć? No, prawie wszyscy; pojawiały się też głosy twierdzące, że był po prostu obłąkany. Nikt poza nim nie widział tego cholernego kota.

Z rezygnacją przyłożył oko do okularu i zaczął kalibrować teleskop, kiedy coś przykuło jego uwagę. Serce niemal wyskoczyło mu z piersi, gdy dostrzegł ten sam niesamowity blask co kiedyś.

Tym razem Kocur sunął po niebie, jednakowo majestatyczny jak za pierwszym razem. Błyszczące futro powiewało na wietrze, a ogon, jak kometa, kreślił jasną smugę. Był całkiem blisko, jakoś w ziemskiej stratosferze.

Dawid podskoczył, gdy zadzwonił telefon. Wyjął go z kieszeni i spojrział. Monika. No tak, był z nią umówiony, jeśli teraz nie wyjdzie, to ucieknie mu autobus. Burknął coś pod nosem i wyciszył telefon.

Gdy znowu zajął się niebem, Kocur leniwie zakręcił się wokół własnej osi, wykonał kilka beczek, po czym spojrział wprost na Dawida. Chłopak nie wiedział, czy to co dostrzegł w kocich ślepiach, było radosnym ognikiem czy zwykłym przywidzeniem, jednak zaraz Kocur skoczył do góry i ruszył przed siebie, prosto w kosmos.

Dawid drżącymi rękami nastawiał ostrość teleskopu i śledził obiekt. Ten pomknął, odbijając się od pustki, w stronę Marsa. Powoli zniknął z oczu obserwatora, a amatorski sprzęt tracił zasięg.

Na koniec Kocur odwrócił się i puścił w stronę chłopaka oczko. Tak, Dawid miał pewność, naprawdę to zrobił!

Pisnął cicho i chwycił telefon, czując, jak serce wyrывa mu się z piersi. Jedyne ekscytujące chwile były wtedy, gdy miał wrażenie, że ponownie go znalazł. Wyjął komórkę, na ekranie pojawiło się wiele nieodebranych połączeń od Moniki. Cmoknął z niecierpliwością i włączył aparat.

Już miał podłączyć telefon do teleskopu, lecz Kocur znikł. Gorączkowo szukał go przez następną godzinę, jednak nie został po nim choćby ślad.

To, zresztą, nie było istotne. Spędził wiele tygodni, obliczając, na jakim kursie znajdowały się wszystkie ciała niebieskie. Jeśli przyjąć, że Kocur nie zmienił drogi, musiał zderzyć się z Marsem, a przynajmniej przelecieć obok. Od tej pory Dawid miał cel.

Okrażał Jowisza, byleby tylko nie wpaść w jego pole grawitacyjne. Nie miał teraz czasu się z nim użerać, a humorki potrafiły napsuć sporo krwi.

Śmierdziało czymś pomiędzy palonymi oponami a prochem strzelniczym. Kosmos okazał się znacznie mniej urokliwym miejscem, niż mu się wydawało.

Droga była gładka, okazjonalnie spotykał większe asteroidy, częściej pył kosmiczny. Zerknął w stronę Neptuna. Musi znaleźć się w jego pasie o właściwej porze, inaczej miną się i nigdy nie zdąży. Jeśli jeszcze było to możliwe, przyspieszył.

Starając się zachować spokój, Dawid opuścił mostek chwilę po Lenie. Zmierzała w stronę laboratoriów. Skręcił więc w drugą stronę, udając, że idzie do części mieszkalnej. Zamiast jednak wejść do swojej kapsuły, minął ją i poleciał dalej. W szczelinie drzwi mignął ekran z nieodebrany połączeniem od Moniki. No tak, akurat na tym statku musieli zamontować terminale do kontaktu z rodziną. Że niby polepszają stan psychiczny załogantów. Ekran migał nachalnie, domagając się odsłuchania wiadomości.

Potem się tym zajmie, teraz są ważniejsze sprawy.

Dopał Lenę w pomieszczeniu technicznym, sprawnie zablokował drzwi i stanął przed nią.

– Też go widziałaś, nie pieprz głupot! – powiedział bez ogródek, patrząc prosto w oczy. Jak się spodziewał, ujrzał w nich strach.

– Co ty gadasz? – próbowała jeszcze się bronić. – Masz jakieś urojenia. Nie wiem, jakim cudem wybrano cię do tej misji, ale po tej akcji wylecisz, to mogę obiecać. – Próbowała brzmieć pewnie, ale ton głosu ją zdradzał.

Zaśmiał się.

– Nie strasz, na nikim nie robisz wrażenia.

– *A może jednak?* – Głosik znowu ożył. – *Zastanów się, stracisz wszystko, łącznie z szansą dostania się w pobliże Marsa.*

Dawid potrząsnął głową, jakby oganiał się od much, i wymamrotał coś pod nosem. Na zdziwione spojrzenie Leny odpowiedział zmarszczeniem nosa.

– I co zamierzasz zrobić? Tu są kamery, idioto. – Lena szybko wróciła do siebie.

Racja, dobrze, że wspomniała. Podpłynął do terminala i przełączył się na ręczne sterowanie. Na małym ekranie wyświetliły się widoki z kilku kamer. Już miał włączać terminal, kiedy coś przykuło jego uwagę.

– To on! – wykrzyknął w stronę Leny.

– O Boże...

Jedna z kamer rejestrowała wyraźną sylwetkę Kocura. Oglądany na ekranie nieco stracił na majestacie, ale Dawida i tak ścisnęło w gardle. Kocur, swoim zwyczajem, zapląsał leniwie, patrząc wprost w obiektyw kamery. Potem uśmiechnął się i machnął łapą, jakby zachęcając ich, by podążyli za nim. Czmychnął z gracją w stronę wyłaniającego się zza Marsa Fobosa.

– Widzisz to? – Dawid złapał Lenę za ramiona i ścisnął mocno. – Widzisz, tak?! Nie oszalałem! On istnieje!

Nie musiała nic mówić, zdumiony wyraz twarzy zdradzał wszystko. Śmiech wyrwał się Dawidowi z gardła.

– Chce, żebyśmy za nim ruszyli! Zobacz! – Niemalże przytknęła jej twarz do ekranu.

– Puszczaj mnie! – Wrywała się. – Jesteś obłąkany!

Opanował się. Nie miał czasu, nie wiadomo, kiedy Kocur znowu zniknie. Teraz albo nigdy. W programie kosmicznym był już spalony.

Rzucił się do drzwi, następnie jak najszybciej do kapsuł ratunkowych.

– *Poczekaj!* – znowu głosik. – *Pomyśl o matce, czeka tam na ciebie!*

– Gdy byłem dzieckiem, śmiała się najgłośniej – odpowiedział Dawid, odpychając się od ścian statku.

– *A Monika? Pamiętasz, powiedziałaś jej o tym i mimo to została.*

– Ale też nie uwierzyła! Chciała mnie posłać do psychiatry, nie wpuściliby mnie przez to na pokład!

Za jego plecami rozległy się krzyki Leny. Już otrząsnęła się z szoku.

– *Masz... masz jeszcze chomika...* – głosik nabrał desperackiego tonu.

– No... chomiczka szkoda – mruknął Dawid, na chwilę zwalniając. – Nie, nie! Chomiki żyją trzy lata, a Pimpek ma dwa i pół, nie warto!

Myśli Dawida przysłonił Kocur, ta magiczna noc na polanie, kolejna na dachu domu. Pokręcił głową i przyspieszył.

Usłyszał za sobą szczekliwy głos Bhatta. A niech się drze, to i tak nie miało znaczenia.

Wsunął się do środka i szczelnie zamknął drzwi. Uruchomił procedurę startu. Drżały mu ręce, ale z ust nie schodził uśmiech. To bilet w jedną stronę, kapsuła nie miała dość paliwa, by wrócić z Fobosa na statek, a nawet jeśli, nie przyjmą go z powrotem.

– *A jeśli naprawdę jesteś obłąkany?* – Głosik znowu dołożył swoje.

– Wszystko albo nic! – krzyknął.

– *Pamiętasz te reakcje, gdy opowiadałeś ludziom o Kocurze? Czy oni wszyscy mogliby się mylić?*

– Zamknij się!

Kapsuła uszczelniła śluzę, wypięła haki i zaczęła powoli oddalać się od statku. Dawid zerknął przez okno. Kocur nadal tam był! Czekał na niego! Czyli Fobos!

Zaśmiał się głośno i odpalił silniki. Kocur zaczął biec w stronę księżycy Marsa. Zapraszał go, kusił od tylu lat, by teraz się z nim spotkać.

Wszelkie wahania Dawida natychmiast się rozwiały.

O tym, że było źle, Kocur wiedział już wcześniej. Teraz dowiedział się również, że jest tragicznie. Wenus puszczały nerwy, czuł jej drgania. Jeszcze trochę, a opuści orbitę i zacznie spadać w kierunku Słońca.

Przyspieszył, niemal osiągając prędkość światła. Przy takich odległościach bieg i tak zajmie mu kilka godzin.

Minął Jowisza, pierścienie Saturna coraz bardziej się zbliżały.

Zacisnął powieki i skupił się na biegu.

Radio włączyło się, okropny głos Bhatta wypełnił przestrzeń kapsuły.

– Ty zasrany idioto, wracaj natychmiast, to może nie wypchniemy cię w przestrzeń!

Dawid z uśmiechem włączył mikrofon i odpowiedział krótko:

– W dupie mam wasz statek i pieprzonego Neptuna. Wal się. Ach, byłbym zapomniał, z tym wąsem wyglądasz jak pedofil w parku!

Po czym wyłączył radio, zaśmiał się głośno i dodał mocy silnikom. Warto było. Pieprzyć ich wszystkich, te rozbawione spojrzenia, szeptu za plecami, traktowanie jak obłąkanego.

– *One na ciebie czekają.* – Głosik nie ustępował. – *To co robisz, jest samolubne.*

– Milcz! – Ryknął do kapsuły. – Samolubne było, gdy zamiast mnie wysłuchać, z góry uznały za szalonego! Obie się, cholera, zgadały! Samolubne było, jak matka opowiadała ludziom o Kocurze, śmiejąc się za moimi plecami! Moja! Własna! Matka! Przez nią nauczyłem się nikomu o tym nie opowiadać, już za dzieciaka musiałem to wszystko tłamsić w sobie! Ale on tu jest! Istnieje! Miałem rację, ten cały zasrany czas miałem rację!

Czerwona planeta była coraz bliżej, aż w końcu zajęła prawie całą widoczną przestrzeń. Lekko skręcił, by ujrzyć niekształtnego Fobosa. Mała świecąca kropka na jego tle była Kocurem. Ogon błyszczał tak pięknie w kosmicznej pustce. Zaraz zniknął w jednym z kraterów, chyba Grildrigu.

Skierował tam kapsułę, pilnując, by zachować wystarczająco paliwa na lądowanie. Potem się już nie przyda. Gdy znajdował się zupełnie blisko, dostrzegł nierówność w lodowo-skalnym podłożu. Resztkami paliwa wylądował tuż obok.

Założenie skafandra w malutkim kokpicie zakrawało na cud, nawet przy najnowszych modelach, niewymagających asystentów. Właśnie siłował się z plecakiem, gdy rozległo się głośnie pukanie o kadłub. Zamarł na moment, po czym szybko włączył widok z kamer.

Przed kapsułą stał mały, podobny do człowieka osobnik, zamiast głowy mający coś na kształt akwarium dla złotej rybki. Nosił sprane ubranie wykonane z dziwnego, falującego materiału, którego kształt umykał percepcji Dawida. Jakby był utkany z czegoś pomiędzy dymem, ciecżą i skondensowanym światłem.

Podpierał się laską i okropnie garbił.

– Wyłaż, tu można oddychać. – Kula na jego głowie zamigotała, gdy mówił szorstkim, ochryplym głosem. – Czekaliśmy na któreś z was, ale pojawiaasz się na styk. Gdyby Bastien nie zachęcił cię do lotu, pewnie nawet byś nie ruszył dupy. Dzisiejsza młodzież...

Dawid otworzył usta, po czym je zamknął. Zamarł z jednym ramiączkiem od plecaka na ramieniu.

– No idziesz czy nie? Naprawdę nie mamy czasu!

– I-ide – powiedział, ostatecznie porzucając plecak i zdejmując hełm. Bez butli z tlenem i tak byłby bezużyteczny.

Obliznął usta i powoli otworzył śluzę. Odruchowo nabrał w płuca powietrza. Drzwi zasyczały, owionął go zimny wiatr, ale, ku swojemu zdumieniu, oddychał. Fobos

śmierdział jak coś, co od dłuższego czasu przypala się na piecu. Był dość zimny, ale skafander chronił ciało Dawida, jedynie policzki smagał mroźny wiatr.

Mężczyzna zaśmiał się obłąkańczo, wbijając wzrok w powierzchnię Fobosa.

– Nie mamy wieczności, pośpiesz ze się! – Mały osobnik, nie czekając, ruszył w stronę nierówności.

Dawid szybko zszedł po schodach kapsuły i ruszył po lodowo-skalnej powierzchni za przewodnikiem. Podłoże chrzęściło pod butami, wiatr rozwiewał włosy.

Nierówność okazała się sprytnie zamaskowaną bramą. Kulogłowy osobnik wyjął z tylnej kieszeni pęk kluczy i otworzył drzwi. Gestem zaprosił Dawida do środka.

– Wybacz szczerłość, ale myśleliśmy, że to będzie Lena. – Mężczyzna zamknął bramę.

– Nie bardzo rozumiem... – mruknął Dawid, rozglądając się na boki. Hol o bogatym wystroju lśnił czystością, połyskujące poręcze ozdabiały ornamenty z kształtem rybich ości. Kafelki tworzyły mozaikę przedstawiającą śpiącego kota, a kryształowy żyrandola przypominały myszy. Dosłownie wszystko, każdy centymetr pomieszczenia, zawierał jakiś koci motyw.

Dawid skrzywił się, zażenowany. Gorzej niż u bezdziejnej cioci.

– Kandydatów były setki – kontynuował przewodnik, ruszając schodami na piętro. – Z nich wszystkich tak daleko zabrnieście tylko ty i Lena Pratt, z czego myśleliśmy, że to ona jest bardziej stuknięta od ciebie. Zobacz, jakie to życie przewrotne. A co do stuknięcia, czy mógłbyś przestać się tak trząść? Denerwuje mnie to.

Dawid dopiero teraz zrozumiał, że uśmiecha się jak głupi i drobi nogami.

Natychmiast się uspokoił, choć mimiki nie potrafił opanować.

W panującej ciszy stukanie laski przewodnika odbijało się echem od ścian.

– A ty... kim jesteś? – Dawid starał się nie wyrzucić na o wiele za wąskich schodach.

Piętro nie zmieniło swojego tematu przewodniego, wciąż wszędzie mógł dostrzec motywy kota, myszy czy ryby. Szli długim korytarzem, którego koniec znajdował się gdzieś absurdalnie daleko. Wzdłuż niego stały rzędy zamkniętych drzwi.

– Dozorczą. Niewdzięczna praca, ale potrzebowali kogoś na pełen etat. Kogoś, kto i zajmie się warunkami na Fobosie, i uprzątnie kocią kuwetę. – Z kuli wydostało się coś na kształt prychnięcia.

– Ale czemu Fobos? – Dawid porzucił kocie wizerunki i skupił się na Dozorcy. Ten ledwie sięgał mu pasa, jednak miał coś w sobie, co od razu budziło szacunek. Może to przez akwarium na głowie?

– Bo kto się nim interesuje? Mały księżyc o kształcie ziemniaka czy innego badziewia...

Przez chwilę szli w milczeniu. Drzwi na końcu korytarza stawały się coraz większe, stąd Dawid mógł już rozpoznać żenujący wizerunek bawiących się kociaków namalowany na drewnie.

Wejście do jednego z pokoi po lewej stało otworem. Na środku pomieszczenia stał wielki stół, a na nim różne, łatwo tłukące się przedmioty. Pod też, ale w wielu

częściach. Wyglądało to, jakby w środku przeszło tornado, zrzucając wszystko ze stołu.

– Do zabawy – wyjaśnił przewodnik.

– Mhm... – Dawid nie miał pojęcia, jak to skomentować. – Czemu ja? – spytał w końcu.

– Szczerze? – odparł Dozorca. – Przez przypadek. Widziałeś Bastiena w akcji i zafiksowałaś się na jego punkcie. Można więc powiedzieć, że to ty znalazłeś nas.

– Ale inni go nie widzieli...

– A tam, nie widzieli. – Dozorca machnął ręką. – Nie chcieli widzieć, zamiast tego dostrzegali odbicia lamp, komety, niewyraźne powidoki czy inne gówna.

– Śmiali się ze mnie.

– Zrozum, prawda nie jest istotna. Liczy się to, w co ludzie chcą wierzyć. No cóż, ich sprawa. Dobra, trzeba przyspieszyć. Neptun ledwo wytrzymuje.

– Ja się chyba trochę gubię...

– Bastien wytłumaczy, no już, włącz do środka.

Dozorca znów wyjął pęk kluczy i otworzył masywne drzwi. Po ich drugiej stronie znajdował się wielki pokój, po brzegi wypełniony wszelkiego rodzaju drapakami, leżankami i kocimi zabawkami. A na środku, na górze poduszek, leżał Kocur, wpatrując się świetlistymi oczami w Dawida.

– Wreszcie jesteś! – Kot zeskoczył z posłania i łapą odprawił Dozorcę. Ciężkie drzwi trzasnęły. – Już myślałem, że żadne z was nie przyłeci, a wtedy byłoby naprawdę nieciekawie.

– Przez tyle lat... – Głos uwiązał w gardle Dawida. Wreszcie mógł zobaczyć Kocura z bliska. Taki piękny... Chciał podejść, wyciągnąć rękę, ale się zawahał. Żaden mięsień nie chciał drgnąć, łzy napłynęły do oczu, mimo że usilnie starał się je powstrzymać. – Czemu? – wydusił w końcu podejrzenie wysokim tonem.

– Starzeję się – odpowiedział Kocur, przeciągając się jak zwykły dachowiec. – I nie mogę tak latać. Potrzebuję następcy.

– Mnie? Wiesz, co przez ciebie przeszedłem?

– A jednak tu jesteś.

– Tyle lat nazywania mnie obłąkanym... – Dawid zaciśnął pięść, patrząc gniewnie na Kocura. – Sam zaczynałem w to wierzyć... że oszalałem.

– Ależ ty jesteś szalony. – Kocur podszedł bliżej, zamachał wspaniałym ogonem. Biła od niego taka jasność, że Dawid musiał zmrużyć oczy. – Jak najbardziej. W końcu kto normalny poświęciłby życie gonieniu za snem? Kto normalny opuściłby bezpieczny statek, porzucając rodzinę i świetną karierę, by lecieć w jedną stronę tylko dla mglistej obietnicy? Nie patrz tak – zaśmiał się. – To dobrze, potrzebujemy tu takich, bo i zakres obowiązków nieco odstaje od normy.

– Zakres... obowiązków? – wymamrotał Dawid, starając się pamiętać, by zamykać usta.

– Wybacz, że rzucę cię tak na głęboką wodę, normalnie mamy okres szkolenia, ale sytuacja wymaga pośpiechu. – Kocur spowaźniał. – Zacznijmy może od tego, że planety mają swoje osobowości i bardzo często są one... dość

wybuchowe. Gdy porządnie się zdenerwują, potrafią nawet zmienić orbitę! Wiesz, do czego to może doprowadzić?

Dawid pokiwał głową. No tak, Neptun i jego dziwne zachowanie.

– I tutaj pojawiają się my. Pocieszamy, przytulamy, uspokajamy. Słowem: pilnujemy, by wszystkie zostały na swoim miejscu i zbytnio nie marudziły. Rozumiesz?

Po prawdzie Dawid nie rozumiał, choć próbował. Kocie oczy świdrowały go, nie pozwalając się skupić. Rozejrzał się jeszcze raz, wbił spojrzenie w wielkie akwarium.

– Ale dlaczego koty? – spytał w końcu.

– A kto nie lubi kotów? – Bastien, gdzieś na granicy wzroku, uśmiechnął się i zamachał ogonem. – Są słodkie, mięciutkie i ciepłe. Idealne, by zredukować stres i załagodzić konflikty.

Złota rybka w akwarium próbowała ugryźć ogon czerwonej koleżanki.

– Są jeszcze... jacyś inni? No wiesz, w innych układach słonecznych.

– Oczywiście, wielu. To duża organizacja, czasami zamiast kotów są psy, króliki, owce, a w Mizarze mają pająki. – Kocur prychnął. – Tamtejsze planety zawsze były nieco dziwne. Wiele układów pilnują stworzenia, o których nie masz pojęcia.

Dawid wolno pokiwał głową, jakby usłyszał zupełnie normalne, powszechnie znane informacje.

– A czemu się spieszymy? – spytał po chwili.

– Widzisz, Neptun jest byłym Wenus. Od dłuższego czasu żyją w separacji, ale okazjonalnie potrafią się

nieźle pożreć. I teraz znowu to się stało, Wenus mocno nadepnęła mu na odcisk, on odbił piłeczkę. Ale spokojnie, tutaj czas płynie nieco inaczej, więc mamy chwilę na rozmowę. Niestety krótką.

– I pozwoliliście, żeby to tak wszystko wisiało na włosku?

– Gdybyś wiedział, ile rzeczy tak wisi, osiwiłbyś. – Dawid nie wiedział, czy Kocur żartuje, czy mówi poważnie.

Czerwona rybka odgryzła się, zaganiając złotą do zameczku.

– Czyli te wszystkie dziwne zachowanie Neptuna... on jest po prostu zły? – Dawid w końcu oderwał wzrok od akwarium.

– W dużym skrócie tak.

– Ale to trwa od miesięcy!

– To są planety! One mają miliardy lat! Wiesz, jak długo idzie informacja z Wenus do Neptuna? – Kocur przybrał mądry wyraz pyszczka. – Naprawdę przepraszam, ale nie mamy czasu, właśnie wyczuwam, że znowu się kłóć, a czas leci nawet tutaj. Przystąpmy więc do formalności. – Kocur wyjął zza jednego z drapaków wielką kartkę papieru. – Dawidzie Kruczyński – nabrał formalnego tonu – czy zgadzasz się zostać nowym Kotem Stróżem?

– *Kim?* – zdziwił się głosik. Dawid nie miał najmniejszej ochoty go słuchać.

– Chyba... – Podniósł niepewnie rękę i zaczął czytać warunki umowy. Przerwał przy piątym punkcie. – Tak!

Za dużo przeszedł, żeby teraz odmówić. Bo i do czego wracać? Bhatt zabije go za tę uwagę o wąsę.

– *A dobra, rób co chcesz, przecież i tak nie mamy wyjścia.*

Dawid uśmiechnął się szeroko. Zawsze było wyjście, tylko niekoniecznie korzystne.

– Świetnie, odciśnij więc tu swoją dłoń. – Kocur łapą wskazał mu miejsce na podpis. – Praca nie jest zła, choć płatnego urlopu mało.

Dawid bez słowa chwycił umowę, zamoczył dłoń w tuszu i złożył podpis. W tym samym momencie poczuł, jak wyrasta mu futro, a ciało nabiera kocich kształtów.

– Nie panikuj! Poza linieniem to całkiem wygodne być kotem! I powodzenia! – Kocur uśmiechnął się, założył hawajską koszulę i ruszył do drzwi.

– Jak do tego doszło?! – Bhatt był na skraju załamania. Centrala wydzwaniała jak szalona, na razie zabronił odbierać. – Pratt, masz przesrane! Miałaś go zatrzymać!

– Co ja niby mogę? – Lena starała się nie patrzeć na czerwonego z wściekłości kapitana. Ta cała misja to żart, jak można było dobrać tak nieodpowiednią załogę?

Postawił całą trójkę pod oknem, jakby ktokolwiek miał próbować ucieczki. Chociaż w tej sytuacji Fobos wydawał się nawet kuszący, tym bardziej, że to bilet w jedną stronę. Bez Bhatta i reszty problemów.

– Gównu możesz, w tym problem! – Wąsy zatrzęsły się z furją.

Lena skrzywiła się. W kosmosie kropelki śliny nie opadały w dół, tylko powoli i nieubłaganie leciały w stronę ofiary.

Rozległ się dźwięk połączenia, Ksenia ruszyła do komputera.

– Nie odbierać, czy ja mówię do idiotów?! – Bhatt zastąpił jej drogę.

Rosjanka, z miną skrzywdzonego dziecka, powoli wycofała się pod bezpieczne okno.

– Mamy przesrane, nie rozumiecie?! – ryknął. – Mamy, cholernie przeje...

Zamilkł na chwilę, wlepiając spojrzenie w punkt za nimi. Wszyscy obejrżeli się jednocześnie.

Gdzieś daleko, pośród kosmicznej pustki, gnał świetlisty kot. Nie oglądał się na boki, biegł, jak mógł najprędzej, prosto w stronę Neptuna.

– Słodki Jezu... – Ksenia przeżegnała się i chwyciła Kate za rękę.

Dawid, a raczej Kocur, gnał jak oszalały. Neptun tracił cierpliwość, Wenus zaczęła gniewnie przyspieszać rotację. Jeszcze trochę...

Wiedział, co robić, wraz z kocim ciałem dostał również wiedzę poprzedników. Trzeba tylko dobiec i ugłaskać Neptuna, Wenus zazwyczaj uspokajała się, gdy robił to jej były.

– *Radzę się pospieszyć. Bez nas cały Układ Słoneczny runie* – odezwał się głosik.

– Dzięki, chcesz jeszcze coś dodać?

– *Tak, mam pewne zastrzeżenia co do podejmowanych przez ciebie wyborów, ale o tym później. Na razie skup się na biegu, bo się nam planety zderzą.*

Dawid kiwnął głową.

Czuł, jak gaz w Neptunie wariuje, a pole grawitacyjne to się rozszerza, to maleje. Jeszcze kilka skoków.

W końcu dotarł na miejsce.

– Uspokoił się – mruknęła Kate, obserwując Neptuna.

– Jakim cudem? – Bhatt już trochę ochłonął. Wciąż nerwowo miętosił koszulkę, ale przynajmniej nie krzyczał.

– Pojęcia nie mam. Co piszemy w raporcie?

– Prawdę, oczywiście. – Kapitan odwrócił się do niej plecami. – Samą prawdę, poza tą zbiorową halucynacją. Wszyscy byliśmy zestresowani, zdarza się.

– Wiadomość z ostatniej chwili – mówiła wystrojona prezydentka, poważnym wzrokiem patrząc w kamerę. – Członek wyprawy badawczej, astronauta Dawid Kruczyński, lecący statkiem kosmicznym Orion 2, który osiemnastego marca ruszył z misją załogową, by zbadać anomalie na Neptunie, wsiadł do kapsuły ratunkowej i poleciał w stronę Fobosa, księżyca Marsa. Podejrzewa się go o ciężkie zaburzenia psychiczne związane ze stresem. Na razie nie wiadomo, kto podjął decyzję o jego

kandydaturze na stanowisko załoganta. Prokuratura bada sprawę. A tymczasem zajmijmy się sprawą dzika, który wdarł się do domu jednorodzinne w Pabianicach, wypił wino i zasnął pośrodku kuchni. Zastraszeni mieszkańcy boją się wyjść z domów.

Bastien odwrócił łeb od telewizora, przeciągnął się na wygodnym kartonie po leżance i dokończył drinka z kocimiętką. Historię piszą zwycięzcy? Bzdura! Historię pisze ten, kto akurat ma pod ręką pióro, a że najczęściej to właśnie zwycięzcy, to już temat na inną historię.

Lidia Gręda

Międzyrzeczywistość

Podłoga wynajętej chaty drgała w takt disco-polo. Wystrzelony z szampana korek przewrócił stojącego na parapecie miniaturowego kaktusa, ale nie zostało to przez nikogo zauważone. Pijana młodzież bawiła się w najlepsze wśród odsuniętych pod ścianę mebli i nie obchodziły jej ani rośliny doniczkowe, ani Olek, który siedział na kanapie i żałował.

Leżałby teraz we własnym łóżku, oglądał seriale i jadł chipsy, ale nie! Zachciało mu się integracji. Stwierdził, że nie może przecież całego lata przesiedzieć w domu. Bzdura! Kto by mu zabronił? Od czterech miesięcy był dorosły i mógł robić, co chciał.

Westchnął i spojrzął na obrazek nad fotelem przedstawiający Ducha Gór – długobrodego starca w rogatym kapełuszu, trzymającego w dłoni drewnianą laskę. Liczyrzepa wydawał się zbulwersowany pijackimi wygibasami, które w tańcu wyczyniała młodzież. Olek podzielał jego odczucia. Westchnął ponownie. Jakoś przetrwa. Jeszcze tylko dwa dni.

W telewizji leciały wiadomości. Beznamiętnie śledził pasek informacyjny, bo muzyka zagłuszała wszystko, co mówili spikerzy. Połowa Central Parku w Nowym

Jorku to teraz czarna plama – przewijało się. Odkryto złoża ropy naftowej w Martwym Świecie – głosił kolejny napis. Po przeczytaniu ostatniej informacji Olek poczuł nieprzyjemny chłód w żołądku. Coraz więcej ludzi ginie w niewyjaśnionych okolicznościach.

Przed oczami stało mu zniknięcie Mai. Choć od dwóch lat usilnie próbował je wyrzucić z pamięci, nie mógł zapomnieć tego widoku. Obraz kolorów znikających z ciała dziewczyny i tańczących po nim nitek białego światła powracał przy każdej możliwej okazji.

– Wino, wino w Zakopaneeeem! – zaśpiewał Bartek, opadając na kanapę obok Olka. – Zmęczyłem się.

Choć spędził na parkiecie zaledwie pół piosenki, był cały spocony, a jego potężny brzuch falował. Olek chciał to skomentować, ale przypomniał sobie, że sam nie jest lepszy – granicę nadwagi przekroczył parę kilogramów temu. Zamiast tego rzucił:

– Nie jesteśmy w Zakopanem, tylko w Karpaczu!

– Wiem, ale nie znam żadnej piosenki o Karpaczu – burknął Bartek. – A ty co? Nie siedź tutaj sam, bo Liczyrzepa cię porwie!

– Po co miałby mnie porywać? Nie jestem księżniczką – nadał się Olek.

W telewizji pokazywano właśnie moment zamiany Central Parku z lotu ptaka. Spory kawałek terenu uniósł się i poruszał, jakby niewidzialna ręka olbrzyma próbowała go dopasować do układanki. Wokół tryskały białe iskry, co przywodziło na myśl ocierające się o siebie koła zębate w zepsutym zegarze. Po chwili teren zmienił się nie do poznania – zamiast drzew i trawy były teraz parujące smoliste kałuże

wśród czarnych skał. Wyglądało to, jakby ktoś do Nowego Jorku wcisnął puzzel z zupełnie innej układanki. Zapewne podobne wrażenie sprawiała teraz część Martwego Świata, w której znalazła się połowa Central Parku.

– Jeju – wyjąkał Bartek. – Ilu ludzi tam było na spacerze! Straszne. Ja się cały czas boję, że mi też się to zdarzy w najmniej spodziewanym momencie... Że akurat wymieni się kawałek Ziemi, na którym stoi mój dom, i zniknę podczas tej wymiany... Też masz ten lęk?

Olek potwierdził.

– Albo że zniknę sam z siebie – wynurzał się dalej Bartek. – Wyobrażasz sobie, jak to jest, kiedy się znika? Ciało zaczyna świecić... Coś okropnego!

– Zamknij się – syknął Olek.

– Ach, tak, twoja dziewczyna... Dobrze, już się zamykam.

Z parkietu dobiegł wrzask Izy, głośne łupnięcie o podłogę i nerwowy chichot dziewczyn.

– A te dziury, portale do Martwego Świata... – Bartek wytrzymał zaledwie kilka sekund milczenia. – Byłeś tam kiedyś? Ja nie miałem odwagi.

– Byłem. Nie ma nic ciekawego. Wszędzie skały i śmierdzące kałuże – mruknął Olek.

Iza zesza z parkietu, rzuciła się na fotel i wzięła kawałek pizzy.

– Szampan się wylał – oznajmiła. – Olek, skocz no do auta po piwo.

– Mowy nie ma – odburknął. – Nie chce mi się.

– Idź, bo się pogniewam.

- Dlaczego akurat ja?
- Bo jesteś największym leniem z nas wszystkich.
- Wcale nie!
- To udowodnij i idź po cholerne piwo!

Olek ciężko podniósł się z kanapy, mrużąc pod nosem wiązanek przekleństw. Kiedyś nikt by tak o nim nie powiedział. Był pływakiem, wygrywał zawody, wierzył w siebie, bo Maja wierzyła; a gdy ponosił jakąś porażkę, mówiła: „To nic takiego, jestem pewna, że jeszcze będziesz góry przenosił!”. Dwa lata jej nieobecności wystarczyły, by popadł w kompletną ruinę. Góry przenosić! Ciekawe, czy gdyby go teraz zobaczyła, też by tak powiedziała. Nie chciało mu się nawet wstawać po pilota, gdy ten leżał za daleko.

Wyszedł na zewnątrz i odetchnął świeżym górskim powietrzem. Miła odmiana po całorocznym wężaniu spalin w mieście. Olek objął wzrokiem ciemne górskie pasmo przesłaniające gwiazdy na południu. *Ta góra ze światełkiem to chyba Śnieżka* – pomyślał. Wchodził na nią nieraz, ale to było kiedyś. Teraz nie chciało mu się nawet wjechać kolejką. Znajomi zresztą również nie przyjechali tu, by zdobywać górskie szczyty. Po powód ich wypadu Olek szedł właśnie do samochodu.

Stęknął, schylając się po drugi sześciopak. Ospale ruszył z powrotem do chaty. Krótka letnia noc miała teraz swoje godziny świetności i do świtu było jeszcze daleko, więc skórę pieściło chłodnawe powietrze, ziemia jednak nadal stygła po lipcowym upale.

Dotykał klamki, gdy nieprzeniknioną ciemność na zachodzie rozdarła biała iskra. Później druga. Potem cała

feeria świetlistych punkcików otoczyła najbliższą część lasu. Wśród nich Olek ujrzał zgarbioną ludzką postać.

Upuścił sześciopaki i zerwał się jak nigdy.

Wiedział, że światełka go nie zranią, gorzej z ziemią. Biegł i w migotliwym świetle iskier widział wyrastający z niej coraz wyższy schodek. Oceniał odległość. Powinno się udać. Skoczył.

Zahaczył stopą o brzeg, potknął się i upadł, ale przynajmniej był już na górze. Poderwał się natychmiast i popędził do człowieka w niebezpieczeństwie. Gdy się zbliżył, zobaczył, że to starzec wsparty na lasce, ubrany w długie zielone szaty. Olek na razie nad tym nie rozmyślał, chciał go stąd zabrać jak najszybciej.

– Pomogę ci, dziadku – wysapał Olek.

– Zaczekaj, wezmę tylko mój kapelusz...

Starzec podniósł nakrycie z ziemi, a Olek wziął go pod rękę. Pobiegli.

– Ja skoczę pierwszy! – krzyknął chłopak, gdy dotarli do granicy wymienianego obszaru, który wystawał już z ziemi na dobre dwa metry.

Olek gruchnął ciężko o podłoże, omal nie skręcając kostki, i zawołał do starca, że go złapie. Dziadek zawahał się.

– Im dłużej się zastanawiasz, tym będzie gorzej! – wrzasnął Olek, widząc, jak schodek wysuwa się z ziemi, odsłaniając jasną warstwę gleby.

Starzec skoczył wprost w ramiona Olka, a ten z trudem go złapał, po czym stracił równowagę i razem się przewrócili. Dziadek wstał z jękiem i zaczął się otrząpywać, a Olek został na ziemi, nie mogąc złapać tchu. Dawno tak nie nadwyreżał serca i płuc. Nie miał pojęcia, dlaczego

to zrobił. To było do niego niepodobne. Był przecież tak leniwy, że zasypiał przy włączonym świetle, bo nie chciało mu się wstawać i go gasić.

Iskry sypały się gęsto, a pomiędzy drzewami i zamiast nich wyskakiwały strzeliste czarne skały. Po chwili cała połać lasu wymieniła się na ciemny pagórek upstrzony ostrymi kamieniami, a schodek wsunął się w ziemię. Iskry znikły.

– Bardzo ci dziękuję, chłopcze – powiedział starzec. – Uratowałeś mi życie! Sam nie dałbym rady doczłapać tu na czas.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło – wydyszał Olek. – To do mnie zupełnie niepodobne, tak szybko... – urwał nagle.

Starzec w tych szatach wyglądał jak z innej bajki. Szukał czegoś na ziemi, grzebiąc laską w trawie.

– Dlaczego pan chodził w środku nocy sam po lesie? Przecież to niebezpieczne.

– Nie dla mnie, drogie dziecko. Las to mój dom.

– Nie rozumiem...

– O, znalazłem. – Dziadek pochylił się, podnosząc coś z trawy. – Tak, las i góry to mój dom, bo ja jestem – wyprostował się, wkładając na głowę rogaty kapelusz – Duch Gór!

Olek, uznawszy, że jego oddech uspokoił się już odpowiednio, wstał i odszedł, mamrocząc pod nosem:

– Stary świr.

– Pójdiesz ze mną – usłyszał za plecami.

– Słucham? – Olek odwrócił się.

Dziadek uniósł laskę i zatoczył nią krąg w powietrzu. W ciemności pojawiło się wirujące kółeczko świecących ostrą białą linią, w jego środku również kręciły się szepione wiązki światła. Obręcz szybko urosła tak, że jej średnica niemal dorównywała wzrostowi Olka.

Chciał coś powiedzieć, ale nagle dziadek z zaskakującą siłą chwycił go za ramię i popchnął w sam środek świetlistego koła. Olek znalazł się w ciasnym tunelu z białych okręgów. Leciał z niesamowitą prędkością. Próbował krzyżeć, ale nie mógł złapać powietrza. Nagle wszystko się skończyło i wypadł na piach, a tuż obok wylądował starzec. Olek zakasłał.

– Co ty zrobiłeś? – zapytał wzburzony. – Gdzie jesteśmy?

– Na Śnieżce.

Olek zauważył grzybkowate obserwatorium, przyrośnięte do podłoża niczym huba do drzewa. Otworzył usta ze zdumienia.

– To było super! Teleportacja! Musisz mnie tego nauczyć!

Oczami wyobraźni zobaczył siebie teleportującego się sprzed komputera do toalety.

– Nie nauczę cię, chłopcze, bo tylko Duch Gór posiada moc teleportacji. I bogowie.

– Jacy bogowie?

– Właściwie dwie boginie i jeden bóg: Śnieżka, Ślęza oraz Śnieżnik.

– Dziadku, widzę, że nie najlepiej się czujesz. Powiedz mi, gdzie mieszkasz, odprowadzę cię do domu.

– Wiem, że trudno uwierzyć w ich istnienie, to zapomniana religia i zapewne nigdy o niej nie słyszałeś.

Olek spojrział na towarzysza z powątpiewaniem.

– Ta trójka bogów stworzyła Ziemię i wszechświat, który przez długi czas przemierzali – kontynuował starzec. – Gdy jednak nagle utracili większość boskich sił, przybyli na Ziemię, gdzie oczekują ludzkiej pomocy. Zamieszkali w trzech górach, które od setek lat są moją krainą. Wkrótce stali się z nimi jednością.

– Akurat.

– Są tak starzy, że nie pamiętają swoich prawdziwych imion. Właściwie przez długi czas nie potrzebowałem ich nazywać, ale niedawno zaczęło mi to być potrzebne, ochrzciłem więc bogów imionami gór, w których osiedli.

– Co za bzdury! Nie wierzę w nic, co powiedziałeś.

– Uwierz. Spójrz, co się dzieje na Ziemi. Coś szwankuje. Wszystko przez to, że bogowie stracili większość mocy. Ludzie, czyli dzieła ich stworzenia, znikają, Martwy Świat – rzeczywistość, którą kiedyś zbudowali na próbę, miesza się z naszą, w przestrzeni powstają dziury...

– Co to za bogowie, którzy się przeterminowują? – parsknął Olek. – A ty kim niby jesteś?

– Ich jedynym kapłanem. Dawno temu, tu na Ziemi, ta religia była bardzo popularna, ale z czasem się to zmieniło i zostałem tylko ja. Im to nawet pasuje, przynajmniej mają spokój, bo nikt oprócz mnie się do nich nie modli.

Olek nigdy nie był specjalnie religijny, ale poczuł nagłą wściekłość na tego dziwnego człowieka mówiącego słowa godzące w to, w co wierzył od dzieciństwa.

– Kłamiesz – syknął.

– Tak myślisz? Zaraz się przekonasz, że mówię prawdę. – Dziadek zaczął czegoś szukać między

fałdami szat. – Złożymy ofiarę i porozmawiamy z boginią Śnieżką...

Grzebał jeszcze chwilę, po czym wyciągnął... żywego koguta. Zupełnie czarnego.

– Chyba go nie zabijesz? – zapytał z przerażeniem Olek.

– Co? A nie, nie, to nie to. – Staruszek schował zwierzę i wyjął mały nożyk, z którym niebezpiecznie zbliżył się do ręki Olka.

– Dziadku, co ty chcesz zrobić? – wyjąkał chłopak.

– Nie bój się, to tylko kilka kropelek... – mruknął starzec i złapał Olka za tłusty przegub, ale chłopak wyrwał go natychmiast.

– Nie ma mowy!

– Ech, ta dzisiejsza młodzież, ależ wy jesteście delikatni – westchnął dziad i podwinął rękaw szaty, odsłaniając poznaczone bliznami przedramię.

Uniósł nożyk i przeciął nim skórę, nawet się nie krzywiąc. Kilka kropel krwi spadło na piach. Olek wpatrywał się w nie bezmyślnie, kiedy nagle wsiąkły w glebę, jakby coś pod ziemią je wyssało. Odskoczył przerażony.

– O bogini, udziel łaskawie błogosławieństwa temu młodzieńcowi! – zawołał gromkim głosem dziadek.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem Olek poczuł coś dziwnego pod stopami, ni to dźwięk, ni to ruch, jakby we wnętrzu góry przetoczył się grzmot.

– Udzielam ci błogosławieństwa, młodzieńcze – zadudnił potężny głos, w którym dało się słyszeć ledwie zauważalną kobiecą barwę.

– Dź-dzięki – wydukał Olek.

– I co, teraz już wierzysz? – zapytał starzec.

– Ale... nie, ja muszę sobie przemyśleć... Przecież to by znaczyło, że wszystko, w co wierzyłem do tej pory... I po co było to błogosławieństwo?

– Po to, byś mógł wejść do Tunelu Międzyrzeczywistego i odnaleźć źródło mocy bogów, które przywróci im siły.

– Ja mam wejść? Co? Dlaczego akurat ja?

– Od kiedy to wszystko się zaczęło, szukam osoby, której uda się przywrócić moce bogom i uratować świat. Niestety, niektórzy odpadają już na etapie selekcji, inni w tunelu, jeszcze inni odnajdują źródło, ale problem jest taki, że nie mogą go dotknąć, bo źródło posiada jakąś nieznaną osłonę, którą przebić potrafią tylko nieliczni – wyjaśnił Liczyrzepa. – Jedyne bóg może sprawić, że obojętnie jaka osoba dotknie źródła, ale teraz bogowie resztki energii poświęcają na podtrzymywanie tego, co jeszcze zostało ze świata, żeby wszystko zupełnie nie runęło, nie mogą zatem korzystać z mocy w innej sprawie.

– Czemu w ogóle dopuścili do takiej sytuacji?

– Cóż, myśleli, że ich moc jest wieczna i nie przewidzieli jej utraty. Dobrze, że chociaż wyśnili instrukcje, co robić w tej sytuacji, bo nawet nie wiedzieli, że istnieje jakieś źródło mocy. – Duch Gór westchnął. – Muszę zatem szukać kogoś, kto sam z siebie da radę pokonać ochronę źródła, wziąć je i zanieść bogom. Uważam, że jesteś jedną z takich osób.

– Dlaczego?

– Uratowałeś mnie. Ruszyłeś na pomoc obcemu człowiekowi. To oznaka, że jesteś inny niż większość ludzi.

– Nie, starcze, to nie tak. Ja nie wiem, co mi się wtedy stało. Zrobiłem coś zupełnie do mnie niepodobnego. To był wyjątek w moim zachowaniu i nie oceniaj mnie po tym!

– Nie wiesz, dlaczego to zrobiłeś, ale ważne, że zrobiłeś. – Duch Gór spojrzał na nocną panoramę drzew i zabudowań. – Czy to nie ludzkie i naturalne, zrobić czasem coś, co do nas zupełnie nie pasuje? Właśnie takie czyny pokazują w nas to, czego na pierwszy rzut oka nie widać.

– Czy ten tunel jest niebezpieczny? Co się dzieje z osobami, którym się nie udało?

– Nic. Wymazuję im pamięć i odsyłam na Ziemię. A Tunel Międzyrzeczywisty znajduje się pomiędzy naszą rzeczywistością a Martwym Światem. Tak w uproszczeniu, bo właściwie jest nigdzie. O ile zastosujesz się do moich zasad, nie zagrozi ci tam żadne niebezpieczeństwo. Cała trudność polega na szukaniu. Będę ci towarzyszył. To jak, zgadzasz się?

Olek podążył wzrokiem za spojrzeniem Liczyrzepy. Ze szczytu wszystko – domy, drogi, lasy – wydawało się odległe i odrealnione. Duch Gór uważał, że Olkowi uda się przywrócić moce bogom? To było... wspaniałe.

Tylko że mu się nie chciało...

Odległe krzyki na zachodzie przebiły szumiącą ciszę gór. Gdzieś w oddali błyskały iskry. Kolejny łąd się wymieniał. Kolejny raz ktoś kogoś tracił.

To się musi skończyć – pomyślał Olek. – Znajdę źródło boskiej mocy. Dam z siebie wszystko. Nikt już więcej nikogo nie straci!

– Dobrze, zgadzam się. Tylko chciałbym powiedzieć znajomym, że mnie nie będzie jakiś czas...

– O to się nie martw. Tunel Międzyrzeczywisty istnieje poza czasem. Gdy do niego wejdziemy i spędzimy tam, dajmy na to, osiem godzin, tutaj pojawimy się po ułamku sekundy.

– No, dobrze. To jestem gotowy.

– Najpierw musimy zdobyć błogosławieństwa od pozostałych bóstw. Ruszajmy! – Liczyrzepa znowu wymalował w powietrzu świetlisty okrąg.

Tym razem przenieśli się na górę skrytą pod lasem powykręcanych drzew. W ciemności wyglądały jak kościste zjawy. Padało. Coś niepokojącego unosiło się w powietrzu, które było jak przesycone magią. Duch Gór skaleczył nożem rękę. W milczeniu czekali, aż kropelki krwi wsiąkną w ziemię.

– O bogini Ślęzo, ten bohaterski młodzieniec prosi cię o błogosławieństwo.

Wibracje głosu jeszcze mniej kobiecego niż poprzednio połaskotały stopy. Ślęza surowym tonem udzieliła swojego błogosławieństwa.

Gdzieś w pobliżu uderzył piorun.

Liczyrzepa jak najszybciej przeniósł ich na ostatnią górę. Olek otworzył usta, zachwycony zamglonym nocnym widokiem rozległej pofałdowanej przestrzeni wokół monumentalnego szczytu Śnieżnika.

Duch Gór zatrzymał się przy figurze słonia stojącego na kamiennym postumencie i wyjął nożyk.

– Zaczekaj! – zawołał Olek. – Ja chcę to zrobić.

– Dobrze, tylko odkażę. – Po ostrzu nożyka przesunęła się biała wiązka światła. – Trzymaj.

Olek wziął nóż. Spojrzał ponownie na panoramę. Emanowała z niej magia dziwnej krainy ze snu. Zacisnął powieki i uniósł narzędzie.

– Tylko nie przetnij sobie tętnicy, chłopcze!

Kiwnął głową i szybko przesunął ostrze po skórze. Otworzył oczy. W Śnieżnik wsiąkała jego krew. Duch Gór poprosił o błogosławieństwo, a niski głos boga huknął jak grzmot.

– Masz już trzy błogosławieństwa. Teraz słuchaj uważnie. Tunel Międzyrzeczywisty to będzie najdziwniejsze... miejsce, jeśli można tak to nazwać, jakie kiedykolwiek widziałeś – powiedział Liczyrzepa. – Nie istnieją tam prawa fizyki, czas miesza się z przestrzenią, nie ma góry ani dołu... Na początku możesz czuć się skołowany, ale szybko się przyzwyczaisz.

– Dobrze.

– Jeszcze jedno. Przywiążę cię do siebie liną, żeby wahania czasoprzestrzeni nas nie rozdzieliły. Pod żadnym pozorem się nie odwiązuj. Zrozumiałeś?

– Tak.

Liczyrzepa obwiązał Olka w pasie.

– No to gotowy?

Olek wziął głęboki wdech.

– Tak.

Starzec z przepastnych fałd szaty ponownie wyciągnął czarnego koguta.

– Wiesz, co robić – rzekł do zwierzęcia.

Kogut wzleciał i zaczął prostopadłe do ziemi zataczać dość duże koło. Krążył coraz szybciej, aż zamienił się

w czarną smugę. Przy ostatnim okrążeniu za ciemnym kształtem pojawiła się biała linia. Kogut wrócił do Liczyrzepy, a w powietrzu utworzył się portal podobny do teleportacyjnego, tyle że dużo większy i poprzetykany maleńkimi białymi błyskawicami.

– Wchodzimy! – krzyknął Duch Gór.

Olek jeszcze raz nacieszył oczy widokiem ze Śnieżnika.

Potem pewnie wkroczył do Tunelu Międzyrzeczywistego.

Czy to naprawdę było najdziwniejsze miejsce, jakie Olek kiedykolwiek widział, czy może to oni w nim byli najdziwniejsi?

Międzyrzeczywistość przypominała tunel teleportacji, ale tutaj białe okręgi światła były rozrzedzone. Pomiedzy nimi, w nieustannym ciągu zmiany barw, wirowało coś na kształt galaktyki. Eter nosił raz czerń, raz fiolet, raz granat, raz fuksję, raz róż... Oprócz koloru, przestrzeń za granicami tunelu cały czas zmieniała formę – niekiedy płaska niczym ekran, innym razem robiła się przestrzenna.

Pierwszym odruchem Olka było dotknięcie ściany tunelu, by sprawdzić jej strukturę. Jak drewno obite satyną.

– Ruszamy. – Głos Liczyrzepy zabrzmiał odległe, jakby jego słowa wypływały ze skąpanych w bieli ścian.

Olek w tunelu o idealnie okrągłych ścianach nie miał poczucia góry ani dołu. Wirujące okręgi buczały groźnie niczym wiszące nad polem przewody elektryczne. Stopy Olka powoli stapały po wirującym podłożu, a każdy krok zostawiał na moment misterny świetlisty haft wokół

odcisku buta. Gwiazdozbiory, okręcając się wokół własnej osi, pływały w eterze na zewnątrz świetlistej ruchliwej siatki jak przedziwaczne ryby w akwarium z tunelem.

Liczyrzepa szedł obok niego, ale jakby go nie było – Olek raz kątem oka widział jego ramię, raz miał poczucie, że jest tu zupełnie sam, innym razem – że i jego tu nie ma, że nie istnieje, że jest bierną, rozbitą na chwilę świadomością, która tylko chłonie sobą istnienie tunelu, by zaraz zniknąć na zawsze.

Świetliste linie na ścianach tańczyły bez ładu i składu, raz tylko Olek miał wrażenie, że ułożyły się w coś na kształt olbrzymiej psiej nogi, która przesunęła się i znikła. *Pewnie złudzenie* – pomyślał.

Olek nie wiedział, czy minął już dzień, czy wszedł do tunelu przed chwilą.

– Duchu Gór...

Drgnął na dźwięk własnego głosu. Czuł, jak opuszcza usta, a jednak, podobnie jak głos Liczyrzepy, dobiegł jakby ze ścian tunelu.

– Wiesz, jeśli chodzi o tych trzech bogów, o Śnieżkę, Ślężę i Śnieżnika... Oni naprawdę są bogami?

– Naprawdę, a dlaczego pytasz?

– No, bo mi zawsze mówiono, że Bóg jest jeden...

– Cóż, wiele jest wierzeń.

– Ale uważam, że to niczego nie wyklucza. To znaczy, istnienie twoich trzech, jak mówisz, bogów. Jak dla mnie

oni nimi nie są, inaczej nie straciliby mocy. Musi być ktoś jeszcze, kto ich stworzył.

– Myśl sobie tak, jeśli to ci pomaga – burknął Duch Gór.

Olek spojrział w Tunel Międzyrzeczywisty, którego końca nie było widać, zawsze zasłaniał go jakiś zakręt. Przypomniały mu się te wszystkie historie o światełku w tunelu... Czyżby ludzie mówili o tym tunelu?

Nie odpowiedział Liczyrzepie, tylko znów pogрузzył się w transie wędrówki.

– Duchu Gór, widzę coś! Czy to źródło mocy? – zapytał podekscytowany Olek.

Po długiej (a może krótkiej?) wędrówce w niezmienniej scenerii odległe błyski ostro przerwały monotonię.

– Tak.

– Jesteśmy już blisko!

Liczyrzepa nie odpowiedział. Olek nie wiedział, dlaczego jego towarzysz nie cieszy się na widok celu ich wędrówki, dopóki ponownie nie uniósł wzroku. Źródło mocy zniknęło. Przystanął zdezorientowany.

– Co się stało ze źródłem? Przed chwilą tam było!

– Mówiłem ci, chłopcze. Tutaj tak jest. Tunel wyczynia niesamowite harce z czasem i przestrzenią. Gdy wszystko wygląda tutaj tak samo, nie widzisz tego, bo nie masz żadnego punktu odniesienia, dopiero, gdy pojawił się jakiś nowy szczegół, zauważyłeś jego zniknięcie – wyjaśnił Duch Gór. – Przed chwilą byliśmy prawie u celu, teraz możemy być znowu na początku drogi – dodał.

– Ale... to w jaki sposób dotrzemy do źródła?

– Loteria – mruknął Liczyrzepa. – Chodźmy.

Olek westchnął.

To gra, jedna z gier na szczęście i cierpliwość, nie na logikę czy refleks. A on był wyjątkowo pechową i niecierpliwą osobą. Już ruszał dalej, kiedy usłyszał coś z tyłu. Odwrócił się. Nie mógł uwierzyć. Z głębi tunelu dochodziło wilcze wycie. Olek mógłby przysiąc.

– Duchu Gór, słyszałeś? – zapytał.

– Niby co?

– No... wycie wilka.

– Nie słyszałem. Umysł płata ci figle, chłopcze, to tutaj normalne.

Olek nie był tego taki pewien, ale nic nie odpowiedział. Podbiegł bliżej Liczyrzepy, zdjęty nagłym lękiem. Niespodziewanie przypomniała mu się łapa psa, którą widział na ścianie tunelu. Równie dobrze mogła być wilcza.

Olek zaczynał się niecierpliwic. Chodzili i chodzili po niezwykłym tunelu, który już całkiem mu spowszedniał, a że nie męczyli się i nie odczuwali głodu ani innych potrzeb, mogli tak wędrować w nieskończoność. Co jakiś czas przed nimi albo za nimi migotało źródło mocy. Raz Olek ujrzał cztery wilcze łapy przemykające po ścianie, wygięte w półokrąg, by dopasować się do kształtu tunelu.

Wariacje czasowe i przestrzenne zaczęły działać mu na nerwy. Są tak blisko, a zaraz znowu tak daleko! Wahał się,

czy nie powiedzieć Duchowi, że ma dość, i nie opuścić tunelu z wymazaną pamięcią.

– Liczyrzepo... opowiedz coś o sobie – poprosił w pewnym momencie, żeby przerwać nudę.

– Co tu opowiadać? Urodziłem się dawno temu, tak dawno, że nie pamiętam swojego prawdziwego imienia – wyznał Duch Gór. – Byłem kapłanem trzech bogów, gdy ich religia zaczynała już tracić popularność. Potem uczynili mnie nieśmiertelnym, bo widzieli, że wiara zanika, a potrzebowali przynajmniej jednego wiernego kapłana. I tak sobie od dawna żyjemy, trzech bogów i ich pomocnik – zakończył.

Olkowi wydawało się, że gdy Liczyrzepa wypowiadał ostatnie zdanie, w jego głosie zabrzmiała nuta goryczy.

– A co z tymi legendami o tobie? Są prawdziwe?

– Skąd. Te wszystkie bajędy na mój temat powymyślano. Poganie to nawet mnie czcili, myśląc, że jestem jakimś bogiem, bo widywano mnie często w karkonoskich lasach przez ponad sto lat i nie zmieniałem się wcale, więc wiadomo było, że nie jestem zwykłym człowiekiem. To były czasy... – Duch Gór rozmarzył się. – No, i dostawałem wszystko za darmo. Teraz nie mam już tak dobrze, dlatego niekiedy muszę zdjąć rogaty kapelusz, który był kiedyś atrybutem kapłanów mojej zapomnianej religii, i iść do pracy. Ale przynajmniej jest telewizja. Wiesz, żyjąc tyle lat na świecie, przekonałem się, że każde czasy mają do zaoferowania coś dobrego.

Szli dalej. Nagle kilka metrów przed nimi pojawiło się źródło. Olek wreszcie mógł je zobaczyć z bliska. Lewitowało, bucząc, pośrodku tunelu, i wyglądało jak mała

wirująca galaktyka. Wszystkie gwiazdy jaśniały ostrym białym światłem.

Zanim zdążyli cokolwiek zrobić, zniknęło.

– Neeee! – krzyknął Olek i padł na twarz.

Już prawie... kilka metrów... i znowu uciekło. Nawet nie sprawdził, czy może go dotknąć. Nie miał ochoty już dłużej tego ciągnąć. Podniósł się, by powiedzieć Liczyrzepie, że chce wracać. Zamarł.

Liczyrzepy nie było. Nie było też liny opasującej Olka. Musiała się odwiązać, kiedy gwałtownie padał na podłogę. Rozejrzał się ze strachem, czując, jak ogarnia go klaustrofobia.

Usiadł, a z oczu popłynęły mu łzy. Był w pułapce bez wyjścia! Czuł tylko niemoc, przekłęta niemoc. W życiu nie doznał gorszego uczucia.

– Olku... – usłyszał głos, który sprawił, że drgnęło mu serce. Podniósł głowę.

Za ścianą, tuż obok niego, stała Maja.

Podniósł się powoli, zafascynowany.

– Maja? – wyszeptał.

Podszedł i przyłożył rękę do ściany. Ona po drugiej stronie zrobiła to samo. Ich dłonie prawie się zetknęły.

– Nie poddawaj się. Wyjdiesz z tego. Jestem pewna, że jeszcze będziesz góry przenosił! – powiedziała.

Pokiwał głową. Tak bardzo chciał przejść przez ścianę!

Maja oderwała rękę.

– Nie odchodź! Zostań – poprosił.

– Nie mogę. Nie martw się, kiedyś znowu się spotkamy – obiecała i zniknęła.

Upadł na kolana z jej imieniem na ustach. Zakrył twarz dłońmi. Długo siedział w tej pozycji, może nawet całe wieki.

Ale w końcu się podniósł.

Był zdeterminowany jak nigdy. Znajdzie Liczyrzepę albo źródło. Nie będzie siedział i płakał.

Ruszył w drogę.

Wilk stał nieruchomo pośrodku tunelu, obserwując Olka uważnie. Wyglądał, jakby był zrobiony ze światła, ale nie białego, tylko z ciepłego żółtego blasku pokojowej lampy. Oczy, podobnie jak kontury, były ciemniejsze od reszty ciała.

Olek wolał się nie ruszać. Nie wiedział, co tutaj robi to stworzenie i jakie są jego zamiary. Liczyrzepa najwyraźniej nie miał pojęcia o istnieniu wilka.

Zwierzę zaczęło podchodzić. Chłopak cofnął się gwałtownie. Wilk stanął, a potem zamerdał ogonem. Olek odetchnął z ulgą. Przekaz był jasny. Chłopak pozwolił stworzeniu się zbliżyć i wyciągnął rękę, próbując je pogłaskać, ale dłoń zanurzyła się w świetle. Uśmiechnął się zakłopotany i przejechał dłonią po konturze łba, którego wcale nie czuł, zdawało się jednak, że sprawił zwierzęciu przyjemność, bo przymknęło na chwilę oczy.

Potem stwór odbiegł od Olka na chwilę i obejrzał się na niego.

– Chcesz mi coś pokazać?

Podążył za wilkiem. Wędrowało mu się jakoś inaczej niż dotychczas, jakby szedł po podłodze jadącego pociągu.

Nagle tuż przed oczami Olka pojawiło się źródło mocy i w tej samej chwili poczuł, jak coś go chwyta za rękę.

– No, jesteś wreszcie! – usłyszał głos Liczyrzepy.

– Duchu Gór! – wykrzyknął Olek z radością.

– Czekałem tu na ciebie. Kiedy się rozdzieliliśmy – starzec szybko przewiązał Olka liną – długo cię szukałem, ale źródło znalazłem pierwsze. Przywiązałem się więc do niego – wskazał na połączoną ze źródłem wiązkę światła wydobywającą się z jego laski – w nadziei, że w końcu się pojawisz.

– A mi pomógł... – Olek rozejrzał się, ale świetlistego wilka nigdzie nie było.

– Nie czekajmy dłużej – powiedział Duch Gór. – Sprawdź, czy przebijesz osłonę źródła!

Olek zawahał się, po czym spróbował dotknąć świetlistej galaktyki. Udało się. Złapał zdobycz i uniósł.

– Tak! – Liczyrzepa przyłożył do czoła Olka koniec laski, a światło źródła zaczęło przechodzić na dłoń chłopaka. Opuszki zrobiły się całkiem białe. Biel powoli rozrastała się po palcach, rosła w oczach, a w świecących częściach ciała znikało czucie.

– Co się dzieje? – zapytał Olek, spanikowany.

Widział podniecenie w oczach Ducha Gór.

– Nareszcie – wyszeptał starzec.

– Co: nareszcie? O co ci chodzi?

– Stajesz się bogiem – oznajmił bez ogródek Liczyrzepa.

– Bogiem?

– Tak! A niedługo ja też nim będę! Jak tylko, jako bóg, naznaczysz mnie i sprawisz, że będę mógł dotknąć źródła!

– Dziadku, co ty pieprzysz?

– Pomyśl, czy to nie piękne? Być bogiem. Chcesz tego.

– Nie, nie chcę! – Olek spróbował zetrzeć z siebie światło. Ta biel...

Bezskutecznie.

– Obaj będziemy bogami! A ta obmierzła trójka przestanie istnieć – ekscytował się Duch Gór.

– NIE! Oszukałeś mnie! Ja nie chcę! Jak to zatrzymać?! – wrzeszczał Olek.

– Tego nie da się zatrzymać. Nie chcesz być bogiem? Nie wiesz, co mówisz. Będziesz miał ogromną moc.

Olek znieruchomiał. Ogromną moc? Pojedyncza łąza spłynęła mu po policzku. Także moc przywracania życia? Ale za jaką straszliwą cenę...

– Mam już dość bycia sługą wielkich! – Liczyrzepa tymczasem wyrzucił z siebie to, co najwyraźniej długo łaskotało go w język. – Teraz to ja będę wielki! Chcę, żeby na to patrzyli! Patrzcie! – Stuknął laską w świetlistą podłogę tunelu.

Przed nimi pojawiły się trzy lewitujące białe punkciki.

– Śnieżko, Ślężo i Śnieżniku, widzicie? To jest wasz koniec! – zawołał Liczyrzepa.

– Kapłanie, czyżbyś przestał być nam wierny? – zapytał gniewny głos Śnieżki, bez potężnego górskiego echa jak najbardziej kobiecy, a nawet słodki.

– Już dawno – odparł Duch Gór.

– Podła zdrada! Dlaczego?! – odezwał się groźnie Śnieżnik.

– Mam dość! Od wielu lat istniejecie wy i istnieję ja. Od wielu lat to ja zawsze jestem tym gorszym, słabszym. Nie chcę już dłużej tego znosić! Stanę się bogiem, a wy przestaniecie istnieć!

– Głupcze, zniszczymy cię za to – warknęła Ślęza, a pozbawiony górskości głos bogini skojarzył się Olkowi z głosem jego surowej polonistki.

– Niby jak? Nie oddamy wam źródła – oznajmił z satysfakcją Liczyrzepa. – Chłopak go dotknął i go naznaczyłem, zaraz on mnie naznaczy i pozwoli mi dotknąć źródła! A wtedy marny wasz los...

– Niekoniecznie – powiedziała Śnieżka. – Jeśli chłopak nie zgodzi się na bycie...

– Zamknij się! – wrzasnął Liczyrzepa i ponownie stuknął o podłogę.

Świetliste punkciki jakby przygasły. Śnieżka zamilkła.

– Tak... Długo czekałem, aż zjawi się ktoś, kto będzie w stanie dotknąć źródła...

Olek puścił to mimo uszu. Przestał już panikować, bo według słów Śnieżki mógł się nie zgodzić na bycie bogiem. Ale nic nie stało na przeszkodzie, żeby nim być chociaż przez chwilę. Spokojnie czekał, aż proces przemiany się zakończy.

– Chłopcze – zaczął Liczyrzepa. – Teraz powiem ci, jaki jest plan. Gdy staniesz się bogiem, naznaczysz mnie...

– Dlaczego jesteś taki pewny, że się zgodzę? – przerwał Olek.

– Ponieważ nie wiesz, jak używać boskich mocy. Jeśli się nie zgodzisz, twoje moce będą dla ciebie kompletnie

bezużyteczne, bo nie będziesz wiedział, jak ich używać, a nie ma szans, żebyś się sam nauczył.

– Jakoś sobie poradzę...

– Nie poradzisz sobie. A ja cię tu zostawię. Chyba nie chciałbyś znowu zostać tu sam?

Olek wzdrygnął się na wspomnienie niemocy, jaką czuł, gdy się rozdzielili.

– Nie możesz mnie zostawić, bo...

– Bo co? Znajdę inną osobę potrafiącą dotknąć źródła, ale zajmie mi to sporo czasu, a na świecie przecież giną ludzie... Z powodu twojej odmowy zginie ich więcej.

– Musi istnieć sposób na nauczenie się samemu, jak używać boskich mocy...

Białe światło rozeszło się już na ramiona i tors Olka.

– Patrzcie na wasz koniec! – zawołał Liczyrzepa w stronę trzech niemych światełek.

Zamigotały. Ciało Olka już niemal całkowicie zaszło świetlistą bielą. Czuł tylko głowę, którą również powoli ogarniało światło, widział je kątem oka. Wkrótce przestał cokolwiek fizycznie czuć. Był tylko świadomością unoszącą się w tunelu.

A zaraz potem zaczął odzyskiwać czucie, ale zupełnie niepodobne do czegokolwiek. Moc. Jakby całe jego ciało składało się z ogromnej mocy i tylko z niej. Czekająca, aż jej użyje...

Tylko jak?

– Gratulacje, chłopcze, teraz jesteś bogiem – powiedział Liczyrzepa.

Olek na różne sposoby próbował zrobić cokolwiek za pomocą boskiej siły – myślami, ruchem, głosem – nic nie działało. Mieć w sobie tak olbrzymie pokłady energii i nie móc ich spożytkować... Duch Gór w milczeniu obserwował jego próby. Świątełka mrugały co jakiś czas.

– I co, teraz się zgadzasz? – zapytał starzec po jakimś czasie.

– Nie! – burknął Olek.

Naprawdę nie wiedział, co ma zrobić.

– A jeśli uczynię cię bogiem, pozwolisz stać mi się znów człowiekiem? – zapytał po chwili.

– Wiedziałem, że się poddasz! Tak, oczywiście – zapewnił Liczyrzepa.

Olek zamyślił się. Wiedział, że pozwolenie, by ktoś taki został bogiem, będzie złe. Ale jeśli odmówi, zginie wielu ludzi, a Duch Gór i tak dopnie swego. Nie było dobrego wyjścia... Chyba że...

Już wiedział, co musi zrobić.

Poświęci się i zostanie bogiem, by pilnować Liczyrzepy.

Gdy to postanowił, poczuł coś dziwnego w miejscu, gdzie jeszcze niedawno znajdowało się jego serce, jakby ból, ale jak można czuć ból, gdy nie ma się ciała?

Bardzo chciał wrócić do domu i żyć normalnie, jak kiedyś... Ale czym są jego osobiste pragnienia wobec niebezpieczeństwa, które wisi nad całą ludzkością? To by było bardzo samolubne z jego strony, gdyby postanowił mieć to wszystko gdzieś.

Nic jeszcze nie mówił Liczyrzepie. Usiadł. Czuł w sobie olbrzymią moc, a trawiła go bezsilność. Gdyby mógł, płakałby teraz jak dziecko.

Poczuł nagle obok siebie jakieś ciepło i spojrzał w tamtą stronę. Tuż przy jego ramieniu siedział świetlisty wilk. Olek wyciągnął rękę i go pogłaskał. O dziwo, tym razem poczuł pod palcami puszystą sierść zwierzęcia. Jego obecność dodała mu otuchy.

– Co ty wyprawiasz? – Głos Liczyrzepy jak sztylet przeciął odrobinę spokoju, którą przed chwilą Olkowi udało się wypracować. – Decydujesz się czy nie?

Starzec najwyraźniej nie widział wilka.

– Proszę, daj mi jeszcze chwilę – powiedział Olek.

– Jak chcesz, byle krótką!

Olek jeszcze raz zastanowił się, czy to dobre rozwiązanie. Wilk położył mu łapę na rękę.

– O co chodzi? – zapytał Olek.

Zwierzę spojrzało na niego mądrymi oczami otoczonymi promieniami rzes, a potem zbliżyło pysk do czoła chłopaka. Olek poczuł nagle drugą świadomość płynącą swobodnie pośród jego myśli. Pierwszym odruchem była chęć ucieczki, ponieważ uczucie, jakiego przy tym doznał, było niezmiernie dziwaczne. Potem jednak wyczuł, że obca świadomość emanowała przyjaznymi zamiarami, więc pozwolił, by przekazała to, co chciała przekazać.

Nie usłyszał żadnych słów, zostały mu za to przesłane obrazy, odczucia i schematy. Po chwili świadomość wilka opuściła umysł Olka, a zwierzę cofnęło się.

– Dziękuję – wyszeptał chłopak.

Wilki pomachał ogonem. Olek wstał.

– Jestem gotowy – powiedział do Liczyrzepy.

Zadowolony dziad klasnął w ręce.

– Dobra, to teraz mnie naznacz! Wystarczy tylko, że przyłożysz swój boski palec do mojego czoła.

Olek podszedł do niego. Uniósł rękę na wysokość oczu Liczyrzepy, a następnie pstryknął palcami.

– Co ty niby robisz? – oburzył się Duch Gór.

– Niespodzianka! – Olek użył mocy według instrukcji wilka.

Wokół Liczyrzepy pojawiły się świetliste sznury, które ciasno go oplotły. Laska wypadła starcowi z rąk. Stracił przytomność.

Olek obejrzał się, zadowolony, na wilka, ale ten, jak zwykle, zniknął bez pożegnania. Młody bóg wzruszył ramionami i przywrócił mowę trzem lewitującym w tunelu punkcikom.

– Źródło mocy jest do waszej dyspozycji – oznajmił. – A ja zrzeknę się boskości.

– Dziękujemy ci, bohaterze, za zdobycie dla nas źródła mocy i spętanie tego nieudacznika – powiedziała Śnieżka. – Ale jak ty to zrobiłeś? Skąd wiedziałeś, jak użyć mocy?

To jednak nie oni przysłali wilka? Kto w takim razie...

– Przypadek – powiedział szybko Olek.

– Wynagrodzimy cię, jak tylko zapragniesz. Możesz teraz, jeszcze jako bóg, zrobić coś dla siebie.

– A... – zaczął Olek, zawahał się, po czym kontynuował: – Czy ja mogę... przywrócić komuś życie?

Milczenie.

– Nie, nasza moc jest pod tym względem ograniczona – odezwała się po chwili Śnieżka.

– Dlaczego? Jesteście... jesteśmy bogami! Powinniśmy umieć wskrzeszać ludzi.

– Nie umiemy i koniec – ucięła Śłęza.

Pałace rozczarowanie zamroczyło Olka.

– Tak samo nie umiemy zrobić czegoś na ogromną skalę, jak powstrzymać głodu na świecie – wyznał Śnieżnik. – To znaczy, możemy i robimy to, ale zajmuje to mnóstwo czasu, bo musimy zajmować się każdą jednostką osobno. Pomagamy naszym stworzeniom, jak umiemy, ale nie bardzo to widać w skali światowej.

– Rozumiem. To ja już nic nie chcę – westchnął Olek.

– Nie chcesz nic dla siebie? – zdziwiła się Śłęza.

– Nie. Żeby mieć satysfakcję ze zdobycia góry, trzeba się na nią wspiąć o własnych siłach. Im droga trudniejsza, tym piękniejszy widok ze szczytu – powiedział Olek. – Nie będę się wspomagał boskimi mocami w osiągnięciu rzeczy, do których dążę. Uczynię ze swojego życia wspinaczkę.

– W takim razie pozostaje ci tylko przekazać nam źródło. Nie możesz tego zrobić tutaj, a na Ziemi, bo tu jesteśmy tylko cieniami, dlatego że mamy za mało mocy – oznajmił Śnieżnik.

– Podczas nabierania mocy musimy wszyscy troje trzymać się za ręce – powiedziała Śłęza. – Nie wiem, jak to zrobimy, będąc górami.

– Chłopak za pomocą swojej boskiej siły zbliży nas tak, żeby nasze zbocza się stykały – zaproponowała Śnieżka. – Możesz to dla nas zrobić?

Patrzył na olbrzymi ciemny kształt sunący po niebie. Skalisty sterowiec dostojnie wracał na swoje miejsce wśród karkonoskich gór. Olek czuł się malutki wobec jego ogromu. Mimo czynu, którego przed chwilą dokonał, chłopak nadal był tylko niewidocznym punkcikiem na Ziemi.

Każdy ma w sobie potencjał, by góry przenosić, nawet taki leń jak on, ale zrobi wszystko, by już tym leniem nie być, i zacznie od teraz, od tej chwili – bo każdy dzień, każda godzina, nawet każda minuta, w której będzie doskonalił siebie, przybliży go do sukcesu. A gdy odzyska dawną sprawność, wróci tu, by o własnych siłach zdobyć każdą z trzech boskich gór.

Zamyślony wrócił do chaty, gdzie przywitał go głos Izy:
– Miałeś przynieść piwo!

Nika Gris

Przez rzekę

Był spokojny piątkowy wieczór, zupełnie podobny do pozostałych. Może z wyjątkiem tego, że niemiłosierne upały, które w ostatnich dniach terroryzowały pół kraju, nareszcie zelżały, więc Piotr mógł ze spokojem opuścić klimatyzowany biurowiec i nie doznać przy tym szoku. *Co za ironia – pomyślał. – Pierwszy dzień lata w tym roku jest najzimniejszym dniem czerwca.*

Przystanął na chwilę na parkingu, żeby spojrzeć w niebo. Niewiele dało się dostrzec, bo nad głową Piotra piętrzyły się w nieskończoność wieżowce i bloki. Od dawna myślał o tym, by któregoś popołudnia wyjechać poza miasto i odpocząć na łonie natury – choćby niepostrzeżenie usiąść w czyimś sadzie albo w szczerym polu, posłuchać szumu wiatru i powdychać woń traw zroszonych wieczorną rosą. Nie było go stać na nic więcej, ale tyle w zupełności by mu wystarczyło. Może dziś, skoro tydzień dobiegł końca? Do zachodu słońca zostało dość czasu, zresztą z chęcią popatrzyłby też w gwiazdy. Martwiła go jedynie ta nagła zmiana pogody, choć niewątpliwie przyjemna, bo zdawało się, że zaskoczyła

nawet meteorologów i mogła się równie dobrze przerozdzić w oficjalny początek sezonu burzowego.

Piotr ruszył do samochodu pogrążony w myślach o pogodzie, a porzucił je natychmiast, gdy tylko zauważył młodą kobietę krzątającą się nerwowo pod wiatą rowerową. Rozpoznał ją w okamgnieniu, a w jego ciele wezbrała fala gorąca, zostawiając po sobie prawie niewidoczny odcień różu na twarzy. Uwielbiał to uczucie, ale też go nienawidził, bo wiedział doskonale, co oznacza. Już dawno pozbył się złudzeń – szalał za tą kobietą, a za każdym razem, gdy wpadali na siebie przypadkiem w windzie, szatni czy biurze, coraz bardziej tracił głowę.

Wiedział, że pracowała w pokoju 202, ale nie mógł wiedzieć, czym się dokładnie zajmuje. On tam jedynie zaglądał, by powycierać kurze z jej biurka albo wynieść śmieci. Rzadko zastawał ją wtedy przy pracy, właściwie tylko pod warunkiem, że wyjątkowo przyszła na popołudniową zmianę lub została po godzinach. Przeważnie jednak mijali się, gdy ona właśnie wychodziła, a on przychodził, i wymieniali uprzejme uśmiechy z przeciwnych końców korytarza.

– Dlaczego pani taka przygnębiona? – zapytał któregoś dnia, zdobywszy się na odwagę. Siedziała pochylona nad stosem papierów, a on spacerował wokół niej z mopem.

Spodziewał się, że zbędzie go milcząco, ona jednak spojrzała na niego z pogodnie zaskoczonym wyrazem twarzy.

– Och, nie, nie przygnębiona – zaśmiała się, ale jej oczy pozostały smutne. – Najwyżej zapracowana.

Do końca dnia jej głos wędrował echem po głowie Piotra. Pielęgnował wspomnienie o jej uśmiechu i codziennie

pędził do pracy jak na skrzydłach, w nadziei, że znów go zobaczy. Nawet nie zauważył, kiedy perspektywa kolejnego dnia odkurzania wykładzin i szorowania toalet przestała napawać go rozgoryczeniem. Dlatego Piotr, choć nie robił sobie wielkich nadziei, był wdzięczny za obecność tej kobiety w jego życiu i za uczucia, jakie w nim budziła.

Teraz patrzył, jak na przemian rozgląda się i stuka palcami w telefon, wyraźnie zdenerwowana. Zebrał całą śmiałość, jaką w sobie miał, by podejść do niej i powiedzieć:

– Cześć. Wszystko w porządku?

Niepokój, jaki malował się na jej gładkiej twarzy, trochę ociągając się, ustąpił miejsca uśmiechowi. Chyba znowu miała kiepski dzień.

– Cześć, tak. Nie. Ukradli mi rower.

Na te słowa oboje rozejrzeli się, skanując cały parking i okoliczne drogi, jakby spodziewali się, że złodziej mógłby bawić się z nimi w chowanego.

– Nie widziałaś nikogo?

– Nie. Trudno, wróć na piechotę. – To mówiąc, przeszukała swoją torebkę i znalazła w niej paczkę papierosów. Wyciągnęła ją w stronę Piotra.

– Dzięki – powiedział i skorzystał z oferty.

– Na szczęście nie był drogi, i tak do niczego się nie nadawał. Ale jakoś mi źle, tak dziwnie z myślą, że ktoś obcy kręcił się przy czymś, co jest moje, a teraz tego używa – mówiła, odpalając papierosa lekko drżącymi dłońmi. Piotr miał wielką ochotę ująć je i pogłodzić, aż będą spokojne. Musnął je tylko przelotnie, gdy dzieliły się zapalniczką; poczuł delikatny chłód.

– To rozumiałe. Każdemu na twoim miejscu byłoby dziwnie.

– No właśnie...

– Możemy to zgłosić na policję – powiedział i natychmiast zawstydził się lekko, słysząc samego siebie, jak wypowiada „my” – ale z doświadczenia wiem, że to nie ma sensu. Na twoim miejscu zacząłbym się raczej rozglądać za nowym rowerem.

– Co? – Dziewczyna jakby została wyrwana z głębokiego zamyślenia. Kiedy zdążyła się w nim zanurzyć? – A, chrzanię ten rower. – Niespodziewanie odwróciła głowę, jakby chcąc ukryć twarz przed Piotrem. – Dzisiaj był mój ostatni dzień w pracy. Zwolnili mnie.

Przez chwilę stali w milczeniu.

– Jak to? – Poruszenie w głosie Piotra było najszczersze, choć ona nie mogła o tym wiedzieć.

Machnęła ręką.

– Długa historia. Nie będę cię tym zanudzać. – Porzuciwszy niedopałek na bruku, przydepnęła go obcasem. – Będę lecieć.

Piotr poczuł, jak wszystkie mięśnie w jego ciele napięły się, upodabiając go do kamiennej figury. Zrozumiał, że widzi ją ostatni raz. Instynktownie wyteżył zmysły, by zapamiętać jak najwięcej z tego pożegnalnego kadru, który miał stopniowo wygasać w jego pamięci, blednąc jak pozostawiona na słońcu fotografia. Znów w swoim życiu stanął twarzą w twarz z niewykorzystaną szansą – nie pierwszy raz los zabiera mu sprzed nosa coś, po co dopiero postanowił sięgnąć.

Jednak coś w tym kroku, jaki wykonała dziewczyna, by odejść, jakaś opieszałość czy niepewność ruchów, wykrzesło w nim ostatnią iskrę determinacji.

– Wiesz co – odezwał się – mam taki pomysł.

Piotr mógłby przysiąc, że kobieta odwróciła twarz w jego stronę w zwolnionym tempie – zdążyłby policzyć każdy z jasnych włosów na jej głowie – a światło przecinające jej wzorzyste tęczęwki rzuciło refleksy na świat dookoła.

– Jeśli odmówisz, to nie ma sprawy, ale tak pomyślałem... Skoro masz taki zły dzień, to może mała wycieczka poprawi ci humor? Zamierzałem dzisiaj jechać za miasto, ale możemy zamiast tego coś zjeść, jeśli masz ochotę. To znaczy, wiem, że się nie znamy, to normalne, jeśli nie chcesz wsiadać do auta z jakimś przypadkowym kolesiem, ale... możemy też iść na spacer, po prostu. Albo tu obok, na kawę. – *Za dużo gadasz* – upomniał się w myślach. Patrząc dziewczynie prosto w oczy. Przez chwilę jej twarz nie zdradzała żadnych emocji, ale potem chyba pojawiło się na niej znajome już Piotrowi przyjazne zdziwienie. – Szkoda, żeby ten dzień się tak ponuro dla ciebie zakończył.

– Szkoda. – Kiwnęła głową i uśmiechnęła się prawie niezauważalnie. Westchnęła, jakby dając sobie czas na zastanowienie. – Zróbmy tak. Mieszkam niedaleko. Muszę założyć coś wygodniejszego, jeśli mam jechać na wycieczkę. Przejdę się do domu, przy okazji trochę ochłonę. Spotkajmy się tutaj za... dwie godziny.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i odeszła. Piotr w osłupieniu odprowadził ją wzrokiem, słuchając cichnącego szybko w wielkomijskim hałasie stukania obcasów. Nawet nie zauważył, kiedy papieros spopielał w jego dłoni.

Przez te dwie godziny, które ciągnęły się w nieskończoność, Piotr starał się za wszelką cenę zabić czas. Nie zdążyłby dojechać do domu, zrobić tam czegokolwiek sensownego i wrócić, więc zamiast tego pokręcił się po okolicy. Kupił w pobliskim markecie wino i miętówki, choć ten zestaw wydawał mu się wyjątkowo żenujący. Siedząc za kierownicą i nerwowo stukając w nią palcami, długo przyglądał się sobie w lusterku samochodu, zwłaszcza swoim nieco przydługim włosom i parodniowemu zarostowi, i zastanawiał się głęboko, gdzie leży granica między nonszalancją a zaniedbaniem.

Nie spotykał się z żadną kobietą od półtora roku, i choć to wcale nie tak długo, czuł się, jakby dawno wypadł z gry. Nie żeby to dzisiejsze spotkanie miało być randką – ale gdyby przypadkiem się w nią przerodziło, wcale by nie protestował.

Siedząc tak i szukając w internecie ciekawych miejsc do odwiedzenia we dwoje, uświadomił sobie, że ani on, ani jego wybranka nie wpadli na pomysł, by się sobie przedstawić, nie mówiąc o wymianie numerów. Na tę myśl ogarnął go niemal paniczny lęk. Co jeśli ona tylko robi sobie z niego żarty? Równie dobrze mogłaby nigdy się nie zjawić, przepaść bez śladu w milionowym mieście. Spóźniała się już kilka minut i ta upokarzająca wizja wydawała się Piotrowi coraz bardziej prawdopodobna. Choć słońce zaszło ledwo chwilę temu, ciemność, która nieco za szybko opadała z groźnych chmur na wieżowce, pełzając w dół aż do ulic, jeszcze niedoświetlonych latarniami, wzmagiała uczucie niepokoju. Zerwał się wiatr,

czego Piotr by nie zauważył, gdyby nie żałośnie samotne drzewko rosnące na skrawku zieleni nieopodał, które zaczęło bezwiednie wymachiwać łysiejącymi gałązkami. Nie mogło mieć łatwego życia, wciśnięte między martwe i nieruchome betonowe puzzle. W tej swojej szamotaninie wyglądało dziwnie, rozpaczliwie i strasznie.

Piotr zapatrzył się na nie i z zamyślenia wyrwało go dopiero stukanie w szybę po stronie pasażera. Natychmiast wysiadł, podbiegł do drzwi i otworzył je szeroko, po dżentelmeńsku wpuszczając dziewczynę do środka. Nie zdążył się jej przyjrzeć, ale nadrobił to, gdy siedzieli już oboje gotowi do drogi. Jasnofioletowa bluza i dżinsy były wielką odmianą dla noszonych przez nią zazwyczaj stonowanych koszul i obcisłych spódniczek. Ubyło jej kilka lat. Obdarzyła go promiennym uśmiechem i wyciągnęła do niego dłoń.

– Kinga.

– Piotr.

Tym razem nie tylko ją musnął, ale tak pewnie i spokojnie, jak tylko potrafił, uścisnął jej małą dłoń. Jej skóra była gładka. Na palcach miała kilka pierścionków, ale nie obrączkę. Piotr pierwszy raz widział ją w rozpuszczonych włosach. Wyobrażał sobie, że są dłuższe, tymczasem figlarne fale sięgały jej zaledwie do ramion. Wyglądała, jakby właśnie wyszła z salonu fryzjerskiego. Zmieniło się też coś w jej twarzy, pewnie za sprawą jakiejś makiżowej sztuczki, ale dociekanie, czy to bardziej tusz do rzęs, czy pomadka, Piotr odłożył na inną okazję. Była po prostu piękna, a w tej nieoficjalnej stylówce wydawała się jeszcze bardziej urocza niż zazwyczaj.

Tylko tego nie spierdol – powiedział sobie w myślach.

– Przepraszam za spóźnienie, już wychodziłam, ale poczułam, że jest zimniej, niż myślałam, i wróciłam po bluzę. To dokąd jedziemy?

– To zależy od ciebie.

Kinga wyprostowała się i spojrzała przed siebie z nieoczekiwanym nadąsaniem na twarzy.

– Błagam, tylko bez takiego gadania. Nie dzisiaj – powiedziała cicho, ale stanowczo.

– Ale... Powinniśmy jechać gdzieś, gdzie będziesz się czuła pewnie z nieznanym typem.

– Daj już z tym spokój. Właśnie się poznaliśmy. – Westchnęła głośno i odwróciła twarz w stronę okna. Cała przestrzeń wokół wypełniała się orzeźwiającym zapachem jej perfum. Patrząc na pędzące ulicą samochody, powiedziała po chwili: – Mówiłeś, że planowałeś gdzieś jechać. Po prostu jedźmy tam. Wyobraź sobie, że mnie tu nie ma. Chcę dzisiaj o niczym nie decydować. W ogóle nie myśleć.

No tak, musiała być zmęczona po tym ciężkim dniu. To przekonało Piotra, ale nie ułatwiło sprawy. Nie umiał zachowywać się tak, jakby jej nie było, ani teraz, ani kiedykolwiek. Odpalił jednak silnik, wziął głęboki wdech i postanowił wyruszyć tam, gdzie zazwyczaj – przed siebie.

– Czego lubisz słuchać? – zapytał, podłączając telefon do głośnika.

– Dzisiaj tego, co ty. – Rozpogodziła się. – A na co dzień porządnego, ryjącego banię psytrance.

– Nie wiem, co to jest, ale mogę nadrobić.

Włączył swoją playlistę z klasykami ballad rockowych, poprawił się w fotelu i po chwili wyjeżdżali wreszcie

z tego smętnego parkingu. Mieli jeszcze przed sobą tylko kilka równie smętnych, zakorkowanych przecznic.

– Znam to – powiedziała Kinga, upijając łyk wina prosto z butelki. Siedziała z kolanami pod brodą na rozłożonej na ziemi starej kurtce skórzanej Piotra (jak dobrze, że nie wiedzieć po co woził ją w bagażniku). Z otwartych drzwi samochodu dobiegały łagodne dźwięki muzyki.

– Każdy zna *Stairway to Heaven*.

Piotr położył się w trawie, zakładając ręce za głowę, i wlepił wzrok w szarość nieba. Wyjątkowo nie ubolewał nad tym, że żadna gwiazda nie wychyliła się zza chmury. Kątem oka widział Kingę, jej delikatną szyję i splątane przez wiatr włosy. Ona zaś nie odrywała wzroku od krajobrazu, który rozpościerał się przed nimi – z niewielkiego pagórka, na którym beztrósco przesiadywali już od godziny, można było obserwować panoramę miasta, chociaż część widoku zasłaniały drzewa. Morze budynków, połyskujące kolorowymi światłami i przykryte płaszczem mglistej poświaty, przypominało z wyglądu jakąś pobliską, pulsującą życiem galaktykę.

– Kiedyś Andromeda tak zbliży się do Drogi Mlecznej, że będzie jej gwiazdy widać na naszym niebie. – Kinga upiła kolejny łyk i spojrzała wreszcie na Piotra.

– Wiem, a potem się zderzą i połączą w jedną. Interesujesz się tym? Z kobiet, które znam, więcej się jara astrologią niż astronomią.

– Hm... Nie, ja się nie jaram ani tym, ani tym. Tylko końcami świata.

Patrzyli ciągle na siebie, nie przejmując się wiatrem, który atakował coraz agresywniej.

– Przeżyliśmy ich już trochę, co? – Piotr podniósł się na łokciach. Był z siebie całkiem dumny, bo jego nieśmiałość ulatniała się z każdą chwilą. Przestały doskwierać mu uderzenia gorąca. Mógł zwyczajnie cieszyć się tym spotkaniem, chłonąc tę chwilę z dbałością o każdy szczegół, na wypadek gdyby mieli się nigdy więcej nie spotkać. Już od dłuższego czasu dzielnie znosił spojrzenie Kingi. Nie wiedział tylko, o co ją zapytać, bo pragnął dowiedzieć się o niej wszystkiego. Teraz, naraz. – Nie jest ci zimno? – wybrał najważniejsze pytanie i dotknął jej ramienia.

– Może trochę.

Nijak nie zareagowała na jego dotyk. Może jej nie przeszkadzał?

– Dzięki, że pokazałeś mi to miejsce – powiedziała cicho. – Podoba mi się.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Prawie jak z *La La Land*.

– Kojarzę, ale nie oglądałem. – Piotr podniósł się do siadu, wyprostował plecy i położył dłoń w tym samym miejscu, co przed chwilą, na delikatnym ramieniu. – Jest happy end?

Kinga nie odpowiedziała. Może Piotrowi tylko się zdawało, a może naprawdę przelotnie zerknęła mu na usta? Siedzieli tak jeszcze dobrą chwilę, z myślami przelewającymi się przez głowy. Gdyby ich umysły były galaktykami, to pewnie znajdowałyby się na trajektorii zderzenia, ale wciąż zbyt daleko, by mieć wzajemny widok na swoją materię.

– Czy to...?

Oboje unieśli głowy.

– Śnieg?

Zdawało się, że jakieś drobinki nadlatują z nieba. Piotr już kiedyś widział coś podobnego, dziwne, rozpadające się w powietrzu kawałki czegoś, co okazało się popiołem powstałym w pożarze nieopodal. Otworzył dłoń i wyciągnął ją przed siebie. Pojedynczy, ledwo zauważalny płatek śniegu opadł na jego palec i natychmiast stopniał. To nie pożar.

Kinga zaśmiała się i chwyciła jego ciepłą dłoń.

– Nie wiem, o co chodzi, ale może się zbierajmy.

Trzymając się za ręce, poszli więc do samochodu, ale zanim wsiedli, Piotr otrzepał z trawy swoją kurtkę i założył ją Kindze. Wyglądała pocieszenie w tej wielkiej, popękanej ramonesce, z butelką wina w ręce i rumieńcami na policzkach.

– Poczekaj, zanim pojedziemy, chcę się jeszcze napatrzeć – powiedziała.

Oboje ostatni raz skierowali wzrok na miasto, już wcześniej mieniące się tysiącami świateł, a teraz jeszcze obsypywane coraz gęściej opadającymi, lśniącymi drobinkami.

– Nie mogę uwierzyć, że pada śnieg. Śnieg! Akurat dzisiaj! W środku czerwca. – Znów rozległ się śmiech, tym razem ich obojga. – To najdziwniejszy dzień w moim życiu, przysięgam.

Najdziwniejszy, ale nie najgorszy – pomyślał Piotr. Chyba można było uznać jego misję za zakończoną sukcesem.

– Teraz zapamiętam z tego dnia właśnie to. Ten widok, muzykę, smak wina... No i ciebie. Nigdy bym nie pomyślała... – Westchnęła, jakby zebranie myśli sprawiało jej trudność.

Piotr nie mógł przestać się uśmiechać. Chciał wziąć ją w ramiona, ale sama się w nie wślizgnęła. Natychmiast, bez chwili namysłu objął ją ciasno, a pod palcami poczuł mrowienie, które przeszło jego klatkę piersiową i osiadło nisko w brzuchu.

– Jedźmy – powiedział, przykładając usta do czubka jej głowy tak delikatnie, że prawdopodobnie nawet nie miała szansy tego poczuć.

Zjeżdżali ze wzgórza, rozmawiając o tym, jakie to niesamowite, że spadł śnieg. Muzykę zastąpiły im komunikaty radiowe mówiące dokładnie o tym samym, ale bardzo szybko zamieniły się w trzaski i szumy. W mgnieniu oka warstwa bieli przykryła chodniki i drogi, a liściaste gałęzie drzew pod niespodziewanym ciężarem uginały się do samej ziemi. Porywisty wiatr nie ustępował, wręcz przeciwnie, rósł w siłę. Zanim dotarli do centrum miasta, niewinny wybryk natury przerodził się w burzę śnieżną z prawdziwego zdarzenia.

Przejeżdżali pod zerwanymi liniami trakcyjnymi, przeciskali się między zatrzymanymi w pół trasy tramwajami, samochodami i zwalonymi na drogę konarami. Snujący się wszędzie ludzie w odblaskowych kamizelkach kierowali ich objazdami, którym nie było końca. Już dobrą chwilę temu przestali się zbliżać do domu, tylko kręcili się bezsensownie. Ich serca biły do rytmu uderzających o maskę wycieraczek.

– Akurat teraz – warknął Piotr na klimatyzację, która już od miesiący działała tylko wtedy, gdy miała ochotę. Kinga, opróżniwszy już całą butelkę wina, naprzemiennie podśmiewywała się z absurdu tej sytuacji i wzdychała zmartwiona. Stali w kolejce aut w ruchu wahadłowym. Za oknem po stronie pasażera leżało w podwórzu przewalone drzewo, a pod nim to, co zostało z placu zabaw. Zza zakrętu wyłonił się jakiś bezdomny w komicznie ośniewionej flanelowej koszuli. Wykrzykiwał coś do kierujących ruchem, żywo gestykułując.

Gdy znaleźli się dwie przecznice dalej, pogasły światła w całej okolicy.

– O Boże. To znaczy, że u mnie też nie ma prądu! Co tu się dzieje? – Kinga przeraziła się na poważnie.

– Spokojnie, spokojnie. Rozejrzymy się, najwyżej pojedziemy do mnie, może u mnie jest okej. Zaraz zadzwonię do sąsiada, dowiem się, co i jak.

– No nie wiem...

– Kurwa, stoimy tu już z dziesięć lat. Poczekaj, wysiądę, zobaczę, co się tam dzieje.

– Co? Na tę śnieżycę będziesz wychodził? Nie wygłupiaj się.

– Muszę. Pożyczysz mi moją kurtkę?

– Zostań. Zostań ze mną – powtarzała Kinga błagalnym tonem, ale jednocześnie posłusznie zdejmowała z siebie kurtkę.

– Zaraz przyjdę, przecież cię tu nie zostawię.

Ciemność i mgła sprawiały, że Piotr widział zaledwie kilka metrów przed sobą. Szedł środkiem unieruchomionej ulicy, mijając kolejne samochody wypełnione

zdezorientowanymi, spanikowanymi ludźmi. Ktoś zapukał nawet w szybę od wewnątrz, jakby chciał go zawołać, ale Piotr ani myślał się zatrzymać. Czuł dokładnie miejsca na skórze, gdzie lądowały białe płatki, zanim zmieniły się w mokrą plamę. Ramiona Piotra drżały jak opętane, a oszłomiony układ nerwowy słał po ciele alarmowe sygnały; jakiś ból, jakieś ukłucie, duszności i kołatanie serca.

Zawodzenie wiatru mieszało się z klaksonami i okrzykami kierujących ruchem, tworząc fałszywą symfonię niepodobnych do niczego dźwięków. Na skrzyżowaniu nieopodal musiał zdarzyć się jakiś wypadek – migąło mnóstwo świateł i gromadziła się pokaźna grupa ludzi.

Piotr uznał, że w tym chaosie nie dowie się niczego konkretnego, a na pewno nie użytecznego. Zawrócił. Dłonie już poczerwieniały mu z zimna, więc wetknął je do kieszeni i przyspieszył krok. Już chciał wsiąść do samochodu, gdy zaczepił go motorniczy ze stojącego obok tramwaju. Za jego plecami z okien pojazdu patrzyli posepnie nieliczni pasażerowie, którzy postanowili nie wysiadać.

– Wszystko zamknięte, zamknięte, nieprzejezdna! – wykrzykiwał chaotycznie. – Pan zawróci, chodnikiem i od drugiej strony! Godzinę będą stali! Karambol! Cały most zablokowany! Zawraca pan, zawraca!

Piotr szybko postanowił zastosować się do tej niezgrabnie wyartykułowanej rady.

– I co? – spytała Kinga, gdy tylko go zobaczyła. Skulona na siedzeniu wyglądała jak mała wystraszona dziewczynka.

– Był wypadek, musimy zawrócić – Piotr starał się brzmieć na opanowanego, nie tylko po to, by uspokoić dziewczynę, ale i samego siebie. – Mijaliśmy stację

benzynową, zatrzymamy się tam, kupimy jakąś ciepłą kawę i pomyślimy, co dalej. Dobrze?

Kinga siedziała przy stoliku i wpatrywała się – tak samo jak ekspedienci i kilku klientów – w mały ekran telewizora, na którym pojawiały się wciąż te same nagrania ośnieżonych ulic z lotu ptaka. Prezenterzy nie nadążali z relacjonowaniem kolejnych wypadków, zniszczeń i brawurowych akcji ratowniczych. Donosili już o dziesiątkach rannych i zmarłych, niebotycznych kosztach napraw zrujnowanej infrastruktury i innych katastrofach, od czasu do czasu łagodząc przekaz optymistycznymi prognozami. „Takie zjawiska zdarzają się, choć rzadko, i nie trwają długo”, przytaczali opinie ekspertów.

Za oknem pokrytym szronem nie było widać świata. Raz na jakiś czas na stację wpadał ktoś nowy, by zaraz zdać zebrany raport z sytuacji na zewnątrz. Ponoć wiatr się uspokoił, ale wciąż sypało jak na Boże Narodzenie.

– Załóż to, będzie ci cieplej. – Piotr położył na stoliku kupioną przed chwilą koszulkę z wielkim godłem Polski. Widząc skonsternowane spojrzenie Kingi, dodał: – Wybacz, naprawdę tu nie mają nic innego. A tobie i tak we wszystkim będzie ładnie.

Kiedy dziewczyna poszła się przebrać w toalecie, zadzwonił do kumpla z sąsiedniej klatki. Dowiedział się, że na ich osiedlu przerwa w dostawie prądu wprawdzie była, ale kwadrans temu w oknach znowu zapłonęły światła.

– Pojedziemy do mnie – oznajmił, gdy Kinga usiadła znów naprzeciwko. Spod bluzy wystawała jej patriotyczna koszulka XXL.

– Nie mogę, Piotr. W domu czeka na mnie pies. Na pewno się boi.

– Masz psa?

– Prawdziwy koniec świata – wymamrotała, ignorując próby kontynuowania rozmowy i owijając dłonie wokół parującego kubka kawy.

– Nie przejmuj się. Jutro cały świat zacznie się od nowa. – Piotr westchnął i niechętnie utopił wzrok w telefonie, szukając aktualnych informacji o utrudnieniach i usiłując zaplanować najsensowniejszą trasę. – Podaj mi twój dokładny adres.

Wkrótce wyszli ze stacji, nieśmiało badając sytuację. Wielkie płatki opadały leniwie na pokryte zmarzliną chodniki. Ciemne chmury powoli rozstępowały się, ale przeraźliwe zimno bez litości szczypało policzki, przeganiając nadzieję na poprawę warunków.

Co tu się, kurwa, dzieje? – powtarzał Piotr w myślach przy każdym kroku stawianym ostrożnie na oblodzonym bruku. Złapał Kingę za rękę – zimną i rozedrganą.

Znów podążali płataniną objazdów i wydawało się, że tym razem jadą naprawdę najlepszą możliwą drogą, jednak parę przecnic i parę pochopnych decyzji dalej znaleźli się z powrotem w tym samym korku, z którego uciekali przed godziną.

– Ja pierdołę. – Piotr schował twarz w dłoniach. Kinga od dłuższego czasu się nie odzywała, patrząc przed siebie zobojętniale.

– Za pięćset metrów skręć w prawo. Cel znajduje się po prawej stronie – odezwała się nawigacja. Musieli tylko przejechać skrzyżowanie i most.

– Kinga. Chodźmy pieszo – zaproponował Piotr, zaraz po tym, jak ze złością cisnął telefonem na tylne siedzenie.

Zjechał na chodnik, zaparkował byle jak i pomógł Kindze wygramolić się z auta. Śnieg już prawie nie padał, a w okolicy panowała głównie cisza; kto mógł, dawno już schował się w domu. Kto utknął w powolnej gąsienicy aut, siedział w niej już dość długo, by wyczerpać energię na złość i awantury. Z oddali dobiegały tylko odgłosy pił mechanicznych, z których pomocą próbowano uprzętnąć powalone drzewa z dróg. Wszystko miało się ku lepszemu.

Piotr szedł z Kingą pod rękę, coraz bardziej zmartwiony jej milczeniem. Sam jednak nie wiedział, co powiedzieć. Działy się rzeczy niewytłumaczalne, pozbawione sensu i niemożliwe do skomentowania.

Gdy dotarli do skrzyżowania, na którym doszło do zderzenia kilku samochodów, jakiś mundurowy nerwowymi gestami przegonił ich w boczną drogę. Nie mogli dostać się na most. Piotr nie chciał tracić sił na dyskusje ani zbyt długo sterczeć w pobliżu miejsca wypadku. Kątem oka dostrzegł ratowników, którzy usiłowali reanimować człowieka leżącego wśród odłamków karoserii. Wyglądał jak kukła, całkiem pozbawiony życia, choć klęczący nad nim ratownik w czerwonym stroju uciskał jego klatkę piersiową z niesłabnącą determinacją. Tuż obok na mokrym asfalcie siedział jakiś mężczyzna i szlochał.

– To bez sensu. Twój blok widać już stąd, prawda? Przy samej rzece. – Piotr gapił się przez chwilę na ponure osiedle z wielkiej płyty. Czarne okna budynków przypominały mu

bezdennie puste oczodoły i w jakiś sposób jakby podzielały jego bezsilność. Mimo upiornego wyglądu wydawały się teraz najmiłym miejscem na Ziemi.

Nagle Piotr poczuł ból w palcach u stóp. Oboje mieli na sobie przecież letnie buty. Trzeba było czym prędzej znaleźć sposób, by przedostać się na drugi brzeg.

Może dojdziemy do drugiego mostu – pomyślał. Wodził wzrokiem po rzece, próbując ułożyć w głowie plan, ale coś mu w tym bardzo przeszkadzało. Uświadomił sobie, że... się boi. Czego? Coś było bardzo nie w porządku, nawet bardziej niż śnieg w pierwszy dzień lata i śmierć, która tuż obok zabierała właśnie przypadkowego człowieka. Jakiś szczegół krył się w tej ciszy, która zapanaowała wokół, i dopiero po dłuższej chwili Piotr wreszcie rozumiał, czym on jest.

Rzeka. Rzeka zamarzła.

– To przecież niemożliwe – powiedział głośno, choć wiedział, że Kinga dawno go nie słucha. Z jej ust ulatywały jedynie kłęby pary, a oczy ślepo wodziły po otoczeniu. Nagle westchnęła i nieopisane zmęczenie, które dało się usłyszeć w tym westchnieniu, pchnęło Piotra do podjęcia szalonej decyzji.

Zaczął ciągnąć Kingę w stronę brzegu, na którym jeszcze wczoraj wylegiwali się nasmarowani olejkami ludzie. Smażyli swoje ciała w czerwcowym skwarze, nieświadomi, że w ciągu dwudziestu czterech godzin ich przyjaciele, znajomi i sąsiedzi będą zamarzać na śmierć. Rzeka, zawsze hałaśliwa i rwąca, stała teraz jak ogromna bryła lodu, w której odbijała się tylko nieskazitelna czerń nieba. Tak, chmury już odsłoniły wszystkie gwiazdy, a miasto w większości pozbawione prądu zsunęło z ramion swój

płaszcz. Ci z mieszkańców, którzy mieszkali w zanieczyszczonym światłem centrum całe życie, mieli pewnie pierwszy raz w życiu okazję zobaczyć asteryzm Trójkąta Letniego, choć pewnie mało by ich to obeszło. Piotr za to pierwszy raz widział go pod swoimi stopami – w nieskazitelnym lustrze zamrożonej wody.

– Idziemy. Kroczek za kroczkiem – powiedział do Kingi jak do dziecka. Niechętnie powłóczyła nogami. – Albo wiesz co? Wezmę cię na plecy. Wskakuj. – Pochylił się przed nią, a kiedy oparła na nim skromny ciężar ciała, owinał jej ręce wokół swojej szyi, chwycił ją pod udami i ruszył żwawo przed siebie z zadziwiająco lekkim żywym plecakiem.

Wszystko było w porządku, dopóki w połowie drogi nie uświadomił sobie, co robi. Stał przecież właśnie pośrodku rzeki, która nie płynęła, a nieopodal z mostu, który z tej perspektywy wydawał się monstrualny, zwisały jak olbrzymie szyby sople lodu. Metalowa konstrukcja skrzypiała, pojękiwała jak zardzewiała huśtawka wprawiona w ruch, chociaż ani drgnęła – i był to, poza odgłosem kroków, jedyny dźwięk, który wwiercał się Piotrowi w pobolewającą głowę. Spojrzał w górę, potem w dół. Ujrzał dokładnie ten sam widok. Wolno rzednąca mgła okrywała teraz oba brzegi i Piotr nie mógł znieść tej nienaturalnej pustki dookoła. Czuł się jak rozbitek zagubiony na Antarktydzie, astronauta porzucony na obcej i mroźnej planecie. Ile czasu minęło, odkąd zaczęli wędrować? Ile odkąd pierwszy płatek śniegu stopniał mu na dłoni?

Zrozumiał, że powinni byli zostać na stacji benzynowej, gdzie mieli prąd, ciepłe jedzenie i picie. Albo powinien był przekonać Kingę, by jechali do niego. Mogli też

spróbować dostać się na inny most lub przeczebrać jeszcze trochę w jakimkolwiek miejscu, choćby supermarkecie. Ale Piotr wybrał najdziwniejsze rozwiązanie, najbardziej ryzykowne i gdyby miał odpowiedzieć, dlaczego to zrobił, nie znalazłby przekonującej odpowiedzi. Usprawiedliwiał się w duchu, że przecież trudno oczekiwać od kogokolwiek normalnej reakcji na nienormalną sytuację.

Wiedział na pewno, że nie może dłużej stać i gapić się na przemoczone buty, więc zostawił samoudręczenie na później i znów zaczął swój marsz.

Siedzieli we troje – on, ona i pies – w ciemnym i zimnym pokoju. Na wpół na oślepi Piotr przytargał z kuchni dwa krzesła i ustawił je przy oknie w salonie, by mogli przez nie patrzeć na koniec świata. Był on dość nudny, więc zapalili po papierosie, a potem kolejnego i kolejnego. Cisza i ciemność aż wylewały się z okien sąsiednich bloków i można by uwierzyć, że nikt poza nimi nie żył w tym mieście. Pusto. Martwo. Zimno. Docho-dziła siódma rano, ale niebo nie pojaśniało o ton, jakby słońce nie miało zamiaru wzejść już nigdy. Wciąż sypały się z góry jakieś połyskujące drobinki, zbyt żałosne, by można było nazwać je śniegiem. Wielkie zaspasy zalegały w każdym zakamarku, jakby miasto zakryło się kołdrą i zasnęło, zupełnie nieruchome i obojętne.

Pies czasem kręcił się po pokoju, obwąchiwał, popiskiwał. Kinga nie powiedziała, jak się wabi. Nawet się z nim nie przywitała. Jej błękitne oczy lśniły i przypominały porcelanowe oczy lalek, piękne, ale bez duszy. Lekko

rozchyłała popękane usta, a wilgotne i poplątane włosy razem z głową opadały na jedno z białych ramion. Papieros wreszcie wypadł jej z dłoni i dogasł na zimnej podłodze.

– Może jednak jutra już nie będzie – powiedział Piotr sam do siebie i poczuł, jak łzy zaczynają spływać mu po policzkach. Powitał je z otwartością; były kojąco gorące. – Nie będzie nowego dnia. Nie pójdziemy do pracy. Nie porozmawiamy.

Nagle spadło na niego ciężkie i bolesne poczucie winy. Coś na pewno dało się zrobić inaczej. Mógł jeszcze uratować ten dzień, ale nie wiedział jak; mógł uratować Kingę.

– Tak bardzo cię przepraszam – powiedział, wyobrażając sobie, że ona go usłyszy. Nie miał jednak odwagi na nią spojrzeć. – Wszystko zjebałem. To ja wymyśliłem tę durną rzekę. Gdybym mógł... Gdybym wiedział...

Zamilkł. To nie miało sensu.

– Zabiorę cię stąd. Nie będziemy tak beczynnie siedzieli. Ktoś gdzieś... na pewno nam pomoże...

Wstał i wciąż starając się nie patrzeć na smutne, bezwładne ciało dziewczyny, wziął ją w ramiona i uniósł. Była jeszcze lżejsza niż przedtem. Wzrok dostrojony do mroku poprowadził go przez ciemne mieszkanie i klatkę schodową, którą długo niosło się echo jego kroków. Na zewnątrz stanął oko w oko z katastrofą, dając światu może ostatnią szansę, aby się odrodził. Kiedy nic się nie wydarzyło, podreptał po skrzypiącym śniegu w przypadkowym kierunku, mając nadzieję... sam nie wiedział, na co. Okazała się jednak słabiutką iskrą, może błędnym ogniem, więc prysła, pozostawiając Piotra z poczuciem

nieodwracalnej porażki. Nie miał już siły, by dalej iść, zwłaszcza bez celu.

W miejscu, które zdało mu się odpowiednie, ułożył Kingę w zaspie i sam położył się przy niej, pierwszy i ostatni raz przykładając policzek do jej białej szyi. Zerknął w niebo przelotnie i zamknął piekące oczy. Ktoś znajdzie ich albo nie.

– Proszę pana, halo – usłyszał nieprzyjemny głos. – Proszę pana, czy ma pan przy sobie dokument tożsamości? Proszę pana, tak nie można.

– Proszę pana, odpiardol się – wybełkotał, odruchowo wykonując gest, jakby odganiał muchy sprzed twarzy. Nie podziałało to nijak na policjantów, którzy chwycili go za ramiona i bez większego wysiłku dźwignęli do pozycji stojącej. Palące słońce oślepiło Piotra tak, że długo nie mógł otworzyć oczu. Wymachiwałyby na oślep rękami i nogami, ale odkrył, że nie ma to siły. Kręciło mu się w głowie od świergotu ptaków. I od wczorajszej nalewki.

– O, to znowu ten – zauważyła głośno przechodząca ścieżką, równie rozbawiona, co zniesmaczona starsza pani. Jej towarzyszka przytaknęła. – Uprzykrza życie całemu osiedlu, a teraz widzę, że i zmarłych postanowił dręczyć.

– Nie, nie, bo to dzisiaj dwudziesty trzeci. Rocznicą... Będzie chyba dwudziesta. I on co rok przychodzi. – Kobieta przeżegnała się i z zadumą wlepiła wzrok w płytę nagrobną. – Taka młoda dziewczyna, taka szkoda...

– I jego szkoda, ale śpiąc dziabnięty na grobie, życia jej raczej nie przywróci. Czy to nie jakaś profanacja?

– Wyrzuty sumienia go przywodzą. Pamiętam, głośno było o tym ich wypadku. Ponoć to z jego winy – kobieta ściszyła głos – bo wymusił pierwszeństwo, albo coś takiego... I proszę pomyśleć, że jemu, kierowcy, nawet włos z głowy nie spadł, a ona, na miejscu pasażera, to chyba zmarła na miejscu. Świeć Panie nad jej duszą. Jak on się musiał tłumaczyć przed rodziną, proszę sobie wyobrazić, kiedy oni go pierwszy raz na oczy widzieli. Ot, chciał zrobić dobry uczynek, podwieźć dziewczynę do domu, a posłał ją na tamten świat. Długo na skrzyżowaniu marszałków stały znicze.

– Co pani powie, o tym nie słyszałam.

– Panie długo tak zamierzają stać i utrudniać pracę funkcjonariuszom? – upomniał je znużony mundurowy.

– Dobrze – Piotr wyraził aprobatę. – Baby precz. A wy puszczajcie, do budy! – Wyrwał się policjantom i otrzepał brudne spodnie i skórzaną kurtkę. Odgarnął z czoła długie białe włosy i wreszcie szeroko otworzył oczy. Od mieszanki papuzich kolorów trawy, kwiatów i zniczy zrobiło mu się niedobrze.

– Jest siódma rano, a pan jest pod wpływem alkoholu. Czy ma pan dokument tożsamości?

– Przecież znasz mnie, gnojku.

Policjant przewrócił oczami. Rzeczywiście, znali go i wiedzieli, że jest upierdliwy, ale nieszkodliwy: zwyczajny pijaczyna.

– Nie musicie mnie odprowadzać, sam trafię do domu.

Chwiejnym, ale upartym krokiem powędrował w stronę cmentarnej bramy. Spalona słońcem trawa łaskotała jego bosc stopy, a pod kurtką robiło mu się gorąco. Wolałby wrócić do kojącego chłodu pomnika, ale już nie chciał nikomu wchodźć w drogę. Dobrze, że w ogóle pozwolili mu odejść. Przeszedł obok rodziny z dziećmi, która ominęła go szerokim łukiem, a potem znalazł się przy jednej z głównych ulic miasta i postanowił wyruszyć tam, gdzie zazwyczaj – przed siebie.

Adrian Iwaniak

Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz

Coraz trudniej było mu powstrzymać łzy. Próbował odegnąć posępne myśli, lecz za każdym razem, gdy wpatrywał się w czarno-białe zdjęcie, opatrzone czarną wstążką, coś ścisnęło go w środku. Ból, żal, tęsknota... Wszystko naraz. Strata przyjaciela odcisnęła na nim tak silne piętno, że został odsunięty od służby na ponad dwa miesiące. Lekarz zalecił mu odpoczynek i wyjazd do innego kraju, aby nabrał dystansu do całej sytuacji. On jednak w tym czasie leczył smutki alkoholem, hazardem, a także mocnymi używkami.

Nic jednak nie przynosiło ukojenia. Dopiero powrót do straży pomógł mu dojść do w miarę względnej normalności. Potrzebował tego. Potrzebował stanąć w szranki z niebezpieczeństwem i znów poczuć przyływ adrenaliny.

A mimo to wciąż budził się w nocy, słysząc krzyk przyjaciela.

Pamiętał to jak dziś. Tamtego wieczoru żywcioł pochwycił w ogniste macki pięcioro dobrych ludzi – czterech cywili

oraz młodego strażaka, który miał przed sobą całe życie. Paweł, najlepszy przyjaciel Tomasza, odszedł w płomieniach niczym zasłużony w boju strażak, choć mundur otrzymał dopiero kilka miesięcy przed śmiercią. To właśnie Tomasz namówił go na wstąpienie do służby, czego teraz szczerze żałował. Poczucie winy nie pozwalało mu normalnie funkcjonować.

Pośmiertne medale oraz uroczysty pogrzeb nic nie zmieniły... Rana w sercu była zbyt głęboka, aby mógł po prostu zapomnieć. Tomasz wiedział, że nic już nie będzie takie samo. Pozostały mu tylko smutek i wyrzuty sumienia.

Posępną ciszę przerwał komunikat z interkomu:

– Wyjazd zastępów GBA, GCBA i SHD, pożar budynku przy ulicy Wiślanej piętnaście. Powtarzam! Wyjazd zastępów GBA, GCBA i SHD, pożar budynku, Wiślana piętnaście!

Tomasz powrócił do rzeczywistości. W ciągu chwili wyzbył się przykrych wspomnień, a ciało zaczęło funkcjonować zgodnie z utartym schematem działań. Szybkim ruchem przetarł wilgotny policzek i poderwał się niczym rażony prądem.

– Wyjazd, wyjazd, wyjazd! – Po korytarzu niosły się krzyki strażaków.

Wszystko działo się tak błyskawicznie, że dla zwykłego obserwatora mogło wyglądać jak chaos, a nie sprawna organizacja zastępu. Tomasz jednak doskonale wiedział, co ma robić. Zapiął w pośpiechu zamek kombinezonu i wskoczył na ześlizg, dzięki czemu znalazł się w garażu na poziomie zero. Tam, w towarzystwie kolegów z zespołu, przywdział najpierw dolną, a potem

górną część stroju bojowego, chwycił hełm i wszedł do ciężkiego samochodu gaśniczego, w którym siedziało już czterech strażaków. Pełny uniform założył w drodze na akcję, teraz nie miał na to czasu.

Niezależnie, czy spożywa posiłek, czy gra z kolegami w kosza na hali, strażak rzuca wszystko, gdy bije alarm, i jedzie nieść pomoc. W takich chwilach liczy się każda sekunda.

– Co mamy? – zapytał Wojtas, gdy wreszcie udało mu się dopiąć klamry hełmu.

– Pożar budynku firmowego, na miejscu są już dwa zastępy i oddział OSP – odparł kapitan Kołecki. – Według bazy wewnątrz mogą znajdować się uwięzieni cywile, ale chłopaki nie dają rady przebić się do środka.

– Istna noc cudów... To już trzeci wyjazd.

– Taaa... Ledwo wróciliśmy z dzwona, a tu już gajowy włącza buczkę – wymamrotał Łysy. – Nawet nie zdążyłem się odlać!

– Spokojnie, panowie. Koncentracja!

– Ty, młody, a co ty taki małowówny? – Kapitan skinął głową w stronę Tomasza.

Ten zdawał się głuchy na jego pytanie. Dopiero po chwili, jakby wyrwany ze snu, podniósł wzrok na towarzyszy i przetarł spoconą twarz.

– Po prostu... Cieszę się z powrotu do służby.

Gdy dojechali pod wskazany adres, powitał ich ryk strażackich syren oraz światła kogutów, które oświetlały mrok

paletą biało-niebieskich barw. Cały teren odgradzony był taśmą, lecz nie odstraszyło to tłumu ciekawskich gapiów. Nawet widok buchających płomieni nie zapalił w nich ostrzegawczej lampki, aby oddalić się na bezpieczną odległość. Zrobili to dopiero, gdy starszy brygadier w dosadnych słowach nakazał im się rozejść.

Kiedy zastęp zaparkował przed budynkiem, strażacy wysiedli w pośpiechu z zasłużonego GCBA. Nie przejmowali się obecnością cywili czy sięgającymi kilku metrów językami ognia. Działali instynktownie, jak zaprogramowane maszyny. Komendy, wydawane przez kapitana Koleckiego, były dla nich czystą formalnością.

– Panowie! Rozwijamy linię główną W-75, rozdzielacz! Pierwsza rota: linia gaśnicza W-52, druga, jak będzie potrzeba, linia główna na dach budynku. Biegiem!

– Tak jest! – odparł Wojtas.

– Pająk, Łysy, brać się za podnośnik, a Ryba i Gruby odpowiadacie za zasilanie.

– Robi się, kapitanie!

– Gaz i prąd odcięli już chłopaki z ochotniczej, tak że do roboty!

Tomasz wiedział, że czeka go inne zadanie. Odziani wraz z Wojtasem w maski i aparaty oddechowe, szykowali się do penetracji budynku. Nim jednak przekroczyli próg, sprawdzili łączność krótkofalówek, szczelność kombinezonów i latarki. Tomasz poprawił jeszcze rękawiczki i odetchnął głęboko na rozluźnienie. Adrenalina niemal buzowała mu w żyłach. Czuł strach, ale i jednocześnie zastrzyk energii oraz ból napiętych mięśni.

– Gotowy? – spytał Wojtas.

Mężczyzna skinął głową, po czym ruszyli w stronę głównego wejścia.

Pierwsze, co dosięgło ich po otwarciu drzwi, to smuga czarnego dymu, która wzbijała się w powietrze niczym chmura radioaktywnych opadów. Przez moment nie byli w stanie dojrzeć siebie nawzajem, nie pomagały im nawet latarki. Do tego widoczność utrudniały maski tlenowe, lecz bez nich udusiliby się w ciągu kilkunastu sekund. Mimo to musieli przeć przed siebie. Wojtas szedł jako pierwszy, Tomasz zaś trzymał się metr za jego plecami, gotowy w każdej chwili go asekurować. Gdy w końcu dostrzegli pierwsze płomienie, skierowali linię gaśniczą na podłogę i ściany, aby ograniczyć rozprzestrzenianie się ognia. Żywioł nie dawał jednak za wygraną. Woda lała się hektolitrami, ale szybko wyparowywała pod wpływem temperatury. Do tego nadpalone elementy dachu groziły zawaleniem lub w lżejszym wypadku naruszeniem konstrukcji. Tak czy inaczej, ryzyko czało się na każdym kroku.

Tomasz oddychał ciężko, jakby dopiero uczył się łapać powietrze. Przez hałas nie słyszał nawet komend dobiegających z krótkofalówki. Docierały do niego tylko przytłumione wrzaski i trzask palących się mebli.

Minuty mijały, a strażacy nieśpiesznie kierowali się w głąb budynku. Teraz to Tomasz wyszedł przed szereg, a Wojtas pozostał w tyle i rozciągał węża, który wił się przez korytarz niczym żyły w ludzkim organizmie. Powoli udawało im się ugasić główny hol, lecz był to dopiero początek walki z żywiołem. Nagle usłyszeli krzyk. Krótki, niewyraźny, jakby dziecięcy. Tomasz poklepał towarzysza po ramieniu i z trudem wysapał:

– Słyszałeś to?

Wojtas pokręcił głową.

– Mamy cywila w środku, chyba na dolnym poziomie. Musimy to sprawdzić!

Tomasz nie czekał na odpowiedź. Skierował kroki w stronę klatki schodowej, która prowadziła na poziom minus jeden. Napędzała go adrenalina i niezdrowa, heroiczna wręcz chęć pomocy. Nie zważał na niebezpieczeństwo i buchające ognie. Chciał się wykazać, udowodnić, na co go stać. Pragnął tego od dzieciństwa, kiedy to jako pięcioletni chłopiec ugasił w stroju strażaka przydomowe ognisko, do czego żywo zachęcał go ojciec – emerytowany aspirant sztabowy w Państwowej Straży Pożarnej w Lublinie. To właśnie on rozpałił w synu zamiłowanie do walki z żywiołem.

– Baza, tu rota jeden, mamy cywili wewnątrz budynku – odezwał się do krótkofalówki. – Schodzimy niżej.

– Tu baza, przyjąłem.

– Szybciej, Wojtas, rusz się!

Trochę wolniej, ale wciąż pośpiesznie zbiegli po schodach i oświetlili latarkami zwęglone ściany. Nad ich głowami wciąż unosiły się tumany dymu. Ciemność pomieszczenia ograniczała widoczność do kilku metrów, a poza tym obszarem istniała tylko nieprzenikniona pustka.

Tomasz przełknął głośno ślinę i nasłuchiwał kolejnych krzyków. Na szczęście płomienie nie zagnieździły się na dolnych poziomach, lecz mimo to musieli działać ostrożnie. Niespodziewanie w głębi korytarza, niemal na samym końcu, dostrzegli migoczące światło, które pojawiało się i znikało w regularnych odstępach, jakby ktoś nadawał sygnał SOS.

– Tam, w oddali, widzisz to? – wydyszał Wojtas.

– Ktoś potrzebuje pomocy. Wchodzimy!

Tomasz ruszył pierwszy. Jego towarzysz pozostał za plecami i zabezpieczał ewentualną drogę ucieczki, tak jak uczono ich na szkoleniach. W razie niebezpieczeństwa byłby w stanie przyciągnąć kompana do siebie i wydostać go na zewnątrz.

Adrenalina nie pozwalała im się zatrzymać. Pomimo strachu oraz niepewności brnęli w stronę światła, choć dobrze wiedzieli, że są zdani wyłącznie na siebie.

– Poświeć – nakazał Tomasz, po czym sam skierował latarkę w głąb korytarza. Jaskrawe światło rozjaśniło zwęglone ściany, ukazując w oddali także niewyraźną sylwetkę. Postać stała w bezruchu, zdawała się czekać na ich reakcję. Ku zdziwieniu mężczyzn nieznajomy nie był zwykłym cywilem, jak początkowo sądzili, ale miał na sobie coś na wzór spalonego kombinezону strażackiego. Podobny do tego, jaki nosili Wojtas i Tomasz, lecz w kolorze piaskowym, z wyraźnymi elementami odbłaskowymi. A do tego dzierżył... topór.

Zadrżeli.

– Halo, wszystko w porządku? Przybyliśmy pomóc! – krzyknął Tomasz, ale jego głos niknął wśród hałasu pożaru.

Wojtas wpatrywał się w postać zahipnotyzowany. Czuł, jak po plecach spływa mu pot. Nie wiedział jednak, czy pod wpływem wysokiej temperatury, czy strachu.

– Jesteś ranny? Odezwij się!

Nieznajomy stał niczym woskowa figura i wlepił w nich niewidoczne ślepia. Trudno stwierdzić, czy czekał

na podejście strażaków, czy to raczej oni czekali, aż on wykaże inicjatywę.

Wbrew oporom Tomasz wykonał kolejny krok i zbliżył się do postaci, a następnie skierował światło latarki na jej twarz. Chciał się upewnić, że ocalały jest zdrowy i nie doznał żadnego urazu ciała. Nie mógł jednak tego ocenić, w ciemności dostrzegł bowiem tylko pękniętą maskę gazową i hełm z numerem sześć.

– Ej! Słyszysz mnie? Jak się tu, do cholery, znalazłeś? Gdzie twój zespół?

Zamiast odpowiedzi usłyszał dziecięcy płacz, który dobiegł z innego pomieszczenia. Momentalnie zbladł, lecz szybko zebrał się w sobie i szturchnął Wojtasa. W tej samej chwili postać odwróciła się i skierowała w głąb budynku, gdzie nie docierało światło latarek.

Strażacy spojrzeli po sobie i jak na komendę ruszyli za nią – Tomasz przodem, a Wojtas nieco z tyłu, cały czas ciągnąc za sobą wąż. Ich reakcja nie trwała dłużej niż dwie sekundy, lecz to wystarczyło, aby nieznajomy zniknął w mroku, jak gdyby istniał tylko w ich wyobraźni. Jednak płacz był realny, niemal wdzierał im się do głów i powodował drżenie w kończynach.

– Zwolnij, to niebezpieczne! – krzyknął Wojtas.

Tomasz zignorował polecenie. Nie mógł pozwolić, aby ktoś zginął w płomieniach. Nie tym razem...

Szarawy dym utrudniał orientację w ciemnych korytarzach. Latarki też ledwo dawały radę wskazywać drogę, dlatego musieli zdać się na słuch. Gdy wydawało im się, że są już blisko, z sufitu zaczęły opadać kawałki tynku, a zaraz po nich runął cały strop. Na szczęście zareagowali

w porę. Wojtas rzucił się przed siebie i upadł na podłogę, a Tomasz szybkim ruchem odciągnął go od spadającej belki.

Nie mieli już możliwości powrotu.

– Cholera... Dzięki. Mało brakowało.

– Wstawaj! Nie czas na odpoczynek!

W takich chwilach człowiek działa automatycznie. Emocje i strach odchodzą na dalszy plan, a ich miejsce zajmuje instynkt, który dąży do przetrwania.

– Widzisz go? – wysapał Wojtas, gdy w końcu doszedł do siebie.

– Nie, ale...

Ponownie usłyszeli płacz, który szybko zmienił się w pisk. Tym razem głośniejszy, jakby bliższy i wypełniony większym bólem. To wpompowało w ich ciała kolejną porcję adrenaliny. Tomasz otrzepał się z pyłu, a Wojtas podniósł z podłogi latarkę, która wciąż oświetlała pozbawione prądu korytarze.

– Szukajmy dziecka! To najważniejsze! Musi gdzieś tu być!

Niezrażeni trudnościami ponownie ruszyli nieść pomoc. Wszak na tym polegała ich praca, aby pomimo problemów ratować i walczyć o życie niewinnych ludzi, nierzadko narażając przy tym swoje zdrowie. Wiedzieli, na co się piszą, więc nie mogli teraz ot tak się wycofać.

Ostrożnie przeczesywali kolejne pomieszczenia. Mimo że ich umysły ogarniały strach i dezorientacja, zdawali sobie sprawę, że nie mają za wiele czasu. Jeżeli nie ogień lub zawalenie konstrukcji budynku, człowieka zabić mogły również dym i brak powietrza. A to nierzadko bywało jeszcze gorsze.

Nagle dostrzegli światło. Tym razem nie białe, pochodzące z latarki, lecz mieniające się różnymi odcieniami czerwieni. Wymienili spojrzenia, a po chwili ich uszu dobiegło charakterystyczne skwierczenie, jakby smażonego mięsa, któremu towarzyszył swąd przypalanych ubrań. To mogło oznaczać tylko jedno...

Wbiegli do pomieszczenia i natychmiast znieruchomieli. Kilkuletnia dziewczynka stała w ogniu, a jej drobne ciało trzęsło się z bólu. Strażacy odsunęli się do tyłu, a podmuch gorąca sprawił, że instynktownie zasłonili twarze dłońmi. Nawet ich termoochronne kombinezony nie zdołały zniwelować fali ognia, która buchnęła wprost na nich. Tomasz ukląkł, próbując zachować równowagę. Choć było to trudne, przez drżące palce starał się dostrzec źródło płomieni.

– Boże... – wyszeptał Wojtas.

Na ich oczach płonęło dziecko, a oni nie mogli nic na to poradzić. Nie byli w stanie zbliżyć się choćby o krok, nie mówiąc nawet o próbie gaszenia. Węże przecież utknęły pod gruzami, więc pozostała im tylko modlitwa o jak najszybszą śmierć dla ofiary. Jakby tego było mało, znowu usłyszeli wrzask i ryk bólu. Ten dźwięk niemal rozdzierał im serca na drobne kawałki. Mózg krzyczał: „Uciekaj!”, lecz żaden ze strażaków nawet nie drgnął. Płomienie w jakiś nieopisany sposób ich hipnotyzowały, nie pozwalając oderwać oczu od agonii dziewczynki.

Tomasz nie wiedział, czy stracił rozum, czy rzeczywistość mieszała się z fikcją, ale w odmętach umysłu usłyszał dziecięcy głos:

– To twoja wina!

Z emocji popłynęły mu łzy i niemal osunął się na podłogę. Wojtas jednak zachował zimną krew. Chwytał z całej siły kompana za barki i odciągnął na korytarz, aby oddalić się od źródła ognia. Mimo wszystko musieli być twardzi i nie poddawać się słabościom. Musieli walczyć, żeby stanąć w szranki z żywiołem.

– Ogarnij się! Już za późno, nie pomożemy jej!

– Nie, nie, nie...

– No rusz się, do cholery!

– Boże! Dlaczego ona płonie?!

Nie zważając na reakcję towarzysza, Wojtas wziął go pod ramię i zaniósł kilka metrów dalej. Nie przeszkadzał mu jego ciężar ani wierzganie. W tej chwili liczyło się tylko ratowanie własnego życia. Bóg jeden wie, kiedy koledzy z oddziału ruszą im na pomoc, kiedy uda im się odkopać zgliszcza.

Niewiele myśląc, sięgnął po krótkofalówkę.

– Baza, tu rota jeden, odbiór. Powtarzam, tu rota jeden, słyszycie nas? Ugrzęźliśmy na dolnym poziomie, odbiór!

Nie otrzymał odpowiedzi. Zamiast niej z urządzenia wybrzmiał niezrozumiały, mechaniczny szmer.

– Pieprzony rupieć, niech to szlag!

– Wojtas...

– Jestem tu. Wszystko w porządku?

– Ona... ona do mnie mówiła... – wycedził Tomasz.

– O czym ty bredzisz? Kto niby?

– Ta dziewczynka. Mówiła, że to moja wina.

Wojtas z niedowierzaniem w oczach spojrzał na towarzysza, po czym złapał go za barki i mocno potrząsnął.

– Ogarnij się! Potrzebuję cię teraz!

– Ja... nie mogę. Coś siedzi mi w głowie. Wciąż słyszę jej głos...

– Ja pierdołę, młody. Ochujałeś?

– Nie wiem... Nie wiem, co się ze mną dzieje. Boże, czy ty też to widzisz?

Wojtas przełknął głośno ślinę i powoli obrócił głowę. W odmętach ciemności starał się dostrzec to, co zwróciło uwagę Tomasza, lecz oczy widziały jedynie mrok. Wpatrywał się tak przez chwilę, a kilka sekund później poczuł przeszywające ukłucie w sercu. Choć sam w to nie wierzył, w odległości kilku metrów od siebie dostrzegł niewyraźną ludzką sylwetkę, która zbliżała się do nich powolnym krokiem.

Nagle zaschło mu w gardle i stopy ogarnął ból, jakby stąpał po rozżarzonych węglach. Na plecach sperlił się pot, a dłonie zacisnęły pod wpływem napięcia. Chciał krzyknąć, lecz z jego strun głosowych wydobył się tylko gardłowy pisk.

Tomasz poznał go od razu. Mimo że spod ociekających krwią mięśni wystawały zwęglone kości, a od ciała biła woń spalenizny, twarz pozostała niezmieniona od czasu, kiedy widział ją po raz ostatni.

– Paweł... – wydusił, a z oczu popłynęły mu łzy. – Przecież ty...

Choć brzmiało to absurdalnie, mężczyzna, który jeszcze kilka miesięcy temu jeździł z nimi na akcje, powrócił zza światów. Lecz to, czym się stał, nie miało w sobie nic ludzkiego. Jego twarz była blada, dłonie powykręcane,

a płonące nienawiścią ślepią wpatrywały się w dawnych kolegów z zespołu, jakby chciał rozerwać ich na strzępy.

Wojtas nie wytrzymał. Odwrócił się na pięcie z zamiarem ucieczki, ale zdołał jedynie krzyknąć, nim topór przebił mu czaszkę na wylot. Krew trysnęła po ścianach, a sztywne ciało osunęło się z trzaskiem na podłogę. Nie zdążył nawet zarejestrować, co go zabiło. Co lub kto, gdyż wpatrzony w tę scenę Tomasz nie miał pojęcia, czym była owa istota odziana w strażacki kombi-nezon, która wyłoniła się znikąd. Ta sama, która kilkana-scie minut temu nadawała sygnał SOS, czym zwabiła ich w piekielną pułapkę.

Ciemność zdawała się pusta, a jednocześnie tak gęsto wypełniona cierpieniem, że Tomasz ujrzał mroczki przed oczami. Nie wiedział, czy to, co się działo, było wytworem jego chorej wyobraźni, czy naprawdę miał styczność z widmem zmarłego przyjaciela oraz czymś, co pragnęło zatopić topór w jego trzewiach. W gruncie rzeczy oba scenariusze wydały mu się równie przerażające. Chciał uciec, oddalić się w bezpieczne miejsce, ale ciało nie było w stanie wykonać poleceń płynących z mózgu. Mógł jedynie łpać wzrokiem pomiędzy istotami, co napawało go jeszcze większym strachem.

Co gorsza, spalone truchło Pawła ruszyło w jego kierunku, a zaraz po nim krwiożercza istota, której uniform wyglądał jak strój używany przez strażaków jakieś dwadzieścia lat temu. Tomasz wiedział, że czeka go przykry koniec, że lada moment spotka się z Wojtasem po drugiej stronie. A mimo to pragnął walczyć i zmierzyć się z wrogiem. Te emocje pozostały jednakże tylko w jego głowie, bo gdy tylko strażak zbliżył się do niego, przykucnął

i zrównał z nim twarzą, owładnął go paraliż. Próbował obrócić głowę, by nie widzieć piekielnego spojrzenia, lecz istota chwyciła go za szczękę i zacisnęła palce, niemal miażdżąc kości jarzmowe. Wtedy też dotarło do Tomasza, że spod pękniętej maski tlenowej wpatruje się w niego nie człowiek, jak początkowo przypuszczał, ale szkielet, pozbawiony oczu, skóry i mięśni. Żywy kościotrup, który, wiedziony pragnieniem mordy, rozłupał czaszkę Wojtasowi, a teraz przymierzał się do kolejnej ofiary.

– Czym j-jesteś? Czego ode mnie chcesz? – wychrypiał mężczyzna. – Boże, proszę, nie rób mi krzywdy!

Zamiast odpowiedzi, usłyszał cichy, przeciągły pomruk.

– To twoja wina. Zabiłeś mnie – odparło widmo Pawła i również zbliżyło twarz do Tomasza.

– Co? Jak?! Nie mam pojęcia, o czym...

– Zobacz, co ze mną zrobisz! Zobacz, kim się stałem!

– Ale... Przecież...

– Ten ból był nie do zniesienia! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest płonąć żywcem! Gdy skóra spływa po twych mięśniach, gdy topią się gałki oczne, gdy czujesz smród swoich spalonych wnętrzności... A to wszystko przez ciebie, przez pieprzoną chęć wykazania się przed ojcem!

– Przepraszam, nie mogłem przewidzieć, że...

– Nie, nie mogłeś! – ryknął nieumarły. – Ale to nie ma znaczenia. Ogień, który podłożyłeś, stał się moim grobowcem. Stał się drogą do koszmaru.

– Proszę, wybac mi... To był jeden jedyny raz!

– Łżesz! Nawet teraz, patrząc mi w oczy... Żalotne. Od dawna podejrzewałem, że ostatnie pożary były twoją

sprawką. A mimo to chciałem cię bronić i przymknąć oko na te drobne podpalenia. I do czego to doprowadziło? No powiedz mi, do czego?!

Stwór z całą siłą przyłożył dłoń do twarzy Tomasza. Skóra zasyczała pod wpływem gorąca i przylepiającej się do policzka roztopionej maski gazowej. Palce wbiły się tak głęboko, że niemal dotknęły kości, a ślina wyparowała z jamy ustnej. Tomasz krzychał i wił się niczym węgorz, ale nie był w stanie uwolnić się z uścisku. Jego paniczny wrzask poruszył konstrukcją budynku tak, że z sufitu opadły osmolone strzępy tynku.

– Zabiłeś nas. Zabiłeś nas wszystkich – z ciemności wydobyły się głosy umarłych. – Zabiłeś nas! Zabiłeś!

Paweł odsunął rękę od twarzy dawnego przyjaciela, spojrzął na stojące w milczeniu widmo strażaka i skinął głową. Ten, jak na komendę, zacisnął dłonie na trzonku topora, wziął zamach i wbił z impetem ostrze w pierś Tomasza. Z ust ofiary trysnęła rzeka krwi. Chwilę później nastąpił kolejny cios, tym razem w brzuch, po którym wypłynęły wnętrzności, a zaraz po nich fala posoki. To jednak nie był koniec agonii...

Spalone monstrum uniosło ramiona i zamknęło oczy, mamrocząc pod nosem niezrozumiałe słowa. W tej samej chwili na podłodze ukazał się ognisty krąg, a jego wnętrze stanowiło przejście do krainy potępionych. Do miejsca, w którym nie ma nadziei, w którym ognie piekielne trawią i palą po wieczność. Tomasz ostatkiem sił uniosł głowę i jedyne, co zdążył zarejestrować, nim zawładnęła nim ciemność, to spalone dłonie grzeszników, które chwyciły go za nogi i pociągnęły w dół.

– Jesteś winien mej śmierci, więc teraz ja wymierzam ci sprawiedliwość. Będziesz cierpiał, będziesz płakał, będziesz prosił o wybaczenie. Lecz nikt nie wysłucha twego wołania. Obyś szczęśliwy i przemienił się w nicość. Tak powiadam, bowiem z prochu powstałeś i w proch się obrócisz...

Paulina Kajocho

Nie płacz, bekso!

Las gęstniał, jakby zapadał się do środka. Dzisiejsze spaghetti bolognese kręciło mi się w brzuchu. GPS przestał działać, telefon zgubił zasięg.

– Honey, przyznaj, że zabłądziliśmy! – Lola piszczała na siedzeniu pasażera, gryząc pięści.

– Ucisz się, kobieto! – Naprawdę starałem się być dla niej miły. – Twoje jęki nie pomogą mi skupić się na drodze.

To miał być zwykły, kilkudniowy wypad. Lola uparła się, żebym w końcu poznał jej rodziców. Po co mnie tam ciągnęła, skoro sama nie pałała do nich miłością? Nie wiem. Zgodziłem się, bo chociaż często mnie irytowała, to gotowała świetnie, nigdy nie narzekała na ból głowy i była wierna jak pies. Mógłbym ją prowadzić na smyczy. Poza tym chciałem spokoju i tyle. Jednak teraz, w ciemnym lesie, mój stoicki spokój ulotnił się jak eter z otwartego naczynia. Lola siedziała wbita w fotel. Z jej drobnej piąstki ciekła krew.

Prowadziłem rżężącą furę przez ciemności. Już przed wyjazdem przyglądałem się mapie. Pamięć wzrokowa podpowiadała, że zaraz powinniśmy wjechać do tunelu,

a tam musiały być jakieś światła. *Może wtedy ta mała przestanie trząść szortami i w końcu się zamknie* – pomyślałem.

Tunel, zaiste, pojawił się. Lampy przytwierdzone do żelbetowych ścian tliły się ostrym, czerwonym światłem, które ledwo oświetlało nam drogę. Raczej patrzyło na nas gniewnie, jak Dzierzba w Grobowcach Czasu. Wskazówka prędkościomierza uniosła się gwałtownie. Po chwili hyperiońskie rubiny znikły, a w ich miejsce pojawiły się smugi światła, bynajmniej nie z powodu prędkości, z jaką jechaliśmy. Miałem wrażenie, że to światło nas goni, smugi rozciągają się i próbują mglistymi mackami złapać starego rzęcha, wyjąć nas ze środka i posłać z powrotem do jądra ciemności.

Jechaliśmy samotnie. Nikogo nie mijaliśmy, nikt nas nie wyprzedzał, mimo że w weekendy droga ta była gęsto uczęszczana przez nowobogackich turystów ze stolicy. Nigdy nie bałem się tuneli i mroku, ale ta leśna ciemność za nami i łuny wokół przyprawiły mnie o gęsią skórkę.

– Dupa! Dupa! Dupa! – Uderzałem otwartą dłonią w kierownicę.

Pip! Pip! Lolka aż podskoczyła na dźwięk klaksonu. Po chwili zwymiotowała na samochodowy dywanik.

Smród spaghetti bolognese i kwasu żołądkowego rozprzestrzenił się po samochodzie.

– Otwórz okno, bo zgniję – powiedziałem.

Lola jedną ręką kręcąc korbką, drugą zasłaniając usta, opuszczała szybę. W tym momencie do samochodu wleciało coś gorszego niż smród niestrawionego do reszty mielonego mięsa – mróz.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że trwało lato. Oniemiałem, dostrzegłszy porastającą szronem przednią szybę, która zaczęła przypominać wielką szalkę Petriego, na której rozmnażały się kolczaste grzyby. Widoczność malała. Schyliłem się, by widzieć asfalt.

– Zamknij to okno, kretynko! – rozkazałem Loli.

Włączyłem nawiew, jednak powietrze resublimowało, zanim zdążyło dotrzeć do szyby. Lodowate cząstki spadały mi na ręce i jak suchy lód w styku ze skórą sprawiały ból do złudzenia przypominający poparzenie.

– Jezu, co się dzieje? – Starąłem się utrzymać dłonie na kierownicy. – Ała! Weź to ze mnie! Lola, wyłącz nawiew!

Nie zwracałem już uwagi na jęki i płacze dziewczyny, chociaż ton jej głosu sprawiał, że nie mogłem się skupić. Ważne, że robiła, co kazałem. Starąłem się opanować sytuację i wydostać nas z tunelu. W górnym lusterku zobaczyłem zbliżające się światła. Ich macki oplotły tylne koła. Wdusiłem pedał gazu.

– Aaaa! – Lolka krzyczała przez łyzy.

– Aaaa! Zamknij mordę! – Uciszałem ją z nogą na pedale. Z mojego gardła również wydobywał się krzyk.

Wycieraczki uruchomiły się same, lecz nie miały szans z mroźnymi grzybami na szybie. Z powodu świetlistych macek mój stary rzęch rozciągał się jak ser na dzisiejszym obiedzie.

– Dupa! Dupa! DUPA! – darłem się.

Pip! Pip! Znów ten głupi klakson.

Rzęch rzeził przeraźliwie. Lola płakała, krzyczała i znowu zwymiotowała, tym razem na deskę rozdzielczą, w której kwas wypalił ślady.

– Jezu, kobieto, coś ty jeszcze jadła? – zdążyłem zapytać z niesmakiem, zanim auto rozpadło się na pół, a jego przednia część uderzyła w coś i zatrzymała się tuż u wylotu tunelu. Odetchnąłem z ulgą.

Otworzyłem drzwi kopniakiem, po czym wyskoczyłem na drogę. Mój gorący wydech kłębuszkował na zimnym powietrzu. Obróciłem się w stronę tunelu.

– Jezu! – powiedziałem, ujrawszy kopię gargulca z Notre-Dame w wersji maks. – Wyrzygało nas!

Maska rzęcha zwinęła się w harmonijkę w wyniku gwałtownego zderzenia z tyłem pokrytego rdzą fiata. Macki tunelowych świateł, wcześniej żadne mordy, teraz były zbyt nieśmiałe, by wyjść z ukrycia. Dosłownie zagrałem im na nosie.

Lola sturlała się z siedzenia i przyczołgała do mnie. Śmierdziała kwasem i sosem bolońskim. Z jej ust kapiała ślina.

– Tu gdzieś powinna być rzeka – powiedziałem, myśląc o tym, by jak najszybciej Lolkę wykąpać.

– Co się stało? Gdzie my jesteśmy? – spytała, przecierając opuchnięte od łez i przekrwione od kwaśnych oparów oczy.

– Kurde, Lolka, nie wiem. Chodź!

Postawiłem dziewczynę na nogi, chwyciłem jej lepką dłoń i pociągnąłem za sobą.

Szliśmy wzdłuż wraków przepołowionych aut. Przez jakiś kilometr drogę oświetlały nam mrugające reflektory oraz jasne gwiazdy, które wyglądały jak zawieszona na niskim sklepieniu choinkowe lampki led. Telefon nadal nie miał zasięgu.

– Gdzie my jesteśmy? – szeptałem do siebie z każdym krokiem, starając przypomnieć sobie obrazy z Mapy Gie, lecz nie rozpoznawałem niczego.

Reklamy na ekranach akustycznych przedstawiały sceny z marnie podrobionych obrazów Boscha, a kilkadziesiąt metrów dalej wisiały już tylko idealnie białe lub idealnie czarne płótna.

– Honey, może wracajmy, co? – Lola ciągnęła mnie za rękaw. – Honey, ja się boję! – Usiadła na poboczu, płacząc jak dziecko, któremu zabrano zabawkę.

Zostawiłem ją tam.

Dobiegła do mnie kilka minut później, kiedy stałem wpatrzony w szarą tablicę z napisem „Witaj w Mieście Łez!”.

Szliśmy dalej, w głąb miasta. Mój zegarek pokazywał noc. Lola smarkała w rękaw cienkiego swetra. Z jej ust wydobywały się kłęby kwaśnego dymu. Smrodek ciągnął się za nią jak odór bezdomnego w poznańskim tramwaju. Zaciśnąłem nos palcami, ale moje nozdrza przesiąkły fetorem Loli. *Rzeka* – pomyślałem, rozglądając się na boki. – *Tu gdzieś musi być rzeka. Jak tylko ją znajdę, to Lolkę utopię!*

Jednak rzeki nigdzie nie było. Ekran akustyczny przekształcił się w żywoplot, lampki led przyłączone do sklepienia znikły, a w ich miejscu pojawiły się ciężkie chmury prześwietlane przez rozszczepione w wilgotnym powietrzu światło księżyca.

– Honey, dlaczego ty jesteś czarno-biały? – Lolka zapytała nagle.

– Co? Chyba kwas ci wyzał mózg – skwitowałem, nawet na nią nie spojrzawszy.

Szliśmy dalej. Zdążyłem już nawet zapomnieć o poszukiwaniach rzeki, której nieruchoma powierzchnia wyłoniła się zza niskich krzewów. Woda była biała, a piasek szary, tak samo jak niskie bloki po drugiej stronie. *Przecież w nocy wszystko jest takie* – pomyślałem, bijąc się otwartą dłonią w czoło.

– Lolka, chodź. Musimy cię gdzieś wykapać. Strasznie śmierdzisz, wiesz?

Boże, jak tę dziewczynę łatwo było zranić do żywego.

Jej płacz niósł się między domami z papieru. Miasto było puste. Błąkaliśmy się, szukając jakiegoś hotelu, posterunku policji, szpitala, czegokolwiek, gdzie ktoś powiedziałby nam, co to za miejsce i jak się stąd wydostać. Czegoś, gdzie Lola mogłaby się umyć. Ale wokół stały tylko wysokie mieszkalne pudła po parapety zasypane drobnym... piaskiem? Trudno było określić bezbarwne drobinki. A i mróz, który dokuczał nam w tunelu, nie dręczył nas już więcej.

– Halo! Halo! – Lolka wołała w stronę wyciętych okien.

W jednym z kartonowych bloków dostrzegłem kogoś za szybą. Biała, rozwałkowana jak ciasto na pierogi twarz, z której wyrastały oczy przypominające żuki. Ktoś na nas patrzył zza foliowej zasłony. Kiedy Lolka pomachała w kierunku postaci, ta natychmiast schowała się.

– Chyba nas tu nie lubią. – Wzruszyła ramionami.

Wyjąłem telefon z kieszeni i usiłowałem złapać zasięg. Bezskutecznie. Dopiero po chwili uzmysłowiłem sobie, że

ekran mojego smartfona jest czarno-biały. Galeria zdjęć też taka była. Odwróciłem się za siebie, by lepiej przyjrzeć się mojej dziewczynie.

– O w dupę, Lolka. Ty też jesteś czarno-biała!

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– No przecież mówiłam, głupolu.

Błądziliśmy po mieście jeszcze kilka godzin. Nieustannie próbowałem nawiązać kontakt ze światem. Nad ranem bateria w telefonie padła. Lolka chodziła za mną, czasem nawet na czworakach jak bezpański pies. *Gdyby tak w domu lubiła padać na kolana* – rozmarzyłem się.

Tego, że nastał dzień, musiałem się domyślić. Niebo przybrało odcienie przyprószonej sadzą bieli, a ludzie z domów z kartonu wyszli na ulice.

Z nadzieją podbiegłem do pierwszego napotkanego przechodnia.

– Przepraszam! – Poklepałem nieznajomego w ramię. – Czy może nam pan pomóc?

Założyłem, że był mężczyzną. Twarz nieznajomego wyglądała podobnie do tej, którą w nocy widzieliśmy w oknie. Tylko ten gębę miał obrzydliwie okrągłą, a żuki były zaklejone opuchniętymi powiekami. Jakby facet przepłakał całą noc.

– Tak? – zapytał przeciągle, strzepując przy tym biały proszek z policzków.

Odsunąłem się od niego.

– Czy może nam pan powiedzieć, co to za miasto? Mieliśmy wypadek, a mój telefon nie działa. Szukamy hotelu, policji, szpitala. Czegokolwiek.

Zmęczone żuki na twarzy obcego wlepiły się we mnie.

– Ale coooo? – zaśpiewał chyba-mężczyzna.

Westchnąłem.

Ani jeden przechodzień nie potrafił lub nie chciał nam pomóc. Na domiar złego Lolka była głodna. Siedziała na krawężniku i kołysała się jak osierocone dziecko.

– Dobra, Lolka, chodź. – Podałem jej rękę. – Pójdziemy za tymi ludźmi. Może znajdziemy jakiś market.

Poszliśmy za stadem. Mały tłum opuchniętych gąb zaprowadził nas do osiedlowego spożywczaka.

– Honey, a wczoraj go tu nie było – zauważyła Lola. Oczy jej się świeciły na widok wystawy pełnej wyrobów cukierniczych.

– Nie wiem, Lolka, tu wszystko wygląda tak samo – powiedziałem i przepuściłem ją w drzwiach.

Dziewczyna rzuciła się na półki. Dorwała pierwszego z brzegu pączka i zaczęła go lizać.

– Honeyyyy! – zapiszczała ze skrzywioną miną, odsuwając pączka od ust. – Honeyyyy, to jest słone! – Splunęła na podłogę.

Płakała pod wystawką z ciastami, zwracając na siebie uwagę innych klientów, którzy szeptali między sobą.

Rozejrzałem się po sklepie i aż przetarłem zaspane oczy. Niemal na wszystkich półkach stały wiaderka z solą i woda. Ostrożnie wziąłem jeden z wyrobów i spróbowałem.

– Masa solna – stwierdziłem z niesmakiem. – Lolka, nie becz, idziemy!

– Ale ja jestem głodnaaaa! – dziewczyna darła się na cały sklep.

Oczy wszystkich zwróciły się w naszą stronę.

– Ucisz ją! – krzyknęła jakaś chyba-baba.

Coś mówili, ale już nie zwracałem uwagi na słowa. Po chwili wrzaski umilkły, a z oddali dobiegła muzyka.

Nim Axl Rose zaśpiewał refren, gębiarze rzucili na ziemię niedokończone zakupy (słone paluszki, wiaderka soli, lizaki solne) i w panice wybiegli ze sklepu.

Wyszliśmy na zewnątrz. Miasto w kilka chwil opustoszało. Wszyscy schowali się w swoich kartonach. Tylko w małych oknach widać było blade, opuchnięte twarze, a wiatr niósł drobinki i słowa piosenki.

Przed sklepem Lolka pociągnęła mnie za rękaw.

– Honey, patrz! Coś jedzie!

– Pług śnieżny! – krzyknąłem uradowany. W końcu jakaś oznaka nowoczesności.

Cieszyłem się tak bardzo, że chciałem Lolkę przytulić, jednak gdy na nią spojrzałem i zobaczyłem opuchniętą od płaczu twarz, małe oczka i przyprószone chyba śniegiem włosy...

– Zaraz! Lolka! To nie śnieg! – olśniło mnie. – Te hałdy to sól!

Lolka wlepiła we mnie zdziwione oczy, które coraz bardziej upodabniały się do żuków. *Utopię ją w rzece albo wrzucę pod samochód* – pomyślałem. – *Muszę się Lolki pozbyć, zanim stanie się opuchniętą gębą.*

Odśnieżarka przejechała obok nas. Na dachu miała zamocowane głośniki, reflektory mrugały, a szeroka trąba z przodu wciągała solne zaspę. *Myśl, chłopie, myśl!* – Biłem się pięścią w czoło.

Lolka stała wpatrzona w odśnieżarkę Miasta Łez.

– Chodźmy za nią! – powiedziała nagle. – Na pewno wysypuje te łzy do rzeki!

Spojrzałem na Lolkę, szczerze zdumiony jej pomysłem.

– Możliwe, mała, idziemy!

Nie miałem pojęcia, jak wydostać się z miasta, ale przynajmniej smrodu mogłem się pozbyć.

Biegliśmy za pojazdem w rytm piosenki. Po drodze zaczął padać deszcz. Domy z papieru rozpływały się jak zegary na obrazach Salvadora Dalego. W dole okazało się, że rzeka nie była rzeką, a długim jeziorem rozciągniętym wzdłuż miasta.

Lolka miała rację. Odśnieżarka wypluwała sól przez rzygacze umieszczone nad kołami do, jak informował napis na tabliczce, Martwego Jeziora.

Kiedy machina skończyła pracę, z kabiny pomachał do nas okrągłogęby kierowca. W przeciwieństwie do innych mieszkańców, kolor jego oczu można było odróżnić. Świeciły rubinowym światłem. Niemal popuściłem w spodnie, a Lolka z uśmiechem pomachała kierowcy.

Silnik odśnieżarki zawarczał kilka razy. Kierowca włączył tę samą piosenkę, wyszczerzył białe zęby i odjechał zbierać sól.

Lola siedziała na głazie solnym. Chyba chciała obmyć stopy, ale gdy woda wdarła się w drobne rany, dziewczyna pisnęła i szybko włożyła buty. Kręciła się później przy brzegu, a ja układałem w powietrzu niewidzialną kostkę Rubika. Kiedy każda ścianka miała już odpowiedni kolor, oświeciło mnie. Wstałem gwałtownie i wycelowałem palcem w Lolę.

– To przez ciebie!

Obróciła się powoli. Zauważyłem, że jej skóra w kilka godzin straciła elastyczność. Ręce i nogi Loli przypominały wysuszone łądygi polnych ziół.

– Co ty mówisz, Honey? – zapytała, a ja już widziałem w jej oczach łzy.

– To przez ciebie, bo ciągle beczysz! – Podeszedłem bliżej, żeby dobrze mnie słyszała.

– Ale Honeeeeyyy... – Rozpłakała się na dobre. – Ale ja cię kochaaaam! – Ledwo rozumiałem jej bełkot.

Lola pociągała nosem, przepraszała, chciała przytulić.

Odepchnąłem ją.

– Nadal śmierdzisz, wiesz? – powiedziałem szorstko. – Chyba pora na solidną kąpiel.

Przerzuciłem ją przez ramię jak worek z mąką.

– Nieee! – Drobnymi pięściami biła mnie w plecy.

Lolka nie umiała pływać nawet w Martwym Jeziorze. Zachłysnęła się wodą, sól wdarła się w rany, panika pozbawiła ją tchu. Wątłe ciało unosiło się na powierzchni, a ja patrzyłem na nie wielkimi jak żuki oczami.

– Dupa! Dupa! Dupa! – Waliłem pięścią w sól. Przecież nawet lubiłem tę małą dziwkę.

Don't you cry...

Zamarłem, kiedy znów usłyszałem tę piosenkę.

Odśnieżarka Miasta Łez była coraz bliżej. Czułem na plecach nieprzyjemne dreszcze, biegnące jak stado robaków. Starałem się powstrzymać łzy, ale widok martwej Lolki wyciskał je z moich czarnych oczu.

Don't you cry – śpiewał Axl, a ja kiwałem się jak osierocone dziecko. Próbowałem zamknąć oczy, by nie widzieć Loli, ale po prostu nie mogłem zacisnąć powiek. Ciało dziewczyny kołysało się jak łódź, której żagle smagane były wiatrem.

Don't you cry tonight

There's a heaven above you, baby...

Zbliżała się. Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniej. Nie byłem w stanie się ruszyć, zasłonić oczu, zatkać uszu. Pęczniejące w oczodołach robale podtrzymywały powieki.

And don't you cry!

Była tuż za mną. Na brzegu. Niemal czułem na skórze ciepło rubinów.

– Nie płacz! – udało mi się odezwać, choć gęsty glut zalepił mi gardło. – Nie płacz, bekso, nie płacz!

Marek Kolenda

Za ciemną doliną

W środku nocy budzą mnie ludzkie głosy. Nie jest to jednak łagodny śpiew dzikich mieszkańców lasu, który słyszę czasem, gdy płasają w pobliżu, wznosząc swoje bluźniercze modły do gwiazd. Zza drzwi chaty dobiega stanowczy głos starca i drugi, młodzieńczy, wyraźnie wystraszony.

Więc to dziś – uświadamiam sobie i ponownie zapadam w letarg. Ciało nie słucha mnie od dawna, krzyż ciąży na szyi bardziej niż zwykle. Nie zdołam i nie chcę uciekać. Jeśli już, to do pachnącej deszczem przeszłości, gdziekolwiek się ona zawieruszyła.

I nagle wokół mnie wybucha ogień, a jego płomienie wdzierają się gwałtownie do wnętrza chaty, każdą szczeliną w ścianach, każdą szparą w podłodze.

Powietrze pali w płucach, lecz fale gorąca tylko muskają pozbawioną czucia skórę ciepłym podmuchem. Zaciskam powieki i wracam myślami do mojej wsi na końcu drogi. A może tylko w jej połowie?

W dzieciństwie matka często powtarzała, że wielki świat to nie miejsce dla takiego chłopca jak ja. A ojciec straszyl opowieściami o ludziach ze wsi, którzy zniknęli na trakcie prowadzącym do naszej osady.

Byłem smarkaczem i wierzyłem w takie historie.

Gdy podrosłem, zacząłem podejrzewać, że w ten sposób rodzice próbowali mnie zatrzymać przy sobie. Chciałem wierzyć, że kierował nimi strach o jedyne go syna, ale domyślałem się, że przede wszystkim kierowała nimi obawa o własną przyszłość. Potrzebowali pomocy w gospodarstwie, może liczyli, że zajmę się nimi na starość?

Teraz, kiedy poznałem część prawdy, śmieję się z tych podejrzeń. Lecz za młodu, karmiony opowieściami ojca, lękałem się wielkiego świata i do czternastych urodzin nie wychylałem nosa z doliny. Podobnie jak reszta dzieciaków. Bały się tak samo jak ja, straszone przez swoich rodziców opowieściami o złym wielkim świecie na zewnątrz naszego małego świata.

Po szkole pomagaliśmy w polu albo ganialiśmy po sadach i pastwiskach, chowaliśmy się w stodołach, wysokiej trawie nad rzeką, stogach siana latem. Czasem tylko zapędzając się na polanę pod lasem, gdzie płynął strumień.

Ale nigdy dalej.

Las otaczający kilkanaście gospodarstw był zbyt ponurym miejscem na zabawy. Pochłonał więcej istnień, niż plaga powracająca w te strony raz na jakiś czas.

Jeszcze gorzej miały się sprawy z leśną drogą.

Pamiętam niedzielny poranek, gdy całą hałasą pierwszy raz spróbowaliśmy poszerzyć nasz światek, ograniczony z czterech stron lasem i dziecięcym strachem.

Ubita droga, która długimi milami ciągnęła się przez ciemny bór z północy na południe, na wysokości wioski wiodła za wąskim pasem drzew. Równoległe do rzeki, na której brzegach rozpościerały się pola, pastwiska i osada. Z leśnego traktu prowadził do nich zjazd przez wycinkę.

Rzeka wypływała z lasu i znów do niego wpływała, a pod dachem gęstej roślinności jej wody ciemniały, strasząc wirami i prądami. Znałem wiele strasznych opowieści o rzece. O mieszkającym w niej wielkim sumie Jonaszu, który był w stanie połknąć dorosłego mężczyznę. O oparach mgły duszących zwierzęta szukające wodopoju oraz podwodnych trawach, które oplatały kostki nieuważnych wędkarzy i wciągały ich pod ciemną powierzchnię.

Przy drodze, półtorej mili na północ, stała kapliczka z krzyżem. Podobno żaden z dorosłych, którzy wyruszyli dalej w tamtą stronę, nigdy nie wrócił. Pochłonęły ich cuda wielkiego świata.

Rozmów o kierunku południowym zakazano.

Przydrożna kapliczka była więc końcem bezpiecznej krainy. Nigdy nie próbowaliśmy zapuszczać się dalej i nawet do krzyża najodważniejsi z mieszkańców osady chadzali tylko za dnia. Odległy koniec traktu opisywali potem jako niewyraźny, zamglony punkt wśród ciemnej zieleni.

Tamtego poranka było nas sześciu, chcieliśmy zrobić coś szalonego i w grupie czuliśmy odwagę dorosłego mężczyzny. Ulepioną z chłopięcej brawury, ciekawości

oraz skomplikowanego splotu wstydu i rywalizacji. Pchani tą odwagą przeszliśmy drogą około ćwierć mili.

Na południe.

Okazało się, że i tutaj stała kiedyś kapliczka. Teraz spróchniała, zapadła się i zarosły ją pokrzywy, a drewniany krzyż ktoś połamał.

Przystanęliśmy, czując, jak z każdą chwilą wycieka z nas cała odwaga. Wtedy, gdzieś na końcu drogi, zamajaczył rozmazany, drgający punkt. I z pewnością zbliżał się w naszą stronę.

To nie był czas wizyty domokrażcy i nikt ostatnio nie umarł. Uciekliśmy więc stamtąd, zanim niewyraźny, jakby tańczący na drodze obiekt nabrał kształtów.

Serce mojego ówczesnego świata stanowił zatem dom rodzinny. Skromny, dwuizbowy, stojący nieco na uboczu.

Z frontowych okien miałem widok na murowany kościółek kryty gontem i bieloną wapnem świetlicę, w której toczyło się życie wsi: szkoła, tańce i zebrania rady.

Ksiądz, który mieszkał w kościelnej przybudówce, był starym i zgorzkniałym człowiekiem. Ludzie mówili otwarcie, że za dużo pije. I że jego wiary nie starcza już nikomu. Jednak nadal każdej niedzieli odprawiał msze, na które przychodziła garstka wiernych. Ja z moim ojcem nie opuściłem żadnej, a jedna z nich prawdopodobnie odmieniła moje życie.

Nie umiem powiedzieć, o czym stary i wiecznie pijany ksiądz opowiadał tamtym razem. Ale w pamięci utkwiał mi

fragment psalmu, którym zakończył kazanie: *Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza. Stół dla mnie zastawiasz wobec mych przeciwników; namaszczasz mi głowę olejkami*¹.

Pamiętam również, że czytając te słowa, płakał.

Dorastałem i odkrywałem powoli, że miejsce, w którym żyję, robi się dla mnie za ciasne.

Coraz częściej wyobrażałem sobie daleki świat gdzieś na północy – miasta, morza i góry, znane mi jedynie z ilustracji w starym podręczniku.

To wszystko czekało na końcu drogi. Czułem niepokojący zew i jednocześnie bałem się jak diabli.

Z czasem zacząłem zastanawiać się nad swoją przyszłością i podobnie jak reszta hałastry zauważyłem w końcu poważny problem mający na horyzoncie wieku dojrzenia. W wiosce mieszkała tylko jedna dziewczyna w zbliżonym do nas wieku. Jedyna kandydatka na przyszłą żonę na całą naszą szóstkę. Córka nauczycielki, Anna.

Nie była piękna. Nie była nawet ładna. Miała długi nos i rzadkie włosy koloru kurzu, ale nie mogłem przestać o niej myśleć. Nasze młode serca były dla Anny, choć wiedzieliśmy, że pokocha tylko jednego z nas, a pozostali będą musieli odejść i szukać szczęścia gdzie indziej lub zgorzknieć w samotności.

¹ Psalm 23, Księga Psalmów, Biblia Tysiąclecia 1999.

Byłem pewny, że zrobię dla niej wszystko. Podobnie reszta chłopaków. I Anna o tym wiedziała. Wkrótce przekonałem się jednak, jak bardzo się wszyscy myliliśmy.

Bawiła się nami, zwodziła, a my spełnialiśmy jej zachcianki. Aż pewnego razu, pchani nadzieją i zgodnym porywem serca, poszliśmy za nią leśną drogą aż do południowej kapliczki.

Nawet tego było jej mało.

– Który pójdzie ze mną dalej? – zapytała ku naszemu przerażeniu.

Patrzyliśmy po sobie, lecz żaden się nie ruszył.

Wciąż czekała, a z każdą chwilą na jej twarzy było coraz mniej pewności siebie. Nie wiem, czy z powodu drogi, czy bardziej chodziło o nas. O nią. O to, co właśnie utraciła.

– Tchórze – stwierdziła w końcu ze smutkiem i ruszyła przed siebie.

Staliśmy długo, otepiali ze strachu i wstydu. A ona szła dalej sztywnym krokiem i ani razu się nie obejrzała.

Wtedy widziałem ją taką po raz ostatni.

Latem następnego roku do wsi zajechał domokrążca. Akurat w moje piętnaste urodziny, ale pamiętam ten dzień z innego powodu – była to pierwsza wizyta handlarza, jaką oglądałem na własne oczy. Wcześniej, kiedy dzwonił kościelny oznajmiał przybycie gości z wielkiego świata, rodzice zamykali mnie w domu.

Jakże więc byłem rozczarowany, gdy przybyszem okazał się łysiejący starzec w brudnych łachmanach. Siedział na

zydłu, przygarbiony, przyglądając się nam z niechęcią w oczach ukrytych głęboko pod krzaczastymi brwiami.

Powitali go ksiądz i kowal, który był również wioskowym medykiem. Za nimi stanęło dwóch mężczyzn – jeden z widłami, drugi z płonąłą pochodnią, mimo że słońce stało wysoko na niebie.

Starzec nie zszedł z wozu, dopóki nie odpowiedział na pytania. Najpierw kowala, potem księdza.

Nie zabawił długo. Miejscowi opróżnili jego wóz z garnków, narzędzi i podobnych rupieci. W ich miejsce handlarz załadował beczułki z wiosennym winem i inne wiktuały.

Przez cały ten czas wodził znudzonym wzrokiem za Michałkiem, najmłodszym synem sąsiada, który bawił się w kałuży przed kościołem.

Gdy handlarz zbierał się do odjazdu, rodzice przyprowadzili małego rudzielca w krótkich spodenkach i posadzili obok domokrażcy. Michałek wyglądał na bardziej zdziwionego tym wszystkim niż przestraszonego.

Pobiegłem za nimi aż na leśną drogę. Malec obejrzał się tylko raz, kiedy mijali kapliczkę. Pewnie przez chwilę był z siebie dumny, lecz wóz jechał dalej i dalej, aż zniknął wśród cieni na końcu drogi.

Sąsiedzi nie uronili jednej łzy. Miałem wrażenie, że na twarzy matki Michałka dostrzegłem ulgę.

Kilka tygodni później zjawiała się Anna. Spotkałem ją, spacerując nad strumieniem z naszym psem, Kefasem.

Najpierw usłyszałem cichy śpiew. Potem wśród drzew dojrzałem dziewczęcą postać.

Była jakaś inna. Jej oczy wyglądały jak zamglone, skóra zszarzała, a usta miała ciemne jak leśne jagody. Zdawało mi się nawet, że wyładniała, ale gdy wpatrywała się we mnie uporczywie spomiędzy liści, od jej dzikiej urody cierpła skóra.

Ubrana była wciąż w tę samą sukienkę, którą zapamiętałem owego słonecznego poranka na drodze. Teraz już zbyt ciasną, ściśle opinającą talię i z przykrótkimi rękawami.

Na jej widok Kefas nastroszył sierść i zaczął warczeć, nie ruszając się z miejsca.

Wtedy Anna przestała śpiewać, zwymiotowała na dłonie gęstą, czarną mazią, i zaczęła wcierać ją w korę drzewa, a ja uciekłem co sił w nogach.

Wróciłem tam dopiero późnym popołudniem i znalazłem truchło kota, do którego zwabiło mnie głośne bzyczenie much. Futro posklejane było smolistą breją, podobnie upaprany miał pyszczek. Bałem się go dotknąć, więc tylko trąciłem martwe zwierzę patykiem. To był jedyny ślad po mojej Annie, jednak czułem do niego obrzydzenie, a wystraszony Kefas omijał kota szerokim łukiem.

Po obiedzie opowiedziałem matce o spotkaniu nad strumieniem i zapytałem, czy tak wyglądają ludzie chorzy na zarazę. Roześmiała się wtedy głośno.

– Nie – odparła. – Ludzie chorzy na zarazę wyglądają zupełnie inaczej.

– Gorzej? – zapytałem.

Przytaknęła i wyjaśniła mi, że szara skóra i czarne usta są normalne u mieszkańców leśnej osady, którzy

żyją w głębi lasu, jedzą jagody i unikają słońca. I że nie chciałbym zobaczyć człowieka dotkniętego przez plagę. Na koniec chwyciła mnie za ramię i ścisnęła, aż zabolalo.

– Zapomnij o niej, synku. Na zawsze.

Potem pogoniła mnie do sprzątanania, a sama stanęła w drzwiach, wpatrując się w ciemny las za strumieniem. Widziałem jej zbieleiałe palce zaciśnięte na framudze i to, że w popołudniowym słońcu twarz matki zdawała się szara.

Już wkrótce okazało się, że matka miała rację. Plaga była o wiele gorsza. Nie tylko w zasłyszanych opowieściach, które powtarzaliśmy szeptem z dala od dorosłych.

O tym, że ludzi dotkniętych tym plugastwem ogarnia szaleństwo. Że zarażeni wykrawali kawałki własnych ciał, by się pożywić. Okaleczali, wycinając dziury, przez które sięgali po wnętrzności, a potem wpychali je sobie do ust. Pili własną krew wprost z otwartych żył.

Bo kiedy zaraza zjawiła się w naszej wsi, zobaczyłem jeszcze gorsze rzeczy.

Zaczęło się zupełnie niespodziewanie, gdy przed obiadem zjawił się u nas kowal. Staął w progu z ponurym obliczem, a ojciec i matka o nic nie pytali.

Przebrali się, zabrali niezbędne akcesoria i poszli za kowalem. Był naszym medykiem i widać potrafił rozpoznać zarazę, zanim rozpocznie się cały ten obłęd z wyciąganiem wnętrzności.

Pobiegłem za nimi.

Przed świetlicą zebrał się już spory tłum. Wszyscy odziani w gumowe płaszcze, trzymane na takie okazje głęboko w kufrach, z twarzami obwiązаныmi wilgotnymi szmatami.

Na ten widok ksiądz schował się w kościele i zarygłował drzwi.

Następnie poszli po Tomasza, męża naszej nauczycielki. Kiedy wracali, mój ojciec i brat kowala nieśli ogłuszonego mężczyznę za ręce i nogi. Ich żony, w tym moja matka, ubrane w gumowe rękawice wysmarowały Tomasza olejem. A potem mężczyźni rzucili go na ziemię i kowal przystawił do zakrwawionej głowy nieprzytomnego mężczyzny płonąca pochodnię.

Pamiętam, że Tomasz zerwał się na nogi i śmiał opętańczo, gdy ogarnęły go płomienie, a ojciec z bratem kowala zapędzili go widłami na skraj lasu. Tam Tomasz wyzionął ducha.

Kilka dni później podobnie śmiał się brat kowala, Mateusz, gdy płonął żywcem, a ojciec z naszym sąsiadem dźgali go widłami. Śmiała się żona Mateusza, zagnana aż pod drzewa za strumieniem, gdzie szczyła w płomieniach.

I tylko ich syn, Marek, mój najlepszy przyjaciel, nie śmiał się wcale. Wrzasnął z bólu, krótko i przeraźliwie, kiedy ogień buchnął wokół głowy i po chwili zajął całe ciało. Pewnie pękło mu serce, bo skonał w ciszy.

Wyłem wtedy najgłośniej z całej halastry, próbując zagłuszyć płaczem strach i wątpliwości.

Gdy już skończyli palić ludzi, kowal poszedł podpalić domy Tomasza i Mateusza. Nikt nawet nie zapytał o babkę Marka, której od dawna nikt nie widział, bo nie wstawała z łoża.

Podobno tego roku zaraza była łaskawa dla naszej wioski. Pochowaliśmy tylko pięć osób.

Po pogrzebie poszedłem za ojcem i ukryty w krzewach tarniny podsłuchałem jego rozmowę z kowalem.

Wspominali poprzednią plagę sprzed kilkunastu lat, która zabrała jedenastu mieszkańców. Mówili, że wkrótce potem na wozie domokrażcy przybyło siedmioro nowych osadników, w tym moja matka.

Rodzice nie pozwalali pytać o Marka, swoją przeszłość czy los Michałka. Nawet o zarazę i ludzi z lasu. Najczęściej mnie zbywali, odsyłając do pilnych zajęć. Bywało, że ojciec słał groźne spojrzenia lub nawet straszył pasem. Po odpowiedzi udałem się więc do księdza.

Nie chciałem, żeby pomyślał, że szukam spowiedzi. Usiadłem więc przed kościołem, czekając, aż mnie zauważy.

Zjawił się po niedługim czasie. Otrzepał sutannę i przysiadł na drewnianej ławie tuż obok. Od razu poczułem woń alkoholu.

– Chcesz mnie o coś zapytać, prawda? – Głos wyraźnie mu drżał.

Długo milczałem. Miałem wiele pytań, ale domyśliłem się, że mogę zadać tylko jedno i powinno być właściwe. Wreszcie je odnalazłem.

– Czy jest tutaj Bóg?

Westchnął ciężko i spojrzał na niebo zasnuwane chmurami. Jego słowa zapamiętałem na całe życie.

– Bóg czuje obrzydzenie do tego miejsca, chłopcze, i trzyma się od niego z daleka.

Na koniec uśmiechnął się smutno i dodał:

– Nasza jedyna pociecha w tym, że Szatan nie ma o nim pojęcia.

Kilka dni później moja matka, która czasem sprzątała w kościele, znalazła go martwego.

Powiesił się na belce dachowej, twarzą w twarz z Chrystusem na krzyżu, wiszącym nad ołtarzem.

Ludzie mówili potem, że był słaby, że stchórzył i opuścił ich w potrzebie. Ja jednak myślę, że swoją śmiercią chciał przyciągnąć czyjąś uwagę.

Mimo że nikt we wsi nie darzył starego księdza wielkim poważaniem, gdy go zabrakło, mieszkańcy osady zdawali się mocno zaniepokojeni. I przestraszeni.

Wkrótce nadeszły chłodniejsze dni. Wiele z nich deszczowych. Las za strumieniem spowiła mgła. Wieczorami przy zjeździe na leśną drogę nieustannie czuwało dwóch mężczyzn z pochodniami. Nie byłem pewny, czy strzegą osady przed niechcianymi gośćmi, czy pilnują, żeby nikt jej nie opuścił.

Mijały kolejne tygodnie. Popołudniami ludzie zamykali się w swoich chatach. Ustały zabawy i sąsiedzkie wizyty. Ja przez większość czasu pomagałem ojcu w gospodarstwie.

Nowy ksiądz przyjechał pewnego jesiennego dnia jednokonną bryczką. Zjawił się o świcie, zupełnie bez zapowiedzi, w szarych strugach deszczu.

Nie wiadomo kto i jak go wezwał, jak dowiedział się o śmierci poprzednika ani skąd przybył. Sam wyładował ciężką skrzynię podróżną i nie rozmawiając z nikim, zajął pokój w kościelnej przybudówce.

Nawet ja poczułem się rażniej.

Jakiś czas później, w pobliżu domu znalazłem martwego Kefasa. Leżał pod płótem, umazany gęstą czarną substancją. Powinienem go przytulić, zanieść do domu, ale bałem się i brzydziłem. Stałem więc i płakałem nad truchłem, zaciskając pięści. Potem pobiegłem do matki.

Chciałem jej o tym opowiedzieć, ale zaglądając przez okno, zauważyłem, jak splunęła czarną śliną do gotowanej zupy i zamieszała w garnku drewnianą chochlą.

Wycofałem się na palcach, a serce łomotało w mojej piersi jak kowalski młot.

Kiedy wróciłem w miejsce, gdzie zostawiłem Kefasa, truchła już nie było.

Przy obiedzie nie tknąłem zupy. Pytania ojca zbywałem, wykręcając się brakiem apetytu. Przez cały czas matka przyglądała się nam dziwnym wzrokiem. Rozgniewany ojciec wygonił mnie od stołu.

Wieczorem przyszedł do sypialni z pasem w dłoni i sprzął mnie na kwaśne jabłko, a ja uciekłem z domu.

Słyszałem potem z ukrycia, jak na przemian woła moje imię i przywołuje Kefasa. Żaden z nas nie odpowiedział.

Coś wtedy pękło we mnie i zapragnąłem znaleźć się jak najdalej od miejsca, które do tej pory uważałem za cały

swój świat. Gnałem co sił w nogach przez wieś, później zjazdem wśród drzew, na leśną drogę. I dalej, na północ, zaciskając pięści i zęby, aż minąłem kapliczkę.

Potem biegłem jeszcze chwilę, zaciskając powieki. Kiedy je uniosłem, z trudem łapiąc oddech, dotarło do mnie, co zrobiłem, i rozejrzałem się wokół ze strachem.

Na obu kresach drogi dostrzegłem zamglone, wypukłe punkty. Zupełnie jakbym spoglądał przez niewłaściwy koniec lunety. Zdawały się poruszać ku mnie, napierać, nawet gałęzie uginały się w moją stronę. Nie wiem, jaki wiatr mógł wyczyniać takie sztuczki.

Czułem, że coś się zbliża. Jakby z obu stron traktu wielkie tłoki pchały przed sobą powietrze, unosząc opadłe liście i poganiając motyle. Oba końce drogi zdały się teraz bliższe i pomyślałem wówczas, że nie jest to jedna i ta sama siła, że są sobie obce i przeciwne. I że ścigają się teraz, która dotrze do mnie pierwsza.

Gdy lodowaty powiew natarł z obu stron naraz i poczułem, że jeżą mi się włosy, opuściłem pospiesznie drogę i wbiegłem między drzewa. Za plecami usłyszałem tylko żalony jęk powietrza, a potem skrzypienie konarów poruszonych wiatrem.

Długo błądziłem, potykając się o korzenie. Na przemian wołając o pomoc i płacząc. Spałem na wilgotnej ściółce, spragniony spijałem rosę z liści, a gdy zgłodniałem, pożywiałem się jagodami.

Nawet za dnia las był ciemny i groźny, pełen dziwnych dźwięków. Czasem słyszałem dochodzący z oddali śpiew. Z obrzydzeniem zauważyłem, że wiele pni drzew umazanych jest czarnym paskudztwem.

Po trzech dniach znaleźli mnie ludzie z leśnej osady. Nie mieli ciemnych ust i pustych spojrzeń, dlatego nie uciekłem, kiedy jeden z nich odgarnął paprocie, pod którymi się skryłem.

– Chodź – powiedział, wyciągając dłoń. Zadrzałem, gdy zauważyłem, że brakowało w niej dwóch palców.

Zaprowadzili mnie do małej osady w lesie, otoczonej pasem wykarczowanej ziemi i wysoką palisadą. Żyło tam kilkanaście rodzin, a ja zamieszkałem w domu Szymona – starego mężczyzny bez palców, który był niegdyś pastorem.

Ich gościnność mogła budzić podziw, jednak, gdy ochłonałem, zapragnąłem wrócić do domu. Wypytywałem o leśny trakt, tłumaczyłem, że ledwie kilka dni drogi stąd, za przydrożną kapliczką, znajduje się moja wioska. Patrzyli dziwnie, kręcili głowami, szeptali między sobą, ale żaden z nich nie odważył się zaprowadzić mnie do domu.

Wtedy zwątpiłem, czy naprawdę chcę wracać. Do matki, która miała swoje tajemnice. Do surowego ojca, który spalił mojego przyjaciela. Do świata, gdzie nie było już Anny, kazań starego księdza ani mojego wiernego Kefasa.

Nie miałem po co wracać. A z czasem przywykłem do prostego życia wśród leśnych osadników.

Polowali, zbierali leśne owoce i łowili w płytkiej rzeczce, która wiła się wśród drzew. I nigdy nie wychodzili poza ogrodzenie po zmierzchu.

Nieraz, w środku nocy, zrywaliśmy się ze snu na dźwięk dzwonka. Mężczyźni chwyтали wtedy za widły, zapalali pochodnie i biegli co sił do bramy.

Za nią, pomiędzy ciemnymi pniami, snuły się blade postacie o szarych obliczach i ciemnych ustach, które nuciły niezrozumiałą i pełną bólesci pieśń. Ich wyblakłe oczy przyglądały się nam z zawiścią. A może to była zazdrość?

– Nie mają Boga w sercach – powiedział Szymon pewnej nocy, gdy czuwaliśmy przy palisadzie.

Milczałem, pochłonięty własnymi myślami. Kim byli dzicy ludzie, skoro wszystkie te oblicza wydawały mi się jakby znajome?

Nadaremnie jednak wypatrywałem wśród nich Anny.

Domokrażca, który odwiedzał tę osadę kilka razy w roku, był rudym, pulchnym gadułą. Słyszałem, że nigdy nie zapuszczał się dalej na południe, w moje rodzinne strony. Lecz gdy ujrzałem go po raz pierwszy, przystanął jakby zdumiony moim widokiem.

Jego spojrzenie, twarz i ognista czupryna mi też wydały się znajome. Unikał mnie potem i zbywał podczas kolejnych, rzadkich wizyt. Jeśli nawet był tym chłopcem, którego znałem przed laty, to teraz wyglądał na mężczyznę w wieku mojego ojca.

Nadeszły mnie wtedy wspomnienia, wrócił żal, że nikt mnie nie szukał, a jeśli nawet szukał, to nie starczyło mu zapału. Może rodzice nie wierzyli w mój powrót z wielkiego świata? A może uznali, że zginąłem pierwszej nocy w lesie?

Czasem, gdy podchodziliśmy w pobliże drogi, jako jedyny wychylałem się z lasu, by spojrzeć na jej rozmazane końce. Gdzieś tam, na południu, była moja wioska.

Częściej spoglądałem jednak w drugą stronę.

Pewnego dnia zapytałem Szymona, dlaczego przestał być pastorem i dowiedziałem się czegoś nowego o świecie.

Podrapał się po okaleczonych uszach, przyciętych podobnie jak palce, ale odpowiedział bez wahania.

– Nie czuję już żadnej mocy stojącej za mną. Nie wspiera mnie żadna siła i nie ma przy mnie światła, które rozprasza mrok. Myślę, że jesteśmy za daleko od Boga. W mieście to wyglądało inaczej.

– Przyjechałeś z miasta?! – krzyknąłem zdumiony. – Jak tam jest?

Potrząsnął głową.

– Inaczej. Nie wiem. To było dawno temu. Pamiętam tylko wielką fabrykę. Wokół niej toczyło się życie miasta.

Czekałem w napięciu, czy powie coś więcej. O wielkim świecie. Fabryce. Ludziach, którzy nie boją się zarazy i leśnej drogi. Ale spotkało mnie rozczarowanie.

Milczał, więc zapytałem:

– Chciałbyś tam kiedyś wrócić? Zabrałbyś mnie ze sobą?

Zmieszał się wyraźnie.

– Trudno trafić do miasta. Za to łatwo się zgubić – odrzekł cicho. A kolejne jego słowa mnie zmroziły. – Nikt już nie zapuszcza się na południe.

– Na południe?! – zaprotestowałem. – Wielki świat jest na północy!

Spojrzał mi w oczy i zmarszczył czoło.

– Nawet nie myśl o północy, chłopcze. Tam nie ma niczego poza śmiercią. Miasto jest na dalekim południu, droga prowadzi przez ciemną dolinę, ośnieżone góry, aż na brzeg morza. Straszna to droga, ale jak widzisz, można ją przejść z bożą pomocą. Na północy czeka cię tylko zguba.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Szymon również, bo czułem zapach tytoniu dochodzący od progu naszej chaty. Otworzyłem oczy i zobaczyłem jego ciemną sylwetkę stojącą w otwartych drzwiach, na tle posrebrzanego księżycowym światłem nocnego nieba. Przez ramię przewieszoną miał wielką sakwę podróżną.

Gdzieś ponad szumem drzew poruszanych wiatrem rozległ się głos puszczyka. A potem gardłowy krzyk. Jakby ludzki, chociaż nie do końca. Szymon odwrócił się ku mnie, jakby wyczuwając, że nie śpię.

– Pójdiesz teraz ze mną – rzekł, przyglądając mi się w mroku. – Mamy sprawę, którą powinienem załatwić dawno temu.

Poprowadził mnie przez las, krętą ścieżką wśród paproci, aż do małej chaty ukrytej w gęstwinie. Pustelnik mieszkał

tam od kilkudziesięciu lat. Kiedyś odwiedzał osadę raz na kilka miesięcy. Od roku nikt go jednak nie widział.

Ruszyłem do uchylonych drzwi, ale Szymon powstrzymał mnie w progu, chwytając za ramię. W środku panował mrok. Szymon uniósł lampę i przytrzymał chwilę, bym mógł się rozejrzeć.

Z początku nie wiedziałem, na co patrzę. Z czasem dostrzegałem coraz więcej szczegółów.

Ciało Pustelnika rozciągało się w rogu izby niczym żywa kurtyna. Wielka narośl rozpięta od podłogi po sufit. Pośrodku bezkształtnego odwłoku dojrzałem ludzką głowę. I krzyż zawieszony na szyi.

– Mój Boże! – wyszeptałem ze strachem i obrzydzeniem, domyślając się, że widzę prawdziwą ofiarę zarazy.

– Nie budź go – wyszeptał Szymon. – Lepiej będzie, jeśli zrobimy to we śnie.

Wyszliśmy przed chatę, gdzie zwymiotowałem. Tymczasem Szymon rozlał wokół chałupy przyniesioną w sakwie oliwę i podłożył ogień, który szybko ogarnął suche drewno.

Ze środka domostwa dobiegło nas żalosne kwilenie i poczułem okropny smród. Przypomniał mi się Marek, jego rodzice i babka.

Stanęliśmy z boku, a gdy płomienie zajęły dach, w ich świetle dostrzegłem ciała martwych zwierząt poukładane wokół chaty. Były ich całe tuziny i wszystkie umazane w czarną, błyszczącą w blasku ognia substancją.

Wreszcie Szymon przerwał milczenie.

– Żył tutaj, sam wśród dzikich. Podobno chciał pojednać ich z Bogiem. Nie wiem, czy mu się udało. Dla nas był

Pustelnikiem, jeszcze zanim dotknęła go plaga. Kim stał się dla nich, skoro składają mu ofiary?

Wróciliśmy tą samą ścieżką, klucząc wśród wysokich paproci. Przez całą drogę miałem wrażenie, że spomiędzy liści obserwują nas czyjeś oczy. Jednak nie to mnie wystraszyło najbardziej. Nie powiedziałem o tym nikomu, ale zdawało mi się, że rozpoznałem twarz Pustelnika. To byłem ja, znacznie starszy i odmieniony przez zarazę.

Rankiem Szymon poszedł sprawdzić zgliszcza leśnej chaty. Wrócił z opalonym, pokrytym sadzą krzyżem, który bez słowa zawiesił mi na szyi.

Poczułem wówczas cały ciężar tego krzyża. Obowiązek, który niósł i zobowiązanie, jakiego się domagał.

I ze strachu odrzuciłem to wszystko całym sobą.

Po wielu latach, kiedy odszedł Szymon i ludzie, których dobrze poznałem, a ja nadal nie spotkałem kobiety, z którą mógłbym założyć rodzinę, postanowiłem wrócić do domu.

Bałem się tego dnia, a jednocześnie cieszyłem nim. Miałem być pierwszym powracającym z północy.

Wyruszyłem bladym świtem, ale wiedziałem, że choćbym starał się ze wszystkich sił, nie zdążę przed nocą. Maszerowałem jednak wytrwale, powtarzając słowa psalmu, który zapamiętałem jako chłopiec.

– Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne...

Po jakimś czasie tuż za pierwszą linią drzew, na skraju mroku, pojawiły się blade postacie, które przemykały obok mnie bezszelestnie.

Dotrzymywały mi kroku, a kiedy przyspieszałem, rzucały się biegiem przez krzaki. Żałowałem ich, a jednocześnie lękałem się niepewny intencji.

Długa to była podróż. Uzbrojony w jeden psalm i nadzieję z utęsknieniem wyczekiwałem jej końca. Przez cały czas rozmyślałem o wielkim świecie, gdzieś na południu, za ciemną doliną, który wciąż mi uciekał. Wspomniałem rodzinną wieś i leśną osadę. I tych, którzy odeszli dalej na północ, ku swojej zgubie.

Gdzieś w połowie drogi dotarło do mnie, co powinienem uczynić.

Zatrzymałem się, chociaż zdawałem sobie sprawę, że wkrótce dogoni mnie błada świta.

Popatrzyłem na południe, potem na północ. To, co niegdyś zdawało się odległe, teraz znacznie się przybliżyło. Jakbym wreszcie odwrócił lornetę i spojrział w okular z prawidłowej strony.

Cały mój świat wydawał mi się mniejszy. Nie tylko dlatego, że dorosłem. Czułem, że siły, które napierały z obu końców drogi na moje życie, usiłują zetrzeć mnie na proch.

Gdy tak stałem rozdarty, nocną ciszę zakłócił stukot kół toczących się po nierównej drodze. Chwilę później z wieczornej szarówki wynurzył się wóz ciągnięty przez dwa chude konie. Od razu rozpoznałem woźnicę, choć zamiast łysiny miał teraz bujną czuprynę, a jego twarz wymłodniała o dobre dwadzieścia lat. Wystarczyło jedno spojrzenie spod krzaczastych brwi i wiedziałem, że to domokrażca, którego spotykałem w dzieciństwie.

Zatrzymał wóz nieopodal, ale nie odezwał się słowem. Przyglądał mi się, jakby oceniając. Czy też mnie rozpoznał?

Nie miałem pewności. A skoro wyglądał młodziej, czy znaczyło to, że przybywał z miejsca, gdzie czas płynął inaczej? Być może.

Stałem pośrodku drogi i rozmyślałem.

Wreszcie handlarz zerknął na krzyż wiszący na mojej piersi i jego oczy rozszerzyły się szeroko, błyskając białkami. Może zrozumiał, kim jestem i przejrzał moje zamiary?

Nie okazał tego. Zerknął tylko na ścianę drzew za moimi plecami, a potem szarpnął lejce i wóz odjechał, skrzypiąc i stukając wśród wieczornej ciszy.

Dopiero wtedy zauważyłem, że z tyłu wozu siedziało kilka przygarbionych postaci. Dwie kobiety oraz szczupły młodzieniec. Wszyscy wpatrzeni w podłogę, jakby bojąc się spojrzeć na trakt i las dokoła.

Lecz zanim wóz rozplynął się w półmroku, spostrzegłem, że młody mężczyzna wygląda zupełnie jak mój ojciec.

Zrobiło mi się wówczas lżej na duszy, że tym razem zaraza obeszła się z moją wioską łagodnie. Na chwilę wróciły wspomnienia i poczułem w sercu ukłucie żalu i tęsknoty. Zaraz jednak odpędziłem te myśli. Podjąłem już przecież decyzję.

Gdy po chwili zanurzyłem się w gęstwinie drzew, usłyszałem daleki śmiech domokrażcy. Szybko zagłuszył go jednak narastający szelest krzaków i zbliżające się głosy. Nuciły nieznana pieśń.

A ja mijałem umazane czernią drzewa, wychodząc tym głosom naprzeciw.

Z psalmem na ustach. Z krzyżem na piersi.

Za mną był tylko chłód.

Michał P. Lipka

Jak wiśniowe żelki

Telefon zadzwonił w jego kieszeni, kiedy tylko opuścił salę weselną. Przez chwilę nie odbierał, niepewny właściwie, czy komórka rzeczywiście dzwoni, bo z podłużnego budynku, który wyglądem bardziej niż z czymkolwiek innym kojarzył się z magazynem albo przerośniętym garażem – tylko ten komin, który wyrastał z dachu, nieodzownie przypominał kominy krematoriów – wciąż niosły się pijane śmiechy i beznadziejna muzyka. Zanim więc do jego szumiącego mózgu dotarło, że dźwięk dobiega z jego kieszeni, minął już zbudowaną tuż obok Biedronkę (kto buduje Biedronkę obok sali weselnej?! Albo salę weselną obok Biedronki?!) i zostawiał za sobą kiczowaty lokal, gdzie krzesła przy stołach były zdecydowanie zbyt blisko siebie rozstawione, a dania zbyt stare, i niemal wkraczał już w ziejącą dziurę metalowej bramy wjazdowej.

– No co tam, stary? – odebrał. Język trochę mu się plątał, tak jak plątały się myśli, ale nie było z nim wcale tak źle, jak się obawiał.

– Wpakowałem się! Kurwa, człowieku, jestem w dupie! Słyszysz?!

Głos w słuchawce drżał i wibrował pogłosem, jakby dobiegał z drugiego końca jakiegoś tunelu albo studni. Albo z innej części świata. W chłodzie, jaki w mieścinie panował o drugiej nad ranem, ten głos wydawał się czymś niemal ciepłym.

– He?

Nie była to najbardziej inteligentna odpowiedź, najbardziej adekwatna też nie, ale po porcji toastów i paru weselnych pijackich zabawach, z ogłupiającą muzyką dudniącą mu w uszach, jakby miała już tam zostać na dobre, sądził, że wybrnął z tego całkiem nieźle.

– Coś mnie goni, rozumiesz?! Człowieku, coś, COŚ, takie pisane, kurwa, z dużych liter, mnie goni!

– To uciekaj.

W głowie mu szumiało, kręciło się, jak to kręci się w głowie – znał ludzi, którzy rozdzielali jakoś zawroty przyjemne od nieprzyjemnych, dla niego wszystkie były takie same i żadne nie należały do tej pierwszej kategorii, choć po alkoholu przynajmniej łatwiej było je znieść – próbował więc otrzeźwieć nieco w chłodnym powietrzu, ale póki co średnio mu to wychodziło.

– Albo zadzwoń na policję – dodał, skracając w piaskową dróżkę wiodącą do parku. Ani park o tej porze nie był najlepszym pomysłem, ani tym bardziej ta prowadząca w dół do niego, osypująca się piaskiem ścieżka, ale poszedł. I nawet nie spadł.

Mógł być z siebie dumny.

– Dzwoniłem, masz mnie za idiotę?

Głos w słuchawce dyszał, sapał, a świat wokół tego znajomego głosu szumiał, szeleścił, trzaskał czasem, jak łamane gałęzie albo drewno płonące w kominku.

– Ale zanim mnie znajdą... Wiesz, jak oni działają, w tu... tu... No, cholera, tu coś jest!

– Co?

– Skąd mam niby wiedzieć?! Coś! Mówiłem, słuchasz ty mnie w ogóle?

Jakieś bliżej nieokreślone. Może to coś, co go goniło, może jeszcze jakieś inne coś.

– No okej, wiem, wiem, ale powiedz mi, co ja mam niby zrobić?

Przecież nie wsiądzie teraz w samochód i nie pojedzie gdzieś tam, zygzakiem, bo jego kumpel w coś się wpakował. Może i był pijany, ale nie aż tak.

– Ja wiem, może gadać do tego głupiego telefonu?! Chyba po to zadzwoniłem.

Tylko skąd on miał to wiedzieć? Wzruszył więc ramionami, ale zapytał:

– To gdzie jesteś?

– Nie mam pojęcia. Pojechaliśmy z moją, no, jak to my, wypadł z dreszczykiem – biegł i mówił, a coś chłostało go ze wszystkich stron. Wiał wiatr, więc nie wszystkie słowa, jakie wychodziły z jego ust, brzmiały wyraźnie, ale sens dało się w nich znaleźć. – Sam wiesz.

Wiedział. Mieli taki zwyczaj, że w wolne dni po prostu wyjeżdżali gdzieś za miasto, jak ludzie jadą pod namiot, nad jezioro albo rzekę, łowić ryby albo po prostu pospacerować. Oni wsiadali do samochodu, jechali, gdzie ich

oczy poniosą, bez spoglądania na mapę, bez włączania GPS-u, przynajmniej jeszcze nie wtedy – to robili już potem, gdy chcieli wrócić – wybierali drogi, które wpadły im w oko, nie mając pojęcia, dokąd prowadzą, i zatrzymywali się. Wtedy z dachu ściągali rowery, wsiedali na nie i jechali przed siebie.

Wąskie małe dróżki prowadzące donikąd, przynajmniej ich zdaniem, to był ich podstawowy cel. Wrażenie zgubienia się, nadciągającej nocy, niepewności, alienacji, zagrożenia, jakie mogłoby się tam gdzieś czaić. Wszystko pozorne, ale realne. Sport ekstremalny bez popadania w przesadę. Świeże powietrze, ruch, emocje i wszystko taniej niż skok na bungee, bezpieczniej niż lądowanie na spadochronie i dostępne w każdej chwili na wyciągnięcie ręki nawet, gdy mieli tylko dwie, trzy wolne godziny.

Teraz chyba się doиграли.

Przedarł się przez gęstsze krzaki, od których zalatywało ludzkimi odchodami i moczem też raczej nie zwierzęcego pochodzenia – lokalni menele potrafili korzystać z tych rejonów parku zarówno jako z miejsc libacji alkoholowych, jak i toalety – i wyszedł na tereny, gdzie skłębiona, czarna o tej porze zieleń przechodziła w skoszone trawniki, wyłożone kamieniami alejki, przy których stały ławki, i pustkę nocy rozświetloną słabymi sodowymi lampami. Na środku tego wszystkiego stały kształty, które czasem przypominały potwory, czasem żelki – czerwone wiśniowe żelki. Za dnia służyły dzieciom... właściwie nigdy nie wiedział do czego, nocą co najwyżej mógł się tam przespać jakiś pijak albo zwierzę.

Szedł tak przez tę sceneryę, krok za krokiem, a głos w jego uchu mówił:

– Pojechaliśmy za miasto, trochę... Kurwa!!!

Odgłos upadku, jakiś szelest, jęczenie, trzaski, dyszenie, szamotanie, do tego jakieś przybliżające się dźwięki, stąpięcia, po chwili odgłosy gramolenia się, bieg, znów dyszenie, ale cięższe, jakby bardziej wilgotne.

– Pieprzone korzenie! – odezwał się głos w słuchawce, a potem ciągnął: – Pojechaliśmy jakimiś piaskowymi drózkami, wszędzie doły, woda, błoto. Wieś wyglądała jak te siedem nieszczęść. Stare chałupy z drewna, ulice, które nie widziały asfaltu, Podlasie jak z memów. Celowo nie patrzyliśmy na znaki, odbiliśmy za tym zadupiem w kierunku lasów, no i pojechaliśmy dalej rowerami.

– Jakąś leśną ścieżką?

– Najpierw normalną drogą, ta przeszła na chwilę w regularną szosę... Kurwa, co to było?! Człowieku tam... tam... – Dłuższa chwila chwytania powietrza, jakichś odgłosów, mokrych i mlaszczących i... – Dobra, nieważne. Nieważne. Czekaj chwilę, okej?

Czekał.

Wyszedł z parku, minął budynek szkoły podstawowej, której okna wyglądały o wiele bardziej pusto i bez życia, niż okna mijanych sklepów, i szedł dalej, aż dotarł do ulicy szumnie zwanej ulicą Zwycięstwa, chociaż jej stan od jakiegokolwiek zwycięskiego był daleki. Gdzieś tam w bok odchodziła uliczka Kilińskiego, o której dało się powiedzieć tyle, że była czarna i żółta od światła jednocześnie. Jak coś dwuwymiarowego, nieprawdziwego. Jak pocztówka z zaświatów.

– Dobra, jestem. Nie masz pojęcia, co się tu dzieje! Żebyś to widział... Ale dobra, słuchaj, pojechaliśmy

wzdłuż jakichś torów, potem błoto, patrzymy – ścieżka do lasu – no to myk, jak to my. Słuchasz?

– Słucham.

Słuchał. Rozmawiał, jakby dla tego, który do niego zadzwonił, ta rozmowa to była jedyna normalna rzecz, jaką można było teraz zrobić, a tylko normalna rzecz może pozwolić zachować zmysły.

– Nie wiem nawet, jak mam to powiedzieć. Po prostu coś zaczęło być nie tak, tego lepiej ująć się nie da. Coś się zmieniło, nie mogliśmy znaleźć, drogi a wtedy...

– Policja.

– Mają namierzyć telefon i przyjechać, ale...

– Gdzie jest twoja?

– Pojęcia nie mam!

Bo kiedy trzeba ratować życie, każdy ratuje swoje.

Szedł dalej, aż dotarł do budynku ośrodka kultury. Musiał wysiąść prąd, bo latarnie w okolicy stały ciemne i bez życia. Budynki zmieniły się w czarne bryły i nawet jeden jedyny samochód, jakiś stary rzęch, który przemknął szosą, choć bardziej włókł się, niż mknął, wydawał się bardziej jak sen.

– Posłuchaj, nie wiem, co się tu dzieje, ale to nie jest normalne. I jeszcze, cholera, żebyś wiedział, jak tu zimno.

W słuchawce słychać było trzaski i szelesty, oddech i szum powietrza, chłodu czuć nie było.

– Patrzyłem na mapie, ten las dawno powinien się skończyć! Tu nawet nie ma tyle terenu, żeby ktoś błąkał się po nim już tyle czasu.

Najwyraźniej nie cały ten czas biegał.

– To niemożliwe, słyszysz?!

Słyszał, ale co miał mu powiedzieć? W głowie mu się kręciło, gdzieś w tym wirowaniu kręciła się też jakaś myśl, ale nie był w stanie jej sformułować, więc nawet nie próbował.

Wszystko kojarzyło mu się tylko z tymi wiśniowymi żelkami z parku, tak osobliwymi, jakby nie powinno ich w ogóle być.

Odgłosy w tle przycichły, jakby rozmówca zwolnił i uspokoił swój oddech. Przez chwilę panowała tylko ta cisza, statyczna, drażniąca nieco uszy, w których panował alkoholowy szum. A potem rozmówca jęknął:

– Co to ma być... – Na styku szeptu i jęku powiedział: – Żebyś to widział... to jest... to jest... Kurwa! To... to...

– Daleko ta policja?

– Co? – głos drżał.

– Policja. Wiesz, słuchaj, nie chcę być nieuprzejmy, ale zaraz dotrę do domu, a po weselu jestem trochę jakby nie za świeży i wiesz, muszę się położyć.

– Człowieku – głos zniżył się do szeptu. – Tu jest... Nawet nie wiem, co mam powiedzieć...

– Powiesz mi jutro, bo temat ciekawy. Znaczący później, już jest przecież jutro.

Od ponad dwóch godzin.

– Ale... ale...

Był już pod własną klatką schodową, wystarczyło tylko otworzyć drzwi, wdrapać się po schodach, zmęczyć drugie drzwi i można było iść spać. Kacem pomartwi się potem.

– Mówiłeś, że policja jest w drodze.

I że las jest niewielki.

– Zaraz cię znajdą i będzie spoko. Zdzwonimy się.

– Poczekaj.

Rozłączył się, wyłączył telefon, naprawdę musiał się przespać. Alkohol zrobił swoje, nie było wyjścia. Wzięło go bardziej, niż myślał, kiedy siedział przy stole i mieszał bigos z wódką.

Wdrapał się na pierwsze piętro, jakoś otworzył drzwi, chociaż klucz uparcie odmawiał wskoczenia w otwór zamka, tak samo jakoś zamknął się od drugiej strony i rzucił na łóżko. Przez chwilę świat wirował gorzej, gorzej wirowała jego głowa, łóżko i poduszka też dołączyły do tego tańca, ale szybko im przeszło.

Ale ta jedna myśl nadal kręciła się gdzieś tam w mózgu, jak drażniący robak, i kiedy już oczy zamykały mu się do spania, kiedy powieki opadały, wypłynęła na wierzch. Gdyby nie był tak padnięty, taki zmęczony, wykończony, rozłożony jak dzieciak chorobą, pewnie otworzyłby te swoje oczy szeroko, kiedy przypomniałby sobie, że przecież ten jego rozmówca, ten jego przyjaciel, zginął parę dni temu, kiedy wjechał rowerem z tą swoją „swoją” na przejazd kolejowy. Ale nie, nawet na to nie miał siły. Nie miał siły, by nad tą myślą się zadumać.

Po prostu poszedł spać.

Adam Loraj

Po drugiej stronie nic nie ma

*Posiadanie rzeczy symbolizującej wolność może dawać
więcej szczęścia niż posiadanie wolności*

Haruki Murakami, *Kafka nad morzem*

- Wierzysz w to, że coś tam rzeczywiście widzą?
- Tak.
- Naprawdę?!
- Dlaczego miałbym nie?
- Przecież brzmi to co najmniej absurdalnie.
- Powiedziałem, że wierzę, że coś widzą, a nie, że coś tam rzeczywiście jest. Są to dwie zupełnie odmienne kwestie. Wolałbym jednak, żeby tam coś naprawdę było.
- To znaczy?
- Pomyśl, chciałbyś przebywać w zamknięciu z tuzinem szaleńców? No właśnie.
- Z szaleńcami przynajmniej wiem, jak sobie poradzić. Z jakimiś mistycznymi szybami już niezupełnie.

– Wystarczy ją stłuc.

– Tak myślisz?

Wzruszył wyłącznie ramionami.

Rozmowa między Billem Lancasterem a Francisem Crozierem została przerwana przez wezwanie pierwszego z nich do generatora. Mechanik, chociaż przysługiwała mu ośmiogodzinna przerwa, która jeszcze nie dobiegła końca, podniósł się z pryczy. Powoli założył kombinezon. Wyszedł wraz z przyjacielem na korytarz, gdzie się rozdzielili. Bill niechętnie udał się pod pokład statku ekspedycyjnego Erebus. Francis patrzył najpierw w ślad za przyjacielem, a następnie skierował się w przeciwną stronę.

Korytarz skąpany był w mroku. Wyłącznie pojedyncze, słabo migoczące lampy zamontowane tuż przy podłodze przerzedzały ciemność. Mężczyzna spojrział na zegarek. Dopiero za dwie godziny przywrócą energię. Wówczas przedwcześnie wybudzona załoga będzie miała niespełna sto pięćdziesiąt minut na rozrywki, do których przywykła. Oficerowi komunikacyjnemu niezbyt uśmiechało się samotne spędzenie reszty przerwy w dostawie prądu. Dlatego też postanowił udać się do części wspólnej; kwadratowego pomieszczenia umiejscowionego w centralnej części statku. Miał on pełnić funkcje relaksacyjne i integracyjne. Pierwotnie zakładano, że lecący Erebusem ludzie spędzą w hibernacji zdecydowaną większość ekspedycji. Z tego też powodu pokój socjalny nie był zaopatrzony w żaden nadzwyczajny sposób. Znajdowały się w nim trzy konsole do gry, dwa stoły z piłkarzykami, wygodne

kanapy i sofy. Teoretycznie można było oddać się lekturze tysięcy załadowanych w pamięć statku książek, lecz do tego potrzeba było czytników. Tych była, co prawda, wystarczająca liczba, lecz ich baterie okazały się niezwykle słabe i wymagały ładowania zaledwie po trzech godzinach użytkowania. A przy regularnych i długich przerwach w dostawie energii było to nad wyraz uciążliwe.

Zbliżając się do celu, Francis wyczuł zapach palących się świec. Zaledwie po kilku kolejnych krokach, jego oczom ukazały się migoczące języki ognia. W normalnych okolicznościach widok stałego źródła światła wzbudziłby w nim nadzieję, że są w stanie przetrwać najgorsze. Jednakże zaraz dotarły do niego szepty, ustawionych przed jedną ze ścian załogantów. Spojrzał na nich niepewnie, a następnie uniósł wzrok, koncentrując go na szybie, która rozpoczynała się metr ponad podłogą i sięgała do sufitu. Widział przez nią ciągnący się po drugiej stronie korytarz oraz niewyraźne odbicia jaśniejących punkcików i zdeformowane ludzkie sylwetki. Czyli to, co zawsze.

Przeszedł obok pochłoniętych w letargu koleżanek i kolegów, udając się na drugi kraniec pomieszczenia, gdzie szóstka innych załogantów zalegała na kanapach, rozmawiając przyciszonymi głosami. *Jeszcze nie tak dawno temu* – pomyślał oficer – *to ci rozmawiający stanowili większość przebywających w pokoju socjalnym.* W dodatku to ich dało się słyszeć z daleka, tłumiąc tym samym pojedyncze odgłosy szepczących do szyby. Obecnie sytuacja się odwróciła.

Francis przywitał się z zebranymi. Chociaż z żadną ze zgromadzonych osób nie łączyły go bliższe relacje, to wolał ich towarzystwo niż samotne przesiadywanie

w ciemnej kajucie, bądź, co gorsza, przebywanie wśród *słyszących głosy*, jak to nazywano członków załogi spędzających całe dni przed szybą.

– Ostatnio wydawało mi się, że coś widziałem – wyszeptał nieśmiało ktoś siedzący na kanapie.

– Nie mów, że udało im się ciebie przekonać! – skarcił tamtego inny.

Oficer komunikacyjny zakrył ręką oczy i odwrócił się plecami do rozmawiających. Chociaż potrzebował ich obecności, to jednocześnie nie miał zamiaru uczestniczyć w rozmowie. Poruszali oni temat, który pragnął od siebie odsunąć, co nie było takie łatwe. Tajemnicza szyba oddzielająca przypadkowy korytarz od pokoju socjalnego w szczególności zajmowała uwagę członków załogi. Interesowali się nią znacznie bardziej niż tym, kiedy ekipie mechaników uda się naprawić generator, aby Erebus mógł kontynuować swoją misję.

Odkąd zostali przedwcześnie wybudzeni z hibernacji, Bill miał problemy z zasypianiem. Niemal przez cały czas funkcjonował w ciemnościach. Nawet gdy pracował z resztą mechaników, otaczał ich mrok rozpraszany przez wątle snopy latarek. Wracając ze swojej zmiany, zgodnie z zaleceniami i koniecznością oszczędzania energii, wyłączał światło. Droga była słabo oświetlona, pojedyncze lampki co prawda wskazywały miejsca, gdzie korytarz rozwidłał się, lecz przez zdecydowaną większość czasu, zmęczony inżynier musiał polegać wyłącznie na własnej pamięci.

Zazwyczaj kierował się bezpośrednio do swojej kajuty, gdzie kładł się, aby odpocząć. Czasem zaglądał do przyjaciela, Francisa, i spędzali wspólnie kilka godzin, aż wreszcie Bill musiał wracać na miejsce pracy. Ze względu na krytyczny stan generatora i konieczność jak najszybszego przywrócenia mocy w celu utrzymania części załogi Erebusa, która z powodu awarii została przebudzona z hibernacji, mechanicy musieli pracować łącznie szesnaście godzin w ciągu doby.

Na jego zmianę przypadał wyznaczony przez dowództwo okres puszczenia prądu do pokoju socjalnego. Żałował tego, bo ponownie nie udało mu się załadować swojego czytnika. Z drugiej strony i tak nie dysponował wolną chwilą, żeby z niego korzystać.

Zaglądnął do kajuty swojego przyjaciela, lecz go tam nie zastał. Westchnął ciężko.

– Chciałem pogadać – powiedział do pustego pomieszczenia.

– Co takiego cię trapi?

– Jestem zmęczony...

– Ale nie chcesz spać.

– Dokładnie. Wiesz, przecież spaliśmy już czterdzieści lat. Zostało nam, ile? dwadzieścia, jeżeli dobrze pamiętam.

– Boisz się, że jako jedyny zaśniesz i obudzisz się wtedy?

– Nie.

– To czego się obawiasz?

– Jakby to powiedzieć... Mam dość ciemności. Teraz, chociaż nic nie widzę, to wiem, że jesteś obok mnie. Wiem, kto i co znajduje się obok. Ale jak zasypiam,

gdy pograżam się w ciemnościach, tak całkowicie, wtedy jestem zupełnie sam. Nikogo wokół mnie nie ma. Mnie zresztą również.

– Boisz się ciemności?

– Nie. Samotności. A ty?

– Braku kontroli. Dla mnie wystarczy już, że nie jesteśmy w stanie sterować statkiem, a co dopiero swoim życiem.

– Hm... Może statek zwyczajnie nigdy nie należał do was?

Bill wzruszył ramionami. Podziękował za rozmowę, a potem odsunął się, postanawiając jednak wrócić do swojej kajuty. Wykonał zaledwie kilka kroków, kiedy poczuł nagłe szarpnięcie. Odwrócił się – tuż za nim znajdował się Francis.

– Co tu robiłeś? – spytał przyjaciel głosem wypełnionym dwoma sprzecznymi emocjami: złością oraz troską.

Mechanik z początku nie rozumiał pytania. Dopiero po chwili zorientował się, że przebywa zupełnie gdzie indziej, niż mu się wydawało. Tuż za plecami przyjaciela dostrzegł pochylone, siedzące na ziemi bądź stojące, zastygnięte w jednej pozycji sylwetki. Po lewej rozciągała się szyba. W odbiciu wydawało mu się przez moment, że dostrzegł jakiś ruch.

Kto był tym pierwszym?

Pytanie dręczyło Francisca przez kolejne dwa dni. Pytał współzałogantów, ale otrzymywał różne odpowiedzi. Jedni mówili, że była to biolożka, inni że młodszy nawigator,

jeszcze ktoś inny, że szef ochrony. Jemu samemu wydawało się, że była to osoba młoda. Pamiętał przecież, jak jeszcze przed dwoma miesiącami zrzucali przywidzenia tamtego na słabą psychikę i brak doświadczenia. Osób poniżej trzydziestego roku życia wśród wybudzonych nie było dużo. Może ośmiu. Piątka z nich wegetowała przed szybą. To wśród nich zapewne ukrywał się ten pierwszy.

Pewnego razu, kiedy spacerował po pokładzie, wążając się bez celu, został zawołany przez Petera. Ten powiedział mu, że znaleźli kogoś, kto zaczął cierpieć na zaburzenia psychiczne. Wszyscy wiedzieli, że wreszcie takowy przypadek będzie musiał się zdarzyć. Spodziewano się jednak nagłego ataku paniki, który doprowadzi do niebezpiecznych zachowań. Prawda okazała się zgoła inna. Ktoś – Francis nie pamiętał już, czy była to kobieta, czy mężczyzna – stał przed szybą oddzielającą pokój socjalny od korytarza i wpatrywał się przed siebie. Wydawało się, że z kimś rozmawia. W pewnym momencie osoba ta odwróciła się do zebranych wokół współzałogantów, mówiąc, że będzie musiała podziękować oficerowi komunikacji – Francisowi – za możliwość odbycia połączenia z matką.

Następnego dnia kolejny członek załogi widział coś w szybie. Liczba tego typu wydarzeń zaczęła konsekwentnie wzrastać. Wreszcie tych, którzy gromadzili się w tym jednym miejscu, aby raz jeszcze zobaczyć rzeczy i ludzi, za którymi tęsknią, było wielu. Dodatkowo zaczęto wspominać o tym, że wszystko to dzieje się za sprawą mglistego bytu, ukazującego się wybranym w swoich wizjach. Podobno do niektórych przemawiał. Dzielił się swoimi naukami, roztaczając wizje trudne do zdefiniowania.

W ciągu zaledwie kilku dni wokół tak prozaicznego przedmiotu jak szyba utworzył się kult modlących się załogantów. Zapalano świece, mrużono pod nosem modlitwy. Czasem prowadzono jednostronne rozmowy. Ale przede wszystkim stano, wpatrując się w szybę.

Czy teraz również Bill do nich dołączył?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Jesteś tam?

Wyszedł z pokoju, zostawiając swojego rozmówcę ponownie samego. Wykonał zaledwie kilka kroków, kiedy zorientował się, że coś dziwnego się właśnie wydarzyło. Zatrzymał się w miejscu i zaczął nasłuchiwać. Cisza wydawała mu się pisać w uszach. Przełknął wyrosłą w gardle gulę. Wrócił do kajuty swojego przyjaciela.

– Nie chce mi się gadać. Możesz to uszanować?

– Nie możesz się zamknąć na wszystko. Na innych i udawać, że jesteś poza wszystkimi.

– Nie chcę o tym gadać. Generalnie nie chcę gadać. Okej?

– Ale ona daje części z nas nadzieję! Chyba o to w tym wszystkim chodzi? Żeby dawać nadzieję i w jakiś sposób pomagać. Przynajmniej jak na razie. Nigdy w nic nie wierzyłeś?

– Kiedyś zapewne tak. Ale dopóki nikt nic nie zrobi z tą przeklętą szybą, nie mamy co liczyć na normalność.

– Francis, spokojnie... Przecież wiesz, że podobnie jak ty mam dość tego wszystkiego. Chciałbym, żeby wszystko było znów normalne. Myślisz, że jest taka możliwość?

– Nie wygłupiaj się! Przecież to nic innego niż wymysły ludzi tęskniących za domem! Prawda jest taka, że nie powinniśmy znaleźć się w tej sytuacji. Człowiek nie jest przyzwyczajony do ciągłego siedzenia w ciemnościach. Powinniście wreszcie coś z tym zrobić! Od ilu dni już nie mamy prądu? A wy co niby z tym zrobiliście? Co?!

– Wydaje mi się, czy żałujesz, że nic tam nie widziałem? Może ty chciałbyś coś tam widzieć?

– Nie wiem. Raczej nie. Wydaje mi się, że powoli wszystkim udziela się schiza. Mnie w szczególności...

– Przecież to wyłącznie jakieś dziwne zabobony. A miałem coś widzieć?

– Mam nadzieję, że masz rację. Widziałeś coś w tej szybie?

– To nie było nic niezwykłego. Zwyczajnie przez chwilę mnie zamroczyło i tyle. Nie masz się czym martwić.

Zastał go w jego kajucie. Francis oparł się o framugę, blokując tym samym automatycznie zamykające się drzwi. Złożył ręce na klatce piersiowej i chrząknął, zwracając uwagę przyjaciela. Bill leżał na pryczy, odwrócony do niego plecami. W pierwszej chwili wydawało się, że mechanika wcale nie ma w pomieszczeniu. Złał się bowiem z panującą wokół ciemnością. Wyłącznie głośne oddechy świadczyły o jego obecności.

Ile już nie spali?

Sto dni? Sto dwadzieścia?

Według posiadanego przez niego smartfona minęło zaledwie dziewięćdziesiąt osiem dni, co zresztą potwierdzałyby powroty energii. Notował każdy przeblysk, kiedy to korytarze wyglądały tak, jak zapamiętał je z początku misji. Jednak przerwy wydawały się wydłużać coraz bardziej. Francis był pewien, że niektóre trwały ponad trzy doby. Podobnie uważali inni, kroczący niczym zombie i rozmawiający ze sobą półsłówkami załoganci. Pytał o to swojego przyjaciela, lecz ten stwierdził wyłącznie, że to złudzenie oficera komunikacji. Sam przecież nadzorował większość przywróceń i żaden okres nie trwał ani dłużej, ani krócej niż powinien.

Francis nie wierzył słowom mechanika. Ten, co prawda, nie miał powodu do okłamywania go, ale to nie znaczyło, że nie mógł się mylić. Przecież mógł doznać jakiejś dziwnej choroby, przez co jego percepcja została zachwiana i nie postrzegał czasu tak jak dawniej. Oficer był pewien, że ciemność opanowuje statek na coraz dłużej. Najgorsza była świadomość, że nic z tym nie może zrobić. Leżał więc w swojej kajucie, trzęsąc się ze strachu, lub dołączał do reszty przebudzonych w pokoju socjalnym.

Było ich coraz mniej. Kolejni przyłączyli się do zebranych wokół szyby kultystów, wznoszących modły i rozmawiających z osobami, które nie miały prawa przebywać na pokładzie Erebusa. Oni jednak utrzymywali, że jest inaczej. Francis decydował się przebywać nieopodal tych wariatów nie tylko dlatego, że potrzebował ludzkiego towarzystwa. Wokół nich zawsze było światło, bijące z ułożonych

dziesiątek zapalonych świec. Dzięki nim w pokoju socjalnym od dłuższego czasu było nieprzerwanie jasno.

Oficer położył się na sofie, zakładając dłonie za głowę. Patrzył lekko zmrużonymi oczyma na cieniste refleksy przetaczające się po suficie. Do jego uszu docierał szum wymieszanych głosów. Zmiana nadeszła niespodziewanie. W jednej chwili lampy zapłonęły białym, oślepiającym światłem, a dotychczas usypiający szum przeszedł w tumult. Francis zerwał się zaniepokojony gwarem. Zwrócił wzrok w stronę źródła zamieszania.

Jeden z modlących się wstał. Ciało miał opanowane przez dreszcze. Wypuścił z siebie dech, a potem zawył przeraźliwie:

– Gdzie jesteś? Gdzie poszłaś? Skarbie?

Następnie podszedł do szyby i zapukał w nią. Najpierw delikatnie, a potem coraz mocniej, aż wreszcie zaczął uderzać z całych sił pięścią w przezroczystą powierzchnię. Ludzie odsunęli się z początku, lecz widząc nagły wybuch agresji, rzucili się na niego, aby go powstrzymać. Doszło do szarpaniny, która wyłącznie eskalowała. Okazywało się bowiem, że ten jeden człowiek był w tak dużym szale, że przeciwstawiał się łapiącym go siedmiu parom rąk. Wreszcie został obezwładniony. Przyciśnięto mężczyznę do posadzki, aż do momentu, kiedy się uspokoił. Dopiero wówczas go puszczono. Był cały zapłakany, twarz miał obitą. Mimo wyraźnych trudności z oddychaniem odezwał się do zebranych:

– Nie widzicie tego?! Światło! Tamci zabierają nam nasze życie! Są bluźnierstwem dla szyby! To przez nich straciłem moją ukochaną! To ich przeklęte światło wkrótce wszystko nam zabierze!

Wtedy nikt go nie posłuchał, lecz w kolejnych dniach Francis zaczął powoli dostrzega wpływ tej krótkiej, niezbyt składowej wypowiedzi na resztę załogi. Tym bardziej, że kolejne osoby przestawały dostrzegać swoje pragnienia w szybie. Dodatkowo działo się to zawsze na chwilę po powrocie energii.

Odkąd przejął zmianę, miał wrażenie, że jest obserwowany. Czyjś wzrok spoczął na jego plecach, wydając się czymś wręcz fizycznym. Ciężył mu do tego stopnia, aż wreszcie wstał znad okablowania, które miał tego dnia sprawdzić i wymienić, a następnie krzyknął. Jego głos poniósł się między ściany wąskiego rękawa. Patrzył przed siebie, czekając, aż obserwator wreszcie się ujawni. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Powrócił do przerwanej pracy.

Bill trzymał w dłoni detektor. Według raportów część przewodów w tej części statku była uszkodzona. Mechanik miał zrobić rozpoznanie, jak poważna jest usterka i czy uda mu się wymienić je bez angażowania dodatkowej siły roboczej. Jak na razie wszystko prezentowało się zaskakująco dobrze. Sprawdził znaczącą część wyznaczonego mu sektora i wszystko wskazywało, że w ciągu najbliższego dnia samodzielnie wyeliminuje awarię. Wtedy, prawdopodobnie, załoga Erebusa będzie mogła cieszyć się znacznie dłuższymi okresami dostawy prądu.

Tylko nim to się wydarzy, będzie musiał spędzić jeszcze, co najmniej kilka godzin na korytarzu w sekcji Erebusa, do której raczej nikt się nie zapuszczał. Bo niby po co,

skoro oddalona była od pokoju socjalnego i kajut załogi o niemal dwa kilometry?

Coś usłyszał.

Wreszcie jego zmiana dobiegła końca. Otarł spocone czoło i powolnym krokiem zaczął pochód w stronę swojej kabiny. Korzystając z komunikatora, poinformował dowództwo o postępach w pracy. Idąc korytarzem sąsiadującym z pokojem socjalnym, dostrzegł, że w pomieszczeniu nikogo nie ma. Było to niezwykle, gdyż zazwyczaj przynajmniej dwóch lub trzech kultystów stało przed szybą, zamroczonych wizją swoich pragnień. Bill rozejrzał się. Pragnął przekonać się, czy to, co wtedy zobaczył, było wyłącznie iluzją, czy też...

W przezroczystej powierzchni widział wyłącznie swoje zniekształcone odbicie, a w zasadzie ciemną sylwetkę. Pokręcił z niedowierzania głową. Jak mógł w ogóle pomyśleć, że coś zobaczy? Ewidentnie zbyt dużo pracował.

Już miał się zaśmiać z samego siebie, kiedy z ciemności coś się wyłoniło. Coś, co wcześniej musiało go obserwować i wydać dźwięk, który zwrócił jego uwagę. Poczuł, jak łzy spływają mu po policzkach, a na gardle zawiązuje się supeł. Bill poruszył bezgłośnie ustami. Pragnął się odezwać, lecz nie był w stanie. To jednak nie przeszkadzało jego towarzyszowi. Ten bowiem odpowiedział mu.

Kolejnego dnia mechanik powrócił na swoje miejsce pracy. Zatrzymał się w pół kroku przed otworzonym szybem ukazującym ponad dwa tuziny przewodów. Na plecach ponownie czuł wzrok. Tym razem wiedział, kto na niego spogląda. Uśmiechnął się w duchu. Podjął ostateczną decyzję, co powinien zrobić. Odsunął się na bok i pozwolił znajomej osobie przejść obok niego. Następnie

patrzył, jak człowiek, którego pragnął mieć zawsze obok siebie, zaczyna wyrywać przewody.

Leżał martwy, opierając się o zimną ścianę. Obok znajdowało się kolejne ciało. W sumie pięćka załogantów straciła życie jednej nocy. Nad sobą mieli szybę. Po płaskiej powierzchni spływały strużki krwi. Znalaziono ich prawdopodobnie już jakiś czas temu, lecz nikt ze słyszających głosy nie postanowił zawiadomić o tym dowództwa. Zamiast tego stanęli w zwyczajowych pozach i wznosili swe modły. Dopiero gdy do pokoju socjalnego wszedł Francis, szybko zaraportował swoim przełożonym o śmierci na pokładzie statku.

Wolał się nawet nie zastanawiać, ile czasu ciała były pozostawione same sobie, nim przeniesiono je do działu medycznego. Do owego zadania została oddelegowana czwórka medyków. Dotychczas rzadko pojawiali się w przestrzeni wspólnej, będąc zajętymi nadzorem nad załogantów pozostałych w hibernacji. Dlatego też widok zebranego tłumu, który całkowicie ignorował towarzystwo nieboszczyków, był dla nich szokiem. Jeden z nich spytał nawet Francisa, czy to co zastali, jest normalne. Odpowiedział, że tak.

Oficer patrzył w ślad za oddalającymi się medykami ubranymi w białe mundury z czerwonymi okręgami, w których umieszczono równoramienne krzyże. Przebywając głównie w odizolowanej części Erebusa, pozostawali nieświadomi tego, co działo się tuż obok nich. Francis im tego zazdrościł. Zaprzagnął ruszyć wraz z nimi, oddalić

się od kwitnącego wśród współzałogantów szaleństwa. Niestety zdawał sobie sprawę, że gdyby przedsięwziął ów zamiar, zostałby zatrzymany zaraz przed wrotami. Może nawet spotkałaby go nagana i w ramach kary zostałby zamknięty w swojej kajucie, gdzie musiałby spędzić długie godziny zupełnie sam.

Stał w miejscu, a kiedy medycy uwinęli się z ostatnim z ciał, przeniósł wzrok na szkarłatne ślady wiodące od szyby i ciągnące się przez korytarz. Z jakiegoś powodu był pewien, że pozostaną one na ścianie i posadzce już do końca istnienia Erebusa. Po pierwsze, nikt się nimi nie przejmował, a po drugie, posoka wydawała się wsiąkać w materiał statku, stawać się jego częścią, spoiwem, bez którego rozpadłby się on na części.

Przez kilka kolejnych godzin Francis starał się odnaleźć swojego przyjaciela. Najpierw odwiedził kajutę mechanika, lecz go tam nie zastał. Wówczas uznał, że Bill zapewne jest na zmianie. Z tego, co pamiętał, mężczyzna podczas rozmowy wspominał, że ostatnio wysyłany jest do sprawdzania przewodów w odległych sektorach statku. Oficer kojarzył mniej więcej, gdzie się one znajdują. Spod koszuli wyciągnął niewielką latarkę – przemycony prezent od Billa – a następnie ruszył na poszukiwania.

Przemierzanie zimnych trzewi statku ekspedycyjnego wydawało się podróżą niczym ze starych powieści przygodowych z elementami grozy. Z każdym krokiem Francis miał wrażenie, że wcale nie porusza się po płaskiej powierzchni, a zamiast tego schodzi coraz niżej i niżej. Niczym pod ziemię. Na chwilę zapomniał, że otoczony jest metalową konstrukcją. Chłód wwierał się w jego ciało, a ciemność stała się fizyczna i napierała

na jego ciało, przez co musiał usiąść i odpocząć. Oddychał ciężko, a każdy wdech kosztował go nieco wysiłku. Wreszcie zorientował się, że całkowicie stracił poczucie czasu. Dodatkowo latarka, z której korzystał, zaczynała słabnąć. Jasny snop tracił na intensywności i migotał.

– Co tutaj robisz? – spytał Bill. Mechanik kucał tuż przed Francisem. Oficer musiał na jakiś czas odpłynąć, zasnąć lub też stracić przytomność, gdyż wcale nie przypominał sobie momentu, kiedy opadł na podłogę.

– Szukałem cię.

– Rozumiem.

– Od dawna jest ciemno. Kiedy znowu przywrócą energię?

– Nie wiem.

– Przerwa jest znacznie dłuższa, niż powinna. Prawda?

– Tak.

Podniósł się ostrożnie. Nogi nagle załamały się pod nim, Bill go chwycił. Ruszyli powolnym krokiem w stronę, skąd Francis przyszedł. Oprócz ich kroków słychać było jeszcze kogoś. Echo rozchodziło się po korytarzu, uderzało w uszy niczym wystrzał armat.

– Ktoś za nami idzie – zauważył specjalista od komunikacji.

– Tak. Widzisz go?

Obejrzał się za siebie, kierując tam latarkę i zapalając ją. Słabe światło rozświetliło przestrzeń za nimi. Nikogo nie zobaczył. Powiedział o tym przyjacielowi. Ten wydawał się nieco rozczarowany. Stwierdził, że w takim razie nie powinni się niczym przejmować.

Bill zaprowadził przyjaciela do jego kajuty. Położył go i kazał odpocząć, bo wszystko wskazywało, że długo jeszcze nie powrócą do stanu hibernacji. Mówiąc to, mechanik przyznał, że wcale tego nie żałuje. Wręcz przeciwnie. Wydawało mu się bowiem, że doskonale pamięta każdą sekundę, jaką spędził w wieloletnim śnie. Świadomość tego, że jest zamknięty w blaszanym pojemniku, skazany na wydającą się nie mieć końca samotność, doprowadzała go do szaleństwa. Teraz, kiedy wreszcie mógł czuć bliskość innych – mówiąc, to zerknął na wejście do pomieszczenia, co nie uszło uwadze Francisca – każda minuta jest dla niego błogosławieństwem.

Nie był w stanie uwolnić się z okowów bezradności. Wyłącznie leżał na swojej pryczy, wpatrując się w sufit i ledwo mogąc się poruszyć. Przewrócenie się na bok kosztowało go zaskakująco wiele energii, nie mówiąc już o jakichkolwiek innych działaniach. Z początku próbował walczyć z własnym organizmem. Czuł, że dopóki nie pozostawał bierny, przyjmując zastaną sytuację jako coś pewnego, dopóty nie odczuwał największego ze swoich lęków.

Gdy tylko unosił powieki, rozpoczynał bój o własne ciało. Koncentrował się wyłącznie na tym, aby ostatecznie nie stracić w pełni kontroli nad kończynami. Aby nie stał się jestestwem uwięzionym w skorupie. W pewnym momencie całkowicie zapomniał o tym, gdzie się znajduje i co takiego dzieje się wokół niego. Skoro nie był w stanie zapanować nad sobą samym, nad własnym wnętrzem, jak miałby wpłynąć na świat zewnętrzny?

Jedyne, co odnotował, siłując się z ograniczeniami, jakie narzucało mu ciało, to wszechogarniająca wszystko ciemność, która tym razem nie posiadała choćby najkrótszej przerwy. Dostawy w energii nie było już od wielu dni, czego Francis był absolutnie pewien.

Z czasem, kiedy udawało mu się powoli odzyskiwać kontrolę nad sobą samym, rejestrował coraz liczniejsze szczegóły. Zorientował się, że dotychczas słyszane echo modłów, za każdym razem, kiedy się budził, traciło na intensywności. Dodatkowo dochodziły do niego pojedyncze jęki bólu, rozczarowania, a nawet agonii. Przeżyły go te odgłosy i dodatkowo motywowały. Rodziły w umyśle pytania, co takiego dzieje się na pokładzie Erebusa? Dlaczego światło wcale nie powracało? Gdzie podziewał się Bill?

– Tutaj jesteś – odezwał się mechanik. Na samym początku Francis był pewien, że mężczyzna odzywa się do niego, dlatego był zaskoczony jego stwierdzeniem. Gdzie bowiem miał przebywać? Przecież on sam odprowadził oficera do kajuty i tutaj go zostawił. Zaraz jednak zorientował się, że słowa Billa wcale nie zostały zaadresowane do niego.

– Już myślałem, że całkiem zniknąłeś – kontynuował. – Co? Ale dlaczego? Przecież on nam nie przeszkadza...

– Bill? Co się dzieje?

– Nic takiego – odpowiedział mu, a potem jakby całkiem ignorując Francisca, rozpoczął rozmowę z kimś, kogo w kajucie nie było. Oficer starał się skupić wzrok

w tym samym miejscu, co jego przyjaciel. Mimo starań nie dostrzegął nikogo. W pomieszczeniu był wyłącznie on i Bill, który wciąż mówił:

– Przecież zapewniałeś, że tyle wystarczy! Pragnę, żebyś był obok, ale... Nie, to nie tak... W takim razie muszę to zrobić? Naprawdę?... Dasz mi czas?... Tak, muszę się przygotować... To nie jest takie łatwe!... Okej... Dziękuję.

– Bill?

– Wrócę później – zwrócił się do niego mechanik, a następnie wyszedł.

Francis leżał jeszcze przez chwilę, spodziewając się, że zapowiadany powrót przydarzy się znacznie szybkiej, niż można było podejrzewać. W myślach odliczał sekundy. Kiedy dotarł do pięćsetnej i nic się nie wydarzyło, spróbował się podnieść. Wsparł się na rękach, które w tym samym momencie zaczęły mu się trząść. Mimo bólu przesywającego jego ciało udało mu się osiągnąć pozycję siedzącą. Co prawda kosztowało go to wiele wysiłku, ale odczuwał satysfakcję. Odzyskiwał kontrolę nad sobą samym. Podniósł wzrok na wyjście z kajuty. To był jego kolejny cel. Nabrał powietrza w płuca, a następnie dźwignął się, próbując wstać. Zaledwie sekundę później był cały zlany potem. Dodatkowo nogi okazały się znacznie słabsze, niż przypuszczał. Ledwo przeniósł na nie ciężar ciała, a poczuł, jak kolana uginają się pod nim. Upadłby, gdyby nie opierał się o ścianę.

Pierwszy krok był tym najgorszym. Wydawało mu się bowiem, że na nowo uczy się chodzić. Każdy kolejny przebyty metr utwierdzał Francisa w przekonaniu, że od dnia, kiedy został odprowadzony przez Billa do kajuty, minęło znacznie więcej czasu, niż pierwotnie przypuszczał. Nie

było możliwości, aby jego organizm osiągnął tak nędzną kondycję w ciągu zaledwie doby lub dwóch.

Ile w takim razie go ominęło?

Wreszcie, po wielu trudach, dotarł do wyjścia. Przekroczył próg, po czym skręcił w lewo, zmierając w stronę pokoju socjalnego. Oczy miał szeroko rozwarte, ale i tak przez wszechpanującą wokół ciemność nie był w stanie niczego spostrzec. Stąpał ostrożnie, kierując się wyłącznie pamięcią. Gdy pokonał kilkaset metrów, do jego uszu dotarł cichy szmer czyjś głosu. Chwilę później zobaczył migoczące świeczki, ustawione tuż pod szybą. Mogły być ich setki. Zajmowały niemal jedną czwartą całego pomieszczenia, wychodząc tym samym na korytarz. Światło, chociaż nie było nazbyt intensywne, oślepiało przyzwyczajonego do mroku Francisca. Jednak im dłużej spoglądał w stronę źródła światła, tym bardziej odsłaniały się tajemnice skrywające się za gęstą warstwą mgły.

Wreszcie widział normalnie i w tej samej chwili, kiedy to się wydarzyło, zapragnął oślepnąć. Znajdował się u wylotu korytarza, przed sobą miał pokój socjalny, a raczej pomieszczenie, które niegdyś nim było. Obecnie bowiem wyglądało niczym wnętrze starożytnej, pogańskiej świątyni. Dawna biel ścian oraz podłogi zniknęła pod grubą warstwą sadzy, brudu i zaschniętej krwi. Wokół spoczywali nieżywi załoganci. Ślady na ich ciałach wskazywały, że śmierć zadali sobie sami. Były także świeczki; morze języków ognia falowało tuż przed szybą. Ten jeden element swoją czystością wydawał się całkowicie kpić z panującej wokół masakry. Nagle Francis zorientował się, że naprzeciwko szklanej powierzchni klęczy Bill.

– Rozumiem – odezwał się mechanik. – Tak, zawsze powtarzałeś, że przyjdzie na to czas.

Oficer w pierwszej chwili nie zrozumiał słów przyjaciela. Dopiero po chwili zorientował się, że ten ponownie prowadzi rozmowę z kimś niewidocznym. Ale czy na pewno? Wątpliwości zrodziły się w jego umyśle po tym, jak ponownie spojrzął na szybę. W jej odbiciu zobaczył kogoś; młodzieńca mogącego mieć nie więcej niż osiemnaście lat, stojącego zaraz przy ramieniu Francisa.

– Kto to jest? – spytał przyjaciela.

– Mój brat. Już więcej go nie opuszczę. A on mnie. Obiecał mi to. Już nigdy nie będę sam.

– Bill... Ty to wszystko zrobiłeś?

Mechanik stąpał ostrożnie, zręcznie stawiając stopy pomiędzy zapalonymi świeczkami. Rozejrzał się na wskazaną przez rozmówcę scenę rzezi.

– Nie wszystko – odpowiedział.

– Jezu, Bill – wyrzucił z siebie Francis, kiedy jego przyjaciel stanął zaledwie krok od niego. – Przecież nigdy nie byłeś sam. Zawsze miałeś mnie obok. Zawsze.

Tamten zaprzeczył, kręcąc głową.

– Nieprawda. Byłem sam. Sam. Tylko na bracie mogę polegać. Tylko na nim. – Powtarzał owe słowa niczym mantrę, jakby przekonując samego siebie, żeby w nie uwierzyć. Nagle mężczyzna zamilkł, podniósł głowę, a wzrok skierował nad ramię swojego rozmówcy. Francis zrozumiał, co się dzieje. Przygotował się odpowiednio i gdy tylko Bill skoczył na niego, złapał wyciągnięte w jego stronę ręce, a potem przerzucił przyjaciela i obalił go na ziemię. W pomieszczeniu rozbrzmiało

przeraźliwe strzyknięcie, które wstrzymało pracę serca oficera komunikacji.

Ponownie spojrzął w stronę szyby.

Co takiego powinien zobaczyć w odbiciu?

Podobno w szybie ukazywały się ludziom największe pragnienia, które przełamywały dotychczasowy strach. Bill bał się osamotnienia; tego głębokiego, łamiącego serce przeświadczenia, że zostało się odizolowanym od wszelkiego szczęścia, od bliskich ci osób i to niekoniecznie z własnej woli. Dlatego widział swojego starszego brata, z którym od zawsze był blisko i który pozostał na Ziemi, przez co prawdopodobnie już nie żył.

Co w takim razie powinien zobaczyć Francis? Przecież, jak sam utrzymywał, najbardziej obawiał się braku kontroli. Spodziewał się więc zobaczyć otoczenie dodające mu otuchy. Zmieniające zakrwawione wnętrze statku w sterylną przestrzeń, w której będzie miał poczucie, że wciąż jest panem swojego losu. Tym bardziej po odkryciu, że rzeź kultystów dosięgła nie tylko osoby gromadzące się w pokoju socjalnym, ale także odgrodzone grodzią dowództwo i sztab medyczny.

Erebus stał się statkiem widmo. Na jego pokładzie znajdowały się trupy, albo szczęśliwcy, którym udało się ominąć szaleństwo poprzez pozostanie w hibernacji. Pytanie tylko, czy ci przetrwają? Wszelka wytwarzana energia przekierowywana była przede wszystkim do systemu podtrzymującego życie. Nie powinno im więc nic grozić. Istniało wyłącznie ryzyko, że procedury ich

wybudzania nie wejdą w życie. Wątpliwe było bowiem, że statek dotrze do wyznaczonej planety. Będzie się unosić w przestrzeni wraz z drzemiącą w objęciach nieświadomości załogą.

Smutno uśmiechająca się kobieta spoglądała na oficera komunikacji, który siedział na podłodze, opierając się o ścianę. Tuż za nią znajdowała się dwójka mężczyzn w medycznych kitlach. W przeciwieństwie do Francisa, przebywała w jakimś jasnym miejscu. Rozpoznawał jej twarz. Była to jego była żona. Zanim został wybrany do misji eksploracyjnej, tworzyli udane małżeństwo. Potem wszystko zaczęło się psuć, aż wreszcie opuścił ją na dobre.

Dlaczego akurat ją widział?

Kobieta patrząc na Francisa, zaczęła coś mówić do stojących obok lekarzy. Popatrzyli po sobie i dopiero jeden z nich jej odpowiedział. Oficer zobaczył, jak dawna partnerka zakrywa dłońmi usta. Po jej policzku spłynęła łza.

– Co się dzieje? Dlaczego płaczesz? Hej!

Wstał i podszedł do szyby, zaczął w nią uderzać. Kobieta cofnęła się odruchowo, a potem pobiegła w prawo, znikając z pola widzenia mężczyzny. Zapragnął udać się za nią. Skierował się w tę samą stronę, lecz nagle zorientował się, że drogę zastępuje mu ściana. Mógłby przysiąc, że w tym miejscu powinno znajdować się przejście na korytarz. Rozejrzał się wokół. Nigdzie nie dostrzegł wyjścia. Był uwięziony wśród czterech ścian. Rzucał się po nich, wrzeszcząc i wzywając pomocy, lecz po kilku godzinach gardło całkowicie odmówiło mu posłuszeństwa. Wtedy wyłącznie jęczał.

Pozbawiony sił usiadł w kącie i z przerażeniem zerkał w stronę szyby. Regularnie widywał w niej lekarzy, a raz na jakiś czas kobietę, którą kiedyś kochał. Odwiedzała go, spoglądali sobie w oczy, a potem odchodziła.

Erebus wędrował dalej przez kosmiczną pustkę. Milczący metalowy konstrukt, którego przeznaczeniem było dotarcie do planety o atmosferze i środowisku zbliżonych do ziemskich, przemierzał obcą przestrzeń, a w jego wnętrzu panowała martwa cisza i niezmacony niczym mrok.

Krzysztof Marciński

Czarny brzeg

Wystarczało jedno spojrzenie na puste ziemie czarnego brzegu, by Hugon Grennard na nowo przepełnił się nienawiścią do tego miejsca. Pół życia. Dokładnie tyle potrzebował, by w swoich wyprawach doczekać się pierwszej ofiary śmiertelnej. Czarna jak noc i wolna od choćby źdźbła trawy przestrzeń zdołała dokonać tego, czego nie potrafiła żadna góra, dżungla, dzikie zwierzę ani jeszcze dziksi ludzie.

W imię czego ta śmierć? Oczywiście, tajemnica Ganei – gęstego oceanu o galaretowatej powierzchni, który z takim uporem wciąż jeszcze próbowali zrozumieć; sprzedawcy marzeń (a może już tylko złudzeń?) o innych krainach-wypach, których odkrycia tak bardzo chroni, uparcie rażąc wszystko, co popadnie.

– Wyruszamy.

Roztargniony głos Hasriego wyrwał dowódcę z rozważań. To dla niego Grennard raz jeszcze wyprawiał się na miejsce tragedii.

Hugon zbliżył się do chłopaka i utkwiał w nim spojrzenie pełne troski. Przygarbiony, z lekką siwizną, wyglądał przy młokosie niemal na starca.

– Tylko uważajcie. Carmill tam zginął!

Hasri skinął mimowolnie głową, jakby chciał powiedzieć: Tak! Pamiętam o tym aż za dokładnie! Później spojrzął na Biesnica – obaj pełnili w wyprawie funkcję ludzi od wszystkiego – i wolnym krokiem ruszyli w stronę Ganei.

Przyczyna śmierci Carmilla pozostawała niejasna. Zdaniem Hasriego, jedyne go świadka, wyglądało to tak, jakby tamten zderzył się z powietrzem, padając bez znaku życia. Nie ta informacja zmroziła jednak Grennarda najbardziej. Największy szok wzbudziły słowa o duchu – mlecznobiałej istocie, która miała się pojawić w momencie zderzenia.

Dowódca próbował to potwierdzić. Jeszcze w dniu tragedii wyruszył, by zbadać miejsce wypadku, nie potwierdzając żadnej z rewelacji chłopaka. Zero oznak działania sił, po duchu nawet jednego śladu, a o dalszych oględzinach w obliczu śmierci jednego z członków wyprawy nie chciał słyszeć.

Grennard potrzebował roku, by powrócić nad czarny brzeg.

Biesnic z Hasrim nie wracali. Dowódca bezustannie wyglądał z prowizorycznego szałas, z coraz większą wściekłością wypatrując w oddali ich sylwetek.

– Nie powinniśmy tu wracać – wycodził do siebie przez zęby.

Tego pierwszego Grennard znał jedynie pobieżnie. Hasrim, po powrocie z poprzedniej wyprawy, opiekował się niemal jak synem. Wychudzony, bezradny, coraz mocniej ugiął się pod dramatem tajemniczej śmierci, mnożąc kolejne teorie i tracąc resztki nerwów, nie znalazłszy wyjaśnienia. Chłopakowi zdawało się nieraz, że widzi owego ducha. W snach, tym ostatnim bastionie wytchnienia, powracały do niego obrazy z miejsca tragedii, tak że po pewnym czasie paranoja młodego zaczęła się udzielać i dowódcy.

Wciąż ich nie było. Wrócił za to Yadlin – łowca – niosąc ledwie dwie mizerne mały, co Grennardowi do reszty zepsuło humor. Na obszarze tym, najosobliwszym w całej krainie, dżungla prowadząca nad czarny brzeg stanowiła zarazem jedyne źródło pożywienia.

– Nie wracają – burknął dowódca i zaczął krążyć bez wyraźnego celu.

Yadlin zmrużył jedynie oczy i zabrał się za rozpalanie ogniska.

Dowódca nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Miotał się, kłął, ciskał gromami, aż wreszcie zirytowany łowca zwrócił mu uwagę, że stojąc na czele wyprawy, powinien lepiej panować nad nerwami. Grennard zaklął ostatni raz, zły już wyłącznie na siebie, przysiadł na pniu i jakiś czas męczył się tak w atmosferze fałszywego spokoju, aż w końcu przebił ją słabo na razie widoczny zarys ludzkiej postaci.

Wyteżył wzrok. Był to wolny, nieporadny marsz zmęczonego człowieka, którego w żaden sposób nie potrafił nazwać. Dowódca poderwał się i ruszył w stronę przybysza.

– Hasri? Gdzie Biesnic?!

– Nie... Nie ma... – wybełkotał chłopak.

– Co znaczy: nie ma?!

– To... To samo, co z Carmillem.

Hasri zrobił kilka ostatnich kroków i nie zdoławszy dotrzeć do szałas, omdlał.

Zapadał zmrok, gdy chłopak, wróciwszy nieco do siebie, podjął się próby relacji. Jak każdy pogrążony w szoku człowiek, mówił nieskładnie, szarpanymi zdaniami, to przeskakując z wątku na wątek, to zatracając się w swoich lękach.

– Dotarliśmy bez problemów – zaczął, uparcie odmawiając podawanej przez Yadlina zupy. – Starłem się iść tą samą trasą, co wtedy, ale... sami wiecie... tam wszystko wygląda identycznie. Wszędzie ta cholerna pustka... Czerni...

Zawahał się. Z trudem znajdował właściwe słowa. Grennard dostrzegął, że chłopak mimowolnie zbliża się do ogniska, jakby jego płomień dawały mu poczucie bezpieczeństwa.

– Spokojnie. Nie spiesz się.

Hasri skinął głową. Po chwili wrócił do opowieści.

– Nic się nie działo. Stałem obok Biesnica, on mnie uspokajał, mówił, że nic nam nie grozi. Nie wiem, ile czasu staliśmy nad tym brzegiem. Wydawało się, że tam nic nie ma, że ten duch... Nie wiem...

Znów urwał. Zaczął się rozglądać, drzeć. Błady jak ściana, utkwił spojrzenie w ognisku i gapił się tak na nie szeroko otwartymi oczami, obecny przy pozostałych jedynie ciałem. Dowódca podniósł się, usiadł przy chłopaku i położył dłoń na jego ramieniu.

– Hasri...

– Tak... Tak... Już... – Chłopak ukrył twarz w dłoniach, potarł nimi kilkukrotnie i kolejny raz wznowił relację. – Mieliśmy już wracać, gdy Biesnic zaczął mnie szarpać za rękaw. Dukał coś. Nie mogłem go zrozumieć... Obejrzałem się i... Może trzydzieści kroków od nas... On tam szedł!

– Ale kto, Hasri?

– D- duch.

Grennard objął chłopaka mocniej.

– Jak on wyglądał? Tak samo, jak za pierwszym razem?

– Tak. Nie. Znaczy... Nie do końca.

Hasriego przeszywały dreszcze. Trząsł się, mamrotał, znów spojrzął za siebie, obawiając się najwyraźniej nadejścia ducha.

– Ja... Ten duch... – Chłopak nie mówił już, lecz wyrzucał z siebie strzępy zdań. – On był biały. Mleczno-biały i tak... Tak koszmarnie łudząco podobny do nas. – Po policzkach Hasriego zaczęły płynąć łzy. – Oddalał się. Żebyś widział jego ruchy. Niezdarne, chaotyczne. Matko, jak on szedł... – Kolejny gwałtowny dreszcz. Milczenie. A później już tylko desperacki słowotok człowieka, który usiłuje przewyciężyć strach. – Chciałem wracać, ale te pieprzone nogi były jak z lodu. Gapiłem się na ducha. Nie wiem, dokąd szedł. Przecież tam niczego nie ma! Spojrzałem na Biesnica. Dukał coś dalej, zrozumiałem tylko:

to on! Znów skupiłem się na zjawie, aż w końcu coś mnie tchnęło. Ten duch. To był Ca... C-Car...

– Carmill?! – Yadlin, dotychczas milczący, aż się zakrztusił, domyśliwszy się słów chłopaka.

Hasri potwierdził skinieniem głowy. Potrzebował chwili, by wrócić do siebie. W końcu zamknął oczy. I mówił. Jakkolwiek, byle szybciej, byle skończyć relację.

– Nie miałem pojęcia, co robić. Mówię do Biesnica: wracamy! Ale on biegł już za tym duchem. Nie wiem, co mu odbiło. Powiniennem go gonić. Powstrzymać. Tylko... Wy wiecie, jak to jest... Ktoś musiał wrócić. – Pojedyncze łązy szybko przeszły w potok. – Biesnic był coraz bliżej. Brakowało mu kilku kroków, gdy duch się nagle zatrzymał. Wyglądało, jakby stał się niższy, szczuplejszy. Biesnic dopadł do niego, spojrział w twarz. Nagle zmarł. Nie wiem, co tam się stało. Był dobre sto kroków ode mnie. Duch ruszył po chwili, a wtedy Biesnic...

Zetknął się z nim i padł bez życia – Grennard domyślił się, pamiętając historię Carmilla. Yadlin, widząc, że nic tu po nim, skierował się w stronę szałasów. Chłopak, zawstydzony swoją słabością, utkwiał w dowódcy spojrzenie pełne bólu.

Nie mogę być teraz sam – mówiła jego złękciona twarz.

Rozumiem – odparł mrugnięciem Grennard. Czuwał przy Hasrim do rana.

O świcie dowódca zaczepił Yadlina o krótką rozmowę.

– Czy to konieczne? – Łowca wydawał się zirytowany. Inna rzecz, że pogodnym Grennard go właściwie nie widywał. – Kończy nam się jedzenie. A dżungla to przecież nie stragan.

– Nie zajmę ci dużo czasu. Chciałem tylko poznać twoją opinię, zanim...

– Zanim zbudzi się Hasri, co? – Yadlin spojrzał głęboko w oczy dowódcy. – Słuchaj, Hugon. Odbyliśmy masę wspólnych wypraw, więc powiem ci to, co jeszcze kilka lat temu pojałybyś sam. Nie ma żadnego ducha, rozumiesz?

– A martwi?

– Uważam, że to Hasri. – Głos łowcy przepęłniała pewność siebie. – Zresztą, ty podobnie. Zwyczajnie nie chcesz tego przed sobą przyznać.

Grennard spróbował udać zdziwienie, ale nie potrafił zaprzeczyć słowom łowcy.

– To bardzo poważne oskarżenie – zauważył bez przekonania.

– Nikt poza nim nie widział ducha. Zadbał o to, by żaden z nas nie mógł zbadać ciała.

– Złożył je w ofierze Ganei. To przecież dość powszechny rytuał grzebania zmarłych. – Dowódca nie dawał za wygraną.

Yadlin, kręcąc jedynie głową, dał mu znać, jak bezowocne są te próby.

– Nie wiem, kogo chcesz przekonać, siebie czy mnie. Nie mam nic do chłopaka, ale sam widzisz, co się z nim dzieje.

– To jeszcze nie dowód...

– Chcesz dowodów? Dobrze. Po południu udam się nad brzeg Ganei. Możesz być pewien, że nic tam nie znaję.

Dzień dłużył się Grennardowi niemiłosiernie. Był zmęczony, niewyspany i z każdą chwilą coraz bardziej zły na siebie. Sypał się. Tracił głowę. Pobyt nad brzegiem Ganei stanowił dla niego ciąg fatalnych decyzji, przez które mogli zapłacić – lub płacili – najwyższą cenę. Dlaczego nie towarzyszył Biesnicowi i Hasriemu? Dlaczego zgodził się na samotną wyprawę Yadlina, wiedząc, że bez łowcy nie zdołają przeprowić się przez dżunglę? Kierowała nim troska o Hasriego, nie rozum. Czy w takiej sytuacji w ogóle miał prawo decydować o dalszych losach wyprawy?

Wracał Yadlin. Grennard jak poparzony wybiegł mu zaraz naprzeciw.

- Nic? – zapytał.
- Oczywiście, że nic.

Wieczorem dowódca zarządził naradę. Decyzję w sprawie ducha mieli podjąć wspólnie, choć ostatnie słowo wciąż należało do Grennarda.

– Jakies propozycje? – zagaił, prowokując pozostałych do otwartej rozmowy.

– A co tu proponować? – Łowca, tradycyjnie gorzki jak piołun, najwyraźniej nie zamierzał wdawać się w długą dyskusję. – Straciliśmy człowieka. Znowu! I znowu

w ten sam sposób! Nad czym tu się jeszcze zastanawiać? O świecie mamy obowiązek wyruszyć do domu. I nigdy więcej tu nie wracać!

Grennard usiłował ukradkiem odczytać intencje łowcy. Odnosił wrażenie, że tak ostre postawienie sprawy wynika nie tyle z irytacji, co głęboko skrywanego lęku przed duchem? Hasrim? Potęgą Ganei? Tego dowódca nie potrafił na razie osądzić.

– Dwie osoby straciły życie – zaprotestował Hasri. – Nie wiemy, co się stało. Nie wiemy, czym jest duch. Nie mamy pewności, czy...

– Ducha widziałeś tylko ty – uciął łowca. – A strata dwóch osób bardziej przypomina zbrodnię niż tragiczny wypadek.

– Co ty chcesz powiedzieć?!

Hasri poderwał się. Grennard natychmiast do niego doskoczył, w ostatniej chwili zapobiegając bójce.

– Siadaj! – polecił chłopakowi.

– Ty też?!

Dowódca próbował zapanować nad sytuacją. Hasri spojrział jednak na niego wzrokiem zbitego psa. Znać było, że spodziewał się po Grennardzie wsparcia. Ten otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zastygł na moment, niepewny, do czego właściwie zmierza i co usiłuje osiągnąć. Trzeba było mówić, zaprowadzić porządek, a on, czując się coraz starzej, trwonił cały autorytet, na który z takim mozolem pracował przez lata wypraw.

– Nie, chłopaku. Nie mamy żadnych dowodów – zaczęła powoli, ważąc każde słowo. – Ale Yadlin powiedział to, co widać z boku.

– I czego ode mnie oczekujecie?! Mam udowodnić, że jestem niewinny? Jak?!

Na to Grennard nie potrafił odpowiedzieć. Nie podjął się tego również milczący Yadlin.

– No dobrze – przyznał dowódca. – Założmy przez chwilę, że coś tam jest. Może czegoś nie dostrzegamy? Może spotkanie ducha wymaga określonych warunków?

Na to pytanie poderwał się łowca.

– Żartujesz?! Czego ci jeszcze trzeba? Kolejnych ofiar? Wystarczyłoby przecież, że Hasri zepchnąłby tamtych do oceanu i miałbyś wyjaśnienie obu tragedii. A niechby nawet cały ten wasz duch istniał. Przecież zdaniem chłopaka krąży kilkaset kroków od nas. Kroków! Nie ma żadnej gwarancji, że tutaj nic nam nie grozi. Hugon, ja widzę, co ci chodzi po głowie. Chcesz za wszelką cenę uniewinnić chłopaka, ryzykując następną tragedię. Opamiętaj się!

Grennard nie odpowiedział od razu. Wizja nadchodzącego ducha wstrząsnęła nim równie mocno, co dwie wcześniejsze ofiary. Milczał, czekał, rozważał, chcąc dać łowcy pewność, że wszystko zostało dokładnie przemyślane.

– Nie jestem za brakiem ostrożności. Ale jeśli o świcie opuścimy czarny brzeg, obaj wydamy na chłopaka wyrok, rozumiesz? Proszę cię o jeden dzień. Jedną dobrze zaplanowaną wyprawą i jeśli niczego nie odkryjemy, nazajutrz o świcie opuścimy te parszywe ziemie.

Dwie pary oczu skupiły się na Yadlinie. Ten trwał bez jakiegokolwiek reakcji, by wreszcie skinąć głową w akcie kapitulacji.

Zgadzam się – mówiła jego twarz. Zgadzam się wbrew własnej woli.

Duch był coraz bliżej. Powolnym, niezgrabnym krokiem zmierzał w kierunku szałasu. Grennard walczył z bezwładnym ciałem. Próbował się poderwać, uciekać, ale w żaden sposób nie potrafił tego zrobić.

Duch nachylił się nad nim. Obojętne oczy Carmilla wbiły w niego lodowate spojrzenie. Grennard za wszelką cenę chciał krzyczeć, ale ostatni, rozpaczliwy wrzask uwiązał mu w gardle. Zjawa wysunęła mlecznobiałą dłoń, kierując ją w stronę serca ofiary...

– To już – szepnął duch.

Ocknął się, mokry od potu. Zaspany, wytoczył się z szałasu i mętym wzrokiem spojrzął w stronę ogniska, gdzie wciąż swoją wartę pełnił Yadlin. Zatem nie minęło nawet pół nocy.

Grennard zdecydował, że w obliczu zagrożenia ze strony ducha (i, czego nie przyznał głośno, również Hasriego) w nocy przynajmniej jeden członek wyprawy musiał czuwać na warcie. Nie dotyczyło to naturalnie chłopaka, tak czy inaczej w obecnym stanie niezdolnego do czuwania. Dowódca zmienił Yadlina, a rano cała trójka wyruszyła nad brzeg Ganei.

Szli równym, niespiesznym tempem, w ciszy pełnej wzajemnej niechęci. Odgłos stawianych kroków irytował jak nigdy wcześniej. Yadlin wyraźnie wściekał się na konieczność pozostania nad czarnym brzegiem. Z kolei Hasri nie mógł darować pozostałym posądzenia o dwa zabójstwa.

Grennard, idący na czele grupy, przyjmował nastroje reszty ze spokojem. Nie miał już sił na złość i nawet myśl o możliwej

śmierci wzbudzała w nim nie strach, lecz dziwaczne poczucie ulgi, że wkrótce jego koszmar się skończy.

Na miejsce dotarli bez przygód. Czekaając, wpatrywali się we wszechobecną czarną nicość, tak niepozorną i pustą, a zarazem jak gdyby niezdolną, by pochłonąć ludzkie życie.

Zgodnie z planem usiłowali odtworzyć wcześniejsze wyprawy Hasriego – Grennard sądził, że istotna może być pora dnia. Obaj z Yadlinem bez przerwy zerkali na chłopaka, spodziewając się możliwego ataku z jego strony.

– J-jest – szepnął Hasri.

Duch zjawił się nagle, znikąd. Zupełnie, jakby wychynał zza niewidocznej kotary. Grennard poczuł, jak potworna, pełna lęku niemożność pęta jego ciało. Nie mógł się ruszyć, złapać oddechu. Serce kłuło przeraźliwie, tak że przez chwilę rzeczywiście pomyślał o rychłej śmierci.

Yadlin stał jak wryty. Hasri, znów ze łzami w oczach, wskazywał dłonią zjawę, a dowódca zdał sobie sprawę, że ta przypomina nie Carmilla, lecz Biesnica.

Na znak Grennarda ruszyli za duchem, którego pochod był wolny, kroki zaś nienaturalne i chwiejne. Dowódca prowadził grupę równoległe do trasy zjawy, obawiając się, że jej linia marszu może kryć w sobie ryzyko porażenia.

Ścigany zmierzał donikąd. Grennard sądził, że duch musi kierować się w stronę oceanu, lecz ten skrzył w pewnej chwili, zmierzając do punktu wyjścia. Dotarłszy tam... znikł. Jak gdyby nigdy go nie było.

Zamarli. Hasri z Yadlinem gapili się w nicość, czekając na reakcję dowódcy. Ten, tchnięty nową myślą, schylił się po pierwszy lepszy kamień, chwycił go z trudem – serce znów zaczynało kłuć – i cisnął do Ganei. Ocean

natychmiast poraził rzuconą drobinę jak wszystko, co kiedykolwiek zetknęło się z jego powierzchnią. Grennard spojrział na Hasriego.

– Spróbuj tak cisnąć w miejsce zniknięcia ducha.

Pierwszy kamień upadł zbyt blisko. Chłopak, ostrożnie stawiając stopy, skrócił dystans, a wtedy drugi z „pocisków” osiągnął zamierzony cel.

Kamień nie upadł, jak poprzedni, lecz odbił się, zderzywszy z pustą przestrzenią. Grennard oniemiał. Przed nimi pojawił się okrągły, pulsujący bąbel o cienkiej, przezroczystej powierzchni, którego wewnątrz wypełniała gęsta substancja o różnorodnych barwach, ukazując ni to pejzaż, ni obraz krainy z lotu ptaka.

– Zbierajmy się stąd – jęknął Yadlin.

Zdążyli przejść parę kroków. Nagle u spodu bąbla ukazała się wrząca błękitna kipiela, która w mgnieniu oka pochłaniała różnobarwną gęstwinę.

– To zaraz wybuchnie! – wrzasnął Hasri.

Nie padli. W pierwszym odruchu wyglądali panicznie schronienia i dopiero za moment runęli zgodnie, osłaniając głowy rękami.

Grennard nie pamiętał dobrze następnych chwil. Leżąc bez ruchu, poczuł ostatnie ukłucie serca, po czym jego ciało ściał kompletny bezwład.

Z odrętwienia wyrwał go Yadlin.

– Hugon?

Dowódca powoli uniósł głowę.

– Nic się nie stało?

Zerknął na bąbel. Jego wnętrze znów wypełniała kolorowa substancja.

Krótki odpoczynek nie przyniósł oczekiwanego wytchnienia. Grennard, pojmując, że myśli pozostałych wciąż krążą wokół tajemnicy ducha, zapytał bez żadnych wstępów:

- Co to, u diabła, może być?
- Wiemy tyle, co i ty – odparł Hasri.
- Czyli nic. – Yadlin wzruszył ramionami.

W ich słowach wyczuwało się nutę frustracji. Jakby dotarło do nich, że cały wysiłek przyniósł więcej pytań niż odpowiedzi.

Dowódca przemknął wzrokiem po twarzach reszty.

– Mylicie się. Wiemy sporo – powiedział zdecydowanym tonem. – Duch. Ofiary. Bąbel. Wszystko składa się w pewną całość, a my musimy ją tylko zrozumieć.

Hasri milczał. Yadlin wyraźnie bił się z myślami. Jego długa pociągła twarz, tak zwykle pełna zaciętości, teraz zdradzała jedynie skrajne zmęczenie.

– Te wypadki... – zaczął niepewnie łowca. – Wyglądają na ostrzeżenia. Ile razy wkraczamy na teren ducha, coś się wydarza. Tylko wtedy. Zupełnie, jakby coś wysyłało nam sygnał: odejdźcie, a nie stanie się nic złego.

– Ganea?

– A co innego? Ten przekłety bąbel razi w sposób identyczny jak ocean. Z duchem musi być podobnie. Myślisz, że to przypadek? Hugon, na co my jeszcze czekamy? Zbierajmy się stąd!

Głos Yadlina przypominał zdławiony krzyk rozpacz. Już nie prosił, lecz błagał o natychmiastowy powrót. Niezłomny łowca kruszał do reszty i Grennard nie mógł dłużej udawać, że tego nie dostrzega.

– Yadlin, chłopie, chciałbym. Naprawdę.

Dowódca zwiesił głowę. Czuł, że tak trzeba. Otwarcie, bez dalszych uników przyznać się do swojej bezradności. Z Yadlinem przebył pół krainy. I tylko przy nim mógł sobie pozwolić na podobną poufałość.

– Więc na co jeszcze czekamy? – pytał łowca.

– Nie wiemy, co to jest, rozumiesz?! Skąd przyszło? Czemu służy? Dlaczego przybiera sylwetki zmarłych? Zginęły dwie osoby, Yadlin. Nie ma żadnej pewności, że duch nie ruszy dalej. Nie wiemy, czy kolejne zjawy nie rozpełzną się na całą krainę!

Grennard zerknął na Hasriego. Później znów spojrział na łowcę. Obaj wiedzieli, co proponuje dowódca, a jednak żaden, choć pewnie całym sercem pragnęli powrotu, nie zdobył się na słowa sprzeciwu.

Są pogodzeni z losem – pomyślał. – *Nie wierzą już, że opuszczą czarny brzeg.*

Czerń. Zmęczenie. Strach.

I kolejny „ostatni” dzień wyprawy.

Bierna obserwacja – o tyle poprosił Grennard, a przyjęli to mimowolnymi skinieniami głów. Chodzili zawsze tą samą trasą, naprzemiennie, o różnych porach dnia, przyjmując za punkt graniczny odległość stu kroków od bąbla.

Dowódca liczył, że ciągle warty doprowadzą do przełomu. Że do tej pory widzieli część zjawisk i stąd biorą się ich problemy ze zrozumieniem wypadków. Wolno upływający czas bezwzględnie unicestwiał tę wiarę. Duch nie wychodził ani wcześniej, ani później, wędrując zawsze tą samą trasą. Jedynym odkryciem okazała się cykliczność „wybuchu bąbla”. Grennard odniósł też wrażenie, że zjawy porusza się znacznie płynniej aniżeli dzień wcześniej. Nie wiedział jednak, jak zinterpretować ten fakt.

Czarny brzeg spowijała aura bezradności. Duch nie zabijał. Duch metodycznie odbierał resztki chęci do życia, a miejsce to w jakiś irracjonalny sposób trzymało ich w oczekiwaniu na śmierć.

Yadlin stagnację miał za zapowiedź ataku. Duch wysłał szereg ostrzeżeń, a teraz uderzył! Hasri, zaniemówiwszy do reszty, na każdym kroku wyglądał zjawy, pogrążając się w swoich lękach i natręctwach.

Grennard nie potrafił wyrwać ich z otępienia. Jedli tyle, co nic. Łowca nie był w stanie niczego upolować, stąd za pożywienie służyły im wyłącznie rośliny. W dowódcy wszystko aż krzyczało, by już, natychmiast wydać decyzję o powrocie, a jednak przymus zrozumienia tajemnicy ducha uparcie wiązał mu usta.

Jako ostatni wartę nad brzegiem pełnił Yadlin. Kiedy wrócił, tak samo wolny od jakichkolwiek nowych odkryć, zbliżył się do dowódcy i niemal ostatnimi tchnieniem wyszeptał:

– Nie wrócę tam.

Grennard zrezygnował z kolejnej narady. Wobec wyznania łowcy przemógł się wreszcie i z niezrozumiałym trudem obwieścił zakończenie wyprawy. Hasri z Yadlinem przyjęli jego słowa bez cienia entuzjazmu. Gapiąc się w ognisko, siedzieli martwi fizycznie i mentalnie, a dowódca rozumiał już wtedy, że zdecydował za późno. Wróć czy nie, tak jak on całymi sobą pozostaną tutaj.

Przeniósł się do szałas. Było mu jakby lżej, choć serce nadal przypominało o sobie. Myślał teraz znacznie swobodniej, a poszczególne zdarzenia, tak pozornie bezsensowne, z każdą myślą przybliżały go do zrozumienia czarnego brzegu. Dlaczego teraz? Na to pytanie Grennard nie próbował nawet szukać odpowiedzi.

Tamci nie spali. Początkowe milczenie od czasu do czasu przecinały pojedyncze uwagi, które z czasem przybrały już formę ożywionej dyskusji. Duch nie odpuszczał. Ścigali się z czasem, czując najwyraźniej obowiązek zrozumienia tajemnicy zjawy. Czy nie znalazłszy odpowiedzi, zapragną pozostać nad czarnym brzegiem? Grennard wcale nie byłby zdziwiony. Niczemu w tym miejscu nie potrafił się dziwić. Przemyswszy twarz wodą, wrócił do swoich rozważań i dopiero nad ranem zdecydował się opuścić szałas.

Już wiedział.

- Nie spałeś? – Głos Yadlina brzmiał bezradnie jak nigdy.
- Wy, zdaje się, również?

Grennard spróbował zmusić się do słabego uśmiechu. Nie zdołał.

– Cały czas myślimy, że duch musi być jakimś sygnałem – wyznał Hasri.

– I ja tak sądzę – odparł dowódca.

– Ty też? Myślałem, że nie wierzysz w sygnały z...

– Z Ganei? Oczywiście, że nie.

Hasri z Yadlinem oprzytomnieli w jednej chwili.

– Więc skąd twoim zdaniem wziął się ten duch? – zapytał ten drugi.

– Wygląda, że z innej krainy-wyspy.

Oniemieli. Grennard widział to po ich twarzach i pierwszy raz od kilku dni naprawdę poczuł się dowódcą. Próbowali coś wydukać, oponować, ale żaden nie potrafił znaleźć właściwych słów.

– A... Gdzie są ci, którzy go tu rzekomo przysłali? – Łowca zebrał się jako pierwszy.

– Nie ma ich.

Spokój Grennarda tylko rozjuszył Yadlina.

– Jak nie ma?! Co znaczy, nie ma?! Żartujesz z nas sobie?! Ta zjawa zabiła dwóch ludzi. Zabiła!

To ostatnie łowca wykrzyczał z takim wyrzutem, jakby posądzał dowódcę o współudział.

– Nie zabiła... – odparł łamiącym głosem Grennard. – Sami zginęli.

Zamilkł. Jego usta drżały. Oczy zaszklily się. Dowódca spojrział na pozostałych i po ich zatroskanych minach pojął, jak potworne cierpienie musi zdradzać jego twarz.

– Zastanawiałem się, czy mówić wam o tym... – podjął. – Rzecz zakrawa na niepojętą, ale... Wygląda to tak. Bąbel od początku przypominał jakieś miejsce. Duże, niczym obraz z lotu ptaka. Myślę, że to kraina, z której pochodzi. To stamtąd przybył cały ten duch. Nie z oceanu, rozumiecie? Oni pojęli Ganeę. Nauczyli się korzystać z jej potęgi. Duch razi tak samo jak ocean. Zdaje się mieć podobną powłokę. Ganeę najwyraźniej można wykorzystywać do zdumiewających celów, a tamci wiedzieli, jak to zrobić.

– Wiedzieli? – Yadlin się zdziwił.

– Wiesz, wydaje mi się, że tam musiało dojść do jakiegoś wypadku. Może o tym świadczyć wybuch wewnątrz bąbla. Wyglądało to tak, jakby ocean w fazie jakiegoś wzburzenia pochłaniał całą krainę. Może ci, którzy wysłali ducha, przepadli? Może tylko chcąc nas ostrzec przed skutkami zgłębiania Ganei? Nie wiem. Ale duch, co widać wyraźnie, próbuje badać. Przybiera nasze sylwetki, odtwarza nasze ruchy. Robi to jednak bezmyślnie, bez kontroli i stąd sędzę, że jest on niczym więcej niż skansenem. Śladem po wymarłych twórcach.

Łowca poczerwieniał na twarzy.

– Skansenem, który morduje ludzi?! Przecież to nie ma sensu!

– Ano właśnie... Nie ma sensu. Dlatego uważam, że duch to twór pozbawiony jakiegokolwiek inteligencji, którym nie ma kto kierować. Najwyraźniej żaden człowiek nie jest w stanie pokonać Ganei. Tamci nie mogli tu przybyć, ale potrafili wysłać tę zjawę, odporną przecież na ataki oceanu. A teraz ten duch trzyma się ostatej myśli, a może komendy, którą zdołali mu przekazać,

i każdego dnia ponawia swój monotony spacer. On nie zabija, Yadlin. Wystarczy go nie dotykać.

– Tyle że to wciąż jedynie teoria.

Przez twarz łowcy przemknął cień satysfakcji. Grennard z trudem powstrzymał się od złośliwego uśmiechu w odpowiedzi na reakcję łowcy. Tak bardzo walczył o zakończenie wyprawy, a teraz sam mnożył wątpliwości.

– Masz rację. Nie muszę, co prawda, udowadniać swojej teorii, ale potrzebna nam pewność, że duch nie jest mordercą.

– Co więc zamierzasz?

– Pójdę. Pójdę, dowiodę niewinności ducha, a później opuścimy czarny brzeg raz na zawsze.

Szedł sam. Hasri z Yadlinem podążali za nim w oddali, pełniąc tylko rolę obserwatorów i świadków. Plan wyprawy brzmiał prosto. Zbliżyć się do ducha, sprowokować jego przemianę i przeżyć.

Grennard wzdrygnął się na myśl o ostatnim. Była to jednak głupota: rzucić na szalę życie w imię jednej odpowiedzi. Pomimo tego, znajdował w niej pewną ulgę. Mógł być bezradny. Ludzki. Krążył pod rękę ze strachem i czuł się z tym najzupełniej ucziwie.

Duch zjawił się o czasie. Grennard nie od razu zdecydował się ruszyć za nim. Miał wątpliwości.

– Nie trzeba się bać – szepnął sobie. – Nic mi nie zrobi. Strach wiedział lepiej.

Jakiś czas bił się z myślami, aż w końcu podjął ostrożną próbę pogoni. Szedł powoli. Sztywno. Napięte

od stresu mięśnie były prawie jak z lodu. Trzydzieści kroków. Dwadzieścia. Z każdym kolejnym jego wiara we własną teorię gasła.

Raz jeszcze pomyślał o rezygnacji. Piętnaście kroków. Dziesięć. Wbrew własnej woli maszerował przed siebie i sam już nie wiedział, dla kogo właściwie to robi.

Brakowało kilku kroków. Serce tłukło jak szalone. Przed oczami migotały mu jasnoszare punkty, oddychał z trudem, czując kolejne uderzenia gorąca. Zwolnił. Szeroko otwartymi ustami łapał hausty powietrza. Nie maszerował już, lecz pchał swoje ciało do przodu, aż duch nagle się zatrzymał.

Grennard zamarł. Przed oczami miał lekki mrok, serce dudniło, rozpychając się w szalonym amoku.

Przemknęło mu przez myśl, że się pomylił. Że jednak duch, ulegając przemianie, zabija. Przyklęknął. Spod ciemnej mgły próbował śledzić ewolucję zjawy. Był to widok niezwykle. Zupełnie, jakby niewidzialna siła lepiła z tej mlecznobiałej chmurki wybrany kształt.

Grennard wyteżył wzrok. Z trudem rozpoznał w zjawie siebie. Słaby, zamroczony, czekał na ostatni cios i w końcu duch zakończył swoją przemianę. Kilka chwil zjawa trwała w zupełnym bezruchu. Później pomaszerowała dalej.

Dowódca wpatrywał się w odchodzącego ducha. *Dlaczego nie uderza?* – zastanawiał się.

Brakowało mu tlenu. Serce nie zwalniało. A jednak w pewnym momencie zrozumiał, że duszności, mrok – to wszystko efekt strachu. Zatem miał rację. Duch nie zabijał!

Coraz słabszy, wsparł się sztywną dłonią na czarnej ziemi. Próbował wyobrazić sobie, jak wraca do grupy w poczuciu spełnienia i triumfu.

Nie wrócił. Nie wytrzymało serce.

Karol Matlachowski

Tęsknota

Obudził mnie suchy terkot karabinu. Nie wiem, ile już czasu minęło, lecz ten dźwięk wciąż potrafi mnie wyrwać ze snu. Już nawet nie zdejmowałem kamizelki kuloodpornej i hełmu, gdy kładłem się spać w rowie, byle nie tracić czasu i znów ruszyć na wieczną bitwę.

Odruchowo wypatruję nacierającego przeciwnika. Potem sobie przypominam, że znajduję się szesnaście kilometrów za linią frontu, a w rowie śpię dlatego, że ruiny stodoły, służące dotychczas za barak, przeznaczono na ośrodek badawczy. I tak to nie ma znaczenia, bo mamy w miarę ciepłe noce, coś na kształt późnej wiosny, tyle że bez kwitnących kwiatków, pszczołek i reszty dawnego szajsu. No nic, wychodzę ze schronienia i kieruję się do garkuchni. Może wydają już kawę i suchary.

Będąc w połowie drogi, natykam się na kolejne powolne „Przemienienie”. Podchodzę do wchłoniętych do połowy przez ziemię zwłok młodziutkiego żołnierza i pochylam się nad nimi. Młoda, przystojna twarz zastygła w grymasie przerażenia. Nie licząc lichego postrzału w prawym boku, nie widzę innych poważnych ran. Może to dyzenteria go

dopadła. Albo tyfus. To nieistotne. Według nieśmiertelnika jego stopień to szeregowy, a personalia to Rajmund Cholewiński. Cóż, Mundek, nie przejmuj się. Tutaj się nie umiera. Wrócisz troszkę mniej ludzki, a jak będziesz mieć szczęście, to nie zmutujesz. Wrócisz do jednostki, jak gdybyś nigdy nie umarł, ruszysz do walki może trochę bardziej waleczny. Jak będziesz mieć pecha, to „przemieni” cię z kilkoma innymi trupami i wróćcie jako jedno gargantuiczne ciało. Tak jak tych czterech biedaków, co zmienili się w samobieżny mózdzierz, sporą kupę mięsa i blachy o czterech twarzach. Ale o tym pewnie, Mundku, wiesz, bo jesteś tu z nami od początku. Już nie przeszkadzam, prawie pochłonęła cię ziemia. Na pewno będzie ci ona lekka.

W końcu docieram jako pierwszy, więc dostaję od kucharza pół suchara więcej i siadam pod złamanym dębem. Tyle żarcia do wieczora powinno wystarczyć. Tymczasem reszta obozu powoli się zbiera. Kilku świeżo „Przemienionych” też ustawia się w kolejce. No nic, jeszcze ze cztery zgony i nawet jeść im nie trzeba będzie dawać. Jedyne, czego będą pragnąć, to walczyć. Tak jak kręcąca się koło domu sztabu czarnowłosa sylwetka Ezdrasza. Ezdrasz nie jest żołnierzem 2. Dywizji Piechoty Wojska Polskiego. Jest tutaj tak jakby w zastępstwie za jednego z tych, którzy nie ulegli Przemienieniu. Zamiast niego zwrócono nam Żyda wyjętego bodajże z Powstania Machabeuszy. Jaki pożytek z walczącego mieczem, nieopancerzonego mikrusa sprzed ponad dwóch tysięcy lat? Spory. Cykl niezliczonych Przemienień prócz poznaczonej bliznami siwej skóry dał mu niehumanitarną szybkość oraz wydolność. Sam widziałem, jak Ezdrasz w pojedynkę posiekał na kawałki załogę

czterech cekaemów w zaledwie dwie minuty. Dobrze, że major Epsztajn zna hebrajski, aramejski czy po jakimu on tam mówi, i przygarnął drania.

Tak. To miejsce nie tylko nie pozwala nam umrzeć, ale także sprowadza czasem do pomocy nieszczęślików z innych bitew i czasów. Dla fanatyków historii to byłaby wielka gratka, młodszy ja z czasów liceum bardzo jarałbym się, gdybym mógł spotkać prawdziwego centuriona w ekwipunku wprost z epoki. Życie mi to wynagrodziło z nawiązką. Nasi rosyjscy przeciwnicy z 6. Batalionu Saperów, 13. Pułku Piechoty Zmotoryzowanej i 19. Kompanii Powietrznodesantowej wspomagani byli swego czasu przez legionistę z Zapomnianego Legionu. Przemienienie ładnie obdarowało skurwiela. *Lorica segmentata* zrosnięta z ciałem, *scutum*, którego nawet cholerny gatling miał biedę przestrzelić, i *pilum*, który wracał do rąk po rzucie. Rozwaliliśmy gnoja, dopiero pakując mu kilka granatów z boku.

Kończę jeść ostatniego suchara, gdy nagle wyczuwam delikatny podmuch powietrza. Wiem, co to oznacza. Nawet nie muszę słuchać oślizgłego szeptu adiutanta wydającego polecenie.

– Porucznik Maciej Towiański wzywany jest do centrum dowodzenia. Generał Sieradzki ma dla was zadanie!

Sztab też przesiąknął atmosferą tego miejsca. Nie ma tu wielkiego porządku, nie jest czysto i porządnie, jak na tych wojennych filmach. Osmalony tynk na ścianach wiejskiej chałupy tymczasowo przerobionej na siedzibę

sztabu, krzątający się nerwowo żołnierze, zgiełk odbieranych meldunków oraz chaotycznie przekazywanych rozkazów, monotonne gderanie dziadygi-cywila, który nie chcąc się ewakuować, zmuszony jest teraz tu z nami siedzieć. Wchodzę do izby gościnnej służącej za salę odpraw. Wywalono stamtąd wszystkie zbędne meble i ozdoby, zamieniając to na mapy, radia, tablice z notatkami. W pomieszczeniu czekał już na mnie generał, energicznie kreśląc coś na mapie.

Niski, wychudzony, dawniej zawsze schludnie ogolony, dziś zarośnięty i o przekrwionych oczach. Oj, wieczna bitwa niezbyt dobrze na niego wpłynęła. Daje mi znak, bym spoczął, i zaczyna mówić.

– Zaraz będą tu major Wieczyński i pułkownik Szuba, którzy udzielą ci szerszych wyjaśnień.

Dowódcy odpowiednio Batalionu Medycznego i Kompanii Inżynieryjnej. Widać coś grubszego się szykuje. Wchodzą. Jeden nijaki z twarzy, drugi musi się schylać, by przejść przez drzwi. Rzucają mi bryłkę dziwnego, złocistego metalu. Spoglądam na nich zdziwiony.

– Trzymasz w dłoni przełom – burczy Szuba, patrząc na mnie z góry. – Coś, co nas może uratować.

– Jak? – patrzę z niedowierzaniem na nich.

– U tych, którzy wrócili, zaczyna dominować chęć walki i wojowania. Wraz z każdą kolejną śmiercią tylko to zaczyna się dla nich liczyć. Walczyć, zginąć, powrócić. I tak do nastania jebanego *dies irae*. A Krąg wydaje się w tym pomagać. Uzupełnia nam amunicję, zapasy, leki. Pamiętasz początki? Pilnowaliśmy, by ziemia nie

pochłaniała zwłok i łusek po nabojach. Wszystko na nic. Ale resztę niech opowie major.

Major odbiera mi grudkę i zaczyna wykład powolnym, monotonnym głosem.

– Nie podamy ci szczegółów chemicznych i technicznych, bo nie mają dla ciebie znaczenia. Zresztą przy obecnie dostępnych narzędziach sami niezbyt wiemy, co to jest. Ważne jest, co to potrafi – zapobiega Przemienieniu i ostatecznie zabija Przemienionych. Musi co prawda mieć styczność z tkanką, ale starczy niewielka ilość, by działało.

Chce mi się płakać ze szczęścia. Ale wiem, że musi być tutaj haczyk.

– To jedyna próbka, którą mamy. Po tej stronie frontu prawie na pewno nie ma złóż tego metalu. Ale po drugiej stronie to co innego. Rosjanie przekazali nam przybliżone współrzędne, gdzie szukać.

– To dlaczego sami nie szukają i nie pójdą wydobywać? Mają bliżej.

– Nie mogą się zdradzić przed dowództwem. W ich sztabie zostało przemienionych przynajmniej czterokrotnie około dziewięćdziesiąt procent kadry dowódczej. Głównie dzięki tobie. My mamy dowódców, którzy jeszcze nie zginęli – kończy major z przekąsem, kładąc szczególny nacisk na to „jeszcze”.

Wiem, do czego on pije. W pierwszych dniach naszego uwięzienia wykazałem się inicjatywą i poprowadziłem pluton głęboko za linię wroga, gdzie zdecydowanym atakiem wystrzelaliśmy niemalże całe dowództwo przeciwnika. Nikt z nas wtedy jeszcze nie wiedział o tym, co robi Przemienienie z człowiekiem. Wtedy sztaby mogły

dogadać zawieszenie broni, dziś jest to niemożliwe. Od tego momentu w sztabie jakoś krzywo na mnie spoglądano. Dziś przyjdzie mi za to zapłacić.

– Żołnierzu, zostaliście wybrani do tej misji nie za karę, ale ze względu na wasze zdolności – odezwał się milczący dotąd generał. – Już raz pokazaliście, że potraficie po cichu poruszać się za linią wroga. Waszym celem będzie kontakt z Rosjanami oraz dostarczenie większej ilości próbek tego metalu. Mamy solidne podstawy, by zakładać, że jeśli uda nam się powstrzymać walkę, czyli wykończyć wszystkich Przemienionych, to miejsce wypuści nas jako niepotrzebnych.

– Do czego jesteśmy potrzebni? – pytam zaskoczony. Po co ktoś lub coś chciałoby zamknąć ponad dwadzieścia tysięcy chłopów na obszarze Kręgu o polu osiemdziesięciu kilometrów kwadratowych, by się przez wieczność wzajemnie mordowali?

– Może to wroga symulacja z nami jako żywymi aktorami? Może to miejsce żywi się wszelakimi negatywnymi emocjami wywołanymi przez zabijanie, walkę, stratę? Może to eksperyment mający stworzyć uberżołnierza, wojownika idealnego? Nie wiemy. Ale po raz pierwszy, odkąd się tutaj znaleźliśmy, możemy zakończyć to szaleństwo. Byłoby grzechem nie wykorzystać tej okazji.

Z nieba zaczyna siąpić deszcz. Maszerujemy już trzy godziny, a do punktu kontrolnego WIEŻA daleko. Musimy iść ostrożnie, by przypadkiem nie wyjść poza pole Kręgu. Opuszczenie obszaru grozi długą i męczącą

wędrowką do punktu, z którego się przyszło. Nerwy mamy napięte jak postronki, a na każdy dziwny odgłos reagujemy padnięciem na ziemię.

Wysłali mnie z trójką ludzi. Kapral Adam Więclawski jest naszym ekspertem od materiałów wybuchowych i robót inżynierskich, a szeregowcy Marcin i Tomasz Maroszki, prócz celnego strzelania, umieją mówić po rosyjsku. No i są bliźniakami. Odróżniam ich po oczach – Marcinek ma niebieskie, Tomek piwne. No i jest z nami Centaur.

Centaur nie został przydzielony do grupy, samowolnie się przyłączył, myśląc pewnie, że ruszamy bić Saracenów albo że będzie nas chronić przed zbójami, jak na szlacheckiego kawalera przystało. Ciężko stwierdzić, bo nikt z nas nie umie mówić po francusku, a sam rycerz nie jest z tych wygadanych. W połowie koński korpus okryty zielono-czerwonym kropierzem, spod którego wystają białe pęciny, w połowie zrosnięty z osmaloną zbroją mężczyzna o długich, rudawych włosach oraz szarej, złuszczonej skórze. Prócz tego Przemienienie w swej szczodrobliwości dało mu możliwość formowania rąk w kopię i tarczę. A gdyby trzeba było przejść w zwanie, zawsze mógł dobyć lekko wyszczerbionego miecza tkwiącego w boku. Jednym słowem, idealny człowiek do zadań wymagających wielkiej dyskrecji. Służy nam za zwiad. Jak nagle ruszy, nomen omen, z kopyta, to wiemy, że musimy kryć się i zaczekać, aż wróci upaprany krwią.

Tak jak w tej chwili. Nawet nie czekamy na wynik starcia, dając nura do pobliskiego zagajnika. Słyszymy dźwięk rykoszetów, łoskot zderzenia, wrzask mordowanych. Przez dłuższą chwilę trwa cisza, więc ostrożnie kontynuujemy wędrowkę, przemykając od drzewa do

drzewa. Centaur nie wraca. Pewnie w tej chwili ziemia już go pochłania wraz z ubitymi wrogami. W sumie to dobrze, jeden problem mniej.

Zapada zmrok, wreszcie docieramy na miejsce. Punkt kontrolny WIEŻA jest tak naprawdę stojącą na uboczu wieżą ciśnień, jakimś cudem niezniszczoną w ostrzale artyleryjskim. Dałem rozkaz, by rozbić obóz za budynkiem, o szóstej rano wyruszamy w dalszą drogę. Nie śpieszy się, nasi czekają już tak długo, że kilka godzin ich nie zbawi. Nie wolno dać się ponieść emocjom, mamy tylko dotrzeć na miejsce i nie dać się zabić. Dlatego surowo zabraniam rozpalania ogniska – trzeba będzie jeść zimne racje, spać na zmianę, nigdzie nie łązić bez towarzysza.

Żuję spokojnie suchara, gdy słyszę ciche pytanie.

– Kapralu, przypomnicie, jak my się tutaj znaleźliśmy? W sensie, na wojnie – słyszę ciche pytanie.

Odwracam się, by zjebać smarkacza. Takich rzeczy się, do ciężkiej cholery, nie wspomina. Więclawski jednak daje mi znać, że to nic i żebym nie robił awantury, po czym opowiada ciepłym, kojącym głosem.

– Wysłano nas, by wspomóc naszych zachodnich sojuszników podczas ofensywy w obwodach woroneskim, lipieckim i tulskim, zajętych przez ultranacjonalistyczną partyzantkę. Nasza dywizja miała wyprzeć resztki rozbitych sił wroga z miasteczka, które przechrzcili na Pobiedogród, oraz ustabilizować rejon. Ruskie stawiały zażarty opór i po trzech dniach walk postanowiliśmy się wycofać w celu przegrupowania. Wtedy okazało się, że jesteśmy uwięzieni.

Urwał, spoglądając na południe, w kierunku mieściny. Bliźniacy uczynili to samo z wielkim wyrzutem na twarzy. Zupełnie jakby to jej winą było wyrwanie nas z prawdziwego świata. Prędko skwitowałem, że koniec pierdolenia na dziś, pora spać, i że wyznaczam warty. Pierwszy idzie Więclawski, potem Tomek, Michał i na koniec ja. Nie spodziewałem się nagłego pojawienia wroga, północ Kręgu zawsze była spokojnym miejscem, rzadko odwiedzanym przez wojska obu stron.

Obudziłem się, gdy światło zaczęło razić w oczy. Zerwałem się jak oparzony, uświadamiając sobie, że zaspaliśmy. Klnąc pod nosem, wymyślałem wartownikowi, planując najsurowsze kary za niedopełnienie obowiązków. Zdezorientowanym szeregowym kazałem zbierać się i przygotować do wymarszu. Sam pobiegłem do wieży, by przydybać śpiącą królownę i dać jej pocałunek, który długo zapamięta.

Ujrzałem kaprała, wycofałem się z budynku bez słowa, zbierając manatki. Marcin nieśmiało zapytał mnie, co się stało i gdzie jest Więclawski.

– Kaprał Więclawski już nigdzie z nami nie pójdzie. Weźcie jego rzeczy – rzuciłem roztrzęsionym głosem, po czym puściłem pawia.

Adam rzeczywiście nigdzie nie pójdzie. Nie w tym stanie, będąc niemalże całkowicie wchłoniętym przez ścianę wewnątrz wieży. Ciągłe żywy, ruszający spazmatycznie dłońmi, z drżącymi nogami. Mogący wciąż oddychać przez niezespolone jeszcze z cegłami usta i nos.

Opuszczając to parszywe miejsce, odwróciłem się, by spojrzeć raz jeszcze na pułapkę. W tym momencie powietrze przeciął przeraźliwy świst i punkt kontrolny

WIEŻA zniknął w tumanach pyłu, trafiony pociskiem artyleryjskim. Mam nadzieję, że kapral poległ. Naprawdę mam taką nadzieję.

Już trzeci dzień ukrywam się w małym zagajniku. Gdyby nie raczej żywnościowe bliźniaków, byłbym już dawno martwy. Zostali odstrzeleni przez snajpera, a ich ciała pochłonęła ziemia. Znam jego przybliżoną pozycję, domyślam się, że jest stale przywiązany do tego jednego miejsca. Czasem Przemienienie tak działa, wracasz i jesteś uwięziony jako element czegoś większego. Pamiętam przypadek, gdy sześciu naszych piechociarzy utrzymujących punkt w zrujnowanym kościółku wróciło jako strażnicy tego miejsca. Nie mogli wyjść poza obręb budowli, ale potrafili zniknąć w murach i prowadzić celny ostrzał przez ściany. Miejsce było praktycznie nie do zdobycia, więc Ruscy musieli je odpuścić. Biedni, chyba od roku nie widzieli wroga. Pewnie umarli z nudów.

Muszę przedostać się do Koła Fortuny, zwanego także Rotundą Sierżanta Krzepkowskiego, dla uczczenia człowieka, który odkrył niezwykle właściwości tego miejsca. Otóż wchodząc do środka, wychodzisz w innym punkcie Kręgu. Sierżant w ten sposób dostał się ze swoją drużyną na tyły wroga i wywołał tyle zamieszania, że zmusił przeciwników do chaotycznej rejterady. Od tego dnia pilnowaliśmy Koła, myśląc, że to kluczowy dla wojny obiekt. Nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, że Rotunda wysyła ludzi w losowe miejsca. Podczas operacji „Władca Much” wysłaliśmy przez Koło Fortuny cztery plutony. Rozrzuciło

ich po Kręgu tak, że do dzisiaj nie odnaleziono dwudziestu żołnierzy. To moja jedyna szansa.

Z mojej kryjówki do kompleksu mam najdłuższe sto metrów w historii. Teren wokół mnie płaski, bez krzaków, więc skradanie się odpada. Bieg przez otwartą przestrzeń to prezent, o jakim wróg tylko marzy. Nawet wycofać się nie mogę, bo strzelec ma wszędzie idealną linię strzału. Czuję, jak podnoszą mi się włosy na karku, gdy owiewa mnie delikatny podmuch i słyszę za plecami szelest liści. Najszybciej jak mogę, przetaczam się na bok i odbezpieczam karabin. Nie strzelam.

Patrzy na mnie Marek. Albo Tomek. Wszędzie rozpoznałbym tę przystojną twarz, jakby żywcem zdartą z młodego Shawna Michaelsa. Spoglądam mu w oczy i dochodzi do mnie, że Przemienienie było dziś wyjątkowo okrutne. Jedno oko miał piwne, drugie niebieskie.

– Panie poruczniku, ile nas nie było?

– Trzy dni – dukam zaniepokojony. Czuję się nieswojo, rozmawiając z jedną osobą, będącą niegdyś dwoma.

– Pomożemy porucznikowi. Wiemy, gdzie siedzi strzelec. Odciągniemy jego uwagę. Wróciliśmy szybsi, zwinniejsi i nawet lepiej potrafimy strzelać. Wiemy to, co wiedzieli Marek i Tomasz osobno. Pan w tym czasie wskoczy do Rotundy.

– Nie – zaoponowałem. Nagle mój plan nie był tak genialny, jak się wydawało. – Nie wiem, gdzie mnie wywali, poza tym nie znam ruskiego. Nie dogadam się z tamtymi nawet jeśli...

– Martwy nie dotrzesz tam, gdzie cię posłali – przerwał mi, machając lekceważąco ręką. – Nami się nie przejmuj. Może cię znajdziemy, zresztą z Kręgu i tak nie ma jak uciec.

I wybiegł z zagajnika. Chryste, w życiu nie widziałem, by jakikolwiek człowiek tak biegał. Był niczym sarna, niczym gepard, niczym pieprzony Asafa Powell, w którego władowano wszelki znany medycynie doping. Z gracją unikał pocisków, pewnie niesamowicie frustrując przeciwnika, pierwszy raz od dłuższego czasu niepotrafiącego trafić w cel. Zebrałem graty i czekałem na odpowiedni moment.

Kluczyłem, by nie ułatwiać strzelcowi zadania, co uratowało mi życie, sądząc po świcie usłyszonym koło ucha. Wpadłem przez wrota, czując powiew lodowatego wiatru, i pochłonęła mnie ciemność.

Oślepiła mnie niezwykła jasność, nie zdążyłem nawet wyhamować, z hukiem wpadając na pojawiający się niespodziewanie mur. Z pewną ulgą straciłem przytomność.

Budzi mnie tępy, pulsujący ból rozlewający gorącem po twarzy. Sprawdzam delikatnie palcami i wyczuwam chropowaty bandaż. Coś mi mówi, że nie doznałem jeszcze Przemienienia. Przypuszczenie potwierdza się, gdy orientuję się, że leżę w zapleśniałej klitce, cholera wie gdzie, na pewno jednak nie tam, gdzie mnie wyrzuciło Koło Fortuny. Pamiętam dobrze jedynie zbliżający się mur. I że tam miałem swój ekwipunek, a w pomieszczeniu nigdzie nie ma moich rzeczy i broni. Jestem jeńcem? Bankowo nie. Nikt się już tu nie bawi w Konwencje Genewskie, obozy

jenieckie oraz godne traktowanie. Ale wśród swoich też nie jestem, bo nawet nóż mi zabrali.

Jęcząc z bólu, podnoszę się z materaca i zbliżam do drzwi.

Zamknięte, no tak.

Walę w lepkie od brudu drewno, drę się, by mnie ktoś wypuścił. W końcu ktoś przychodzi. Ktoś w postaci dwóch pakerów w pełnym rynsztunku bojowym oraz mężczyzny o wyglądzie kawiarnianego rewolucjonisty, dla żartu ubranego w rosyjski mundur z dystynkcjami majora. Spogląda krytycznie na moją twarz i duka z silnym akcentem.

– Ja major Zobnin, lekarz. Twój nos złamany, ale ja go zrobił. Tylko ciebie wysłali?

– Tak – kiwam głową. Tyle z obaw o znajomość języka. – To wy chcieliście, by nas wysłać?

– Da. Ale was więcej miało być. Czterech – marszczy brwi Zobnin

– Miało. Ale już nie jest – wzdycham. Więcławski, Marosze. Nawet Centaur przepadł. A wszystko, by odnaleźć coś, co może nawet nie pomóc.

Rusek w pierwszej chwili krzywi się z niezadowolenia, ale szybko się opanowuje. Coś tam buczy po swojemu do obstawy, a ci grzecznie, acz stanowczo prowadzą mnie do ichniego centrum dowodzenia. Wnioskując po czterech szeregach samochodów o różnym stopniu zaniedbania na sporym parkingu, moi koledzy uwili sobie gniazdko w opuszczonym komisie. W moim punkcie docelowym o kryptonimie „Rydwan”.

– Widzieli twoją mapę – informuje mnie sucho major. – Wiemy, gdzie jest wejście. Zaprowadzimy.

Zaprowadzili. Nie była to długa droga. Wystarczyło zejść do piwnicy komisu i przecisnąć się przez idealnie okrągłą dziurę w ścianę. Bracia Rosjanie obiecali przypilnować moich gratów, a nawet latarkę pożyczyle, bo ponoć tam jest dosyć ciemno.

Kwadrans czołgania później w końcu opuściłem tunel, niezgrabnie lądując na zadziwiająco gładkiej posadzce, która, oświetlona, okazała się być cała z granitu. Podobnie ściany korytarza, który mimo oświetlenia wydawał się kończyć gdzieś daleko za polem widzenia. Przez myśl przemknęło mi, by się wycofać, lecz otwór, z którego wypadłem, znikł. Został mi tylko długi marsz przed siebie.

Straciłem już rachubę czasu, pot zalewa mi oczy, oddech robi się coraz krótszy, nogi zaczynają odmawiać mi posłuszeństwa, a ten skurwiały korytarz ani myśli się kończyć. Otacza mnie grobowa cisza, nawet echo nie chce się tu roznosić. Moje próby robienia jakiegokolwiek hałasu spełzają na niczym, zupełnie jakby ściany pochłaniały tutaj wszelki dźwięk. Jakby chciały zmusić mnie do pogodzenia się z wejściem w pętlę bez końca i rychłej śmierci, nawet nie zobaczywszy celu. Przyznam szczerze, że jestem bardzo blisko tego, by się poddać, zwłaszcza że godzinę temu padła mi latarka.

Tym mocniej zabolął gwałtowny rozbłysk światła, od którego zapiekły przywykłe do mroku oczy. Długo trwało, nim przyzwyczajając się do jasności, zobaczyłem, gdzie nagle się znalazłem. W wielkiej grocie pachnącej mdlącym zapachem róż. Jej ściany mieniły się pulsującym światłem żółtych żyłek, zbiegających się w olbrzymim

prostopadłościanie koloru płynnego złota. Widok był imponujący do tego stopnia, że nie zwróciłem uwagi na siedzącego nieopodal wątego mężczyznę. Wróc, on kiedyś na pewno był mężczyzną. Ale nie dziś.

Siedział na kamiennym tronie, zastygły w pozie godnej króla pozującego nadwornemu malarzowi. Nie licząc szyi, ust, nosa i uszu niewiele zostało w nim ludzkiej tkanki. Cała reszta była drewniana i przypominała idealną rzeźbę, którą szalony twórca zapragnął wykończyć kilkoma skrawkami człowieka. Zadbał nawet o ukoronowanie nieszczęśnika czymś, co przypominało bogato inkrustowaną biskupią mitrę. Postać odezwała się do mnie dychawicznym basem:

– Przychodzisz, bo myślisz, że znajdziesz tu sposób, by uwolnić się z Cyklu?

– No tak – odpowiadam zaniepokojony. – A znajdę?

– Nie – słyszę gorzkie westchnięcie. – Nie znaleźli jej tu Persowie, Rzymianie, Normanowie, krzyżowcy, napoleońscy żołnierze, żołdacy radzieckie i inni. Ja biłem się o planetę Tau Ceti i też nie zdołałem przerwać Cyklu. Trafiłem tutaj w 3451 roku. Z którego ty jesteś?

Zaschło mi w gardle. Dotarło do mnie, że gadam z człowiekiem o tysiąca czterysta dwadzieścia lat młodszym. Zakręciło mi się w głowie. Chryste, czy to miejsce więzi także ludzi z przyszłości? Ile ten biedak tutaj musi tkwić? Udaje mi się tylko jęknąć niezrozumiale w odpowiedzi. Rozmówca przyjmuje to nad wyraz spokojnie.

– Nie ty jeden zdurniałeś. To częsta reakcja dla ludzi z bardziej... antycznych okresów – mężczyzna uśmiecha się lekko. – Pewien samuraj najzwyczajniej w świecie

poderżnął sobie gardło, gdy ze mną skończył rozmawiać. Chyba to zrobił, sądząc po tym, co usłyszałem.

W końcu udało mi się coś z siebie wydusić i podać swoje imię i ostatnią pewną datę.

– Tysiąc czterysta lat z hakiem. Czyli potwierdziła się jedna z wielu naszych teorii. To miejsce jest entropiczną anomalią... A zresztą, co będę tłumaczył. I tak nie pojdziesz. Przybyłeś tu zniszczyć Kostkę?

Rzucam okiem na bryłę i już wiem, że ten plan od początku nie miał sensu.

– Nie, skądże znowu. Odkryliśmy, że szczątki tego, z czego jest zrobiona ta kostka, zapobiegają Przemienieniu...

– Czemu zapobiegają? – w głosie weterana spod Tau Ceti zabrzmiało zdziwienie.

– No, że wracają po śmierci, tylko nieco inni i bardziej chętni do walki. Kostka blokuje ten proces – wyjaśniam najprościej, jak umiem.

– Aaa, dobra, rozumiem. I co chcecie z tym zrobić?

– Zbadać minerał, wydobyć tyle materiału, by stworzyć broń, a potem wybić wszystkich Przemienionych, dzięki czemu zakończą się walki, a to miejsce nas wypuści.

– O, pomysł bardzo oryginalny – siedzący gwizdnął z uznaniem. – Większość próbowała czcić albo przebłagać Kostkę. Bez skutku. U was będzie tak samo albo i gorzej. Zapobiegając Przemienieniu tylko czynicie ją silniejszą.

– Jak to? – nie dowierzam temu, co słyszę.

– Tak to. Każdy wchłonięty czyni ją silniejszą. Ci, których wypluwa, to są, jak ich nazywacie, Przemienieni.

Zresztą sam zobacz. Jeśli masz broń, to strzel w bryłę. Tylko radzę ci szybko się schować.

Rzucam kamieniem w kierunku jaśniejszej kostki. Pocisk trafia w cel i tyle. Nie rykoszetuje, nie widać odprysków, kamulec tylko się odbija od złotej powierzchni. Pamiętając dobre rady, szybko rzucam się w bok, za tron. W samą porę, bo mrozący krew w żyłach odgłos prutego materiału przecina powietrze i z Kostki wystrzela piorun, trafiając skałkę. Ta prędko czernieje i rozplywa się w powietrzu jak zdmuchnięty z półki kurz.

– Próbowaliśmy zrobić to samo, ale na nieco większą skałę, bo z oktogenem. Wymiotło całą kompanię saperów – powiedział obojętnie żołnierz. – A mnie pokarało szczególnie bo to ja zaproponowałem wysadzanie. Teraz jestem znakiem ostrzegawczym dla wszystkich, którzy tu dotrą. Czekać, bo Kostka coś szepcze mi teraz. Przekażę ci to, bo jak tego nie zrobię, to bardzo mnie zaboli. Wystarczy, że tkwią tu bardzo długo, nie mogąc nawet oszaleć.

Wiem, co usłyszę. I myślę, jak w miarę łagodnie zabić nadzieję tych, co mnie wysłali.

– „Nie uciekniecie i nawet nie ma co próbować. Zostaniecie w Kręgu na zawsze”.

Nie przyjęto tego najlepiej. Orzeczono, że oszalałem, że zawiodłem ich nadzieje, że kto wie, może i ja jestem Przemieniony. Zostałem zdegradowany, skierowano mnie na front. W porządku, nie zależy mi na tym. Powiem więcej, z ulgą przyjmę każdą kulę, strzałę, granat we mnie wystrzelony. Skoro mam tu zostać na zawsze, nie chcę

pamiętać o tym, co straciłem, nie chcę tęsknić do czegoś, czego nie odzyskam.

Dlatego uśmiecham się do wroga szturmującego moją pozycję, mierząc do niego z karabinu. Poddam się, ale nie za darmo. Jeśli któryś zechce zakończyć mą tęsknotę, niech się pierw dobrze postara!

Wiktor Matyszkiewicz

Pasożyt

– Gustav... – słyszał szept. Wołali go? Chyba z oddali. Nie wiedział kto.

Bał się.

Gdzie był? Ostatnie wydarzenia wydawały się takie rozmyte. Podłączyli go do jakiejś maszyny i stracił przytomność. Potem było to nieprzyjemne uczucie spadania. Coś się działo w jego głowie, odpływał wraz ze wszystkimi wspomnieniami. A potem trafił tu, w pustkę. Wokół nie było nic: niczego nie widział, niczego nie czuł, a jedyne co słyszał, to wołanie:

– Gustav... Słyszysz mnie?

Próbował odpowiedzieć. Najpierw cicho, potem darł się i krzyczał, ale wszystko na marne. A w głowie majaczyła mu tylko jedna nazwa...

N-MED.

Conrad wybudził się z krionicznego snu. Otworzył włącz i wyszedł z zimnej wody. Ciarki przeszły mu po plecach, trząsał się. Otaczała go nieprzenikniona ciemność. Zaczął się ubierać i przypadkiem coś trącił. Rozległ się głuchy łoskot. Conrad zamarł, starając się nasłuchiwać.

– Światła – rozkazał w myślach komputerowi pokładowemu.

Sufit rozblysnął zieloną poświatą. Wokół stały setki wanien hibernacyjnych, ustawione jedna przy drugiej. Dalsze niknęły w mroku, ale fragmenty wspomnień mówiły Conradowi, że ciągną się jeszcze daleko. Były ich tysiące... Nie, setki tysięcy. Chcieli zabrać tylu, ilu się dało.

To właśnie jedną z wanien uderzył. Nachylił się nad śpiącym w środku mężczyzną. Blondyn, z lekkim zarostem, niezadbany i niezbyt przystojny. Leżał nieruchomy, niby posąg. Conrad ostrożnie przeszedł do kolejnej wanny. Tam też ktoś leżał. W następnej też. I w kolejnym...

– Wstałem... sam?

„Aktywnych jest jeszcze dwóch członków załogi” zabębnił w głowie cyfrowy głos. Conrad odetchnął z ulgą.

– Czemu tylko my?

„Brak danych”.

– Gdzie oni są?

„Lilith Tirtsh i Ray Bolton znajdują się w pomieszczeniu medycznym numer sześć”.

Świetnie – pomyślał.

– Pokaż mi, jak tam dojść.

– Delikatne zmiany w płacie skroniowym. Możesz mieć przejściowe problemy z pamięcią długotrwałą i łatwiej wpadać w rozkojarzenie. Ale to standardowe objawy gorączki pohibernacyjnej – rozbrzmiewał w jego głowie głos doktor Tirtsh. – Poza tym wszystko w porządku.

Komunikatory telepatyczne doskonale imitowały prawdziwą mowę, a nawet zwiększały jej zakres, pozwalając bezpośrednio przekazywać emocje. Przyzwyczajili się do nich do tego stopnia, że przestali rozmawiać już w zwykły sposób.

– Obudziliśmy się kilka godzin temu – dodała po chwili Lilith Tirtsh. – Ray wyszedł do centrum sterowania po protokół. Sprawdzi, co się stało. Do Keplera jeszcze setki parseków, zdecydowanie zbyt daleko na standardowy tryb.

Droga na miejsce była długa i męcząca. Jego organizm wciąż musiał się zregenerować. Wszędzie panowały ten okropny półmrok i cisza. Najcichszy dźwięk zapowiadał jakąś nieszczelność, ślad zderzenia albo ludzki ruch... Gdy wszedł do środka gabinetu, gęsto upakowane ledy niemalże go oślepiły. Tu było znacznie przyjemniej: w świetle i z towarzystwem.

Odpiął elektrody od głowy i odłożył je na obramowanie białej maszyny z wymalowaną na wierzchu wielką, czerwoną literą „N” i poczuł się trochę nieswojo. Spojrzał na doktor Tirtsh.

– To na pewno nic wielkiego, jakaś usterka. Sprawdzimy i pójdziemy spać – uśmiechnęła się. – Conrad, dobrze pamiętam?

– Tak. Z inżynierskiego. – Wytarł spoconą twarz. – Pracowałem przy konstrukcji arki. Najpierw napęd, potem osłony.

– Ja jestem Lilith. Słuchaj... Naszej misji nic nie zagraża. Na pewno. Wszyscy jesteśmy bezpieczni.

– To nie to – przerwał jej. – Po prostu zobaczyłem coś... – Pokręcił głową. Co miał powiedzieć? Że przestraszył go sprzęt medyczny?

– W porządku – pomogła, widząc jego zakłopotanie. – Ale jeśli będziesz potrzebował o tym porozmawiać, to wiesz...

– Jasne.

– Mam sygnał. Ray wraca.

Doktor Bolton był jednym z informatyków, którzy pracowali przy sztucznej inteligencji sterującej statkiem. Conrad pamiętał go, choć mgliście, z czasów studenckich – chodzili na tę samą uczelnię w Leicester i ze dwa, może trzy razy wyszli razem na piwo. Potem widywali się kilkakrotnie na konferencjach. Ray nadzorował proces uczenia sztucznej inteligencji, która kierowała statkiem. Tak czy inaczej – była to raczej przelotna znajomość.

Wszedł do gabinetu i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Lilith szybko zapoznała panów ze sobą, po czym Ray Bolton mógł przejść do rzeczy.

– Żadnej usterki nie ma – wyjaśnił w końcu. – Sprawdziłem ostatnią aktywność, ktoś wymusił dehibernację ręcznie. Identyfikator jest zaszyfrowany. Wydobyłem jedynie informację, że ma pięć znaków. Czyli to nikt z nas.

Conrad w zamyśleniu kiwnął głową. Identyfikatory pochodziły od nazwisk; to nie mogli być oni. A z drugiej strony...

– Wszyscy inni śpią, sprawdzałem.

Też sprawdzili.

– Powinniśmy kogoś zawiadomić – stwierdził Ray. – Najlepiej kapitana Coopera. Mam odpowiednie uprawnienia, żeby go obudzić.

„Odmowa dostępu”.

Kapitan leżał nieruchomo w swojej wannie. Blondyn, z lekkim zarostem, niezadbany i niezbyt przystojny. Choć Conrad widział go po raz pierwszy, twarz wydawała się znajoma. *Musiąto śnić się mu coś nieprzyjemnego* – pomyślał, sądząc po wścickłym grymasie na twarzy i mocno zaciśniętych oczach.

– Obudź go – rozkazał Ray raz jeszcze, czerwony na twarzy.

„Odmowa dostępu. Brak uprawnień”.

– Jak mogę ich nie mieć, do cholery?! Sam pisałem ten program!

„Uprawnienia zostały cofnięte”.

– Przez kogo?

„Brak danych”.

Ray buzował ze złości do tego stopnia, że pozostali musieli wyciszyć odbiorniki telepatyczne. Uderzył w szklaną obudowę wanny i od razu zawył z bólu. Lilith podbiegła i uważnie obejrzała jego dłoń z każdej strony.

– Nic ci nie jest. Jak wrócimy do medycznego, zrobię ci zimny okład. Ale hamuj się następnym razem.

Zmarszczył nerwowo brwi.

– I... co teraz?

Odpowiedzią była niezręczna, niemiłosiernie dłużąca się cisza. Nikt nie wiedział, co robić, wszyscy byli tak samo zagubieni, a być może wszystkim w głowie krążyły tak samo ponure myśli jak Conradowi.

Rozejrzał się. Mostek kapitański nie wyglądał imponująco. Centralne miejsce zajmowało posłanie kapitana Coopera. Poza tym było tam pełno wszelkiej maści urządzeń służących do kontroli pracy arki. Wszystko skąpane w trupiozielonej poświacie. Przeszedł go dreszcz.

– Może... Moglibyśmy wrócić do gabinetu? – spytał.

Po drodze zaszli do spiżarni. Conrad pchnął drzwi i ostrożnie wszedł do środka. Tysiące ciągnących się w mroku półek, na których ustawiono dziesiątki tysięcy pakunków, jeden na drugim. Imponujące pokłady jedzenia w proszku. Zatrzymał się na chwilę i nasłuchiwał.

– Nikogo nie ma. Chyba.

– Weźmiemy jedną ze sobą – stwierdził Ray, zatrzymując się przy jednej z półek i podnosząc worek. – Musimy też coś jeść, prawda? Lil, mamy jakieś naczynia?

– Coś znajdziemy.

Dał po jednej paczce Lilith i Conradowi, trzecią przewiesił przez ramię. Wrócili do gabinetu medycznego. Otworzyli je, napełnili miski proszkiem i zalali ciepłą wodą. Wyszła z tego płynna, szara papka; w smaku podobna do kaszy manny. Nie było to może

najsmaczniejsze, ale skutecznie zaspokajało głód. Każdy wziął po misce i usiadł w swoim kącie. Jedli w ciszy, dopóki nie przerwała jej Lilith:

– Jak myślicie? Co to może być? Kosmici?

– Raczej z Ziemi. Jesteśmy w kosmosie, na zewnątrz niczego nie ma – stwierdził Conrad. – Czyli któryś z pasażerów. Choć nie wyobrażam sobie, kto i po co miałby robić coś takiego.

– To nieistotne – stwierdził Bolton. – Nie możemy wrócić do wanien, dopóki go nie zatrzymamy.

– Jasne – skwitował Conrad. – Ale co chcesz zrobić? Będziemy chodzić po statku i go szukać?

– Spróbuję złamać zabezpieczenia. Albo obudzić kapitana. Na pewno możemy coś zrobić.

– Zbadam stan śpiących – zaproponowała Lilith. – I zobaczę, czy system podtrzymywania życia wciąż działa poprawnie.

– A ty sprawdź stan techniczny – Bolton zwrócił się do Conrada. – Czy osłony działają? Silniki? Może jakieś ślady włamania?

– Czyjego? – Nawet się uśmiechnął. – Mogę spróbować się rozejrzeć. Albo włączyć kamery.

– Świetnie. Teraz się ogarnijmy. Wy umyjcie się jako pierwsi, a ja w tym czasie zabezpieczę drzwi gabinetu. A potem się prześpiemy. Powinniśmy odpocząć po hibernacji, prawda Lil?

Kiwnęła głową.

– A jutro przystąpimy do poszukiwań.

Conrad wyszedł z kąpieli. Wytarł się, założył kombinezon i podszedł do lustra ułożyć włosy. Uniósł wzrok...

Blondyn, z lekkim zarostem, niezadbany i niezbyt przystojny. Odbicie nie należało do niego. Miało zbyt jasną karnację, kolor włosów, mniejszy nos, zupełnie inne rysy twarzy. Zielone oczy? Conrad całe życie miał przecież piwne. I na pewno nie miał blizny na lewym policzku.

Uniósł dłoń. Drugi mężczyzna uniósł swoją.

Przyglądał się mu z dziwną mieszanką grozy i fascynacji. Sam nie wiedział, co o tym sądzić. To było tak dziwnie hipnotyzujące. Chciał sięgnąć do lustra, złapać odbicie za rękę. Wydawał mu się smutny, zagubiony, potrzebował pomocy...

– Conrad! – krzyknął Ray. – Wychodzisz wreszcie?

Mrugnął.

Wszystko wróciło do normy, odbicie znowu należało do niego. Przetarł jeszcze oczy i zwałił to na karb zmęczenia.

Drugi dzień poszukiwań również spełził na niczym. Nie było żadnego podejrzanego sygnału, kamery niczego nie znalazły, a Ray nawet nie zbliżył się do złamania zabezpieczeń. Conrad cały dzień doglądał silników i miał dość. Chciał się tylko umyć i położyć. Po wszystkim legł na jednym z foteli, założył ręce za głowę i zamknął oczy.

– Nic nie mamy – stwierdził. – To nie ma sensu.

– A masz lepszy plan? – spytał Ray, spoglądając znad ekranu komputera. – Proszę, oświeć nas.

– Nie wiem... – Wypuścił powietrze. – Po prostu... Męczy mnie już to, że nic nie wiemy. Po co w ogóle nas obudził? Dla zabawy?

– Dlaczego akurat nas? – dodała Lil.

– A jeśli to tylko usterka? – spytał Conrad. – Jeśli szukamy go na darmo?

– Wszyscy sprawdzaliśmy systemy i nic nie ma. – Irytacja Raya rosła również w ich głowach. – Póki nie wykluczymy, że ktoś celowo chce nam zaszkodzić, musimy zostać na nogach.

– A może to ty? – wypalił nagle. – Może ty nas sabotujesz, co?

– Conrad... – mruknęła Lil.

– Tylko ty znasz się na programowaniu i tylko ty miałeś dostęp do kodu.

– Po cholere?! Nosz... – Pokręcił głową. – Odbiło ci? Po co? Po co miałbym to robić? I jeszcze harować całą dobę nad złamaniem tego programu. Chcesz zobaczyć, jak pracuję? Żaden problem... A może zaraz powiesz, że to Lil miesza nam w głowie, co?

– Panowie, musimy współpracować...

– Słuchaj, Conrad. Lepiej zamknij się i idź spać. Trzymamy się razem i lepiej, żeby tak zostało.

– Przepraszam. Masz rację. Absolutnie. Nie wiem, czemu to powiedziałem. Jestem... Chyba jestem po prostu zbyt zmęczony.

Kolejnego dnia Lilith postanowiła zabrać go do biobiblioteki i pomóc pozbyć się napięcia. W drodze poganiała go, gdy stawał co kilka kroków i łapał oddech. Z dnia na dzień zdawało mu się, że czuje się coraz gorzej. I chyba miał migrenę, nie był pewien.

– Nie przejmuj się – uspokajała Lil. – To standardowe objawy choroby pohibernacyjnej, musisz się zregenerować.

– Ale wszystko inne... Cała ta sytuacja... – Próbował patrzeć jej prosto w oczy, ale wzrok sam się mu rozjeżdżał.

Otworzył drzwi; ze środka zawiął chłodny wiatr. Weszli do niewielkiego magazynu. W ciemności dostrzegł tylko półki z rozstawionymi pudłami z nasionami lub glebą. Lilith zabrała się do ich przeszukiwania, a Conrad usiadł na krześle i podparł zboląłą głowę.

Błyskawicznie zapalił się ekran, a na nim cały katalog wiezionych nasion, głównie kwiatów. Na obrazkach wyglądały pięknie. Czerwone tulipany skąpane w ciepłych promieniach słońca, razem z wymienionymi pod spodem orchideami.

– Cudowne.

– Prawda? – Stanęła za plecami i oparła się o jego ramię.

Przewinął palcem po ekranie. Pojawiły się nań czerwone róże i okazałe słoneczniki, wszystkie na tle zielonej łąki. Czasem zastanawiał się, czy ich nowy dom na Keplerze też będzie tak piękny jak Ziemia.

Przeglądał dalej: przebiśniegi, tulipany, chryzantemy... Przypadkiem przeniósł wzrok na dół strony. Wszystko było opisane w katalogu firmy N-MED.

Czy nagle w pomieszczeniu zrobiło się gorąco?

– Wiesz co? Powinienem się jednak położyć.

– Słyszysz mnie? Gustav?

Kobieta wyglądała na lekarkę, miała na sobie charakterystyczny biały kitel. W jednej ręce trzymała latarkę. Wokół zgromadziło się sporo ludzi; głównie z obsługi medycznej, ale było też paru ubranych mniej formalnie. Na ich widok przeszły go dreszcze. Na białych koszulach mieli wymalowaną szkarłatem literę N.

Popatrzyła na niego.

– Gustav, pamiętasz mnie?

Pokręcił lekko głową, pozbawiony sił.

– Podajcie narkozę – powiedziała do kogoś z tyłu. – Próbujemy jeszcze raz. Do skutku.

Był okropnie zmęczony. Całą noc nie mógł spać; budził się co kilkanaście minut przez koszmary. Nie pamiętał, co mu się śniło, zostawało tylko uczucie niepokoju. Ostatnie dwie godziny przeczekał na jawie. Nie chciał nikogo budzić.

Leżał na wznak, oglądając zawieszony na suficie ledy. Jeden z nich świecił na przemian ostrzejszym i łagodniejszym światłem, jakby mrugał. Teraz Conrad wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany.

W końcu Lil się obudziła. Ledwo się podniosła, a on zmusił ją, żeby go zbadała. Szybka tomografia, EMG i diagnoza:

– To standardowe objawy gorączki pohibernacyjnej – mówiła. Słyszał to już.

Przez cały dzień był na wpół martwy. Na nic nie miał sił. Uznali, że zostanie w bazie i spróbuje się zdrzemnąć. Być może trochę mu to pomogło, bo gdy Lilith i Ray wrócili, wydawał się być mniej zjadliwy. Przygotował im nawet ciepłą kaszkę i próbował robić dobrą minę do złej gry, gdy znowu niczego nie znaleźli.

Kolejnej nocy Conrada obudziło bolesne i uporczywe walenie w środku głowy. Wezwanie pomocy.

Podniósł się, przetarł oczy. To był pierwszy warty uwagi trop, jaki mieli. Tym bardziej wkurzyło go, że Ray i Lilith spali w najlepsze.

– Ej – nadał w ich stronę komunikat. – Jest alarm czerwony.

Ray przewrócił się tylko na drugi bok, Lilith spojrzała na niego zdziwiona.

– Jaki alarm? Nic nie ma.

Zmrużył oczy. Wciąż czuł w głowie vibracje. Sprawdził protokół; wezwanie zostało nadane z komunikacji. Przez chwilę rozważał, czy nie sprawdzić źródła sygnału samemu, w końcu jednak wizja samotnej podróży okazała się zbyt przerażająca.

– Wstawajcie, musimy to sprawdzić – mówił, wręcz błagał. – Hej!

Lil podniosła się dość niemrawo i szarpnęła Raya.

– Wstawaj, Conrad coś ma – Ziewnęła. – Chodź.

Niechętnie przewrócił się na plecy i wziął głęboki oddech.

– Jeśli to na darmo, uduszę cię.

Z radia wydobywał się z pozoru niezrozumiały szum, bardzo krótkie piknięcia. Sygnał regularnie się powtarzał. „Bip, bip, bip, bip... bip... bip... bip, bip, bip”. Przerwa. „Bip, bip, bip, bip... bip... bip... bip, bip, bip”. Przerwa... „Bip, bip, bip, bip... bip... bip... bip, bip, bip”. Przerwa...

Co jakiś czas zamiast powtarzanego wzorca pojawiało się krótkie: „Bip... bip... bip.”

– Alfabet Morse’a – stwierdził Conrad. Nie widząc zrozumienia u towarzyszy, dodał: – W ten sposób komunikowano się w przeszłości na duże odległości. Dwa proste sygnały, krótki i długi...

– Co znaczą? – ponaglił Ray.

– SOS. Skrót od „Save our souls” – ratujcie nasze dusze. A ta krótka wstawka to pojedyncze „G”. Odwrócenie sygnału jest całkiem proste. Powinniśmy móc się z nim skontaktować.

Usiadł przy radiu, przekręcił pokrętło. Musi odwrócić sygnał. Wystarczyło odwrócić sygnał. Odwrócić sygnał. Odwrócić sygnał...

Siedział jak ten osioł i nie wiedział, co zrobić. Cholera. Całe życie zajmował się inżynierią, a nagle nie potrafił nadać prostej wiadomości przez radio.

– I?

Przecież umiał; pamiętał, jak uczył się tego w szkole inżynierskiej. Sięgnął dłonią do radia. Trzęsła się jak cholera. Kompletna pustka. Na pewien dziwny sposób był przerażony.

– Odsuń się. – Ray odepchnął go i przejął słuchawki. – Jak chcesz się przydać, to wypisz mi ten swój alfabet.

Chwilę męczył się z regulacją odbiornika, rozkładając go i grzebiąc w wewnętrznym okablowaniu, zanim w końcu skalibrował go ze swoim komunikatorem telepatycznym. Napisał też prosty algorytm, tłumaczący alfabet Morse'a na zwykły i odwrotnie. Następnie zaczął nadawać w przeciwnym kierunku prosty sygnał „Halo”, oczekując jakiejś reakcji.

„Słyszysz mnie?” nadeszła odpowiedź.

„Tak” odpowiedział szybko Ray. „Kim jesteś?”

„Jestem Gustav”.

„Co się stało?”.

„Zostałem uwięziony”.

„Przez kogo?”.

„N-MED”.

– Wracam do bazy – oznajmił Conrad słabym głosem.

Leżał, bezmyślnie wpatrując się w ścianę. Nie chciał spać, ale też nie miał ochoty na nic innego. Czuł się jak śmieć. Co mu dolegało? Przecież to nie mogło być zmęczenie. Wszystko było nie tak: powtarzające się słowa i obrazy, zwidy, koszmary... Czy naprawdę było z nim tak źle?

– Hej. – Lilith weszła do pokoju i usiadła obok niego. – Raya trochę poniosło, wiesz jaki jest. Rano wszystko sobie wyjaśnicie.

– Nie o to chodzi. – Obrócił głowę. – Coś jest nie tak ze mną. Od wyjścia z wanny. Wiesz o tym.

– To typowe...

– Nie! – krzyknął. Lil skuliła się, jego wściekłość musiała mocno wybrzmieć w jej głowie. – Jestem rozkojarzony, mam koszmary, boli mnie głowa, boję się nieznanymi i przypadkowymi słowami... A teraz to! Przecież pamiętam, że uczyłem się pół roku o regulowaniu radia! Coś się ze mną dzieje, rozumiesz?! Ale... Ale nie wiem co... – Schował twarz w dłoniach. – Czemu ja? Czemu tobie i Rayowi nic nie dolega, co?

– Słuchaj... – Ten sam uspokajający ton. – Słyszysz mnie?

– Słyszę! – krzyknął zdenerwowany. Chciała go wkurzyć jeszcze bardziej?!

– Gustav... Słyszysz mnie?

Błysk.

Podniósł się, spojrzał na nią.

– Jak mnie nazwałaś?

– Gustav...

– Lil...

Wyglądała jak robot. Jej twarz zastygła w jednym grymasie, bezmyślnie powtarzając te same słowa.

– Gustav, słyszysz mnie?

Błysk. Zauważył.

– Widziałaś to?

– Gustav...

– Cicho.

Podniósł głowę. Ledy stały się wyraźnie jaśniejsze. O wiele jaśniejsze. Kolejny zaskrzył, ten mrugający.

– Słyszysz mnie?

Z każdym mignięciem oślepiały go coraz bardziej. Wszystko inne zniknęło w ich żarze. Oczy bolały niemiłosiernie, nawet gdy je zamknął, ale nie mógł poruszyć głową. Czuł, jak gorąco przenika do środka głowy; jak mózg pali mu się i rozpływa, trawiony przez ogień piekielny. Przestał widzieć, przestał czuć, przestał myśleć.

– Gustav... Gustav, słyszysz mnie?

To była kobieta, poznał po głosie. Nie Lilith, zupełnie obca. Ale imię też nie należało do niego. Nazywał się Conrad. Chciał to wyjaśnić, uruchomić mostek telepatyczny, ale... Z przerażeniem odkrył, że jego łącze mózg-komputer nie odpowiada. Jakby się dusił.

Na skroniach czuł dotyk palców. Widział dłoni, w której trzymała latarkę i razila po oczach. Poruszył się, a ona cofnęła.

Kazała odejść tym, którzy – jak dopiero zauważył Conrad – stali wokół i przypatrywali się całej scenie. Lekarzom i innym, w garniturach albo zwykłych T-shirtach. Byli w jakimś gabinecie lekarskim, ale innym niż ten pokładowy. Zdecydowanie ciśniejszym, mniejszym i pełnym wielu urządzeń medycznych, których w dodatku nie poznawał. Leżał w łóżku, które określiliby jako szpitalne. Zauważył też anturium na parapecie, pod oknem, przez które wpadało... światło słoneczne?

W końcu zostali sami. Kobieta wzięła plik kartek, długopis, i położyła przy jego dłoni. Usiadła w nogach łóżka.

– Słyszysz mnie?

Kiwnął głową.

– Wiesz, kim jestem?

Zawahał się. Zdawało mu się, że widział jej twarz przynajmniej kilka razy, ale nie potrafił powiedzieć gdzie i kiedy. To było bardzo mgliste wspomnienie, schowane z tyłu jego głowy. Dlatego nie odpowiedział. Zamiast tego wziął kartkę i, bazgrząc przy tym koszmarnie, napisał:

„Wyjaśnij mi wszystko”.

Kiwnęła głową.

– Napiszesz, jak się nazywasz? – Widząc jego krzywe spojrzenie, dodała: – Proszę, muszę to wiedzieć. Potem opowiem ci wszystko.

Zgodził się i zaczął kreślić swoje imię. C-O-N-R-A-D. Przeczytała i kiwnęła głową. Odgarnęła włosy do tyłu. Wyglądała na zamyśloną.

– Znalazłeś się w laboratorium N-MED.

Poczuł się słabiej. Na tę nazwę reagował alergicznie. Zobaczył mroczki przed oczami, żołądek podszedł mu pod gardło, ledwo powstrzymał omdlenie. Ona nic sobie z tego nie robiła i kontynuowała:

– Prowadzimy badania nad technologią, powiedzmy, rozrywkową. Chodzi o pewien głębszy rodzaj filmu lub gry, w której zanurzasz się w wirtualnej rzeczywistości. Nowością miała być jednak pełna, całkowita immersja. Na czas gry zablokowane zostają twoje prawdziwe wspomnienia, a zamiast tego – zaaplikowane specjalnie sceny, nagrane we współpracującym studiu filmowym i z obmyśloną przez nich historią. Co więcej, dzięki nowatorskiemu programowi możemy na żywo zaprząć twój mózg do symulacji. Jak komputer, ale w oparciu o twoje wyobrażenia

świata. Duża część projektu była ze strony technicznej już przygotowana, dlatego chcieliśmy zacząć ją testować.

Gustava zgarneliśmy z ulicy, był zwykłym kierowcą taksówki. Miał dostać niezłe pieniądze za parę godzin symulacji. Nie wszystko było gotowe, postacie w grze tylko dwie, tekstury się powtarzały. Ale to detale. – Machnęła ręką. – Podłączyliśmy go i... I wtedy pojawił się problem. Program posypał się, chociaż... Poprawniej byłoby powiedzieć, że był za dobry – westchnęła. – Inwazyjny. Gdy nadpisywał stan psychiczny Gustava, zapędził się. Zmieniał go coraz bardziej, zdecydowanie wykraczając poza nasze założenia. Gdy się zorientowaliśmy, szkody były już olbrzymie. Próbowaliśmy go odłączyć, zrestartować program albo ręcznie przywrócić pierwotny stan psychiczny, ale wszystko póki co zawiodło. Cyfrowy pasożyt przeżarł jego mózg, wgrzyzł się i całkowicie przejął nad nim kontrolę.

Rzecz w tym Conradzie, że to ty jesteś tym pasożytem. Cyfrowym wspomnieniem; elementem gry, który zyskał własne życie. A teraz trafił do realnego, prawdziwego świata.

Prawie się zakrztusił.

To było jak cios w podbrzusze, taki zapierający dech w piersiach. Czuł się, jakby całe jego życie, ta wąłta nić Mojr, nagle zmieniło się w piasek i rozsypało po podłodze. Przecież wszystko pamiętał: arkę kosmiczną; całe dwadzieścia lat, które nad nią pracował; szkolenie w akademii kosmicznej, Lilith i Raya. Całe dzieciństwo, pierwszą miłość, imprezy... Cholera, przecież to wszystko było tak prawdziwe!

I w jednej chwili okazało się kłamstwem albo snem, który nigdy nie miał miejsca. Ułudą. Był dzieckiem, które właśnie przyszło na świat. Samotnym i przestraszonym,

które nie wiedziało niczego i panicznie potrzebowało pomocy. A nikt nie był w stanie mu jej udzielić.

Przypadkiem spojrzął na dłoń. To nie mogła być jego ręka, nie poznawał jej. Ale w takim razie czyja? Była Gustava, to wiedział. Ale czy to znaczyło, że nie był Gustavem? Tak sądził – choć dzielił z nim ciało, to był kimś innym. Conradem. Przymknął oczy. To nie powłoka czyniła go osobą, zrozumiał. To myśli i wspomnienia. A ich wszczęcie było momentem jego narodzin.

– Spróbujemy jeszcze raz. Twoje prawdziwe ja jest schowane głęboko, odsunięte w nieświadomość. Na wierzch przebijać się może bardzo rzadko. – Odwróciła głowę, dała znak ręką. – Ale w końcu się do niego dogrzebiemy.

Wstała. Złapał ją za nadgarstek.

Jak zahipnotyzowany spoglądał na swoją... na Gustava dłoń. Czuł, jak jego oczy robią się wilgotne i... ciężkie. Zasypiał. „Zatrzymajcie to” próbował krzyknąć. „Ja nie chcę umierać”.

Nie potrafił.

Wioletta Mielnik

Doren Mattan musi umrzeć

Ludzie, którzy są wyłącznie pseudonimem, mają w sobie tajemniczość i głębię – zostają z niej odarci, gdy tylko zdradzą prawdziwe imię i pokażą twarz. Gdy Barrett poszukiwał informacji o swoim celu, stworzył w głowie wizję mistycznej nieznanym, objawiającej się w formie krótkich zdań i intrygujących, mrocznych obrazów. Za każdym razem widział ją inaczej.

Osaczyła go.

Raz była wyniosłą, smukłą kobietą o zimnej urodzie i platynowych włosach. Innym razem cechowała ją orientalna, piękna twarz, którą skrywała za długim, purpurowym wachlarzem.

Jakże się rozczarował, gdy stanął w sypialni Doren Mattan, wyciągnął pistolet i wycelował w pokraczną, łysą istotkę z bliznami na głowie. Kobieta nie miała prawej ręki i patrzyła na niego jasnymi, obojętnymi oczami. Zupełnie jakby się spodziewała. Milczała, unosząc kąciki ust w kpiącym uśmiechu.

– Doren Mattan, za działania przeciw rodzajowi ludzkiemu i zdradę własnego gatunku skazuję cię na śmierć – rzucił Barrett i wystrzelił.

Doren Mattan bała się życia. I miała ku temu powody. Gdy do codziennej udręki, w której była typową ofiarą, doszło słyszenie głosów oraz śnienie o przyszłości, była pewna, że zwariowała. To się nie mogło dziać. Nie naprawdę.

Którejś nocy spojrzała w niebo i zobaczyła dwa księżyce. Jeden migotliwie chwiał się, a drugi wchłaniał go, niczym żarłoczne zwierzę. Gdy z pierwszego nic nie pozostało, biały rogal uśmiechnął się do Doren. *Ty będziesz następna* – zdawał się mówić. Bo zawsze ktoś musi być następny. Wtedy dziewczyna pomyślała, że świat nie jest prawdziwy.

Innym razem, gdy „koledzy” ze szkoły – „w ramach żartu” – zamknęli ją w toalecie, uprzednio zabierając z torby szkicownik, dorysowując do każdej ilustracji – nad którymi siedziała tyle czasu – multum przezbawnych kutasów i wrywając kartki, myślała, że nic gorszego już stać się nie może.

Mogło.

Otworzyli drzwi, wykręcili Doren ręce i zadarli bluzkę.

– Ale ma wymiona.

– Co to za szmata? – Ktoś poszturchiwał jej zszarzały, sportowy biustonosz. Potem zaczęli gasić papierosy na ciele dziewczyny.

Każdego dnia było podobnie. Utknęła w parodii świata, stworzonej przez jakiś okrutny byt, w którym poniżenie,

wyzwiska i bicie było normą. Dziewczyna czasami modliła się, aby tamci przestali. Jednak Bóg wymownie milczał, zajęty waleniem konia z myślą o cierpieniu miliardów innych istot.

W domu Doren nie mówiła o niczym. Praktycznie w ogóle nie mówiła. Nie było komu słuchać.

– Dlaczego po prostu im się nie sprzeciwisz? – zapytała kiedyś znajoma z klasy.

B

o

n

a

t

o

z

a

s

ł

u

g

u

j

ę

jestem głównem

dlaczego nikt nigdy nie stanął w mojej obronie

Gdy dorosła, niewiele się zmieniło.

Tylko szepty się nasiliły. A sama Doren coraz mniej czuła się człowiekiem. Głosy mówiły, że niedługo coś się wydarzy. Więc czekała.

Były jej jedynymi przyjaciółmi.

Więc je pokochała.

Znalazła pracę, w której każdego dnia gniła żywcem, pakując sterty nikomu niepotrzebnych przedmiotów. Ludzie stamtąd szybko zauważyli, że z Doren coś jest nie tak.

Doren

j

e

s

t

p

s

y

c

h

i

c

z

n

a

Kto raz został złamany, tego już nie da się naprawić.

Można zakrywać blizny. Ale one nadal są.

– Zrozumiesz to później. To po prostu droga, którą musisz przejść – mówiły głosy.

Droga nigdy się nie kończyła. Może dlatego Doren lubiła się okaleczać.

Nie.

Nie „lubiła”, to złe słowo.

Tak przywykła do bólu, że był jej naturalną reakcją na jakikolwiek stres.

Boisz się ludzi?

To wbij sobie cyrkiel w rękę. Rozdrap ją do krwi. Co ci szkodzi?

Przecież...

Wiesz to.

To zostało już powiedziane setki razy, powiedz to znowu. Wykrzycz to.

Gównu, a nie człowiek.

Śmieć.

Żałuję, że się urodziłaś.

Doren też żałowała. Kiedyś miała odwagę, aby przekroczyć cienką granicę między życiem a śmiercią. Ostatecznie, nawet to jej się nie udało. A po tym... już nie miała odwagi. Zimna, obojętna ciemność także zaczęła przerażać.

– Jesteś typem schizoidalnym – zawyrokowała elegancka kobieta w ołówkowej spódnicy. Odruchowo postukała

długopisem w kartkę, jakby chciała podkreślić, że o-o tutaj wszystko jest napisane. – Zaburzenia schizotypowe, obejmujące poczucie derealizacji – wyliczała dalej. – Prowokujesz ludzi z własnego otoczenia, aby byli wobec ciebie agresywni.

– Nikogo nie prowokuję – bąknęła Doren, ale tamta nic sobie z tego nie robiła. Być może właśnie dlatego konsultacje u niej były najtańsze.

– Utknęłaś w projekcji autoagresywnej. To zapewne wynik twoich złych relacji z ojcem. – Terapeutka powiedziała to z wyraźną dumą, jakby rozwiązała niesamowicie skomplikowaną zagadkę. – Należy się sto pięćdziesiąt – dodała, zerkając na zegarek, który wybił pełną godzinę.

Doren mogłaby przysiąc, że dopiero tu weszła. Że godzina nie mogła już minąć. Tak jak nie mógł minąć ostatni tydzień, miesiąc, rok... Wszystko się zlewało. I było tylko jednym, boleśnie rozciągniętym dniem.

– Musisz to po prostu znieść – dodała kobieta, gdy Doren wręczyła banknoty. – Nie mam uprawnień do wypisywania recept, więc widzimy się w przyszłym tygodniu.

Doren przeszła setki kilometrów pustki. Nie było ani początku ani końca. Nie było żadnej puenty ani uzasadnienia cierpienia. A potem zniknęła. Świata nie obchodzą tacy jak ona; odrzuceni, niechciai, rozbici.

– Doren, zrób to – szeptały głosy, gdy stanęła na moście. I wtedy go zobaczyła. Stał nad brzegiem rzeki, trzymając za biodra mocno wypiętą dziewczynę z podwiniętą sukienką.

Mężczyzna poruszał się rytmicznie, posapując przy tym, a jego długie włosy opadały swobodnie na plecy. Doren nie widziała dobrze twarzy tamtej kobiety, ale on przez jedną

krótką chwilę był piękny. Robiący coś, specyficznego. Zakazanego. Brudnego, ale i wyzwalającego jednocześnie. Coś, czego nikt nie chciał zrobić z Doren. Gdy wróciła do klitki, którą zamieszkiwała, czuła żar. I wstyd zarazem.

– No, to normalne, że boli. Jakby nie bolało, to by tu pani nie było, nie? – mruknął nabrzmiały, czerwony na twarzy mężczyzna, odsuwając się od ginekologicznego fotela, na którym siedziała Doren.

– Widzę tu coś brzydkiego. No, badania mamy, ale co ja mogę? To jest do wycięcia, a nikt pani nie wytnie. Do więzienia by poszedł. Pani młoda jest, dzieci urodzi, to wtedy się ciachnie.

– Ale... to jest niebezpieczne?

Lekarz parsknął, ostentacyjnie zdejmując rękawiczki.

– No, raczej, tak. Ale ja tego nie tknę, tu jest cała macica i prawy jajnik do usunięcia. Ale ja tego nie tknę – zapewnił. – Bo wie pani, bezpłodna będzie i co?

– Ja i tak nie chcę mieć dzieci.

Doren pomyślała o małych, uszkodzonych istotkach takich jak ona. Takich popsutych, którym ukazano by tylko pogardę.

– Chce czy nie chce, mnie to nie obchodzi. Takie jest prawo. Zresztą, co to za baba, jak nie chce?

W domu Doren usiadła przed telewizorem i bezmyślnie patrzyła w ekran. Podbrzusze pulsowało tęnym bólem, ale tak być musiało. Nie było innej drogi. Dziewczyna przypominała sobie mężczyznę, który uprawiał seks przy moście. Dziwne. Bardzo dziwne.

– Boli mnie wszędzie. Nawet w miejscach o których nie sądziłam, że istnieją.

Terapeutka zanotowała coś i znów zwróciła obojętne oczy w stronę Doren, jakby chciała zachęcić do dalszych zwierzeń.

– Ciężko mi być. To znaczy... Sama nie wiem. Mam dość istnienia w tym świecie.

– Chcesz popełnić samobójstwo? – Kobieta w ołówkowej spódnicy wyniośle uniosła głowę.

– Tak. Znaczy nie, nie chcę. Ja chcę żyć. Tylko nie tu, nie tak. To wszystko jest nie takie, jakie być powinno. Mam dość. Dość samej siebie, otoczenia, tego jak to wszystko wygląda. I przede wszystkim własnej bezsilności. Boję się, że jestem zepsuta. Z drugiej strony, ja to wiem. Wiem, że kiedyś coś we mnie pękło, obumarło i nie zmartwychwstanie. Jest zgnilizną. A przez to ja nią jestem. Rozumiesz mnie, prawda? Proszę, powiedz, że rozumiesz.

Nie rozumiała.

– Mogę zapisać panią na chemioterapię. Operacyjnie nic nie da się załatwić. To co, zapisywać na fundusz?

Doren śmierdziała ropą i krwią, która wylewała się z jej genitaliów. Cuchnęła rakiem. Zionęła śmiercią.

Skinęła tylko głową.

– Dobrze, pierwsza wizyta za pół roku. Do tego czasu zalecam nasiadówki z wodą z mydłem.

– A łyżeczowanie? Niech pani to wytnie, jeśli trzeba.
Kobieta uśmiechnęła się dobrodusznie.

– Proszę pani, tu nie wykonuje się TAKICH zabiegów.

Jej świat także był chory. A na inny nie było dziewczyny stać.

– Wydaje ci się, że śniesz o przyszłości. To jednak projekcje o charakterze magicznym. Twój umysł z braku bodźców wytwarza je. Na dodatek prowadzisz monotonne życie. Podświadomie przewidujesz to, co się wydarzy, bo to samo dzieje się każdego dnia.

Tak. Przecież to było logiczne. Głosy w głowie mówiły to samo.

Znowu kulila się na szkolnym boisku, gdy okładali ją pięściami. To było zabawne, w pełni zasłużone. Ktoś wczepił gumę w długie, jasne włosy. To też było zabawne. Pozostał tylko krzyk i płacz, zlekceważone przez wszystkich. A Doren wciąż wracała do tych wspomnień.

– Ty pierdolony przygłupie, patrzysz w ogóle, co robisz?

Doren uniosła nieprzytomnie głowę. Ostrożnie położyła ostatni pakunek na palecie.

– Ja pierdolę, wszystko źle. Gdzie kod? Zeskanowałeś go? A-13 odkładasz tam, czy to takie trudne? I skanuj pierdolone kody, debilu.

– Zaniża tylko normy.

– Takich ludzi powinno się usuwać.

„Tak” przyznała im wszystkim rację.

Zobaczyła na ulicy mężczyznę bardzo podobnego do tego, którego widziała na moście. Bezmyślnie poszła za nim, zupełnie jakby mógł przekazać jej tajemnicę wszechświata. Wszedł do sklepu z bronią, więc wślizgnęła się także i tam.

– Idź zebrać gdzie indziej – warknął na nią sprzedawca. Cienkie zaniedbane włosy, brzydki, stary filcowy płaszcz i tanie, wielokrotnie klejone buty sprawiały, że naprawdę wyglądała jak stworzenie ulicy.

– Chcę coś kupić – mruknęła niepewnie, zerkając na nieznanomych. Obcy, za którym tu przyszła, machnął lekceważąco dłonią.

– Roth, daj spokój, niech się gapi.

Ktoś był dla niej miły. Ktoś nie był wrogi. To znaczyło wiele.

Mężczyzna kupił karabin Barrett M82. Nazwa wyjątkowo wpadła Doren w ucho. Też musiała coś kupić.

– Dla ciebie mam coś takiego – rzucił sprzedawca, pokazując malutki, tani pistolecik.

Wzięła.

Skoro Barrett może mieć broń, to ona też.

Czasami fantazjowała o tym, że mści się na wszystkich, którzy ją skrzywdzili. Wyciąga broń i bez wahania strzela im prosto w głowy.

I w jednej krótkiej chwili nie była już ofiarą.

Kiedy indziej marzyła o tym, że zdradza ludzkość w jakiś spektakularny sposób. Wręcz jest cesarzową złą, która skinieniem dłoni posyła własny gatunek na zagładę.

To pomagało.

Pomagało wstać z twardego, pustego łóżka.

Dawało siły, aby po prostu wepchnąć kawałek jedzenia do ust, ubrać się i iść tam, gdzie nikt nie chciał. Do lichej diety, która zdawała się nie mieć końca.

Ból wciąż się nasilał. Doren cały czas nosiła podpaski, które zbierały ropną wydzielinę.

Doren

ś

m

i

e

r

d

z

i

a

ł

a

Nie była człowiekiem. Była odpadem.

Niech ból już się skończy.

Mam dość, naprawdę.

To tylko kwestia czasu.

Niech przestaną szeptać.

Ale to osobowość schizotypowa, czego więc oczekujesz?

To prawda.

Chcę odejść.

Niech ktoś zetrze brud, którym jestem.

Doren otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że już nie chce tego robić nigdy więcej. Nosila to w sobie bardzo długo. Nie było przystojnego Barretta ścigającego ją za zbrodnie przeciwko ludzkości, choć tak właśnie lubila myśleć.

Nie było nikogo ani niczego.

Pusta droga pośrodku nicości.

Dziewczyna wyjęła niewielki pistolecik, odbezpieczyła. Z zupełną obojętnością, martwa w środku, przyłożyła lufę do powieki.

Strzeliła bez wahania.

Marcin Nadrałowski

Jajo Chakiry

Tomasz znalazł jajo dwudziestego drugiego grudnia.

Zapamiętał, bo tego samego dnia stracił pracę. A raczej wyrzucili go na zbity pysk, czemu nawet się nie dziwił. Nauczyciel z dwoma promilami podczas prowadzonej o dziewiątej rano lekcji to słaby kandydat na pracownika miesiąca. I tak długo pociągnął. Od dawna nie był w szkole zupełnie trzeźwy. Raz miał lekko w czubie, kiedy indziej spał z głową na biurku, ale w pełni „wyzerowany”? Nie potrafił sobie przypomnieć.

Nie żałował. W ciągu ostatnich kilkunastu lat zwroty takie jak wstyd, poczucie własnej wartości czy żal utraciły znaczenie. Puste frazesy, terminy na tyle obce, że bezużyteczne, jak zimowe rękawiczki w lato. Satysfakcja, radość, złość, szczęście, nieszczęście i lwia część dostępnych rodzajowi ludzkiemu odczuć – ten sam status. Wyjątek stanowiły apatia, zniechęcenie i narastający lęk, a także podskórne oczekiwanie na śmierć traktowaną jak wybawienie.

Dwudziestego drugiego grudnia, po wizycie u dyrektora placówki, zakończonej wypowiedzeniem dyscyplinarnym, dokupił sobie w Żabce małąkę wódki. Do

mieszkania wracał autobusem, z ulgą przyjmując oddalających się od niego pasażerów. O dziwo nie przegapił przystanku, wypadł z autobusu i zataczając się pełną szerokością chodnika, przeszedł kilkanaście metrów do swojego bloku. Potem wpadł na klatkę schodową i bezwładnie gruchnął na betonową posadzkę. Nie bolało, zadbał o odpowiednie znieczulenie. Poczul za to rdzawy posmak w ustach i ukruszył kilka zębów.

– Ekhm... – stęknął, nie potrafiąc wyraźnie wyartykułować słowa.

Usłyszał ciężkie kroki na schodach, ale nie był w stanie podnieść wzroku. Betonowa posadzka koiła, jej pierwotne zimno odpowiadało szronowi pokrywającemu umysł mężczyzny. Stąpienie ustało tuż obok niego.

– Tomuś. Tomek. Gdyby cię matka widziała.

Rozpoznał starczy, skrzeczący głos. Stasiakowa. Emerytka z mieszkania naprzeciwko. Dziwna kobieta. Za dawnych czasów, gdy jeszcze żyli rodzice Tomasza Sieczki, była przyjacielem domu. W Tomku jednak nie pozostało wystarczająco dużo ikry, żeby po śmierci matki dbać o dawne przyjaźnie. Ledwo starczało mu sił na wstanie z łóżka.

– Ja niwim, dobrdzień – wybełkotał.

– Pamiętam cię z dawnych czasów. Jak wybiłeś mi piłką okno w kuchni i śmiałeś się z tego w głos, recho-tałeś wręcz, chociaż musiałeś wiedzieć, że prędzej czy później albo ja, albo twój ojciec złoimy ci skórę. A i tak nie mogłeś powstrzymać śmiechu. Tyle radości miałeś w sobie, tyle zadziora, byłam pewna, że przejdiesz przez życie z tym bezczelnym uśmiechem na ustach, że świat

klęknie u twych stóp. I gdzie to wszystko, Tomuś? Pamiętasz ty w ogóle radość?

Nie pamiętał. Staruszka powstała nad nim chwilę, po czym westchnęła ciężko i ruszyła do drzwi.

Radość. R A D O Ś Ć . Zbitek przypadkowych liter, połączonych w pojęcie abstrakcyjne, uciekające pojmowaniu byłego już nauczyciela matematyki w okolicznym liceum. Dwadzieścia lat temu – największej nadziei przeciętnej rodziny Sieczków. Już za nastolatka dla wszystkich stało się jasne, że młody Tomasz to umysł wyjątkowy. Ponadprzeciętna inteligencja, bystrość, dążenie do perfekcjonizmu w każdym wykonywanym obowiązku. Kiedyś rokował, kiedyś był szczęśliwy, Stasiakowa miała rację.

Ale teraz? Gdyby z ciągu liter usunąć R i A. Zostawić DOŚĆ. Wtedy miałyby to sens. Pograżając się w myślach o przeszłości, mężczyzna zamknął powieki.

Gdy je otworzył, trząśł się jak galareta na wirującej pralce. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiego wyziębienia. Ledwo miał czucie w stopach, za to poziom alkoholu krążącego w jego beużytecznych żyłach wypełniających równie beużyteczne ciało zdecydowanie zmałał, co przyjął z ulgą – powinno się udać przejść tych dziewięć czy dziesięć schodów i jakimś cudem dotrzeć do drzwi wejściowych mieszkania. Potem będzie łatwiej, kilka metrów prostej drogi do lodówki, w której już czekał litrowy Sobieski, towarzysz na dobre i złe, nagroda za dzielne stawienie czoła trudom paskudnego dnia.

Wstał ciężko. Kac na równi z wyziębieniem uniemożliwiał płynność ruchów. Poczłapał w kierunku barierki, jak marionetka sterowana podświadomą nawigacją, bez czynnego udziału procesu myślenia. Chwycił skostniałą dłońią

metalową poręcz, pokonując pierwszy stopień. Kolejne przychodziły z większą łatwością, na co wpływ miał z pewnością ten bezlitosny cug, to święte przekonanie, że wystarczy dojść do lodówki, otworzyć drzwi, wyjąć napój bogów i wrócić na w pełni znane wody, wody wódy, wóde wody, wóda wodą.

Od kiedy pamiętał, liczył schody. Toczył wewnętrzną walkę, próbując zrozumieć, czy ten ostatni to już piętro czy jeszcze schodek? Dziewięć czy dziesięć stopni? A może jedenaście, może ten rejon na dole, pasek pod pierwszym stopniem również należałoby uznać za schodek? Doprowadzało go to do szału, ale skutecznie odciągało umysł od innych, bardziej niebezpiecznych rejonów. Po trwającej kilkanaście minut wspinaczce stanął pod drzwiami.

Na wycieracze leżało jajo. Większe od strusiego, długości dwudziestu kilku centymetrów o przedziwnej strukturze i kolorze, ale zdecydowanie jajo. Opalizująco czarne, pokryte czymś, co przypominało gęstą sieć fioletowych żył. Pulsowało nieprzyjemnie, jakby w tym – czymkolwiek to coś miało być – co dorastało w środku, już funkcjonowało serce, rozprawdzając po całej strukturze życiodajną krew.

Tomasz, nauczony doświadczeniem, uderzył się w twarz. Potem raz jeszcze. Niejednokrotnie umysł płatał mu figle, jak choćby kilka tygodni wstecz, gdy wydawało mu się, że widzi Staszka, tragicznie zmarłego znajomego od butelki, który jak gdyby nigdy nic spaceruje po Starym Mieście, nie zwracając uwagi na zmiażdżoną przez ciężarówkę czaszkę. Albo kiedy pod sufitem salonu latała maleńka wróżka, raz po raz rzygając złotym pyłem, który

w końcu pokrył każdy centymetr kwadratowy podłogi. Uderzał się w twarz i mary znikwały.

Nie tym razem. Jajo wciąż tkwiło w miejscu.

Przeszedł kilka kroków. Przez chwilę wpatrywał się w znalezisko, w końcu jednym zamaszystym ruchem podniósł je na wysokość wzroku.

Było dziwnie miękkie w dotyku, bardziej przypominając żelka niż kostną strukturę. Czuł mikroruchy, czuł, jakby żyły miały za chwilę opleść jego dłonie, złączyć się z jego układem krwionośnym, przywrzeć i pozostać na zawsze częścią jego jestestwa.

Mieszanina odczuć. Przerażenie i błogość zarazem, przedziwny miks. Do tego mrowienie całego ciała, jakby obserwowano go z przodu i z tyłu, od strony jaja i drzwi starej Stasiakowej. Obejrzał się. Pusto.

Odwrócił głowę. Jedną ręką wyjął z kieszeni klucze, drugą trzymał jajo. Wszedł do mieszkania.

Dwie godziny później siedział w kuchni. Na odrapanym stole, który znalazł na śmietniku miesiąc temu – po tym jak w przyptywie wściekłości porąbał stary, antyczny mebel, który dostał w spadku po dziadku – stało jajo. Nie mógł oderwać od niego wzroku. Zamknięta butelka Sobieskiego i brudna szklanka znajdowały się nieco z boku, przytłoczone, zmarginalizowane niecodziennym znaleziskiem, co zdarzyło się po raz pierwszy.

Wstał z krzesła, przeszedł do łazienki i odkręcił zimną wodę. Ochlapał twarz i spojrział w zabrudzone lustro.

Szczupłe lico spoglądające ze zwierciadła ledwie przypominało ludzkie oblicze. Oczy jak bezdenne, szare studnie. Pobrużdżone policzki, niczym pola minowe dawno wygasłej, dewastacyjnej wojny, jamy i bruzdy dawnych błędów, wyraz martwej natury. Siwe włosy rzadko pokrywające nierówną czaszkę, pojedyncze kłaki tego samego koloru sterczące z nozdrzy, popękane, wąskie usta.

Krzyk. Otepieńczy krzyk, mrozący krew w żyłach jazgot. Minął dłuższy czas, nim Tomasz zrozumiał, że wydobywa się z jego gardła.

Rozbił lustro. Wrócił do kuchni. Patrzył.

Bezradność. Kolejne z przykrych słów, zajmujące czołowe miejsce w osobistym słowniku spadkobiercy rodziny Sieczków. Nie potrafił nawet zacząć wyobrażać sobie życia bez butelki. Nie potrafił zmusić się do zmian, jakichkolwiek czynności, które mogłyby chociaż w znikomym stopniu wpłynąć na mierną jakość życia. A teraz nie potrafił nawet oderwać wzroku od jaja.

Stracił poczucie czasu. Jajo hipnotyzowało. Ta nietypowa struktura, wyjątkowy kolor, wyraźnie wyczuwalna moc, wszystko to sprawiało, że Sieczka czuł się jeszcze mniejszy niż na co dzień. Wreszcie oparł na nim dłoń. Delikatna vibracja przeszła na palce, potem wzdłuż nich rozpoczęła wędrówkę w górę rąk, rozlewając się niczym syrop po zniszczonym kilkutygodniowym kaszlem gardle.

I tak po prostu to poczuł. Spokój. Trwający dziesiątki lat, wszędobylski ból odszedł, pozostawiając mężczyznę w stanie przypominającym narkotykowe upojenie.

W jednej chwili zrozumiał, że ma przed sobą twór z innego, nieznanego świata. Artefakt, któremu bez chwili wahania należało zawierzyć, oddać swoją duszę w jego posiadanie, pozwolić sterować życiem, bez zadawania zbędnych pytań, bez kwestionowania słuszności osądów.

Z namaszczeniem odłożył znaleźisko na stół, ale poczucie ekstazy nie osłabło, wręcz przeciwnie, narastało z każdą chwilą, dotykając każdej komórki ciała z osobna, każdego zakamarka duszy.

Czując się jak postać z gry, żwawym krokiem przeszedł do sypialni. Wyciągnął spod jednoosobowego łóżka wyświechtaną czarną torbę sportową. Ostatnio użył jej kilkanaście lat temu, gdy w przypływie tyleż intensywnego, co krótkotrwałego impulsu, poszedł na siłownię. Poćwiczył trzydzieści minut, za co w nagrodę kupił sobie w drodze powrotnej litrową żubrówkę. Tak zakończył przygodę ze zdrowym trybem życia.

Przeszedł do stołu i wprawnym ruchem schował jajo do torby. Zasunął zamek i przerzucił pasek przez ramię. Na boku czuł przyjemne, kojące ciepło. Uśmiechnął się.

Wziął do dłoni butelkę wódki i przeszedł do zlewu. Odkręcił nakrętkę i przysunął do nozdrzy. Wciągnął ostry zapach alkoholu, jego najwierniejszego towarzysza. Wziął mały łyk, ledwie umoczył usta. Jajo grzało z zewnątrz, napitek od środka. Przechylił butelkę i wylał pozostałość do zlewu. Potem obrócił się na pięcie i sprężystym krokiem wyszedł z mieszkania.

Gdy tylko wyszedł z klatki owiał go chłodny wiatr. Prószył śnieg, powoli zapadał zmierzch. Musiał godzinami siedzieć w kuchni, choć coś tak mało istotnego jak upływ czasu zdawało się w żaden sposób nie mieć znaczenia dla jaja, a co za tym szło – i dla samego Tomasza.

Upstrzone licznymi świecącymi ozdóbkami wieżowce przypominały niechlujnie powbijane w ziemię patyki. Niesymetryczny projekt dzielnicy miał sprawiać wrażenie artystycznego polotu, choć efekt był zgoła odwrotny. Osiedle wyglądało, jakby ktoś przypadkowo porozmieszczał budynki, a potem w akcie desperacji połączył je siecią chodników. Ruch był znikomy, jedynie pod osiedlowym marketem, z którego dochodziła irytująca świąteczna melodyjka, panowało jako takie poruszenie.

Sieczka nie myślał o tym, co robi. Zawierzył swojemu towarzyszowi podróży, którego trzymał w torbie, i uwolnił instynkt, który sam prowadził go labiryntem bloków. Szedł powoli, choć z niezachwianą pewnością. Mijał budynek za budynkiem, czasami ktoś przecinał mu drogę, ludzie rzucali w jego stronę świąteczne uśmiechy, ale nie odpowiadał. Szedł.

Po upływie kilkunastu minut skręcił w stronę jednego z bloków. Drzwi na klatkę były uchylone, co nawet go nie zdziwiło. Wszedł. Klatka miała identyczny układ jak ta w jego bloku. Na drzwiach starej windy przewieszono tabliczkę „awaria”, co przyjął z absolutną obojętnością. Spacerował przez dobrych kilkanaście minut, ale nie odczuwał zmęczenia. Rozpoczął mozolną, robotycznie regularną wędrówkę schodami w górę. Piętro trzynaste, mieszkanie dwieście sześć. Jakby ktoś wyrył mu te informacje na spodniej części powiek. Wspinał się, aż dotarł do celu.

Nie przystanął przed drzwiami, po prostu chwycił klamkę i wszedł do mieszkania. Od razu przeszedł do salonu.

– Co to ma znaczyć, zaraz zadzwonię na policję, co to za najś... Tomek?

Sieczka patrzył wprost w zaskoczoną twarz Alojzego Dąbrowskiego, sześćdziesięcioletniego nauczyciela matematyki, do dzisiejszego poranka kolegę z pracy. Staruszek miał na sobie dresy i klapki Kubota oraz biały sprany podkoszulek. Siedział na kanapie skierowanej w stronę telewizora. Na ekranie Borys Szyc właśnie uciekał przed jakimś uzbrojonym gangsterem.

– Sieczka? Co ty tu, kurwa, robisz? Skąd w ogóle wiedziałeś, gdzie mieszkam? Chodzi ci o to, żebym się za tobą wstawił? Zapomnij, człowieku, sam niejednokrotnie miałem ochotę na ciebie donieść, jak ledwo stałeś na nogach. Doigrałeś się i tyle. Wykonujemy ważny zawód i z całego serca wierzę, że mamy misję. A ty przez lata plułeś wszystkim kolegom w twarz. Zapomnij.

Jajo nie było zainteresowane monologiem starego nauczyciela z powołania, a co za tym szło, nie był nim zainteresowany sam Tomasz.

Podszedł do gospodarza, złapał za podkoszulek i z siłą, której nigdy by się po sobie nie spodziewał, cisnął wątle ciało na podłogę. Alojzy zakwiczał, w równej mierze zaskoczony jak i przerażony. Leżąc na plecach, wyciągnął dłoń, siłą woli chcąc zatrzymać Sieczkę w miejscu. Bezskutecznie.

Tomasz przysiadł na mężczyźnie, z torbą wciąż przewieszoną przez ramię. W obie dłonie chwycił wymizowaną twarz Dąbrowskiego. Potem z impetem uderzył głową mężczyzny o podłogę. Raz, drugi, trzeci.

Alojzy krzyknął dwa razy, ale siła uderzeń szybko pozbawiła go przytomności. Nie zatrzymało to Sieczki, który z beznamiętnym wyrazem twarzy i tętnem na poziomie sześćdziesięciu uderzeń serca na minutę wciąż regularnie bił głową mężczyzny o podłogę. Nie przestał, gdy czaszka pękła. Nie przestał, gdy na jego rany odpowiadały łupnięcia w grzejnik, zniecierpliwionych najwyraźniej sąsiadów. Nie przestał, gdy głowa Alojzego była tak zmaltretowana, że miał trudności ze znalezieniem punktu zaczepienia dla palców.

– Co tu się, kurwa, dzieje?

Wtedy przestał. Podniósł wzrok. W progu stał rosy, umięśniony mężczyzna. Gdyby Alojzemu odjąć kilkanaście lat z metryki, za to dodać tysiące godzin poświęconych na pracę fizyczną, być może wyglądałby podobnie. Czyli brat.

Młodszy Dąbrowski ruszył w stronę Tomasza w bojowej postawie, ale na Sieczce nie zrobiło to żadnego wrażenia. Wiedział, co robić. Wstał i wsunął lewą dłoń do torby. Palcem wskazującym musnął jajo, a następnie zrobił unik pod prawym prostym wyprowadzonym przez przeciwnika, nurkując pod umięśnioną ręką, w tym samym momencie dotykając palcem skroni mężczyzny.

Tamten oklapł. Jakby w jednej chwili ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka. Ręce opadły wzdłuż ciała, broda spoczęła na klatce piersiowej. Tomasz odwrócił się w jego stronę i patrzył.

Po kilku minutach bezruchu Dąbrowski poczłapał w stronę zwłok brata. Usiadł na nim, przybierając tę samą pozę co Sieczka. Następnie chwycił strzępki głowy Alojzego i zaczął uderzać w podłogę.

Tomasz wyszedł z mieszkania. Na półpiętrze minął ważącą co najmniej dwieście kilogramów kobietę z wałkami we włosach, która z gniewną miną, sapiąc jak miech kowalski, szła na trzynaste piętro. Sąsiadka z dołu. Za plecami wciąż wybrzmiewały miarowe uderzenia o podłogę. Kilka schodków niżej usłyszał przeraźliwy krzyk sąsiadki. Głuche dudnienie nie ustawało.

Wyszedł z bloku. Z oddali dobiegał dźwięk syren policyjnych. Skierował się w stronę domu.

Po drodze mijał zaparkowane wzdłuż chodnika, pokryte śniegiem samochody. Gdy tylko zostawiał któryś z nich za plecami, ten pokrywał się odciskami zdeformowanych małych stóp i dłoni. Jakby za Sieczką maszerowało stado humanoidalnych, niewidzialnych małych istot. Nie zatrzymywał się, nie zwalniał, nie patrzył wstecz, aż wszedł do mieszkania. Bez zdejmowania butów, płaszcza ani torby zaległ na łóżku i natychmiast zasnął.

Po upływie kilkunastu minut, drzwi mieszkania Adelajdy Stasiak uchyliły się lekko. Staruszka wystawiła głowę na klatkę schodową i rozejrzała się z przestrachem. Gdy upewniła się, że nikogo nie ma, wycłapała na korytarz. Podeszła do drzwi Sieczki. Przyłożyła ucho. Nic.

Widziała, jak wracał. Widziała ślady w śniegu, które materializowały się znikąd na samochodach, trawnikach, w słabiej odśnieżonych czapach na chodniku i jezdni.

Najwyraźniej popełniła ogromny, niewybaczalny błąd. Błąd, którego konsekwencje odczują wszyscy. Błąd na miarę zdrady Judasza, nieszczęsnego lotu Ikara albo dopuszczenia do władzy obecnie rządzącej partii. Błąd, który mógł kosztować życie tysięcy ludzi.

Dwa miesiące później

Sterylnie czystą sypialnię przeciął dźwięk „God Save The Queen” Sex Pistols. Tomasz otworzył powieki i uśmiechnął się szeroko. Ostatnio witał tak każdy dzień, co stanowiło genialny zamiennik poprzednich tysięcy poranków, rozpoczynanych irracjonalnym łękiem, płaczem i wyciem w poduszkę.

Wyskoczył z łóżka i przeszedł do łazienki. Wyszczotkował zęby i gwizdząc pod nosem, wszedł pod prysznic. Później kawa, śniadanie, chwila na telewizję śniadaniową. Wstał przed czasem. Wczoraj wieczorem coś kazało mu nastawić budzik pół godziny wcześniej, a od czasu gdy odzyskał pracę, zauważył, że zaufanie instynktom wychodzi mu na dobre.

Owszem, to co spotkało starego, pocziwego Alojzego, było wstrząsające, ale umożliwiło Tomaszowi rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Niezbyt pamiętał wieczór, w którym wydarzyła się ta tragedia, co nie było niczym niezwykłym – niezbyt pamiętał ostatnie kilkadziesiąt lat życia. Za to kolejny poranek wrył mu się w pamięć, zostawił trwałe ślad. To wtedy postanowił, że nadszedł czas zmian. I po raz pierwszy naprawdę tego chciał.

Nie pił. Boże kochany, nie pił już trzeci miesiąc, rekord świata. I czuł się z tym cudownie. Obudził się wtedy bez kaca i tak po prostu spłynęła na niego świadomość, że tak może wyglądać każdy poranek.

Dzień po tragicznej śmierci Dąbrowskiego rozpoczął od porządków. Nie mógł uwierzyć, jak bardzo zapuścił mieszkanie. Znajdował przeróżne rzeczy, od ułamanych części pomników, przez zużyte prezerwatywy, aż do

tego dziwnego czarnego owalu, który z jakiegoś powodu poprzedniego wieczoru zapakował do sportowej torby i z jakiegoś powodu wziął tę torbę do łóżka. Wyrzucił wszystko poza tym jajopodobnym czymś. Sam nie wiedział dlaczego. Chyba potraktował je jak talizman, materialną formę dowodzącą niematerialnej zmiany.

Po kilku godzinach mieszkanie wciąż nie wyglądało zbyt zachęcająco, ale przynajmniej każdy skrawek powierzchni nie tonął w odpadach. Za to na środku salonu powstała majestatyczna jak egipskie piramidy budowla z pełnymi badziewia i pustych butelek workami na śmieci. Chwycił pierwsze dwa z góry.

Po wyjściu z budynku już wiedział, że coś się stało. Mieszkańcy osiedla porozstawiali się w grupki i dyskutowali przyciszonym głosem, jak gangi różnego pochodzenia w amerykańskich więzieniach. Uśmiechnął się na tę myśl.

Przeszedł do osiedlowego śmietnika i wyrzucił pierwszą partię należącego do przeszłości syfu. Podszedł do najbliższej grupki. Znał tych ludzi z widzenia, niektórych nawet z imienia i nazwiska, ale nigdy z nimi nie rozmawiał. Nie pierwszy raz wydarzyło się coś, co zmobilizowało mieszkańców do wspólnych debat, choć nigdy na taką skalę. Do tej pory nie angażował się w te spotkania, bardziej pochłonięty flaszką niż społeczną asymilacją.

– Podobno zmiądzzył mu głowę. Tak po prostu, jak skorupkę kokosa. Naparzał o podłogę, aż mało co zostało.

– O spadek poszło, jak nic. Niedawno zmarli rodzice, zaczadzili się.

– Własnego brata? W ten sposób? Boże, dokąd ten świat zmierza.

– Dzień dobry, co się stało? – spytał Tomasz podniesionym głosem.

Synchronicznie odwrócili się w jego stronę. Patrzyli z zaskoczeniem i nieufnością. Znali go, oczywiście. Znali Tomasza Sieczkę wiecznie pijanego, zataczającego się po osiedlu, rzygającego na klatce. Ignorowali go albo wyzywali, w skrajnych wypadkach szczuli policją. Pokazywali swoim dzieciom: zobacz, tak się kończy nadużywanie alkoholu. Twój tata czasami też wróci pijany do domu, w sumie to co drugi dzień, w sumie to bije nas do nieprzytomności, w sumie to tworzy wokół siebie wielką, zabójczą próżnię, która wysysa z nas chęć do życia, ale przynajmniej nie wygląda tak jak on.

Za to Tomasz trzeźwy? Nawiazujący kontakt? Najwyraźniej próbujący wyrwać się z niebytu? To stanowiło nowość. Nowość niekomfortową, stawiającą w powątpiewanie całą zbudowaną wokół jego osoby narrację. Nie podobało im się to.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. Wreszcie wysoki, szczupły mężczyzna – Kowalczyk? Kowalski? – zwrócił się do Sieczki.

– Julek Dąbrowski zamordował brata.

Przebłysk. Dłonie na głowie. Uderzenia. Krew. Mózg. Jajo. Pulsujące, przemawiające bez słów, nie akceptujące odmowy.

Zatoczył się, co grupka gapiów przyjęła z ulgą. Wspólny kamień hipokryzji spadł z wielu serc równocześnie. Wróciła normalność, dziwny Sieczka, pijak Sieczka, Sieczka do straszenia dzieci, Sieczka, który wyraźnie i nie

pozostawiając żadnych wątpliwości dowodził, że ich życia mogły potoczyć się gorzej – powrócił.

Tyle, że nie powrócił. Gdy odzyskał równowagę, po prostu poszedł do mieszkania. Wziął kolejne worki. Wyrzucił. I znów. I znów. I znów.

To dziwne wrażenie, poczucie jakby to on skrzywdził Alojzego, schował głęboko w odmętach dziurawego umysłu. Pijacka mara, zwidy jakie miewał przecież regularnie, to musiało być to. Nie dopuszczał innej możliwości.

Zaczął żyć. Czyścił przeszłość, usuwał wszystko, co przypominało mu o dawnych czasach. Któregoś dnia próbował nawet pozbyć się owalu, ale nie dał rady. Na samą myśl zmroził go absolutny, paraliżujący strach. Ręce drżały, głowa pękała z bólu. Trwało to kilka sekund, ale tyle wystarczyło, żeby zrezygnował. Zwalił to na karb wątlej, wyniszczonej psychiki, która nie dopuszczała możliwości eliminacji czynnika, który zapoczątkował zmianę.

Kilka dni później zadzwonił dyrektor Liceum. Pogratulował prób życia w trzeźwości, a potem krążył i krążył i krążył wokół docelowego tematu, aż wreszcie wylądował. Chcieli przywrócić go do pracy. Oczywiście, że chcieli, nie jest łatwo znaleźć nauczyciela w trakcie semestru, nie za te pieniądze, nie w tych okolicznościach. A Sieczka był inteligentny, kompetentny i dostępny od ręki. Gdyby na radarze pojawił się ktokolwiek inny, dyrektor nawet nie wziąłby pod uwagę Tomasza, ale najwyraźniej nie było nikogo. Oczywiście się zgodził, co innego miał zrobić. Tylko to potrafił, tylko tym zajmował się całe swoje życie.

Otrząsnął się i wrócił do rzeczywistości. Siedział, niespiesznie sącząc kawę, po czym pchnięty niezachwianą pewnością słuszności postępowania, przeszedł do pokoju,

wziął torbę i zapakował do niej jajo. Nie potrafił wyjaśnić, po co to robi, i nawet zbytnio nie próbował. Wyłączył telewizor. Coś się zmieniło. Pozytywny nastrój nie minął, ale zmodyfikował swój charakter. Jakby pod wpływem torby, a raczej jej zawartości, nieco się wytępił, obrósł w bańkę obojętności. Sieczka wciąż był szczęśliwy, ale inaczej. Bardziej pierwotnie, bardziej obco.

Gdy zamykał mieszkanie, usłyszał harmider przy drzwiach wejściowych do budynku. Tłuczone szkło, metaliczny brzdęk i ciche przekleństwo. Wychylił się i dostrzegł starą Stasiakową nieporadnie zbierającą rozsypane na podłodze zakupy. Zbiegł po schodach i zaczął jej pomagać.

– Dzień dobry, pani Adelajdo. Nie przemęcza się pani, ja pomogę.

Spojrzała na niego dziwnie. Najpierw otaksowała wzrokiem twarz, potem jej spojrzenie zjechało na sportową torbę i nabrało nienaturalnego błysku. Dopiero po chwili rozumiał, że to strach.

Pospiesznie wrzucił wszystko do reklamówki i wstał z kolan, oddalając się od sąsiadki na metr. Instynktownie przesunął torbę za plecy, jak gigantyczna kwoka chroniąca swoje jajo. Po chwili wzrok Stasiakowej złagodniał, a na twarzy zagościł promienny uśmiech.

– Dziękuję, Tomuś. Dziękuję bardzo. Muszę ci powiedzieć, że naprawdę dobrze wyglądasz – powiedziała łagodnym głosem, który nadawał jej „babcinego” charakteru.

Sieczka wypuścił powietrze z płuc, rozluźnił spięte mięśnie.

– Dziękuję pani. Ostatnie lata były dla mnie...

Nie potrafił dokończyć. Złe? Okropne? Wyniszczająca? Nie mógł znaleźć odpowiednich słów; każde, które przychodziło mu do głowy, nie oddawało istoty i złożoności problemu.

– Ciężkie, tak to zostawmy – rzuciła emerytka, wybawiając go z opresji.

– Tak, ciężkie.

– No ale stanąłeś na nogi. Matka byłaby dumna. Posłuchaj, Tomuś, może wpadłbyś do mnie na kawkę? Dostaniesz nawet kawałek ciasta, za pomoc z zakupami – powiedziała łagodnie Stasiakowa, ale on poczuł nutę zagrożenia.

– Dziękuję bardzo, ale śpieszę się do pracy. Może kiedy indziej? – rzucił pospiesznie i nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku wyjścia.

Stał już jedną nogą za progiem, gdy za plecami usłyszał:

– Wiem, co nosisz w torbie.

Poczuł pulsowanie jaja i ciepło, jakby owal nagle obudził się do życia.

Mieszkanie Adelajdy Stasiakowej było stereotypowym przykładem mieszkania wszystkich Adelajd Stasiakowych tego świata. Starodawna meblościanka przytłaczała swoim ogromem na tle maleńkiego salonu, w którym stała. Wyświechtana kanapa pamiętająca czasy, gdy na święta wysyłało się kartki zamiast SMS-ów, trzeszczała przy minimalnym nawet ruchu. Ściany pomalowano na beżowo, szklany stolik lśniący blaskiem. I jak w większości mieszkań samotnych, starszych ludzi, mimo że

wszystko zdawało się sterylnie czyste, powietrze wypełniał zapach stęchlizny i powoli, acz nieubłagalnie starzejącego się ciała. Lub, będąc bardziej dosadnym, stojącej za rogiem śmierci.

Tomasz siedział na kanapie, Adelajda zajęła miejsce w bujanym, wiklinowym fotelu. Bezgłośnie mierzyli się wzrokiem, bez wrogości, ale czujnie. Na stoliku stały dwie szklanki w metalowych podstawkach, po brzeg wypełnione kawą.

– Wiem, co masz w torbie – powtórzyła Stasiakowa po dłuższym czasie.

– No to może mnie pani oświeci? Bo ja nie wiem – odpowiedział opryskliwie, wbrew woli przyjmując obronną postawę.

– Ten przedmiot... To coś... To nie jest zabawka, Tomuś. Musisz bardzo uważać.

– O czym pani mówi? Przecież to zwykły śmieć, nie ma żadnych właściwości, jakieś dziadostwo nie wiadomo skąd, pewnie znalazłem albo ukradłem po pijaku – odpowiedział Tomasz.

– To po co nosisz je ze sobą?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Nie znalazłeś tego. Ja ci je podrzuciłam – szepnęła po dłuższej chwili Stasiakowa, z zawstydzieniem spuszczać wzrok.

Absurd. Cała ta rozmowa zakrawała o absurd, powinien po prostu wyjść, pojechać do szkoły, zapomnieć o zdziwaczałej Adelajdzie, unikać jej na klatce.

Tyle że wciąż czuł pulsowanie w trzymanej na kolanach torbie. Pulsowanie, które przybierało na sile. Nie miał

odwagi zajrzeć do środka. Nie mógł, a może nie chciał, a może mógł i chciał, ale coś mu na to nie pozwalało.

– O czym pani mówi?

– O jaju. O jednej z ostatnich relikwii dawnych wierzeń. O spadku, który otrzymałam od babki, a z którym nie wiedziałam co zrobić przez kilkadziesiąt lat. I wtedy zobaczyłam cię leżącego na klatce, zakrwawionego, balansującego na granicy życia i śmierci. Przypomniałam sobie, jakim byłeś dzieckiem, radosnym, szczęśliwym, przepięknym. I pomyślałam, że sama niebawem umrę. Jak nie dam jaja nikomu, to po prostu trafi do przypadkowej osoby. Zaryzykowałam. Podrzuciłam ci je na wycieraczkę. Tyle, że chyba nie powinnam wybrać ciebie. Chyba lepiej, jakby zaległo ze mną w grobie – załkała, spuszczając brodę.

W normalnych okolicznościach uznałby bajania staruszki za objawy demencji. Przytuliłby ją, zapewnił, że wszystko jest w porządku, i skontaktował się z najbliższą rodziną, wymuszając interwencję. Tyle, że torba, którą trzymał na kolanach, zdawała się ożywać z każdym wypowiedzianym przez kobietę słowem. Adelajda patrzyła na te mikroruchy zapłakanymi oczami, ale nie zdziwiła się, nie wzdygnęła. Jakby tego właśnie oczekiwała.

– Niech mi pani o nim opowie.

Torba zaczęła skakać, boleśnie uderzając go w kolana.

– Stop! – ryknęła Adelajda, zupełnie nieoczekiwanie, na co Tomasz podskoczył jak oparzony, a jajo znieruchomiło.

Staruszka pochyliła się, chwytając szklanę z kawą. Nerwowo wysiorbała kilka łyków i z ciężkim westchnieniem opadła na fotel. Wiklina zatrzeszczała, gdy sąsiadka Tomaszowi rozpoczęła opowieść.

– Jajo Chakiry. Silnie magiczny przedmiot, pamiętający pierwszych Słowian. Południce, utopce, strzygi. Jajo istniało długo przed nimi.

Legenda o Chakirze została już dawno zapomniana, może przez swój mało imponujący wydzźwięk, a może za sprawą ludzi, którym zależało, aby nie przetrwała. Ale ja ci ją opowiem, bo do niej wszystko się sprowadza.

Chakira mieszkała w jednej z małopolskich słowiańskich wsi. Była bardzo skrytym dzieckiem. Lubiła samotne spacerować po lesie, nie potrafiła dogadać się z rówieśnikami. Jej matka była obłąkana, całymi dniami leżała na ziemi z rozchylonymi nogami, patrząc w niebo, inkantując niezrozumiałe dla nikogo peany, nie zauważając obecności córki. Nikt nie wiedział, kto był ojcem dziewczynki, choć plotki głosiły, że był to sam Rugiewit, jeden z najbardziej wyuzdanych i obrzydliwych bożków, co miało wyjaśniać szaleństwo matki.

Tak czy inaczej, Chakira od najmłodszych lat była skazana na życie samotnicze, bez wsparcia rodziców, pozbawiona radości błąkała się po lesie, szukając dla siebie miejsca. Któregoś dnia, spacerując po znanych jej rejonach, natrafiła na miejsce, którego nie widziała nigdy wcześniej. Wyszła na rozległą polanę, na której środku stało drzewo o cienkim pniu i tylko jednej, grubej gałęzi. Na końcu gałęzi dostrzegła gniazdo.

Nieprzywykła do odkrywania nowych miejsc, wspięła się po pniu i czołgając po gałęzi, doszła do gniazda. Znalazła trzy ogromne jaja. Dwa białe i jedno czarne. Białe tkwiły dumnie na środku, podczas gdy czarne leżało na brzegu gniazda, porzucone, niechciane.

Chakira posmutniała. Poczła więz z niechcianym jajem, odnalazła w nim siebie, niepasujący element całości, którego wina sprowadzała się do inności. Chwyliła czarne jajo pod pachę i czym prędzej zesła z drzewa. W drodze powrotnej czuła, jak jajo ożywa, przelewa na nią swoje ciepło.

Chakira była dobrym dzieckiem. A może należałoby powiedzieć, dobrym człowiekiem, choć nieszczęśliwym. Ale trzymając pod pachą jajo, czuła, że może wszystko. Ruszyć poza granice plemienia, zobaczyć, jak żyją inni ludzie, nieść dobro przez świat. Mogła wszystko.

Jej życie się zmieniło. Znalezisko przynosiło jej szczęście, każdy kolejny dzień zaskakiwał czymś miłym, nawet relacje z innymi dziećmi wyraźnie się polepszyły. Aż nadszedł ten dzień. Dzień, w którym musiała wybrać mniejsze zło, a jej opinia diametralnie różniła się od opinii jaja. Był wieczór, gdy Chakira usłyszała dochodzące z głębi lasu skrzeki i zawodzenia. Zesła z postania, wzięła pod pachę jajo, z którym nie rozstawała się na krok, i wysła z chaty. Szła za źródłem dźwięku, prowadzona światłem księżycy. Mijała gęste drzewa, poczucie niepokoju z każdym krokiem przybierało na sile.

Wreszcie wysła na niewielką polankę nieopodal wioski. Na jej środku dostrzegła matkę, leżącą z rozkraczonymi nogami, wciąż powtarzającą tak znieawidzoną przez Chakirę modlitwę. Wokół niej dostrzegła grupkę mężczyzn, mieszkańców wioski. Byli wszyscy najsilniejsi chłopci, w tym dowódca. Nie muszę ci, Tomuś, tłumaczyć, co te bydłeta robiły biednej, niewątpliwie chorej psychicznie kobiecie. Chakira do końca tego nie rozumiała, ale podświadomie czuła, że coś jest nie tak.

Chciała zareagować, ale wtedy poczuła moc jaja, poczuła, jak to przelewa w nią swoją wolę, podszeptuje, że przecież nie dzieje się nic złego, nie ma krwi, matka nie krzyczy, a lepiej nie narażać się najważniejszym chłopom z wioski. Dziewczyna prawie dała się przekonać, ale w ostatniej chwili moc jej ducha pokonała jajo. Chakira wybiegła na polanę i rzuciła się na mężczyzn.

Stasiakowa odetchnęła ciężko, zapatrzona w ścianę.

– I co było dalej? – spytał Tomasz, nie wierząc, że kontynuuje tę bezsensowną rozmowę.

– Co miało być. Zatlukli jedną i drugą. W dawnych czasach szybko rozwiązywano spory.

– A jajo?

– Leżało w lesie zapomniane, aż znalazła je kolejna osoba z wioski. Potem przechodziło z rąk do rąk, nigdy niewyklute, nigdy niezniszczone, nieczułe na upływające wieki – odpowiedziała Stasiakowa spokojnym tonem.

– Aż jakimś cudem dotarło do pani, a pani postanowiła dać je mnie. Dlaczego? – Zagrał w grę staruszki. Skoro chciała się upierać, że historia jest prawdziwa, to niech i tak będzie. Choć oczywiście w to nie wierzył.

Nie wierzył, prawda?

Jednostajny zgrzyt długopisów piszących po kartce. Rejestrował go, choć myśli meandrowały po oddalonych o setki kilometrów i kilkanaście wieków wstecz rejonach. Chakira. Jajo.

Spojrzał na umieszczoną pod biurkiem torbę sportową. Czy to możliwe? Czy rzeczywiście, zgodnie z końcówką opowieści Adelajdy, krążyło od człowieka do człowieka, nieczułe na upływ czasu, tak cholernie niezachwiane w poczuciu siania zniszczenia? Stasiakowa twierdziła, że na początku jajo pomaga. Poprawia jakość życia. Jednak u każdego poprzedniego właściciela dochodziło prędzej czy później do sytuacji, w której to czego chciało jajo, nie pokrywało się z tym, czego chciał jego właściciel, czy może raczej podwładny. Moralna racja po stronie człowieka konfrontowała się z pozbawioną sensu retoryką jaja. Raz, podobnie jak u Chakiry, wygrywał człowiek. Najczęściej ginął w niedalekiej przyszłości, choć i to nie zawsze. Innym razem wygrywało jajo. Wtedy najczęściej ginęło więcej osób. Od kilku do kilku tysięcy. A im bardziej współczesna historia, tym większa liczba ofiar. Jakby przybierało na sile.

Nerwowo zerkał w kierunku jaja. Racjonalna część umysłu podpowiadała, że wszystko co usłyszał to stek bzdur. Jednak dziecinną częśćką jego duszy, ta dawno temu zasypana w popiołach, odpowiedzialna za rozbicie okna w mieszkaniu Adelajdy, chciała wierzyć. Wierzyć w to, że Tomasz Sieczka, przez wielu spisany na straty, jest częścią czegoś wielkiego, mistycznego.

Zniszczył sobie życie. Owszem, ostatnie miesiące były cudowne, ale jego stolec wciąż przypominał zakrwawioną, pianistą breję, głowa momentami wyła bólem, który rozsadzał czaszkę od środka. Ciało nie da się oszukać. Nie da się naprawić w sześćdziesiąt dni czegoś, co niszczyło się przez dziesiątki lat. Być może to jajo, nawet jeśli cała ta historia to tylko mrzonka, było jego

ostatnią szansą na przeżycie czegoś wyjątkowego, czegoś cudownego, czegoś... Czegoś.

Dzwonek kończący lekcję wybrzmiał głośniejszy niż kiedykolwiek. Śrutował mózg, uderzał w każdą szarą komórkę z osobna. Uczniowie wstawali i podchodzili do jego biurka zostawiając na nim testy, a on myślał tylko o tym, żeby dzwonek przestał wyć.

Wreszcie się doczekał. Westchnął ciężko i z przymkniętymi powiekami chwycił się za skronie. Gdy po minucie doszedł do siebie i podniósł wzrok, zrozumiał, że nie jest w klasie sam. Prawie wszyscy uczniowie opuścili klasę. Prawie, bo przy biurku wciąż siedział Wojtek Huroniec.

Huroniec był miernym uczniem i bardzo nieprzyjemnym człowiekiem. Opryskliwy sposób bycia, poczucie że wie wszystko najlepiej, chociaż o większości istotnych spraw nie miał bladego pojęcia.

– Mogę coś dla ciebie zrobić, Wojtku? – spytał Tomasz słabym głosem. Naprawdę nie miał siły na rozmowę z tym dzieciakiem. Nie dziś.

– Myślę, że możemy zrobić coś dla siebie nawzajem... Psorze.

Huroniec wstał z miejsca. Miał prawie dwa metry wzrostu. Szczupła budowa ciała i ubiór w zbyt luźne, pstrokate fatalaszki upodabniały go do stracha na wróble. Miał szczupłą, pociągłą twarz z wysokim czołem i krótko ścięte, rude włosy. Ciemne oczy w dziwaczny sposób łączyły cwaniactwo z brakiem inteligencji.

– Co masz na myśli, Wojtku?

– Wiem, że dzisiejszy test nie poszedł mi zbyt dobrze. Wiem też, że bez polepszenia ocen nie zaliczę roku. Dlatego mam pewną propozycję.

Ruszył w kierunku biurka nauczyciela, który nie chcąc, by dwumetrowy uczeń górował nad nim bardziej niż to konieczne, wstał z krzesła.

Sieczka czekał. Czuł, że za chwilę wydarzy się coś ważnego. Wciąż ukradkowo zerkał na jajo. Torba miarowo poruszała się w górę i w dół. Jajo oddychało.

Wojciech kroczył pewnie, aż stanął przed nauczycielem. Popatrzył mu w oczy, po czym zdecydowanym ruchem chwycił go za krocze. Tomasz zastygł. Powinien zareagować, kazać chłopakowi opuścić salę, może nawet dać mu w mordę, ale natłok wspomnień zalał go tak gwałtowną falą, że przez chwilę starał się po prostu ją okiełznać.

Huroniec puszczający mu oko. Huroniec wypinający w jego stronę tyłek, gdy starał się rozwiązać jakieś zadanie na tablicy. Huroniec bujający w obłokach, podczas gdy on tłumaczył jakieś zadanie. Myślał, że to wygłupy. Granie na nosie nauczyciela. Najwyraźniej się mylił.

Wojtek powoli zbliżał twarz do jego twarzy. Od pocałunku dzieliło ich kilka centymetrów. Wtedy Tomasz Sieczka poczuł zew. Zew jaja Chakiry.

Nie potrafił porównać tego uczucia do czegokolwiek. Jakby zimny wiatr zerwał się w środku jego jestestwa, zarówno psychicznego jak i fizycznego. Bryza owiewała wewnętrzne ściany żołądka, myśli Tomasza mieszały się z myślami kogoś innego, kogoś dużo starszego i mądrzejszego. Zew chciał ukarać Hurońca.

Pokazać mu, kto rządzi, upokorzyć na tak wielu płaszczyznach, jak to tylko możliwe.

Tomasz nie próbował się bronić. Odsunął twarz Wojtka od swojej. Spojrzał mu w oczy. Chłopak musiał dostrzec w nich coś, czego nie widział nigdy wcześniej, bo nagle spięty postąpił kilka kroków do tyłu. Sieczka swobodnym krokiem podszedł do biurka. Wziął torbę i przerzucił ją sobie przez ramię. Wtedy ruszył w stronę chłopaka.

Chciał zadać mu ból, zamknąć salę i znęcać się nad nim, aż umrze z wycieńczenia. Ale jajo, jakby większe, a już na pewno bardziej aktywne, miało inne plany. Tomasz sięgnął do torby dłonią. Dotknął jaja, potem skroni Hurońca.

Wojtek rozluźnił mięśnie. Oczy pokryły się bielmem, skóra zbladła, jakby w jednej chwili chłopakowi upuszczono kilkadziesiąt litrów krwi. Powolnym krokiem skierował się do wyjścia z sali.

Tomasz stał, aż usłyszał pierwszy krzyk. Potem kolejny. W kilka chwil szkoła utonęła w kakofonii otepionych wrzasków. Wtedy Sieczka wyszedł na korytarz.

Szedł niespiesznie korytarzem, częstując wszystkie mijane osoby dotykiem w skroń. W szkole zapanował kompletny chaos, gdy w jednej chwili ofiary przemieniały się w oprawców. Armagedon. Koniec świata. Jajo pulsowało szczęściem. Tomasz zmierzał w kierunku windy.

Gdy policja wpadła przez drzwi wejściowe, do osiągnięcia celu pozostało mu kilka metrów. Nie spanikował. Jajo nie pozwoliło. Stał w miejscu, splótł ręce na karku, tak jak wymagali funkcjonariusze. Gdy jeden z nich podszedł do niegroźnie wyglądającego nauczyciela, Tomasz dotknął palcem jego skroni. Policjant

wyciągnął broń zza pasa. Odbezpieczył. Zaczął strzelać do kolegów po fachu.

Sieczka przemierzył brakujące metry i wezwał windę. Policjanci zaczęli strzelać do siebie, na korytarzu pojedyncze dzieciaki zainfekowane jego tknięciem goniły te zdrowe, wokół świszczały kule, krew była wszędzie, na podłodze, na ścianach, na suficie.

Sieczka poprawił torbę i wcisnął guzik. Piąte piętro. Dach.

Gdy przekroczył próg drzwi wyjściowych na dach, owionął go zimny podmuch wiatru. Rozejrzał się. Adelajda stała na krawędzi w cienkiej koszuli nocnej.

– Naprawdę myślałam, że zdołasz się oprzeć – cicho powiedziała staruszka, szcękając zębami, gdy Tomasz stanął z nią ramię w ramię.

– Czemu? – spytał pogodnym głosem, szczerze zdziwiony Sieczka.

– Myślałam, że jest w tobie coś więcej. Że gdzieś pod osłoną tego zmarnowanego życia nie straciłeś młodego Tomka.

Pod szkołą stało kilkanaście radiowozów. Dojeżdżały kolejne, z których wybiegali uzbrojeni w karabiny goście od zadań specjalnych. Sieczka nie mógł doczekać się, aż któryś z nich zostanie dotknięty mocą jaja.

– Otóż nie ma niczego więcej, pani Stasiakowa. Jestem wydmuszką. Cieleśną powłoką. Pracowałem ciężko całymi latami nad tym, żeby pozostać czymś, co ma ręce, nogi i oddycha, czekając na śmierć. A pani

dała mi do ręki narzędzie, dzięki któremu mogłem poczuć się kimś więcej.

– Masz rację. Popełniłam błąd. Kosztowny błąd. Boże jedyny, jak mogłeś to zrobić? Czy ty w ogóle wiesz, co tam się dzieje? Zdajesz sobie sprawę, że zabiłeś mnóstwo ludzi? – spytała Adelajda z zawiścią w głosie, po raz pierwszy odwracając wzrok od betonowego placu kilkanaście metrów poniżej.

Sieczka roześmiał się perliście, gdy dostrzegł wybiegającą ze szkoły grupkę dzieci. Wybiegły razem, ale po przekroczeniu progu każde ruszyło w swoją stronę. Doliczył się siedmiu, gdy ze szkoły wyszedł jeden z antyterrorystów i powyrzelał wszystkich jak kaczki.

– Mam to w dupie, szanowna sąsiadko. Skacz. Skacz proszę, bo będzie tylko gorzej.

Adelajda przez chwilę wierciła Tomasza twardym spojrzeniem, po czym oklapła. Pokiwała głową, pogodzona z losem.

– Masz rację. Będzie tylko gorzej.

Dużo szybszym niż można by się spodziewać ruchem chwyciła Sieczkę za szyję, po czym skoczyła, pociągając go za sobą. W powietrzu zawirowały dwa kształty, jeden obły i spokojny, drugi szczupły i wymachujący rękami.

Dwoje ludzi uderzyło o betonowe podłoże, w ogólnym chaosie, morzu trupów i leżącej się ulicami krwi nie wzbudzając niczyjego zainteresowania.

Chwilę później, pomiędzy nimi, upadła sportowa torba.

Nowak musiał sprzątać po tej masakrze. Nie wiedział, od czego zacząć. Szedł krok po kroku, zbierając resztki ciała, odłamki szyb i całą resztę beзуżytecznych śmieci.

Największy atak terrorystyczny w kraju. Użycie broni chemicznej na niespotykaną do tej pory w Polsce skalę.

Kroczył w białym kombinezonie po polu tej niezrozumiałej bitwy. Oczywiście wszystkie ekspertyzy profesjonalistów wskazywały, że takie środki ochrony nie mają sensu. Zagrożenie minęło, powietrze było tak samo zdrowe, jak we wszystkich pozostałych miastach kraju. Ale jak by to wyglądało, gdyby śmieci po użyciu „broni biologicznej i/lub chemicznej” zbierał ubrany w ogrodniczkę woźny? Trzeba było przywdziać chłopów w jakieś dziwne stroje, po to tylko, żeby dobrze wypaść w mediach.

W pewnym momencie natknął się na coś. Sportowa torba, jakby niewzruszona ogólnym rozgardiaszem, podniszczona, ale zastanawiająco czysta.

Marcin Nowak, chłopak który pochodził z biednej rodziny, studiował informatykę i musiał sprzątać ulice po to, żeby opłacać akademik, pochylił się nad torbę. Nie zajrzał do środka, choć powinien. Zamiast tego przerzucił pasek przez ramię i wrócił do wykonywania obowiązków.

Miał przeczucie, że to będzie dobry dzień.

Jarosław Adam Pankowski

Bezsenność

Tkwiłem w bezruchu. Kolejne sekundy mijały ociężale. Wdech i wydech. Wiedziałem, że samym leżeniem nie zmuszę się do zaśnięcia. Jednak chciałem spróbować jeszcze raz. Co kilka chwil coś nieprzyjemnie rozpraszało moje starania. Ramię wciąż swędziało nieznośnie. Drapanie się nic nie pomagało, a ignorowanie denerwującego uczucia szybko stawało się niemożliwe. Zmieniłem pozycję, układając się najwygodniej, jak mogłem. Czas płynął naprzód. *Oddech*. Nie jest najgorzej. *Oddech*. Może tym razem się uda. *Oddech*. Nagle uczucie pieczenia na skórze, jakby była podrażniona w suchym powietrzu, odezwało się jeszcze dobitniej. W pierwszej chwili znowu podjąłem strategię udawania, że problem nie istnieje. Wszystko na nic. Do licha, nie wytrzymam. Zirytowany poderwałem się z łóżka. Błyszczące szkarłatem cyfry budzika lśniły w ciemności. Szyderczo pokazywały godzinę 02:35. Nawet jeżeli teraz zasnę, to i tak rano wstanę nieprzytomny. Z drugiej strony, jeżeli mi się nie uda, to wątpię, czy dam radę w ogóle zrobić cokolwiek w ciągu dnia. Nie sądziłem, bym był w stanie wytrzymać kolejną z rzędu noc bez zmruczenia oka. Ostatnie dni

naznaczone były ciąglą walką ze zmęczeniem. Niechętnie wcisnąłem przełącznik na ścianie. Światło żarówek zalało pokój, boleśnie drażniąc oczy. Mrugałem przez chwilę, dopóki wzrok nie przyzwyczyił się do żółtej poświaty, a ja mogłem rozejrzeć się dookoła. Pomięte prześcieradło zostało zepchnięte na połowę łóżka, poduszki tkwiły zbite w rogu, kołdra leżała zrzucona na podłogę. Uprzątnąłem wszystko pospiesznie, w zdenerwowaniu niemal rzucając pościelą. Dopiero potem poszedłem do kuchni. Przewidując nadchodzące problemy, wieczorem zostawiłem w lodówce butelkę wody. Nalałem trochę do szklanki i wypilem jednym haustem. Uczucie chłodu rozlało się po moim wnętrzu, na chwilę kojąc wszystkie bóle. Wreszcie padłem z powrotem na posłanie. Spojrzałem w górę i zobaczyłem upiorny, podłużny kształt przyczepiony do sufitu – wciąż tam tkwił. Dziwaczny stwór przypominał olbrzymią gąsienicę. Z każdego segmentu jej ciała, a naliczyłem ich ponad dwadzieścia, wystawała para ludzkich rąk, chwytających się powierzchni. Kończyny były największe w połowie długości korpusu, a malały wraz z przesuwaniem się do jego krańców. Głowy w ogóle nie było. Tam gdzie powinna znajdować się gęba, tkwił pęczek drobnych ramion, każde wielkości porównywalnej do mojego kciuka. Po przeciwnej stronie cielska znajdował się giętki ogon, zwieńczony olbrzymim żądłem wygiętym jak szabla. Istota była pokryta skórą, która fakturą i kolorem nie różniła się w żaden sposób od mojej. Była też całkiem naga, jeżeli nie liczyć kępy czarnych włosów ciągnącej się wzdłuż grzbietu. Koszmarny robak leżał teraz bez ruchu, zwinięty w chaotyczny kłęb tuż obok lampy. Nie pamiętam, kiedy zobaczyłem to coś po raz pierwszy. Wydaje mi się, że prześladowało mnie już od

kilku nocy. Jednak aż do dzisiejszego wieczora nie pamiętałem o nim. Wszystkie wspomnienia musiały zamazać się w ciągu dnia. Gdy kilka godzin temu znowu zobaczyłem szkaradztwo, chciałem krzyknąć przerażony jego nieludzkim obliczem. Na szczęście w ostatniej chwili się powstrzymałem. Nagły skowyt mógł tylko pogorszyć sytuację. Maskara dalej tkwiła nieruchomo, wciąż wisząc dokładnie nade mną. Teraz nie miałem już siły, by się niepokoić. Momentami nie byłem nawet w stanie pojmować, co się dzieje dookoła. Wycieńczenie powodowało, że czułem, jakbym unosił się w półprzezroczystym oceanie bardzo gęstej mazi. Ściany oddzielające rzeczywistość od złudzenia zdawały się nad wyraz cienkie, o ile w ogóle tutaj istniały. To coś, ten potwór, było na swoim miejscu. W jakiś sposób wiedziałem, że to jego środowisko. Chciałem tylko, by pozwoliło mi odpocząć chociaż przez kilka godzin. Próbowałem już sypiać w innych pokojach, na podłodze, nawet w wannie. Ono co noc podążało za mną, zajmując najbliższą część stropu. Ziewnałem przeciągle. Ciemna przesłona opadała na moje zmysły. Coraz ciężiej było mi się skupić na myśleniu o tej istocie. Pościelone na nowo łóżko okazało się bardzo wygodne. Przymknąłem lekko oczy. *Oddech*. Coraz mniej rejestrowałem z najbliższego otoczenia. *Oddech*. Obraz wiszącego potwora rozmazywał się stopniowo. *Oddech*. Powoli odpływałem w objęcia snu. Nagle zakrzywione ostrze uderzyło w dół, wbijając się głęboko w moją tydkę. Samo ukłucie nie wywołało bólu, jednak chwilę później złapał mnie skurcz. Momentalnie poderwałem się z łóżka, starając się rozmasować zdrętwiałe miejsce. Teraz całkowicie rozbudzony wiedziałem już, żeby dać sobie spokój z próbami zaśnięcia na najbliższy czas. Wreszcie

nieprzyjemne uczucie przeszło i mogłem stanąć na obydwu nogach. W tym czasie robak zaczął się gwałtownie ruszać. Jego ciało rozlewało się na wszystkie strony. Przód znikał i pojawiał się, jak gdyby był w stanie przejść na drugą stronę sufitu. Poszczególne segmenty rozplływały się w powietrzu, po czym materializowały na nowo, jakby potwór wgryzał się w jabłko i rył w nim tunel na przeciwny koniec. W trakcie tej szaleńczej bieganiny ogon co jakiś czas zwisał nisko nad podłogą. Wtedy właśnie żądło po raz kolejny dotknęło mnie, tym razem w okolicy tułowia. Zarysowana skóra natychmiast zaczęła nieznośnie swędzieć. Uczucie było potwornie irytujące. Nie chcąc zostać trafionym po raz kolejny, wycofałem się do łazienki. Miałem nadzieję, że bestia wkrótce się uspokoi. Może nawet zapomni o mnie, może będę mógł zasnąć choć na kilka godzin. Odkręciłem kran i chlusnąłem zimną wodą prosto w twarz. Trochę pomogło. Grzebiąc w szafce nad umywalką, znalazłem krem do skóry, który obficie wtarłem w podrażnione miejsce. Po chwili zastanowienia zaaplikowałem go na ramionach i całym tułowiu. Na wszelki wypadek, nigdy nie wiadomo, co się stanie. Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Tak rzadko przypatrywałem się sobie, że twarz po drugiej stronie wydawała się należeć do kogoś obcego. Przypomniały mi się czasy młodości, gdy potrafiłem myśleć o samym sobie w trzeciej osobie. Jakbym był niematerialnym tworem przyczepionym do głowy kogoś obcego. Słyszałem to, co mówię, ale były to słowa nieznamomej osoby. Kogoś trochę niepewnego siebie, czasem niepotrafiącego radzić sobie w kontaktach z innymi. Widziałem obrazy, które docierały do moich oczu. Jednak przedstawiały one rodzinę, znajomych, dom i szkołę tego człowieka, za którym

podążałem, nie moje. Dawno już o tym nie myślałem. Zauważyłem, że moje powieki zaczęły powoli opadać. Wysiłkiem powstrzymywałem się przed zamknięciem oczu. Pomyślałem, że nadszedł czas położyć się i mieć nadzieję, że tym razem nic nie rozproszy snu. Odwróciłem się i niemal podskoczyłem ze strachu. Robak był tuż za mną, całkowicie bezgłośny. Nie mieścił się cały na drobnym suficie, więc pełzał również po ścianach. Dopiero po chwili zrozumiałem, jak dał radę mnie zaskoczyć. Potwór nie odbijał się w lustrze. Mógł więc się za moimi plecami cały ten czas, a nie byłbym w stanie go dostrzec. Przebiegłem obok jego cielska, z powrotem do sypialni. Strach pompował krew z nadludzką siłą. Myślałem, że jestem już przyzwyczajony do nocnej zjawy, jednak teraz dałem się zaskoczyć. Leżałem, a postawione w stan gotowości zmysły odbierały każdy sygnał z otoczenia. Bezmyślnie gapiłem się w sufit. Potwór przez chwilę krążył w pobliżu, po czym zniknął. Oczy zaczynały piec od wpatrywania się w ten sam punkt. Dostrzegałem wszystkie niedoskonałości sklepienia sypialni – miejsca, które zostały nierówno pomalowane, zabrudzenia, drobne pęknięcia. Na moment oderwałem spojrzenie, złośliwy czasomierz wskazywał 04:47. Za późno, aby mieć nadzieję na jakikolwiek porządny odpoczynek. Nie liczyłem już nawet na zaśnięcie, jednak powoli zacząłem odczuwać odrobinę komfortu. Delikatna aura spokoju zaczęła obejmować mnie czule. *Oddech*. Wtedy właśnie okrutne żądło wbiło się w materac obok mojej głowy. Kolejne ciosy trafiały dookoła, zawsze tuż przy ciele. Jakby w sadystycznej zachciance chcąc sprowokować, zamiast zadawać zwykłe uderzenie. Robak okazał się nie odpuszczać. Rozwścieczony poderwałem się z posłania. Zacząłem

szukać czegoś, czym mógłbym odwzajemnić się mojemu prześladowcy. Wreszcie wygrzebałem starą miotłę ze schowka i byłem gotowy uderzać w pokraczny korpus, który znowu przesiadywał nade mną. Byłem gotów przepędzić go raz na zawsze. Jednak biorąc pierwszy zamach, zatrzymałem się w pół ruchu. Instynktownie bałem się zaatakować. Jeszcze nigdy do tego nie doszło, a nadochodziły mnie najróżniejsze myśli co do potencjalnych konsekwencji. Wyobrażałem sobie, jak ten podstępny upiór po jakimś czasie postanawia wrócić i rzuca się na mnie, gdy w końcu leżę w spokoju. Przytłacza mnie wtedy miazdzącym ciężarem i chwyta każdym ze swoich licznych ramion. Setki placów macają mnie jednocześnie, gdy jestem bezbronny. Pęczek mikroskopijnych rąk wchodzi mi do nosa i ust. Nie jestem w stanie wydostać się spod pulsującej masy, walcząc o każdą porcję powietrza. Wreszcie przypomniałem sobie odgłosy potwora, które czasem dało się słyszeć, gdy siedziałem w ciemności, walcząc o sen. Ciche mlaśnięcia dochodziły wtedy do moich uszu. Czasem rozmyślałem o tym, widząc w myślach, jak zazwyczaj ukryte podbrzusze robaka posiada wiele pysków. Każdy z nich z szeregiem ostrych zębów. W nachodzącej mnie wizji, całkowicie uwięziony pod monsturalnym korpusem, zaczynam być gryziony przez niezliczone szczęki, pożerany żywcem, aż wreszcie nie pozostaje nic. Ten scenariusz wciąż chodził mi po głowie. Z jednej strony frustracja pchała mnie do ataku, z drugiej niewyjaśniony strach kazał się wycofać. Nawet gdy zacząłem być pewny zagłady w wyniku konfrontacji, coś wciąż kusiło mnie, by podążać tą ścieżką. Ostatecznie odrzuciłem moją improwizowaną broń. Spoglądałem na sufit, na ruchy dziwacznych segmentów, na drgania

kończyn. Nieświadomie zacząłem oddychać w ich rytmie. Wtedy otworzyłem oczy. Dopiero po sekundzie dotarł do mnie powtarzający się skowyt budzika. Światło poranka wpadało przez okno, ukazując porozrzucaną wszędzie pościel. Ociężałymi ruchami zwlokłem się z łóżka i wyłączyłem hałasującą maszynę. Nieubłaganie pokazywała godzinę 08:00. Nie pamiętałem, co działo się tej nocy. Umysł przywoływał jedynie urywki pojedynczych scen – fragmenty sufitu, łazienki i łóżka. Za mało, by złożyć pełen obraz. Uczucie ciągłej irytacji przebijało się przez mgłę zapomnienia. Wiedziałem tylko, że najpewniej nie zmrużyłem oka przez większość nocy. Przetarłem napuchnięte powieki. Zmęczony ruszyłem w kierunku łazienki. Kolejny dzień po bezsennej nocy właśnie się rozpoczynał.

Jarosław Adam Pankowski

Paraliż

Często nachodzi mnie paraliż senny. Chyba ludzie nazywają to też porażeniem przysennym, jak i paroma innymi terminami. Niezależnie od określenia miałem okazję poznać to zjawisko bardzo dokładnie. Zdarzało się za każdym razem, gdy tylko się budziłem. Otwierałem oczy, zazwyczaj nad ranem, choć czasem również w środku nocy, i nie mogłem nawet drgnąć. Całe ciało było kompletnie unieruchomione. Tkwiałem wtedy bezsilny, zwykle przez kilka minut. Czasem na skraju pola widzenia pojawiało się coś, niczym rozmyty cień, a ja czułem się, jakbym był w czyjejś obecności. Tak po prostu, całkiem bezbronny. To wszystko trwa już od wielu lat. Na początku było mi ciężko, ale w końcu zacząłem się przyzwyczajać. Wcześniejsza trauma z czasem stawała się nieprzyjemną rutyną. Jednak w ostatnich miesiącach coś się zmieniło. Pewnego dnia otworzyłem oczy, jak zwykle niezdolny, by choć kiwnąć placem. Patrzyłem przed siebie, bez zainteresowania, niemal znudzony, gdy nagle dostrzegłem coś. Bardzo blisko, tuż nade mną, zawieszona w powietrzu tkwiła jakaś drobna plamka. Niby nic, mogło to być po prostu złudzenie optyczne, jednak przyciągnęło moją

uwagę. Po dłuższym wpatrywaniu się zrozumiałem, że to mucha. Wisząca nieruchomo w powietrzu, w jednym miejscu. Trwała zamrożona dokładnie tak jak ja. Kiedy czucie wróciło i mogłem wstać, ona już gdzieś zniknęła. W pierwszej chwili myślałem, że to naprawdę mi się tylko przewidziało. Po prostu jakiś paproch latał mi przed okiem, to całkiem normalne. Jednak nie mogłem zapomnieć o całym zdarzeniu. Chyba następnych kilka dni powracałem wspomnieniami do tamtego poranka. Aż wreszcie sytuacja powtórzyła się. Znowu zamrożona mucha, jakby uczepiona niewidzialnego rusztowania gdzieś w powietrzu. Wtedy zrozumiałem, że muszę rozwikłać tę tajemnicę. Dłuższy czas głowiłem się, co zrobić, aż wreszcie wpadłem na pomysł. Przed zaśnięciem postawiłem elektroniczny zegar w takim miejscu, abym mógł patrzeć na niego, gdy się obudzę. Prawie zawsze śpię w tej samej pozycji, więc nie było problemów ze znalezieniem dobrej lokacji – krzesło postawione tuż obok łóżka wystarczyło.

Już wtedy podejrzewałeś, że coś się dzieje. Byłeś wnikliwy i udało ci się szybko odkryć naturę sytuacji.

Następnego dnia, gdy otworzyłem oczy, mój wzrok był zafiksowany na wyświetlaczu – 6:43. Patrzyłem, wciąż tkwiąc w marazmie. Cyfry nie zmieniały się. W głowie próbowałem odliczać sekundy i porównywać je z godziną. Doszedłem do 137, ale zegar nie odzwierciedlał tego. W dodatku nie migał okazjonalnie, tak jak powinien. Gdy wreszcie otępienie przeszło, wszystko wróciło do normy – minuty zaczęły postępować naprzód. Mimo, że widziałem to, doświadczyłem tego, to wciąż nie mogłem uwierzyć. Zacząłem się bać, że to coś poważniejszego niż zwykłe złudzenie, coś jak jakieś postępujące

halucynacje. Przecież czas nie mógł się naprawdę zatrzymać. Nie mogłem ogarnąć, co się działo. Jednak nie to było najgorsze. Z czasem te cienie, które kiedyś widziałem tylko kątem oka, zaczęły chodzić dookoła mnie. Były najróżniejsze, przerażające. Miały odmienne kształty, rozmiary, liczbę i rodzaj kończyn. Wszystkie jednak były w jakiś sposób czarne w zabarwieniu. Jakby mrok zyskał świadomość i zaczął się poruszać. Niektóre wyglądały jak pokryte łuskami kolosy ze zwierzęcymi twarzami. Próbowały szarpać ściany w pokoju i rozbijać przedmioty, ale wszystko wydawało się przenikać im przez łapy. Początkowo był tylko jeden, może dwa. Nawet nie pojawiały się za każdym razem. Szybko jednak zaczęło przybywać ich coraz więcej. Wkrótce potem zacząłem widzieć pająki. Największe z nich nie przekraczały wielkością pięści, inne – całkiem drobnutkie – były mniejsze od paznokcia. Wszystkie czarne, z okrągłymi odwłokami, chodziły na cienkich nogach. Dopiero kiedy oblaży mnie, zobaczyłem, że każdy posiada ludzką głowę. Każda podobna, blada i łysa, ze złośliwym obliczem wyposażonym w kpiący uśmiech. Leżałem bezradny, gdy kroczyły po mnie, ciągle gadając coś w niezrozumiałym języku i podśmiewując się. Mimo paraliżu czułem stąpanie dziesiątek mikroskopijnych odnóży po całym ciele. Widziałem, jak chodzą po mojej twarzy, jak próbują wchodzić mi do nosa. Nie zdążyłem się nawet obejrzeć, a każde przebudzenie stało się prawdziwym piekłem.

To prawda. Było ich wielu, bardzo ci się naprzykrzali.

Zazwyczaj nie lubiłem o tym mówić, jednak czasami musiałem się podzielić z drugim człowiekiem. Po prostu z kimkolwiek. Nie chciałem iść do lekarza na jakiegokolwiek

terapię czy leczenie. Bałem się, co mi tam powiedzą. Może okazałoby się, że urodziłem się jakoś zepsuty i trzeba mnie odizolować od świata, albo dostałbym dziwne leki, od których nie mógłbym już normalnie funkcjonować. Wciąż wyobrażałem sobie takie scenariusze i nachodziła mnie obawa. Wolałem trzymać się nadziei, że wszystko jeszcze jakoś się samo rozwiąże. Jednak chciałem też otworzyć się przed kimś. Nie mam prawie w ogóle kontaktu z rodziną. Dawni znajomi mają już rodziny, biznesy lub zwyczajnie wyjechali za granicę. To dlatego zacząłem gadać z nieznanymi. Mógł to być nawet przypadkowo spotkany człowiek na ulicy, w autobusie czy w pubie. Wtedy zaczynałem nawijać bez końca. Takie okazje zdarzały się dość rzadko, ale jednak. Wydaje mi się, że kiedy nagromadziłem za dużo wątpliwości i lęków, to musiałem je po prostu z siebie wyrzucić. Jednak zawsze było z tym związane ryzyko. Raz prawie popłakałem się przed jakimś nieznanym facetem. Pił piwo obok mnie w barze. Siedział sam, chyba znudzony, więc zagadałem. Początkowo wydawał się przyjazny, nawet chętnie rozmawiał. Potem zacząłem mówić o tych wizjach, o potworach, które widzę każdego dnia. Byłem chyba strasznie emocjonalny przy tym. Musiałem go nieźle nastraszyć, bo błyskawicznie zwinął się z lokalu. Inny mężczyzna, z którym rozmawiałem, o mało mi nie przywalił. Najwidoczniej cała historia nastroiła go zbyt negatywnie. Zresztą nawet gdy wszystko szło dobrze i ktoś naprawdę chciał posłuchać, to wciąż samo opowiadanie potrafiło być dla mnie trudne. Poszukując słuchacza, nigdy nie trafiałem na tego samego człowieka dwukrotnie. Za każdym razem trzeba było wyjaśniać wszystko od nowa – mówić o najtrudniejszych momentach, odsłaniać się, bać reakcji. Często nachodziły mnie wątpliwości, czy

jest w ogóle sens próbować. Kiedyś chciałem zacząć pisać o tym wszystkim w Internecie. Myślałem, że bycie bardziej anonimowym ułatwi dzielenie się przeżyciami. Nie wiem tak naprawdę, na co liczyłem. Nie pomyślałem o tym, jak inni mogą zareagować. Przede wszystkim nie wziąłem pod uwagę, że tak wielu może chcieć ze mnie żartować. Parę osób napisało coś miłego, ale większość szydziła w naprawdę okropny sposób. Dlatego dałem sobie spokój.

Tak, często o tym myślisz. To zrozumiałe, że ktoś jest ci potrzebny.

Zrezygnowałem całkiem z mówienia o mojej sytuacji, ale za to znalazłem coś lepszego. Kiedy jeszcze opisywałem swoje doświadczenia w sieci, zupełnie przypadkiem trafiłem na historię zostawioną przez nieznanego mi człowieka. Umieszczał ją na własnej stronie, w mediach społecznościowych, nawet w plikach tekstowych i nagraniach przetrzymywanych na różnych serwisach. Była tego cała masa, setki megabajtów danych porzucanych w różnych miejscach. Od razu wgryzłem się w treści, pochłaniając je błyskawicznie. Z kontekstu zrozumiałem, że autor był młodym mężczyzną, musiał mieć około dwudziestu pięciu lat, mieszkał gdzieś w Kalifornii i chyba był Latynosem. Wspominał o życiu w Meksyku z rodzicami, przeprowadzce do Stanów oraz tym czego doświadczył w tym czasie. Strasznie się w to wciągnąłem i zacząłem wyszukiwać każdego nowego strzępu informacji, jaki tylko zostawił. Czemu było to takie ważne? Ponieważ on przeżył dokładnie to samo co ja. Również cierpiał z powodu tych porannych paraliżów, również zaczął obserwować, jak czas staje w miejscu, wreszcie on

również zobaczył te potworne istoty. Widział dokładnie to samo co ja. Widział nawet rzeczy, na które ja jeszcze wtedy nie trafiłem. Jego doświadczenia były skarbnicą wiedzy, którą z uporem chciałem poznać. Zależało mi na niej bardziej, niż mogłem się spodziewać, dużo bardziej niż przypuszczałem, gdy ją odkryłem. Dzięki tym zapisom przestałem się bać, nie musiałem już wyrzucać niczego z siebie. Nawet nie liczyłem na to, że problemy w końcu znikną. Chciałem tylko wiedzieć więcej. Musiałem wiedzieć więcej. Bardzo szybko poznałem najbardziej intymne przeżycia autora. Przeczytałem, jak gadające pająki oplatały go siecią, zawijając wreszcie w kokon. Niczym mumia leżał w kompletnych ciemnościach, aż w końcu jeden z łuskowatych stworów przypadkiem wyzwolił go z uwięzi, gdy zaczął szarpać jego łóżko. Znalazłem wzmianki o smukłych i wysokich postaciach z wielkimi głowami, które całe były pokryte błyszczącymi fosforyzującym światłem żyłkami. Chodziły powoli i majestatycznie, rozglądając się dookoła. Okazjonalnie dotykały przedmiotów nienaturalnie długimi, patykowatymi palcami. Mimo, iż nie sposób było doszukać się w nich wyrazów emocji, to wydawały się być zaintrygowane otoczeniem. Całkiem odmiennymi istotami były wielkie bezkształtne kleksy trzęsącej się i bulgoczącej masy. Czarniejsze od samej czerni, śmierdziały potwornie gryzącym zapachem zgnilizny. Co chwilę formowały coś na kształt macek, a nawet kończyn przypominających czasem stopy, a czasem racice. Opisy były po równo fascynujące i przerażające. Sam niedługo miałem okazję zobaczyć wiele z tych zjaw na własne oczy.

Dokładnie, dokładnie. Odkryłeś wiedzę o nieznanym świecie. Pomyśl, ile niezwykłych rzeczy tam jest.

Jednak najdziwniejsze znalazłem dopiero później. Było bardzo ciężko uporządkować wszystkie informacje w porządku chronologicznym, gdyż były tak bardzo porozrzucane. Większość czasu spędzałem właśnie nad tym, a wciąż nie miałem pewności co do rezultatów. Jednak byłem niemal pewien, że te wydarzenia, o których teraz myślę, były najnowsze, że wydarzyły się później niż wszystko pozostałe. Tamten chłopak, autor notatek, on zaczął widzieć jeszcze jeden rodzaj fantomów. Pod pewnymi względami wyglądały niemal jak ludzie. Jedynym co je odróżniało, były węzowe elementy ich wyglądu. Mogła to być jedna z wielu rzeczy. Czasem zamiast dolnej części ciała posiadały długi ogon. Innym razem były humanoidalne, tylko pozbawione rąk i nóg, a ich kończynami były wijące się sploty. W najbardziej skrajnych przypadkach sama ludzka głowa była przyczepiona do gadziego ciała. Mimo tego nie miały łusek, jak te bezmyślne bestie, które już wcześniej widziałem. Ich skóra była całkowicie ludzka, nawet na tych niepasujących częściach. Nie to było jednak najbardziej niezwykłe. One jako jedyne potrafiły mówić ludzką mową, potrafiły się komunikować z tym mężczyzną. Wspominał, jak nie był w stanie dojść, czy ich słowa są wypowiedane po angielsku, czy jego ojczystym dialektem hiszpańskiego. Nawet gdy skupiał się na każdym pojedynczym słowie, wciąż nie mógł tego rozwikłać. Z kolei to co mówiły... to... było niezwykłe. Wydawały się znać go bardzo dobrze. Każdy detal jego życia, jego pragnienia i lęki, nawet te rzeczy, do których nie był gotów przyznać się przed samym sobą.

Mówiły, że wszystkie pochodzą z odległego miejsca, z dala od świata ludzi. Nie są w stanie się stamtąd wydostać, mogą jedynie przebywać w ułamkach sekund naszej rzeczywistości. Chcą przejść na drugą stronę, doświadczyć naszego życia, podzielić się swoimi sekretami, a żeby tego dokonać, potrzebują kogoś z naszej strony. Kogoś kto będzie dla nich bramą, drogą na zewnątrz. Bardzo dużo o tym opowiadały. Tłumaczyły, ile dobrego mogą zrobić, jak bardzo mogą pomóc wszystkim na Ziemi, zwłaszcza jemu. Gdyby tylko zgodził się być dla nich furtką.

Nie wiem, co stało się później. Nie trafiłem na żadne zapiski, które zdawałyby się opisywać dalsze wydarzenia. Wszystko to, co zaraportował tamten człowiek, zdążyło się przydarzyć już i mnie. Nie wiem, co nadejdzie dalej, nie wiem też, co spotkało jego. Podejrzewam, że zgodził się na ich propozycję i nie mógł już potem pisać. Jakoś wewnątrz czuję, że to skończyło się dla niego źle, bardzo źle. Nie mogę wyjaśnić czemu, po prostu tak jest. Teraz leżę nieruchomo, patrząc w skraj mojego pokoju. Niezliczone wężowe sylwetki oplatają mnie, jakby w uścisku maniakalnej orgii. Wijąc się i przepływając po całym ciele, szepczą słodkim głosem.

Będzie dobrze. On na pewno jest teraz szczęśliwy. Nie masz czego się obawiać. Chyba rozumiesz. Wobec tego wpuśćśśś mnie...

Jarosław Adam Pankowski

Szary Kuba

Wystarczył jeden nieprzemyślany ruch. Kurz wzbił się gwałtownie w powietrze, gdy podnosiłem pudło ze sterty poukładanych na sobie starych kartonów. Szybko odłożyłem trzymany w rękę ciężar i odsunąłem się, by nie wdychać więcej drażniącego pyłu. Po raz kolejny naszła mi ochota, na to by zakląć z powodu całej sytuacji. Gdy tylko miałem trochę wolnego czasu, zaraz znajdowało się coś do zrobienia. Tym razem padło na posegregowanie starych rzeczy zalegających na strychu w moim domu rodzinnym. Nadszedł wreszcie ten moment, gdy wszystkie znoszone ubrania, stare egzemplarze pism oraz uszkodzone sprzęty miały ostatecznie skończyć na śmietniku. Tylko nieliczne przedmioty, uznane za sentymentalnie lub materialnie wartościowe, miały szansę się ostać. Wróciłem do odstawionej przed chwilą paczki, tym razem delikatnie ścierając brud z jej powierzchni. Lekko zbutwiały materiał, będący niemal miękki w dotyku, pachniał pleśnią. Wywoływał przy tym dziwne uczucie, jakby pomieszanie ciekawości i odrazy. Wewnątrz znalazłem różnego rodzaju narzędzia do obróbki drewna – musiały należeć do ojca. Bez wahania postawiłem opakowanie na stertę do wyrzucenia.

Nie było wątpliwości, że nikomu już się nie przydadzą. Kolejna paka, tym razem szczelnie obklejona taśmą, stawiała większy opór. Rozcięcie opieczętowania zajęło mi kilka chwil, zanim wreszcie dostałem się do zawartości. Zaskoczony zobaczyłem masę podniszczonych zabawek, w towarzystwie których spędzałem czas jako dziecko. Różnorodne kolorowe figurki z ruchomymi elementami leżały jedna na drugiej. Pod nimi było kilka książek, które czytałem w młodości. Okładki przedstawiające smoki i rycerzy były nieco zatarte, ale wciąż czytelne. Jeszcze głębiej znajdowały się albumy ze zdjęciami gromadzonymi od czasu ślubu rodziców oraz rysunki, które musiałem wykonać, gdy miałem zaledwie kilka lat. Patrząc na nie, nawet nie zdałem sobie sprawy, gdy uśmiech powoli wszedł na moją twarz. Rozejrzałem się dookoła. Stare, plecione krzesło stało pod ścianą. Ostrożnie usiadłem na nim, trzymając znalezione skarby przy sobie. Strumień światła wpadał przez okno w dachu, oświetlając pomieszczenie. Porozrzucane przedmioty leżały na luźno zbitych deskach pokrywających goły beton podłogi. Było ciasno, lecz nie na tyle by czuć klaustrofobię. Mogłem zrelaksować się na chwilę. Zacząłem przeglądać album.

Kolejne strony pokazywały zdjęcia z małym brzdącem siedzącym na kolanach swoich rodziców. Kilka kartek dalej ten sam dzieciak stał obok ojca przy brzegu morza. Trochę później, teraz na oko dziesięciolatek, pozował już tylko z matką. Kolejne obrazy pokazywały coraz starszego młodzieńca stojącego w towarzystwie dziadków, kuzynów, przyjaciół. Podróż przez przeszłość kończył obraz świeżego maturzysty, który wyprowadzał się na studia do Warszawy. Jego twarz wydawała się z jednej

strony rozpoznawalna, z drugiej obca. Jak odbicie w lustrze, które zawiera w sobie niepasujące elementy. Odłożyłem album na bok i zerknąłem na rysunki. Proste bazgroły, typowe dla małolata, pokrywały każdą kartkę. Ludzie stojący przed domem, wielcy jak sam budynek, oraz zaledwie nieco mniejsze kwiaty. Do tego ćwiartka słońca pokolorowana na żółto w samym rogu i krzywe linie czasem zastępujące ludzkie kończyny. Na niektórych obrazach postaci były podpisane: „MAMA”, „TATA” i „JA”. Przeglądając kolejne grafiki, znalazłem w końcu i takie, na których ojca brakowało. Te musiały być o parę lat nowsze. Nie widziałem nic wartościowego w mojej dawnej twórczości. Jednak naszło mnie, że mama może chcieć zachować wszystko, co pokazuje rodzinę w komplecie. Rysunki z tatą powinny zostać zatrzymane. Po chwili namysłu położyłem wszystkie pozostałe na stercie rzeczy do wyrzucenia. Z ociąganiem wróciłem do pracy. Kilka przejranych pudeł później odkryłem jeszcze pokaźną kolekcję różnokolorowych kłębków wełny oraz kilka zestawów narzędzi do robienia na drutach. Razem z nimi zapakowana była sterta magazynów z wzorami do przygotowywania ubrań i różnego rodzaju ozdób. Mama zawsze twierdziła, że opanuje tę sztukę, dzięki czemu będziemy mieć w domu mnóstwo jej wyrobów.

– W końcu się nauczę, a wtedy będzie ci głupio – powtarzała, gdy tylko zwracałem uwagę, że woli oglądać telewizję, niż dziergać, po czym zawsze dodawała z powagą: – Tylko poczekaj.

Oczywiście nigdy się za to nie wzięła, a zakupowane przedmioty jedynie zabierały przestrzeń. Niespełniona pasja mojej rodzicielki zajmowała łącznie trzy kartony.

Miałem wielką ochotę przeznaczyć je do wyrzucenia. Jednocześnie podskórnie obawiałem się jej reakcji, gdyby zorientowała się, co zrobiłem. Ostatecznie postanowiłem nie ryzykować. Za to bez przesadnego strachu zdecydowałem pozbyć się starych ubrań, które znalazłem spakowane pod samą ścianą. Materiał większości z nich był już mocno podniszczony. Nie było wśród nich też niczego o symbolicznym znaczeniu. Odkładając je, przyjrzałem się stercie rzeczy czekających na wygnanie. Urosła już na tyle, że nadszedł czas, by przenieść chociaż część tobołów do piwnicy. Planowałem zrobić przynajmniej dwa kursy w obie strony, zabrać, ile się da, a potem zrobić sobie dłuższą przerwę.

Schody prowadzące w dół zatrzeszczały nieprzyjaźnie po kilku pierwszych krokach. Stąpałem ostrożnie, co chwilę nawiedzany wizją pęknięcia którejś z desek pod moim ciężarem. Ufałem, że ząb czasu nie zdołał narużyć ich zbyt mocno. Rzadko kiedy musiałem zapuszczać się do domowej sutereny. Wszechobecna ciemność nawet teraz napełniała mnie uczuciem niepewności. Odsapnąłem lekko, gdy wreszcie postawiłem stopę na bardziej stabilnym podłożu. Nieco dalej stały wcześniej zniszczone pakunki. Mama zapewniała, że gdy tylko wszystko zostanie posegregowane, pozbędzie się niepotrzebnych rzeczy. Miałem tylko nadzieję, że cała praca nie okaże się bezsensownym przenoszeniem śmieci z jednego miejsca w drugie. Jednak wyobrażałem już sobie, jak przychodzę tu po kilku latach tylko po to, by odnaleźć to wszystko w takim samym stanie. Właśnie gdy stawiałem trzymane w rękach pudło na czekającej stercie, jedna z trzymanych na wierzchu kartek ześlizgnęła się i pełnymi gracji

ruchami spływała powoli na podłogę. W migotliwym świetle jedynej żarówki zobaczyłem nakreślony kredkami rysunek. Wydawał się przedstawiać wewnątrz kuchni – wyraźnie rozpoznawałem lodówkę oraz znajomy stół tuż przy oknie – w której przesiadywały dwie postaci. Przy mniejszej widniał podpis „JA”, druga było podpisana jako „MAMA”. Dopiero po chwili przyglądania się zobaczyłem czarny kwadrat na krańcu przedstawionego pokoju. Na początku wydawał się nie pasować, zaraz jednak pojąłem, że są to otwarte drzwi prowadzące do nieoświetlonego korytarza. Na przejście wskazywała strzałka rozpoczynająca się tuż przy słowach „SZARY KUBA”.

– Szary Kuba? – zastanowiłem się głęboko.

Nie byłem w stanie przypomnieć sobie nikogo takiego. Początkowo myślałem, że może to jakaś postać z kreskówek albo książek, które lubiłem w tamtych czasach. Jednak nic konkretnego nie przychodziło mi na myśl. Poczuję się głupio, że nie jestem w stanie odkryć jego pochodzenia. Tkwiłem tak w zamyśleniu, gdy nagle fala dawno zepchniętych w zakamarki umysłu wspomnień uderzyła we mnie z siłą nawałnicy. Odtrącone niegdyś wydarzenia wdzierały się, wszystkie naraz, na nowo do mojej głowy. Już wiedziałem. Szary Kuba – o którym nie można myśleć.

Obrazy ucieczki pochwyciły moją uwagę. Wizje, których nie przywoływałem przez całe lata. Takie, o których istnieniu od dawna już nawet nie wiedziałem. Biegłem wtedy po domu na złamanie karku, o mało nie przewracając się co kilka chwil. Z perspektywy dziecka korytarz wydłużał się w ciągnący się nieskończenie tunel. Kroki grzęzły w wykładzinie podłogi, jakby trafiły

na ruchome piaski. Bałem się przeraźliwie, bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Wypowiedziałem jego imię lub zobaczyłem coś, co przypomniało o nim, i to wystarczyło. Zaraz pojawiał się w pobliżu, gotów mnie ścigać. Zawsze wielki, dyszący i groźny. Wreszcie wpadałem do kuchni, gdzie mama zawsze przesiadywała w popołudnia, gotując. Zaczynałem tłumaczyć płaczliwym głosem, o co chodzi.

– Widzisz, za dużo oglądasz tych filmów – mówiła zawsze swoim podirytowanym tonem. – Idź zajmij się czymś, to nie będziesz myślał o strasznych rzeczach.

Nigdy nie wzięła moich historyjek na poważnie, jednak po każdej takiej rozmowie zagrożenie było już nieobecne, a ja mogłem uspokoić się. Wszystko to – ucieczka, strach, tłumaczenie się – wydawały się świeże, niemal nowe. Najwyraźniej nieodtworzone wspomnienia nie zdołały się jeszcze zedrzeć.

Nagle poczułem lekkie stąpanie gdzieś nade mną. Było ledwo słyszalne, lecz miałem pewność, że ktoś tam jest. Nie mogłem jednak dojść kto. Matka wyszła kilka godzin temu, mówiąc, że wróci dopiero przed wieczorem. Drzwi wyjściowe były zamknięte. Dopiero po chwili pomyślałem, że to może być on.

– Przecież to niemożliwe – momentalnie zacząłem wyrzucać sobie głupią konkluzję. – To tylko dziecinne fantazje.

Zdenerwowałem się na własną naiwność. Początkowo nie mogłem znaleźć dobrego wyjaśnienia hałasu, ale w końcu naszło mnie, że pewnie się tylko przestyszałem. Po prostu odżyła szczenięca wyobraźnia i nieznacznie przejęła nade mną kontrolę. Tak jak w tamtych czasach,

gdy powtarzałem, że Szary Kuba mnie dopadnie. Wtedy byłem nawet gotów twier...

Kolejny delikatny krok dobiegł do moich uszu. Zamarłem na chwilę. Wspomnienia kolejnych ucieczek przed tajemniczą zjawą pojawiały się same. Obrazy odtwarzały się w pamięci. Trzeci odgłos. Próbowałem się uspokoić, skupić na czymkolwiek innym. Jednak koszmarnie wizje zawsze odzywały się uporczywym pulsowaniem gdzieś w zakamarkach umysłu. Wiedziałem, że Szary Kuba zwykle robił to, co sobie wyobraziłem, jednak nigdy nie potrafiłem okiełznać umysłu, który nakazywał mu próbować skrzywdzić mnie. Teraz potwór powoli zyskiwał postać. Każdą nową cechą wyłaniał się z otchłani nieistnienia. Jeszcze jedno uderzenie dochodzące z parteru – tym razem głośne. Wiedziałem, że był masywny. Kolosalne cielsko tylko nieznacznie przypominało człowieka. Kłocowate stopy, jak u słonia, dawały mu podporę. Donośny hałas rozległ się tym razem tuż nad moją głową.

– Przestań go przywoływać, przestań go przywoływać – powtarzałem rozpaczliwie do siebie.

Starałem się nie myśleć o niczym, całkowicie oczyścić się z niekontrolowanych obrazów. Gdy poczułem, że to niemożliwe, wpatrywałem się w brud na podłodze. Cokolwiek, byleby było proste i nieangażujące. Byle skupić się na czymś bezsensownym.

Stałem tak w bezruchu. Nie byłem pewien jak długo. Jednak już od jakiegoś czasu panowała cisza. Napięcie wciąż trzymało moje ciało w uścisku. Fala strachu nacierała co chwilę, choć umysł zdawał się być całkowicie spowolniony. Jednak myśli, które zaczęto myśleć,

żądały, by je dokończyć. Początkowo z rzadka, potem coraz częściej uderzały, by powrócić na dawną drogę. Na kilka chwil zdołały wrzucić mi przed oczy obraz tłustego kadłuba o szarej skórze. Odrzuciłem go momentalnie, jednak następne nadeszły zaraz potem. Wielki, półkulisty łeb, łączący się rozlaną masą z tułowiem, bez jakiegokolwiek szyi. Próbowałem przerwać, ale w pewien sposób również nie chciałem. Jakaś część mnie domagała się, by zobaczyć wszystko. Zdeformowana twarz, która niemal w ogóle nie miała rozpoznawalnych elementów, brak nosa, usta pozbawione warg, szereg ostrych zębów. Ciężkie kroki, każdy jak uderzenie młotem, doszły z okolicy wejścia prowadzącego do piwnicy. Zdałem sobie sprawę, że może już być za późno. Chciałem być gotów na jego atak. Przeraziła mnie perspektywa bycia zaskoczonym. Wciąż patrzyłem na drzwi, zza których powinien nadejść. Czekałem, aż brutalną siłą rozbije je w kawałki i zacznie schodzić na dół w moją stronę. Jednak samym wyobrażaniem sobie tego momentu sprawiałem, że stawał się prawdą. Wreszcie dało się słyszeć uderzenia z drugiej strony. Jak na razie słabe, niczym niezgrabne pukanie.

– Czy on miał dłonie? – pytanie pojawiło się, zanim zdążyłem zareagować, i tak samo błyskawicznie zostało rozwiązane. – Tak, miał. Wielkie, grube, trójpalczaste łapska.

Kolejny cios w deski odgradzające mnie od potwora zatrzęsł nimi tak mocno, że odczułem to z daleka. Potwór był kompletny. Żałowałem teraz, że jednak nie zdecydowałem się znieść zestawu do dziergania. Druty mogłyby być przynajmniej jakąś bronią. Choć nie byłem pewien, czy cokolwiek jest go w stanie zranić. Seria razów spadła na drzwi, powodując, że podskakiwały w zawiasach.

Rozpaczliwie jeszcze próbowałem wyrzucić jakiegokolwiek wspomnienie zjawy z mojego umysłu. Wymazać go, zagłuszyć, nie myśleć, myśleć o czymś innym, krzyknąć, śmiać się – sięgnąłem po każdy sposób. Jednak oczyma wyobraźni wciąż widziałem, jak drewno łamie się pod brutalną nawałnicą, a odrażająca sylwetka zagląda do środka i wpatruje się we mnie białkami pustych oczu. Straszne zdarzenie odtwarzało się przede mną jak na zepsutym filmie, mimo iż jeszcze nie nastąpiło. Jednak byłem już pewien, że następne uderzenie będzie ostatnim.

Wtedy niespodziewanie natarcie ustało. Zapadła cisza, która pozwoliła mi usłyszeć odgłos otwieranych drzwi domowych. Ktoś właśnie wchodził do środka. Zaraz potem usłyszałem głos mamy. Nie byłem w stanie rozpoznać poszczególnych słów, jednak byłem pewien, że to ona. Z ulgą wypuściłem trzymane w płucach powietrze. On nigdy nie pojawiał się przy niej, jestem bezpieczny. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo zdołałem się spocić w ciągu ostatnich kilku minut. Chyba zawsze tak było, w każdym wcześniejszym przypadku. Gdy udało mi się w końcu uciec w bezpieczne miejsce, byłem już całkiem przemoczony. Jeszcze raz, na ułamek sekundy, przywołałem w umyśle okropne oblicze nachodzącej mnie maskary.

Nie tym razem – pomyślałem uśmiechając się do siebie.

Ze spokojem odwróciłem się z powrotem do przyniesionych rzeczy. Sięgałem do pudeł, gdy rozbłyśki światła pokazały szarą masę stojącą tuż obok. Co chwila pojawiała się i znikwała w ciemności. Pierwszy raz od wielu lat patrzyłem bezpośrednio na Szarego Kubę. Mimo, iż urosłem od dzieciństwa, on wciąż wydawał się górować

nade mną dokładnie tak jak wtedy. Chyba nie byłem w stanie wyobrazić go sobie mniejszym. Sparaliżowany strachem patrzyłem, jak potężny cień sięga po mnie swoim ramieniem. W ostatniej sekundzie zadziałał instykt i rzuciłem się do szaleńczej ucieczki. Bez zastanowienia biegłem po schodach ku wyjściu z piwnicy. Przy każdym kroku czułem oddech potwora na karku. Na każdym stopniu byłem zaledwie o centymetr od jego tłustych łap, wciąż niemal pewien, że zaraz mnie pochwyti. Nie przejmowałem się już, czy drewniana konstrukcja zawali się pod moim ciężarem. Ułamki sekundy dzieliły mnie od bycia przyciągniętym, zgniecionym i pożartym. Dystans do szczytu powiększał się w nieskończoność. Przy każdym zrobionym kroku odległość wydłużała się o trzy kolejne. Wydawało się, jakbym biegnąc, miał zaraz spaść – w dół, ku zagładzie. Nie wierzyłem, że to możliwe, jednak ostatecznie dotarłem do drzwi. Uderzyłem w nie całym impetem ucieczki, ani trochę nie zwalniając. Mimo początkowego sprzeciwu szybko ustąpiły pod naporem. Wyrwałem się naprzód przez korytarz, ledwie zdolny utrzymać pionową pozycję. Odbijałem się od ściany do ściany, desperacko próbując iść dalej.

– Co się stało?! – znajomy głos z donośną nutą obawy zabrzmiał tuż obok.

Potrzebowałem kilku sekund, aby otrząsnąć się z paniki. Wciąż nieco oszołomiony wpatrywałem się w mamę, gdy z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami próbowała pojąć, co się dzieje. Nie mogłem zdobyć się na powiedzenie niczego sensownego.

– Co tutaj robisz? – wypaliłem bez zastanowienia.

– Wróciłam wcześniej – odpowiedziała zaskoczona. – A co ty robisz? Skończyłeś przynosić rzeczy z góry?

Jeszcze kilka głębokich oddechów. Byłem niemal pewien, że tym razem jestem naprawdę bezpieczny. Ciało dopiero chwilę temu zdało sobie sprawę, że nie musi już uciekać. Odezwałem się, wciąż jeszcze rżąc.

– Tam na dole... tam był... Szar... – ugryzłem się w język w pół zdania.

Zdałem sobie sprawę, że to nie miało sensu. Ciągłe mówienie ze strachem o tych wydarzeniach nigdy nie pomoże. Musiałem rozwiązać to w inny sposób. Początkowo nie wiedziałem, czemu w ogóle zacząłem tak myśleć. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że przeżycie jeszcze raz tego samego doświadczenia z dzieciństwa musiało zniszczyć jakąś dawną blokadę.

– Pomyślałem, że nie ma sensu nosić rzeczy z miejsca na miejsce po całym domu – zacząłem mówić o wiele spokojniejszym tonem. – Po prostu zapakuję to do samochodu i zawiozę do siebie. Może zostać choćby w moim garażu. Wszystko na strychu jest już posegregowane.

– A co z...

– Tych kilka drobiazgów, które zniosłem, może tam na razie zostać – nie pozwoliłem jej dość do słowa, to była najlepsza strategia, by dopiąć swego. – Wrócę po nie przy innej okazji.

– Ale...

– Spokojnie, mamó, zajmę się tym – powiedziałem, podchodząc do schodów.

Ostatni raz spojrzałem w pustkę piwnicy. Przerywane błyski światła ukazywały pozostawione na dole przedmioty. Zamknąłem drzwi za sobą i już nigdy w swoim życiu ich nie otwierałem.

Jarosław Adam Pankowski

Szmary w tunelu

Dźwięk dzwonka po raz kolejny rozległ się w mieszkaniu. Wędrując w każdy kąt, odbijał się od wyblakłej tapety pokrywającej ściany, przelatywał po meblach i potrząsał oknami, aż wreszcie spotęgowany własnym echem uderzał wprost do uszu. Dopiero skrzypnięcie otwieranych drzwi uciszyło jego ciągnący się płacz. Bartek stał w korytarzu z dłonią wciąż tkwiącą na przycisku. Nie widzieliśmy się od prawie roku, jednak wydawał się dokładnie taki, jak przy naszym ostatnim spotkaniu. Zawsze poważny i dystyngowany, stojący w idealnie wyprostowanej pozycji. Symetryczna twarz i krótko ścięte czarne włosy, ostatnio ustępujące na czole powiększającej się łysinie, tylko potęgowała aurę dostojności. Na zewnątrz musiało padać, bo jego płaszcz był miejscami mokry.

– Cześć, witaj – powiedział od razu, uśmiechając się lekko.

Odpowiedziałem kiwnięciem głowy, robiąc mu miejsce, by wszedł do środka. Przyjął natychmiast zaproszenie, przestępując żwawo przez próg. Bez słowa powiesił swoje okrycie przy wejściu, po czym zwrócił oblicze w moją

stronę. W tym czasie ja z trudem próbowałem wydusić z siebie jakiegokolwiek słowo. Ostatecznie poddałem się i ograniczyłem jedynie do gestu wskazującego drogę do pokoju. Najprostszy nawet ruch wymagał chwili koncentracji, jakby mięśnie potrzebowały czasu na przypomnienie sobie dawnej rutyny. Powolnym krokiem podążyłem za moim gościem, który zdołał już dotrzeć na środek salonu. Idąc do niego, byłem absolutnie pewien, że widać, jak ciężko jest mi chodzić. Każdy kolejny krok powodował coraz większe zmęczenie. Niemal powłóczyłem nogami, nim wreszcie zająłem miejsce przy stole. On usiadł naprzeciwko. Przez kilka chwil patrzyliśmy na siebie w ciszy. Wciąż brakowało mi sił do podjęcia inicjatywy. Na jego twarzy widziałem pojawiające się powoli zniecierpliwienie. Wreszcie zdołałem wydusić z siebie kilka słów:

– Dziękuję, że przyszedłeś. Wiem, że... Wiem, że nie było od dawna okazji się zobaczyć. Nie miałem kiedy znaleźć wolnej chwili. Teraz jednak chciałem cię prosić o pomoc.

Zawiesiłem się na kilka sekund. Wiedziałem, że wyjaśnienie sytuacji będzie trudne. Mimo wcześniejszych przygotowań nie mogłem zmusić się do wypowiedzenia właściwych słów. Język zdawał się zaplątany w niemożliwy do rozwiązania supeł. W pewnym momencie zobaczyłem, że mój towarzysz zbiera się, żeby coś powiedzieć.

– To, co usłyszysz, może być trudne do zrozumienia – wystrześliłem nagle, nie dając mu dojść do głosu – jednak proszę cię, posłuchaj do końca. Mam pewien... problem. Nie daje mi spokoju i... i chciałem komuś o tym powiedzieć, bo nie dają już sobie rady.

Przykułem jego uwagę. Z zainteresowaniem wycze-kiwał dalszej części mojej historii. Mogłem mieć tylko nadzieję, że uda mi się wszystko wyjaśnić.

– Otóż nachodzi mnie sen... wiem, że to brzmi dziwnie, ale posłuchaj. To nie jest zwykły sen, zawsze przebiega w ten sam sposób i...

Znowu zatrzymałem się na chwilę. Bartek wpatrywał się we mnie, nie reagując. Siedziałem całkiem roztrzęsiony, ale próbowałem zebrać w sobie resztkę zapału. Byłem pewien, że jeżeli raz opowiem mu o wszystkim, to zrozumie. Przecież musiał zrozumieć. Nieustannie broniłem się, by nie pozwolić panice przejąć kontroli nad moim głosem. Nie mogłem uwolnić się całkowicie od strachu, ale udało mi się wystarczająco oczyścić umysł z jego wpływu. Musiałem przekazać wszystko w jasny i klarowny sposób. Zacząłem mówić, niemal automa-tycznie wyrzucając słowa. Nie dawałem sobie nawet sekundy czasu na wątpliwość.

– Jestem w tunelu. Nie wiem, jak się tam znalazłem ani dokąd idę. Jest bardzo ciemno. Co kilka metrów nieosłonięta żarówka pod sufitem oświetla okolicę. Migotliwe światło przebija się przez warstwy pajęczyn zalegających wszędzie. Powietrze jest nasycone kurzem, który wzbija się w powietrze przy każdym ruchu. Rozglądałem się dookoła. Ściany są zrobione z nagich cegieł zlepionych kruszącą się zaprawą. Niektóre elementy odłupały się, zostawiając ostre krawędzie. Wtedy... – nabrałem haust powietrza, zacząłem mówić zbyt szybko i niemal straciłem oddech.

Spojrzałem na Bartka. Jego twarz pozostawała niewzru-szona. Wydawał się dalej wsłuchiwać w to, co mówiłem.

Myślałem, że historia choć trochę go zaszokuje. Jednak on nie okazywał żadnych emocji. Przełknąłem ślinę.

– Tak jak mówiłem. Wyglądało to, jakby kawałki murowania zostały uszkodzone i wygładzone gdzieś. Niemal jakby erozją, jak ciągły przepływ wody, heh – zaśmiałem się głupawo. – To się może wydawać dziwne, że zapamiętałem taki detal, ale zaraz zrozumiesz. Wracając do tego snu. Patrząc dalej. Oba końce ścieżki toną w perfekcyjnej czerni. Nie wiem, co robić, więc zaczynam iść w losowym kierunku. Początkowo szybkim krokiem, chcę jak najprędzej znaleźć wyjście. Próbuje nawet biec, jednak podłoga jest nierówna i parę razy o mało nie upadam. Odruchowo próbuję znaleźć oparcie i kaleczę rękę na tych wystających kolcach. Chyba zaczęła lekko krwawić. Próbuje to zatamować, ale nie mam czym. Trzymam dłoń przy sobie i staram się kontynuować. Zaczynam poruszać się wolniej, bardziej metodycznie. Muszę stąpać bardzo ostrożnie, by znowu nie upaść. Jednak usiłuję zachować stałe tempo marszu. Z czasem zaczyna to być męczące. Nie mam niczego, czym mógłbym mierzyć czas. Nie mam pojęcia, jak długo przemierzam to dziwne miejsce. Wciąż widzę ten sam obraz, te same ściany. Wydaje mi się, że stoję w miejscu. W końcu słyszę to, o czym ci wcześniej mówiłem, wtedy podczas rozmowy przez telefon. To coś, co mnie przesładowuje. Ten dziwny odgłos, gdzieś za plecami.

Zatrzymałem się jeszcze na chwilę. Cięń zaskoczenia pojawił się na twarzy mojego słuchacza. Jednak to było wszystko, nic więcej. Myślałem, że zrozumie. Myślałem, że teraz powinien już wiedzieć. Dla mnie wszystko było oczywiste, ale on wydawał się nie pojmować. Nie byłem

już pewien, czy uda mi się opisać tamte wydarzenia w pełni. Mimo wszystko musiałem dokończyć opowieść.

– Ten dźwięk, to co wtedy usłyszałem. On, on... – Jeszcze jeden wdech i wydech, musiałem się bardziej skupić. – Wydawał się mieszkanką pisku, skrzeczenia i drapania wielu małych istot, jakby jakiś rój przemierzał ten korytarz. Czasem brzmiało to bardziej jak ludzkie jęki, czasem jak brzęczenie owadów. Nie mogłem dokładnie określić jego natury. Początkowo był niewyraźny, słabo słyszalny. Jednak szybko zaczął narastać. Zrozumiałem, że cokolwiek go wydaje, zbliża się do mnie. Bez zastanowienia biegłem przed siebie, jak najdalej od tego czegoś. Po drodze kilkakrotnie potknąłem się i uderzyłem o ścianę. Chyba zacząłem krwawić jeszcze bardziej. Jednak nie zwalniałem, dalej próbowałem uciekać. Hałas był coraz głośniejszy, coraz bliżej. Przyspieszyłem, nie zwracając uwagi na ryzyko potknięcia. Mogłem tak trwać w galopie przez godziny, a może tylko kilka minut. Wciąż nie byłem w stanie rozróżnić czasu. Ledwie dawałem radę oddychać, mięśnie zaczęły niedomagać. Wiedziałem, że jeżeli zatrzymam się chociaż na moment, nie będę już w stanie ruszyć ponownie. Czułem zmęczenie całym ciałem, bardzo szybko stało się to niewyobrażalną męczarnią. Jednak biegłem dalej. Za bardzo bałem się tego, co może się stać, jeżeli przestanę. Wiesz, jak to się skończyło? – spojrzałem wprost na Bartka, wierząc go wzrokiem. Nie odezwał się. – Obudziłem się. Nic mnie nie złapało, nie zgiąłem. Jednak byłem wycieńczony. Każda kończyna, każdy skrawek, wszystko bolało. Ledwo dałem radę zwlec się z łóżka. Tak to wyglądało.

Przestałem mówić. Czekałem na cokolwiek. Jakąkolwiek reakcję.

– Rozumiem, że to musiało być nieprzyjemne i przykro mi z powodu tego, czego doświadczyłeś – odezwał się wreszcie z ociąganiem. – Ale masz już to za sobą. Teraz wszystko powinno być w porządku.

– Nie, nie rozumiesz – niemal krzyknąłem, przerywając mu; po chwili zdołałem się opanować. – To wszystko wraca. Ten sen powtarza się każdej nocy. Pamiętam go z detalami, perfekcyjnie. Znowu trafiam do tego tunelu, znowu uciekam przed odgłosami. Znowu budzę się wyczerpany, znowu... – Kilka głębokich oddechów, musiałem się uspokoić. – Próbowałem zrozumieć, co się tam dzieje. Zmieniałem swoje zachowanie, szukałem jakiejś strategii radzenia sobie. Wiem, że ta dziwna horda reaguje na zranienie, jakby wyczuwała krew. Pojawia się wkrótce po tym, jak się skaleczę. Poruszając się, muszę być bardzo precyzyjny i uważać, jak stąпам. Każdy fałszywy ruch grozi upadkiem i zadrapaniem o ścianę. Myślałem, żeby stać w miejscu, ale to nie pomaga. W końcu dźwięki pojawiają się tak czy inaczej i zaczynają mnie ścigać. Za bardzo się boję, żeby czekać, aż mnie dopadną. Jedyne co mogę zrobić, to iść ostrożnie, żeby mieć duży dystans od nich. Potem i tak pędzę przed siebie bez zastanowienia. Nie mam nic lepszego. Naprawdę nie wiem, co zrobić.

Zacząłem lekko popłakiwać. Było to upokarzające, jednak nie byłem w stanie już dusić emocji.

– Hej, hej, spokojnie – ton Bartka zaczął sugerować zatroskanie. – Słuchaj, to siedzi w twojej głowie. Może spróbuj nie myśleć o tym i ci przejdzie?

– Problem w tym, że nie da się. Nie mogę skupić się na niczym, bo co chwilę wracam myślami do tamtego snu. Ciągłe przypomina mi się, jak chodzę, pilnując każdego ruchu, żeby się nie przewrócić. Ciągłe przypomina mi się, jak biegnę wyczerpany do granic możliwości. Ciągłe jestem zmęczony. Ciągłe się boję. To nie daje mi spokoju. Jak mam niby coś zrobić?

Teraz rozkleiłem się zupełnie. Nie próbowałem się już nawet kontrolować. Chciałem tylko, żeby ktoś zdjął chociaż część tego ciężaru ze mnie. Resztki wstydu zmusiły mnie, żebym ukrył zapłakaną twarz w dłoniach.

– Sorry, przepraszam. Nie chciałem cię urazić. Słuchaj, nie mam pojęcia, jak mógłbym ci pomóc. Może powinieneś pójść do jakiegoś specjalisty.

Te słowa zakłuły mnie chyba najmocniej. Nie wcześniejszy brak reakcji czy zrozumienia. Ta jedna porada, jak gdyby chciał mnie wysłać możliwie najdalej od siebie. Jakbym był nosicielem jakiejś zaraźliwej choroby lub kłopotliwym podarunkiem, który trzeba podrzucić komuś innemu. To było najgorsze. Cały czas starałem się powiedzieć, że kogoś potrzebuję. Włożyłem w to resztkę sił, jakie miałem. Tylko po to, żeby dotrzeć do kogoś, kto mógłby mi pomóc. Mimo tego jedyne, co otrzymałem, to kierunek dalszej wędrówki. Nie chciałem już podejmować starań, jednak nie mogłem całkowicie dać za wygraną. Jakiś wewnętrzny instynkt nie pozwalał mi na to. Tak samo, jak czułem strach przed konfrontacją z tajemniczą siłą, która nawiedzała moje sny, tak też bałem się ostatecznie odpuścić nadziei na odmianę losu. Nieustannie tkwiłem w stanie dziwaczego zawieszenia, starając się chwycić jakiegokolwiek opcji. Może Bartek miał jednak

rację? Chciałem złapać tę nadzieję, jak tonący człowiek wyciągający rękę po koło ratunkowe. Niepewnie podniosłem wzrok i spojrzałem znowu na twarz mojego towarzysza. Nie było już na niej oczu, tylko czarne dziury wielkości pięści. Chciałem krzyknąć ze strachu, ale nie byłem w stanie. Nie mógł patrzeć, ale wpatrywał się we mnie dogłębniej niż kiedykolwiek wcześniej. Zamrugalem odruchowo. Nie miał już ust, tylko ziejący otwór wypełniony doskonałą ciemnością. Nie było tam zębów ani języka. Mimo tego z wnętrza dochodziły znajome dźwięki. Brzęczenie, skrobanie oraz kakofonia przeraźliwych pisków wypełniła pokój. Bałem się bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Zamknąłem oczy, ale tylko na chwilę. Gdy otworzyłem je na nowo, byłem już w tunelu. Cienie tańczyły na otaczających mnie ścianach. Odgłosy pogoni dochodzące gdzieś z daleka, pojawiły się już po chwili. Teraz rozumiałem. Nigdy nie opuściłem tego miejsca. Ono jest prawdziwe, to życie na zewnątrz jest iluzją. Nie musiałem już myśleć, zacząłem biec.

Jarosław Adam Pankowski

Pułapka na muchy

Odgłosów baru w piątkową noc nie da się pomylić z niczym innym. Dźwięki stukających szklanek, okazjonalnego śmiechu i przyciszzonej muzyki mieszały się w jedną melodię rozrywki. W przyciemnionym świetle ludzkie sylwetki były wyraziste, lecz pozbawione detali. Rysy twarzy zamazywały się, odcienie znikały, szczegóły ubioru stawały się niewidoczne.

Robert siedział przy stole, co chwilę sięgając po kolejny łyk piwa. Na drewnianym blacie połyskiwały skomplikowane wzory nakreślone umocnionym w rozlanym napoju palcem. Maciek właśnie powrócił z nową miską czipsów.

– Hej, właśnie – wystrzelił od razu, siadając. – Słyszałeś ten o misji na Marsa?

– Jasne, że tak. Na koniec chcieli wyrzucić z balkonu kolejnego człowieka w kartonie, żeby był misją ratunkową – odpowiedział mu nieco rozczarowany głos kompana.

Po omówieniu wydarzeń z całego tygodnia zaczęli wspominać wszystko, co tylko przyszło im do głowy. Plotki i pogłoski, ciekawostki przekazywane w kręgu znajomych, w końcu zmyślone opowiadania i legendy miejskie.

Niestety zasób interesujących anegdot zaczął się kończyć. Historia o próbie wysłania studenta w kartonowym pudle na obcą planetę była strasznie oklepana.

– Czekaj, a znasz ten o skarbie pod wanną?

– Nie, opowiadaj.

– No więc, jest impreza, ludzie trochę wypalili i złapała ich faza. Ktoś rzucił hasło „pod wanną jest skarb”. No to wszyscy wbiegają do łazienki, wrywają wannę i widzą, że skarbu nie ma. Więc wyciągnęli jakieś młotki i inny sprzęt, i zaczęli rozwalać kafelki, potem podłogę. W końcu przebili się do sąsiada na dole. Facet patrzy na wszystkich zdziwiony, a oni do niego krzyczą: „oddawaj skarb!”

– Hahahaha, to jest akurat dobre.

Z nastrojem podkreconym kilkoma piwami łatwiej było się śmiać. Bili pięściami w stół, chichocząc, wyobrażając sobie minę człowieka widzącego bandę wariatów, którzy właśnie przebili mu sufit. Nieważne, że historia była zbyt absurdalna, by mogła być prawdziwa. Dobrze jest móc dowcipkować w ten sposób. Życie staje się lżejsze.

– Ha, a kojarzysz może Zbyszka? – rzucił w końcu Maciek, gdy eksplozja wesołości ostatecznie ich opuściła.

– Zbyszka? Masz na myśli Zbyszka Szczepaniaka?

– Nie, nie. Chodzi o Zbyszka Krzyżanowskiego. W sumie to zapomniałem, że nie miałeś możliwości go spotkać. Ja znam go jeszcze z czasów liceum. Taki dobry znajomy, wciąż jeszcze utrzymujemy ze sobą kontakt.

– No i co się z nim stało?

– Otóż wracał wieczorem, w sumie to już w nocy, do domu. Była chyba jakaś parapetowa urządzana w okolicy Młocin. On mieszka na Ochocie. Metro już nie chodziło,

więc chciał złapać nocny autobus. Stoi przy przystanku i widzi gdzieś tam z boku taki zniszczony kiosk. Wiesz, o jaki mi chodzi, taki kwadratowy, zielony. Tylko nie taki nowy, jak te, które teraz są wszędzie. To był taki stary, z tymi żółtymi kratami i w ogóle.

– No tak, rozumiem. Pamiętam takie, rzadko się teraz zdarzają.

– Dokładnie. Ja też ich już nie widuję, a on mówił, że właśnie taki tam stał. Tylko był już mocno zrujnowany. Zardzewiały, porysowany, pomazany wszędzie graffiti.

– Zobaczył to wszystko tak po ciemku?

– Tam akurat padało trochę światła z lampy ulicznej, więc widział wyraźnie skrawek tego kiosku.

Zrobił krótką pauzę, jakby próbując uchwycić zapomniany wątek. Wychylił odrobinę alkoholu w zadumie. Po chwili kontynuował.

– No więc stoi tam na przystanku, czeka, czasem spogląda sobie na tę starą budę. Autobus według rozkładu miał być dopiero za jakieś trzydzieści minut. No i wtedy widzi nadchodzącego kolesia. Taki około dwudziestu lat, może trochę więcej lub mniej. Z wyglądu raczej dresik. Zbyszek, jak go zobaczył, to już trochę się nastawiał, że może będzie musiał się z nim szarpać.

– Bez przesady, to że w dresie, to nie znaczy, że od razu będzie chciał się z każdym bić.

– Niby tak, ale w mojej opinii częściej niż rzadziej. Zresztą wystarczy, że raz taki naskoczy na ciebie i potem już zawsze jesteś podejrzliwy. Ja mu się nie dziwię.

– No, w sumie racja.

– Czekaj, zaschło mi w gardle od gadania – powiedział, upijając jeszcze trochę piwa.

Robert także pociągnął ze szkła.

– Ostatecznie tamten dresiarz stanął tylko na chwilę przy przystanku. Spojrzał na rozkład jazdy i poszedł dalej. Akurat jak przechodził obok kiosku, zadzwonił mu telefon. Odbiera go, łązi wte i wewte przy tym oświetlonym miejscu. No i chyba coś go zdenerwowało w tej rozmowie, bo zaczął rzucać bluzgami co chwilę. Zbyszek wolał nawet nie patrzeć w jego stronę. Kalkulował sobie, że przy takiej załączonej agresji to gość może zacząć mieć pretensje o samo zerknięcie.

– No to rzeczywiście niefajna sytuacja.

– Dokładnie. W końcu gość zaczął nawet kopać w ten kiosk, taki był wnerwiony. Do przyjazdu autobusu zostało jeszcze trochę czasu, więc był powód, żeby zacząć się już nieco bać. Tamten rzucał się jeszcze przez chwilę, ale w końcu chyba mu przeszło. Parę minut było cicho, więc Zbyszek w końcu obejrzał się w jego stronę. Facet stał w tym samym miejscu i gapił się gdzieś w dal. W końcu wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego. No i właśnie wtedy coś go złapało i pociągnęło w stronę tego kiosku...

– Co?!

– Tak powiedział mi Zbyszek. Coś złapało tamtego gościa i zabrało go, tak momentalnie. Facet nawet nie zdążył krzyknąć, dało się tylko słyszeć odgłos zatraskiwanych drzwi. Potem już tylko cisza.

Robert wpatrywał się w kompana podejrzliwym wzrokiem. Jakby oczekiwał, że tamten za chwilę roześmieje się i powie, że to wszystko było żartem. Sekundy mijały,

a wyraz twarzy Maćka pozostawał poważny. Odgłosy sali przycichły, gdy siedzieli w skupieniu. Piwo zafalowało w trąconym od niechcenia kuflu.

– Serio, Zbyszek tak mi powiedział. On nie ma w zwyczaju opowiadać zmyślonych historii.

– Ok, co potem? Nic nie zrobił?

W pytaniu dało się słyszeć niedowierzanie. Wątpliwość, czy wypada w ogóle rozważać opowieść jako prawdziwą.

– Zaczął mocno panikować. Z jednej strony chciał zobaczyć, co się stało, z drugiej bał się jak nie wiadomo co. Nie wiedział, czy dzwonić gdzieś, czy krzyczeć po pomoc. Zwłaszcza, że co miałby ludziom powiedzieć? Wspomniał, że chyba biegał dookoła przez chwilę, szukając kogoś, kto sprawdzi z nim ten kiosk, ale wszędzie było pusto. W końcu... hmm... w końcu obudziła go policja. Spał na ławce przy przystanku. Chciał im jeszcze coś wyjaśnić, ale skończyło się tym, że zabrali go na wytrzeźwiajątkę do rana. Musiał do tego jeszcze zapłacić za pobyt.

– Serio? To tyle? Nie przyszło ci do głowy, że po alkoholu zasnął na przystanku, a wszystkie te rzeczy mu się tylko przyśniły?

Maciek wyciągnął rękę po parę chipsów. Zjadał je jeden po drugim, powoli żując.

– Tak szczerze mówiąc, to jestem pewien, że dokładnie tak to wyglądało. Z tym że – przemyśl to sobie – parę dni później Zbyszek znowu był w tamtej okolicy. Nawet podszedł do tego samego przystanku. No i zobaczył, że obok nie ma już kiosku. Nie było nawet śladu w miejscu, gdzie wcześniej stał.

– Wiesz, kiosk też mógł sobie wyobrazić.

– Prawda, ale to jeszcze nie koniec. W kilku miejscach widział ogłoszenia o zaginionym człowieku. Takie, że jest napisane, kiedy ostatnio był z nim kontakt i co miał na sobie, i możesz sobie oderwać karteczkę z telefonem do jego rodziny. No, rozumiesz. Zgadnij, czyja twarz widniała na każdym z tych ogłoszeń... Nie kogo innego, tylko tego dresika. Poważnie, Zbyszek potem zwał do siebie i teraz odmawia nawet postawienia nogi w pobliżu Młocin.

– Chwila, ale czy on był pewien, że to ten sam gość?

– Powiedział, że od razu go rozpoznał. Nie miał nawet odrobiny wątpliwości. Oczywiście to też mogło być jakieś urojenie po...

– Zadzwoił na ten numer? W sensie na ten podany telefon?

– A po co?

– No, mógł przecież naprawdę go wtedy zobaczyć. Może pomógłby w wyjaśnieniu zaginięcia.

– Aha, jasne. Co by powiedział tym ludziom od ogłoszenia? Ktoś by w to uwierzył?

– Mimo wszystko...

Historia nie spodobała się Robertowi. Na swój sposób szkoda mu było obu jej bohaterów. Nawet, jeżeli autentyczność wydarzeń wydawała się zerowa.

– Za bardzo się przejmujesz.

– Może masz rację. Pogadajmy o czymś innym.

Wysączyli kilka kolejnych piw, wspominając czasy studenckie. Historie o imprezach, żartach z profesorów i podrywaniu koleżanek. Maciek dopijał czwarty kufel, słuchając kolegi.

– No i właśnie tak to wtedy było... A pamiętasz, jak Andrzej na wigilii wydziałowej upił się tym winem, co je dawali w kubkach, i wywalił się na choinkę?

– Rany, pamiętam. Prosto na oczach dziekan. Jeszcze skomentowała, że w końcu coś ciekawego się dzieje.

– Hahaha.

– Ha... Tak w ogóle. Masz jeszcze kontakt z kimś z tamtych czasów?

– Tak, czasem odezwę się do Łukasza, czasem do Kasi. Chociaż ona jest teraz ciągle zajęta. Ostatnio wpadłem do Tomka. Tego od administracji sieciowej. Wiesz, o którego mi chodzi?

– Tego, który zawsze mówił przed egzaminem, że go uwali, a potem dostawał najlepszy wynik na roku? Nie da się nie pamiętać.

– No dokładnie. Więc, jak mówiłem, odwiedziłem go jakieś dwa tygodnie temu. Ma teraz mieszkanie na Białołęce. Takie ze czterdzieści metrów. Dość długo się tam jedzie, dlatego rzadko do niego zaglądam. W dodatku Tomek pracuje teraz zdalnie, więc chyba w ogóle mało kogo widuje. Tak czy inaczej, wpadłem tam, wypiliśmy po dwa piwa i pogadaliśmy o ostatnich wydarzeniach. W którymś momencie wpadł jego młodszy brat...

Przerwał na moment, żeby wziąć następny łyk.

– Wiedziałaś w ogóle, że ma rodzeństwo? Bo ja nie miałem pojęcia.

– Ja też nie.

– A tu się okazało, że ma nie tylko brata, ale i siostrę. W sumie nigdy nie pomyślałem, żeby zapytać. Tak czy inaczej, wpadł jego młodszy brat. Okazało się, że on teraz

studiuje socjologię na Uniwerku i robi jakieś badania terenowe na temat bezdomnych w Wawie. Nagrywa rozmowy z nimi i inne podobne rzeczy. Przyszedł do Tomka, bo tamten miał dobre oprogramowanie do edycji takich klipów.

– To chyba nudna robota, takie rozmowy z dziadami. Gdzie on ich w ogóle znajduje?

– Wszędzie. Wielu po prostu na ulicy. Czasem chodzi do przytułków albo punktów, gdzie wydaje im się żywność. To nawet ciekawa sprawa. Pokazywał mi trochę swojego materiału. Rozmawiał z ludźmi, jak to się stało, że skończyli na ulicy – zwykle przez komornika lub narkotyki, często przez oba. Generalnie była tam cała masa zróżnicowanych osobników. Jacyś hazardziści, rozwodnicy, imigranci ze wschodu, ale również byli właściciele firm, nauczyciele akademicy.

Maciek ziewnął przeciągle. Na pierwszy rzut oka widać było, że ta historia zaczyna go nudzić. Niezrażony tym Robert ciągnął dalej, przyspieszając tylko nieco. Chciał dokończyć.

– Potem jeszcze pytał ich o to, jak sobie radzą z sytuacją. Powiem ci, że wielu miało ciekawe porady, jak przeżyć. Było trochę oczywistości w stylu, żeby nie spać na ziemi, tylko szukać ławek na dworcach albo w parkach. Albo o tym, jak można wypchać sobie wnętrze kurtki papierami dla izolacji. Jeszcze niektórzy mówili, aby unikać spania przy starych budach albo kioskach...

Zatrzymał się w pół zdania. Wspomnienia założyły się w całość. Dopiero teraz dotarło do niego coś, czego wcześniej nie mógł dostrzec.

– ...bo ludzie, którzy to robią, potem znikają.

Ostatnie słowa wymówił powoli, poważnie. Cisza zawisła w powietrzu na dłuższą chwilę. Patrzyli na siebie bez słowa. Poczucie zakłopotania stawało się dokuczliwe. Trzeba było je przerwać. Lepiej było powiedzieć cokolwiek, niż nie mówić nic.

– Taaak, to ciekawe. To dla kogo pracuje teraz Tomek?

Ton głosu Maćka mówił jednoznacznie, że trzeba zmienić temat. Udać, że nie widzi się problemu. Niby bez zastanowienia wziął garść czipsów i swoim zwyczajem zaczął jeść jeden po drugim. Z pełnymi ustami nie będzie mógł kontynuować. Nie można oczekiwać, że odpowie. Robert znał dobrze tę taktykę. Zawsze się tak działo, ilekroć rozmowa schodziła na niechciany temat.

– Jego praca nie jest teraz istotna. Nie wydaje ci się, że... Nie sądzisz, że powinniśmy komuś powiedzieć? Ostrzec ludzi?

– Przed czym? Przed zmyślonymi historiami, które pijacy uroili sobie po flaszcze, czy w ogóle przed rozmawianiem z biedotą z ulicy?

– Mówię poważnie. Co jeżeli możemy uratować komuś życie?

Powiedział to, patrząc wprost w oczy przyjaciela. Chciał go przyszpilić wzrokiem. Uniemożliwić ucieczkę w błahe rozważania.

– Nie – usłyszał w odpowiedzi po chwili oczekiwania. – Nie zamierzam robić z siebie głupka. Zwyczajnie trafiliśmy na podobne motywy w dwóch niepowiązanych ze sobą historiach. Historiach, które, jak muszę ci chyba uzmysłwić, są zmyślane. Są tylko produktem czyjejś

wyobraźni. Jeżeli chcesz wmawiać ludziom, że to prawda, to proszę bardzo, zrób to. Ale ja nie będę ci w tym pomagał.

Wziął głęboki oddech. Po chwili odezwał się znowu.

– Nawet jeżeli coś takiego by się działo, to nie widzę powodu, żeby przejmować się zniknięciami jakichś dresiarzy czy bezdomnych meneli.

Potem żaden nie powiedział już ani słowa. Siedzieli zmieszani. Co chwilę któryś brał następny łyk z kufla.

Kilka piw później Robert wciąż wspominał całą rozmowę. Stojąc samotnie w ubikacji, rozważał argumentację przyjaciela. Zakłopotanie zaczęło coraz bardziej przeważać nad alkoholowym upojeniem. Maciek był jego najbliższym znajomym. Nie miał drugiej osoby, z którą był w stanie tak szczerze rozmawiać o każdej głupocie. Nie chciał rozpoczynać z nim kłótni. Wracając do stolika, od razu wyrzucił to z siebie.

– Hej, sorry za czepianie się o te historie. Miałeś rację, nie ma co robić z tego afery.

– Nie no, spoko. Nie ma sprawy.

Obaj uśmiechnęli się porozumiewawczo. Konflikt został zażegnany.

– To co? Zbieramy się?

– W sumie już czas.

Wyszli na ulicę pogrążoną w nocy. Światła latarni ujawniały granice chodnika. Powolnym krokiem szli przez ocean mroku. Zimno co chwilę przypominało o sobie lekkim dreszczem.

– Sprawdźbyś, za ile jest autobus? – rzucił Maciek, przerywając ciszę.

– Już, zaraz zobaczę na telefonie.

Kolejne kroki. Powoli, niedbale. Resztki alkoholu ulatywały z głowy. W oddali dało się słyszeć nieliczne samochody. Znajoma okolica w ciemności wydawała się niemal obca.

– Hej, Robert – padło nagle.

– No, co jest? – odparł zapytany, wciąż gapiąc się w świecący ekran komórki.

– Czy to zawsze tutaj stało?

Aneta Pazdan

Tanatologia. Opowieść o miłości

– Jak mogłaś mi to zrobić?

Philippa nie odezwała się. Siedziała sztywno wyprostowana, opierała się o skórzane oparcie kanapy i patrzyła w ścianę.

– Miałem przed sobą całe życie. Wielkie plany! Szef zastanawiał się nad awansowaniem mnie. Miałbym nowe stanowisko. Wiesz, co to oznacza? Większe pieniądze, nowe możliwości. Wakacje w Indiach. Twoje marzenie. I... spójrz, coś ci pokażę.

Aidan wyszedł z salonu i wszedł do swojego gabinetu, gdzie w zamykanej na klucz szufladzie sekretarzyka trzymał nieduże granatowe pudełko. Zabrał je ze sobą i wrócił do ukochanej, siadając obok niej na sofie. Philippa nawet na niego nie spojrzała.

– Spójrz. Patrz, co już kupiłem. – Otworzył pudełeczko. W środku błyszczał ogromny szafir osadzony w złocie. – Chciałem ci się oświadczyć. Miałem to zrobić w naszą rocznicę. Kolacja w restauracji, spacer

w blasku księżyca, podłoga obsypana płatkami róż, szampan... Wszystko na marne.

Philippa niewzruszona jego żalami wpatrywała się wciąż w to samo miejsce na ścianie. Aidan zdenerwował się. Wyjął pierścioneł, podstawił go ukochanej pod oczy. Gdy ta wciąż nic nie powiedziała, cisnął nim przez cały pokój.

– Pójdę do więzienia. Zdajesz sobie z tego sprawę? Zostaniesz całkiem sama. Bez niczego. I ja także zostanę sam. Nie wiem, jak sobie bez ciebie poradzę. Proszę, nie zostawiaj mnie. Mimo wszystko mnie nie zostawiaj. Odezwij się. Przecież wiesz, że dla ciebie zrobiłbym wszystko. Tylko wybacz mi to, co uczyniłem. Możemy to jeszcze odkręcić.

Dotknął delikatnie ramienia Philippy. Nachylił się i pocałował kobietę w gładki, upudrowany policzek. Nie doczekał się żadnej reakcji.

– Zrób cokolwiek. Wyrzuć mnie z domu, uderz, krzyknij, ale nie bądź obojętna! Nie zniosę już dłużej twojego milczenia. To był błąd! Jeden, jedyny błąd. Nie możesz mnie za to karać. Co ja teraz zrobię? Może się powieszę? Pasowałoby ci to? Chcesz, abym skończył na stryczku? Mój Boże, Philipppo, po prostu się odezwij. O nic więcej cię nie proszę.

Pogładził osłoniętą jedwabną rękawiczką dłoń kobiety. Philippa oparła głowę o ścianę.

– Tylko jedno słowo.

Aidan nie doczekał się żadnej reakcji Philippy. Kobieta jedynie opierała głowę o ścianę i z niewzruszoną obojętnością słuchała wynurzeń swojego mężczyzny. Po jej twarzy spływała strużka krwi.

– Wszystko jest w porządku. Poczekaj, wytrę ci twarz. Ubrudziłaś trochę pościel, ale to nie szkodzi. Później zmienię.

Aidan wyjął z kieszeni jedwabną chustkę i starannie otarł zakrwawiony policzek Philippy. Poprawił bandaż owijający jej głowę.

– Już jest dobrze. Nie ma się czym przejmować. Jeszcze chwila i krew przestanie lecieć. Wtedy zdejmujemy bandaż. Słuchaj, kochanie. Ja... Wiem, że ostatnio nam się nie układało. To moja wina, przyznaję. Ale się starałem i chcę ci to udowodnić. Nie będzie restauracji ani spaceru, bo wiem, że w tej sytuacji byłoby o to ciężko, ale...

Poczekał na reakcję ukochanej. Kobieta leżała na wznak, ręce miała założone na piersi, na sobie najlepszą sukienkę, jaką znalazł w szafie – koronkową, białą jak śnieg, niewinną. Pięknie komponowała się z jej długimi złotymi włosami i błękitnymi oczyma o głębokim spojrzeniu.

Aidan westchnął. Wyszedł z sypialni. Po chwili wrócił, niosąc w ręku bukiet szesnastu róż o płatkach koloru świeżej krwi. Uklęknął przy ukochanej.

– Filippo, to dla ciebie. Dlatego, że kocham cię ponad wszystko i nie wyobrażam sobie, że mógłbym bez ciebie żyć. Mam nadzieję, że zgodzisz się zostać moją żoną. Ja... Nic by mnie bardziej nie ucieszyło.

Kobieta nie odezwała się, nie skinęła głową, nie zachęciła go delikatnym ruchem ręki, aby położył się obok niej, nie zagryzła warg jak zawsze, gdy się czymś ekscytowała. Philippa była jak kamienny posąg – jej pierś nie unosiła się pod wpływem oddechu, powieki nie drgały, usta nie rozchyłały się.

Aidan spochmurniał, ale mimo wszystko chwycił zimną dłoń ukochanej i nałożył na jej palec pierścionek.

– Ale z naszą miłością nie zrówna się miłość

Tych, co są potężniejsi niż my,

Tych, co są doskonalsi niż my –

I nie sprawią anioły niebiańską swą siłą,

I nie sprawią demony piekielną swą siłą,

Nie ma nic, nie ma nic, co by nas rozłączyło.²

Uśmiechnął się wyczekująco, ale Philippa nie poruszyła się, nawet słysząc fragment swojego ulubionego wiersza.

– To nic. Poczekam. Jestem cierpliwy. Nie wyobrażam sobie, abyś mogła mi odmówić. Jesteś po prostu zmęczona... Tak, to na pewno to. Zachowaj pierścionek, a kiedy lepiej się poczujesz, zgodzisz się zostać moją żoną.

Pocałował narzeczoną – swoją narzeczoną! – położył bukiet róż na stoliku nocnym i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Mijając kuchnię, zauważył kątem oka, że na podłodze wciąż skrzą się plamy krwi, a wśród nich leży tłuczek do mięsa.

Trzeba będzie to wyczyścić – pomyślał. – Nie mogę przygotować pierwszej kolacji dla mojej narzeczonej w tak brudnym pomieszczeniu.

Z zamyślenia wyrwało go głośne pukanie do drzwi.

– Panie Aidanie! To nie do pomyślenia!

² Edgar Allan Poe – *Annabel Lee* (przekład: Wiktor Woroszyński).

– O co znowu chodzi? – Aidan otworzył drzwi na taką szerokość, na jaką pozwalał krótki łańcuch. Zobaczył rozeźloną twarz sąsiada. – Coś nie tak?

– Z pana mieszkania znowu słychać krzyki! Ja i moja żona chcemy odpocząć. Ciężko pracujemy. Zasługujemy na chwilę ciszy.

– Przecież jest cicho.

– Proszę mnie nie łapać za słowa. Byłem w pracy. Żona mówiła, że słyszała krzyki, jakieś tłuczenie się. Mamy małe dziecko. Może pan to wziąć pod uwagę?

Nie mogę, ty śmieciu – pomyślał Aidan, krzywiąc się nieznacznie. Sąsiad z mieszkania naprzeciwko cały czas zatruwał mu życie. Przychodził i skarżył się na każdy najmniejszy hałas, raz nawet wezwał policję! Koniecznie trzeba było go ułagodzić.

– Przepraszam. Pokłóciliśmy się z narzeczoną. Powiedzieliśmy sobie kilka słów za dużo. Ale już jest wszystko w porządku.

– Już ja znam te wasze kłótnie. Wrzaski, pretensje, płacz, bicie. Tylko żona mówiła, że tym razem jakoś szybko wszystko ucichło...

– Nigdy nie uderzyłem mojej Philippy! Oboje mamy ognisty temperament, nasze kłótnie są zawsze burzliwe i emocjonalne. Podobnie jak godzenie się. Na przykład dziś... zaręczyliśmy się.

– Och. To wspaniale. Nie wiedziałem. Gratuluję. – Mężczyzna zmieształ się, po chwili jednak odzyskał rezon. – Właściwie dawno nie rozmawiałem z panią Philippą. Tylko mijamy się czasem w pośpiechu. Chętnie

pogratuluję jej osobiście. Żona na pewno będzie chciała zobaczyć pierścionek.

– Niestety Philippa śpi. Miała ciężki dzień, a jutro z samego rana jedzie do matki. Ale po powrocie możemy się spotkać. Dlaczego nie? Warto dbać o sąsiedzkie relacje.

– Tak, oczywiście. Warto. Ale niech pan nie myśli, że wygrał. Nie mam zamiaru wam pobłażać. Jedyne o co proszę to cisza i spokój. Jeśli wasze kłótnie będą się powtarzać, będę zmuszony wezwać policję.

– Nie będą. A teraz przepraszam. Muszę wracać do domu.

Aidan szybko zrozumiał, że w obecnym stanie jego narzeczona nie potrzebuje jedzenia, ale i tak przyprowadził ją do jadalni, pomógł usiąść na krzesło i nalał szampana do kieliszka. Philippa wyglądała jak anioł w śnieżnobiałej sukni, z pierścionkiem lśniącym na palcu. Wrażenia nie psuł nawet przesiąknięty krwią bandaż na jej głowie.

– Wyglądasz zjawiskowo, kochanie. – Aidan uśmiechnął się. Uniósł kieliszek do góry. – Za nas. Za to co przed nami. Naprawimy wszystko i będziemy żyć długo i szczęśliwie.

Upił łyk chłodnego szampana i pogładził ukochaną po dłoni. Kobieta wciąż się do niego nie odezwała, ale wierzył, że wszystko się ułoży. Philippa kochała go z całego serca i nie zrobiłaby mu czegoś tak strasznego jak odejście na zawsze.

– Zrobiłem na kolację twoją ulubioną pieczeń z jabłkami. Do tego pieczone ziemniaki i surówka z czerwonej kapusty. I wino. Czerwone, wytrawne. Gdy wypijemy szampana, podam posiłek. Dzisiaj nic nie musisz robić

mój aniele. Ja wszystkim się zajmę, a ty odpoczywaj. I... Mam nadzieję, że jednak się do mnie odezwiesz. Chociaż jedno słowo. Możemy się tak umówić? Jedno słowo pod koniec kolacji?

Dopił duszkiem szampana, pocałował Philippę w policzek i wyszedł do kuchni. Po chwili wrócił, niosąc dymiący półmisek. Postawił go na stole obok srebrnej zastawy, z barku wyjął butelkę wina, napełnił swój kieliszek. Z żalem spojrzął na drugi, wciąż wypełniony szampanem. Niby wiedział, że Philippa w tym stanie nie wypije nawet kropli i nie zje choćby okruszyny, ale łudził się, że jednak spróbuje to dla niego zrobić.

– To nic. Zjesz, kiedy zgłodniejesz. – Uśmiechnął się, pogładził kobietę po włosach. – Zawsze powtarzałaś, że brakuje mi cierpliwości, ale tym razem nie zamierzam cię pospieszać.

Usiadł przy stole, nałożył na talerz plaster wołowej pieczeni i trochę ziemniaków. Surówkę pominął, bo nie przepadał za czerwoną kapustą – potrawę przygotował jedynie dla Philippy. Spróbował kęs, uśmiechnął się.

– Pyszne. Na pewno będzie ci smakować. Ja...

Aidan skrzywił się. Zauważył, że po twarzy ukochanej znów spływa krew. Czerwona smuga na nieskazitelnie białej skórze. Niczym rysa na płótnie niszcząca cały spektakularny efekt obrazu i niwecząca starania malarza.

Chwycił ze stołu serwetkę, otarł twarz ukochanej. Musiał się przyzwyczać, że od tej pory nie wszystko będzie idealnie.

– Trudno. To nic. Naprawdę. Tym razem będę cierpliwy, obiecuję.

Zauważył błysk w oczach Philippy i uśmiechnął się ciepło. Położył serwetkę obok półmiska z pieczenią i przypadkowo trącił oparty o naczynie długi ostry nóż, jakiego użył wcześniej do pocięcia mięsa na plastry. Ostrze upadło na stół, zachlapując obrus sosem.

– Och, popatrz. Ale ze mnie niezdar! Zaraz wytrę sos, ale plama niestety zostanie. Może...

Chwycił serwetkę, ale zaraz zszokowany upuścił ją na podłogę. Spojrzał na plamę z sosu, która powiększała się i rozrastała, tworząc siatkę pęknięć na śnieżnobiałym obrusie. Oplatała nóż, który... Mój Boże! – mógłby przyśiąć, że zmienił się na chwilę w tłuczek do mięsa.

– To będzie cię prześladować – wyszeptala chrapliwym głosem Philippa.

Aidan położył Philippę do łóżka, a sam opróżnił do końca butelkę szampana, potem wypił też wino i osunął się we wspaniały, pijacki stan, w którym szum w głowie zagłuszał to, co wydawało mu się, że wcześniej widział.

Gdy zwlekł się z łóżka grubo po południu, chroniąc oczy przed ostrym światłem i łykając podwójną dawkę tabletek na ból głowy, wszystko jawiło mu się jak zły sen. Na obrusie w jadalni widniała zwyczajna, nieduża plama sosu, nóż leżał tak, jak go zostawił, Philippa spała spokojnie w sypialni.

– Dzień dobry kochanie. – Obudził ukochaną. – Ale miałem potworny sen. Nawet sobie nie wyobrażasz. Ale już wszystko w porządku.

Z uśmiechem zauważył, że rana na głowie Philippy prawie przestała krwawić – jeszcze chwila i będzie mógł zdjąć bandaż. Na razie jednak zmienił opatrunek i zaniósł ukochaną do salonu.

– Poczytaj książkę albo posłuchaj radia. Ja muszę uporządkować jadalnię. Niestety chyba już nie dopiore obrusu... Będziemy musieli kupić nowy. Co ty na to?

Wszedł do jadalni, dopił szampana, którego Philippa jednak nie tknęła. Napój był ciepły i wygazowany, ale pomógł nieco ukoić ból głowy. W pomieszczeniu panował zaduch. Aidan otworzył okno, a kiedy odwrócił się i chciał zebrać ze stołu naczynia, zauważył, że brakuje na nim noża.

– Co do... Przecież tutaj był.

Aidan schylił się, ale nie zdążył poszukać pod stołem, bo usłyszał przeraźliwy, mrozący krew w żyłach kobiecy krzyk dochodzący z salonu. Wrzask nasilał się, był coraz głośniejszy, po chwili zaczął brzmieć jak pisk – tak wysoki, że ranił uszy. Aidan pobiegł do sąsiedniego pomieszczenia, przyciskając dłonie do głowy.

– Filippo! Idtę do ciebie.

Wbiegł do salonu i w tym samym momencie krzyk ustał. Kobieta siedziała tam, gdzie ją zostawił – na sofie w rogu pomieszczenia – ale patrzyła nie przed siebie, a w bok, wprost na niego. Na jej kolanach spoczywała otwarta książka, na której leżał ubrudzony sosem nóż.

– Kochanie. Wszystko w porządku? To ty tak krzyczałaś? Coś się stało? Ten nóż... Skąd on...?

Aidan podszedł do narzeczonej, ostrożnie zabrał z jej kolan nóż i odłożył go na komodę. Z szaleńczo bijącym

sercem usiadł na sofie i pogłodził Philippę po włosach. Dotknął końcami palców jej zimnego jak lód policzka.

– Muszę odpocząć. Jestem zmęczony, to wszystko. Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem moim wtargnięciem. Nie chciałem. Widzę, że zajęłaś się czymś. To dobrze.

Chwyił książkę i zamknął ją, aby zobaczyć, co czytała jego ukochana. Zamarł, gdy zobaczył tytuł – czerwone litery, prawie oskarżycielskie. *Zbrodnia i kara*.

– To będzie cię prześladować.

Aidan usłyszał stukot. Odwrócił się i zerknął na komodę, gdzie wcześniej położył nóż. Teraz leżał na niej tłuczek.

– Prześladować.

Spojrzał na Philippę. Jej twarz była pokryta krwią! Krew wyciekała spod bandaża i szerokim strumykiem spływała w dół, barwiąc na ciemnoczerwono białe jak śnieg policzki, szyję i kołnierz sukienki.

Aidan wiedział, że nie może ulegać szaleństwu. Philippa wymagała jego opieki, więc musiał wziąć się w garść. Odetchnął kilkakrotnie głęboko, aby się uspokoić, potem poszedł do łazienki po apteczkę. Zmienił bandaż, oczyścił twarz ukochanej, przebrał ją w świeżą sukienkę.

Postanowił, że najwyższy czas wrócić do normalnego życia. Wyjść z domu, zrobić zakupy, potem ugotować jakiś obiad, nastawić pranie. Czuł się niepewnie i nie chciał zostawiać Philippę samej, ale musiał się jakoś przełamać.

– To tylko moja wyobraźnia. Jestem zmęczony, to wszystko. – Odetchnął głęboko, próbując dodać sobie

animuszu. Otworzył drzwi, po namyśle zamknął je i ponownie otworzył. – Kochanie, wychodzę. Poradzisz sobie chwilę sama? Zaraz wrócę.

Schodząc po schodach, minął się z sąsiadką z wyższego piętra. Przywitał się uprzejmie, ale kobieta tylko zmierzyła go szybko wzrokiem i natychmiast odwróciła głowę. Pies, którego prowadziła na smyczy, nie przestawał warczeć.

Na ulicy było tłoczno i gwarnie. Aidan wybrał drogę przez park, aby odseparować się nieco od tłumu i zebrać myśli. Rozkoszował się promieniami słońca na twarzy i delikatnym wiatrem muskającym jego skórę.

Wsluchiwał się w dźwięki parku. Liście topól i dębów szumiały cicho, gdzieś w oddali zamiauczał kot. Aidan uśmiechnął się do mijającej go kobiety pchającej wózek. Młoda matka skrzywiła się z niesmakiem, siedzący w wózku niemowlak zaczął płakać.

Grupa nastolatków grających w klasy instynktownie odsunęła się mu z drogi. Aidan minął je zaskoczony. Gdy odwrócił się, aby spojrzeć na nie raz jeszcze, zauważył, że szepczą coś między sobą i zerkają na niego ukradkiem.

– Wszyscy wiedzą.

Aidan podskoczył, gdy usłyszał słowa, które ktoś wyszeptał mu do ucha. Rozejrzał się, ale nie zauważył nikogo w pobliżu.

To tylko twoja wyobraźnia – pomyślał, łapiąc haust powietrza. – *Uspokój się.*

Ruszył przed siebie, starając się opanować drżenie nóg. Śpiący na ławce pijaczek otworzył oczy, wskazał na niego palcem i zaśmiał się szkaradnie. Starsza kobieta krzyknęła i osunęła się ciężko na trawę.

Ktoś krzyknął. Wszyscy patrzyli na Aidana, w ich oczach widział przerażenie. Spojrzał na swoje dłonie – były całe we krwi. W ręku trzymał zakrwawiony tłuczek. A tam... mógłby przysiąc, że widzi zarys kobiecej sylwetki gdzieś w oddali. Biała suknia i twarz skryta w mroku.

– Wiedzą... wiedzą... wiedzą...

Nie zastanawiając się długo, odwrócił się i rzucił się biegiem do domu.

Aidan uklęknął przy Philippie, chwycił jej zimną dłoń i przycisnął do ust. Czuł się, jakby jakaś silna łapa objęła jego gardło i zaciskała na nim coraz mocniej szpony. Wreszcie zrozumiał!

– Ty nie żyjesz, prawda? Boże, ty naprawdę... umarłaś...

Delikatnie dotknął policzka narzeczonej, przycisnął opuszki palców do jej warg. Zbliżył dłoń do powiek, ale po namyśle odsunął ją.

– To ja... ja ci to zrobiłem?

Spojrzał na swoje dłonie. Trzęsły się jak oszalałe, ale były czyste, niewinne, chociaż... Przez chwilę miał wrażenie, że widzi na nich krew.

– Jestem potworem...

Odsunął się od ukochanej i zwymiotował. Gwałtowne torsje wstrząsały jego ciałem nawet wtedy, gdy już nic w nim nie zostało. Był całkiem pusty.

– Pustka nigdy cię nie opuści.

Aidan odwrócił się. Nie był pewien, czy rzeczywiście słyszał słowa, czy może wszystko mu się wydawało.

Philippa leżała w tym samym miejscu, w którym ją zostawił, dłonie miała skrzyżowane, oparte na brzuchu i... Czy wcześniej nie trzymała prawej ręki na lewej?

Powstrzymując mdłości, doczołgał się do kobiety.

– Powiedz mi. Czy to naprawdę ja? Czasem mam wrażenie, że widzę w lustrze kogoś, kim nie jestem. Znam tę osobę, ale ona nie jest mną! Czy to ja jestem odpowiedzialny? Czy on?

– Wszyscy wiedzą. – Usta Philippy poruszyły się nieznacznie. – Wszyscy.

– Mój Boże... Mówisz... A więc jednak żyjesz. Potrzebujesz czasu. Po prostu czasu i...

– To będzie cię prześladować.

– Nie! Nie, nie, nie, nie będzie. Dorwę tego drania, który ci to zrobił, a potem... Potem będziemy już razem na zawsze.

– Wkrótce. – Philippa uśmiechnęła się złowieszczo.

Aidan usłyszał stukot dochodzący z kuchni. Podniósł się z trudem z kolan i ruszył w kierunku nasilających się odgłosów. Gdy wszedł do pomieszczenia, zamarł. Na stole w kałuży krwi leżał tłuczek, naokoło niego wbity był przynajmniej tuzin ostrych noży. Na podłodze wałała się otwarta, brudna od krwi księga.

Drżąc i szlochając, Aidan podszedł do niej i przeczytał zaznaczony krwią fragment.

Tam ogień, wiecznych męczarni narzędzie,

Ciało twe palić, w duszy goreć będzie;

Słuch nie obejmie, język nie obwieści,

Ile się piekła wewnątrz ciebie zmieści...³

³ George Byron – *Giaur* (przekład: Adam Mickiewicz).

– Wkrótce. – Złowieszczy śmiech owinął go niczym całun.

Praktycznie nie odpoczywał przez trzy kolejne dni.

Gdy zapadał w niespokojny sen, śniły mu się koszmary. Widział w nich swoje ciało – pokiereszowane, zakrwawione, spoczywające pod ziemią. Budził się cały spocony, zmęczony jeszcze bardziej niż wcześniej.

Wszędzie widział krew. Na ścianach, podłodze, na dłoniach, twarzy! Czuł jej metaliczny posmak w ustach. Miał wrażenie, że topi się we krwi. A w oddali, w najciemniejszych kątach pokoju, czekała na niego kobieta w białej sukni, z twarzą ukrytą w mroku.

Wciąż nie przyznał przed samym sobą, że wierzy w śmierć Philippy. To by oznaczało, że ona naprawdę odeszła. I nigdy nie wróci. Ale czasem łapał się na tym, że patrzy na jej ciało i widzi zwłoki.

I pamięta, co jej zrobił.

I drży z niepokoju, że ktoś odkryje jego sekret.

Próbował uciec. Wyjść z domu i nigdy nie wrócić. Ale na zewnątrz czaiło się o wiele więcej zła. Ludzie wytykali go palcami, wyzywali, wzdrygali się na jego widok.

Oni wiedzą!

Tak, wiedzieli. I byli zagrożeniem. Dlatego porzucił myśli o ucieczce. Ale czasem miał dość wszystkiego.

– Wkrótce...

Gdy usłyszał dzwonek do drzwi, nie obchodziło go, kto za nimi stoi. Może policjant, może sąsiad, może

śmierć – nieważne. Otworzył drzwi, obłąkany i wystraszony i wpuścił do środka listonosza.

– Zrobiłem to – wyznał. Przyznawał się przed mężczyzną czy przed samym sobą? – Zabiłem... Tak, ona nie żyje. Zabiłem ją. Mam już tego dość! Niech pan wezwie policję! Niech pan zobaczy... Tam... W sypialni. Jej ciało.

– Niech się pan uspokoi. Jestem w pracy. Muszę...

– Chcesz mieć kogoś na sumieniu? Idź tam i zobacz te cholerne zwłoki! A potem... Idź.

Popchnął listonosza, który, niepewny i przestraszony, przekroczył jednak próg sypialni. Staął, popatrzył na łóżko, potem przeniósł wzrok na Aidana.

– To jakiś żart? Tu nic nie ma.

– Jak to?

Aidan wbiegł do sypialni. Łóżko było rzeczywiście puste, pościel idealnie ułożona, dywan czysty, szafa zamknięta. W pokoju nie było śladu czyjejś obecności. Wycofał się, usiadł ciężko na krześle. Nie zwracał uwagi na listonosza, który korzystając z okazji, uciekł z mieszkania.

– A więc jednak nie...

– Wkrótce. – Usłyszał cichy głos dochodzący z sypialni.

Z lękiem przekroczył próg. Philippa leżała znów na łóżku, oczy miała otwarte, spokojne, ręce splecione na piersi.

– Ty nie chcesz zostać znaleziona, prawda? Nie chcesz, żebyś odpowiedziała... Więc czego chcesz?

Tuż obok jego twarzy – tak blisko, że poczuł delikatne muśnięcie ostrza na policzku – przeleciał ze świstem nóż i wbił się we framugę.

– Teraz.

Philippa poruszyła się nieznacznie, a potem zaczęła podnosić.

Mógłby przysiąc, że słyszał za ścianą kroki. Głośne, nieustanne, jakby ktoś biegał tam i z powrotem po pokoju. Wiedział, że powinien spróbować uciec i wezwać pomoc, ale nie mógł zmusić się do wstania.

Siedział zamknięty w łazience i zanosił się płaczem. Rękami objął nogi, twarz przycisnął do kolan i dygotał, telepiąc się w przód i w tył. Dźwięki za ścianą nie pozwalały mu zapomnieć. Chciał, aby ustały! Modlił się, aby wreszcie dano mu spokój.

Powinien sprawdzić co z Philippą! Ale przecież nic jej nie groziło. Dom był pusty. Kroki odbijały się echem jedynie w jego myślach. Podobnie jak łamiący serce krzyk, odgłos głuchego uderzenia i cichy chlupot krwi.

Musiało tak być. Wizja, że narzeczona mu to robi, była zbyt straszna.

– Uspokój się. Tego wszystkiego nie ma. Jesteś tutaj tylko z ukochaną – spróbował przemówić sobie do rozsądku. – Weź się w garść. Musisz pomóc Philippie przejść przez to wszystko. Musisz być przy niej.

Odgłosy ustały. Otaczała go cisza. Aidan odetchnął z ulgą, otarł łzy, wciąż dygocząc, podniósł się w podłogi, wygładził ubranie, wyprostował się.

Widzisz? – pomyślał. – To tylko twoja wyobraźnia. Jesteś zmęczony, a ostatnio miałeś dużo zmartwień. Ale już jest w porządku. Wszystko się jakoś łoży.

Głośne uderzenie w drzwi wyrwało go z zamyślenia. Aidan odskoczył do tyłu, przycisnął plecy do zimnej ściany, zacisnął dłoń na pierwszej rzeczy, na jaką natrafił – drewnianym kiju od szczotki. Ktoś stał po drugiej stronie drzwi, uderzał w nie i drapał naprzemiennie, przeraźliwie krzycząc i piszcząc.

– To będzie cię prześladować – Aidan usłyszał cichy szept tuż przy swoim uchu. Czyjś ciepły oddech omiół jego policzek.

Spojrzał na swoją dłoń – zacisnął ją nie na kiju, a rękojeści zakrwawionego tłuczka! Próbował go upuścić, ale narzędzie nie chciało się odkleić od jego ręki.

– Prześladować... prześladować... prześladować...

Łomotanie nie ustawało. Szczeliną pod drzwiami zaczęła przesączać się krew.

– Nic dziwnego, że sąsiedzi dawno nie widzieli pani Angerer. – Leighton pochylił się nad zwłokami leżącymi na łóżku. Delikatnie odchylił bandaż na głowie ofiary. – Hm, to dziwne.

– Co takiego? – Mona przybliżyła się nieznacznie do łóżka. Jej twarz była blada jak ściana.

– Musiała zginąć niedawno, bo jej ciało jest idealnie zachowane, brak też stężenia pośmiertnego. Ale rana na głowie jest zagojona. Spójrz na bandaż. Nie ma na nim śladu krwi.

– Co to może oznaczać?

– Nie wiem. To nie moja działka. Koroner powie nam więcej, gdy w końcu tu dotrze.

Leighton wyszedł z sypialni, oparł głowę o chłodną ścianę i odetchnął głęboko. Mona stanęła obok niego i położyła mu rękę na ramieniu. Spojrzył na swoją partnerkę z wdzięcznością. Zauważył, że była tak samo przeżarta jak on. Nic dziwnego – do tej pory zajmowali się jedynie awanturami domowymi, zakłócaniem porządku, czasem pobiciem.

Nigdy podwójnym morderstwem.

– A druga ofiara?

– Aidan Gordon. Jej chłopak. Chyba już narzeczony. Pamiętasz? Sąsiad mówił, że się zaręczyli. Nic nie wskazuje na to, aby w sprawę zamieszana była osoba trzecia. Apartament znajduje się za wysoko, aby ktoś mógł wejść przez okno, a drzwi były wciąż zamknięte na klucz i łańcuch, gdy je wyważaliśmy.

– Czyli pozabijali się nawzajem? Jak to w ogóle możliwe? On jest w łazience, ona w sypialni...

– Nie wiem, Mono. Nie zajmuję się morderstwami! Wiem tyle co ty. On tam leży. W kałuży krwi. Zmasakrowany. I zaciska dłoń na tłuczku do mięsa. Ona jest tutaj. Obok niej leży zakrwawiony nóż. A na głowie ma ranę od... uderzenia czymś tępym. To na pewno.

– Ale nie widać krwi. A rana jest zagojona.

– Nie wiem. Po prostu nie wiem. Nie znam się na tym. Może człowiek da radę przeżyć jakiś czas z raną głowy, nim coś złego stanie się w jego ciele... Nie takie przypadki widziała historia. Wiem tylko jedno. Muszę się napić.

– Ja też. Na szczęście za godzinę kończymy służbę...
Zaraz. Poczekaj. Coś się tam błyszczy.

Mona schyliła się, wyciągnęła spod szafki niewielki przedmiot, oczyściła go. Na jej dłoni leżał złoty pierścionek z szafirem.

Artur Pomierny

Dyptyk piekielny

Skrzydło górne

W domu kruszącym się u podstaw i pękającym po bokach mieszkał wdowiec. Kamienny fundament po raz pierwszy poruszył się niedawno, w dniu odejścia jego żony. Od tego czasu, z każdym następnym dniem tęsknoty za kobietą, ze ścian odpadały kolejne kawałki porowatego tynku. Bywało nawet, że ściana drżała przez dłuższą chwilę, zanim ciężkie odłamki różnego kalibru strzelały w jego kierunku z ogromną prędkością. Wszystko wskazywało na to, że w wyniku niepowetowanej straty wdowca, wewnątrz murów zamieszkała ogromna moc, żywa trwoga i żalem za zmarłą.

Stasiu. Ześlij mi jakiś znak. Ale inny.

Wtem, trzeciego dnia po jej śmierci, w złym domu zjawił się nieoczekiwany przybysz. Objawił się, jakoby był jej rodzonym bratem z dalekich stron. Przybył, gdyż „serce go ścisnęło i od razu poczuł, że coś się wydarzyło”. Wdowiec zaakceptował wytłumaczenie i wkrótce żałobnicy zaczęli

wspólnie przelewać łyzy i wódkę, a kiedy ręce przestawały im drżeć, a w głowach zaczynało przyjemnie szumieć, wspólnie łatali kolejne ubytki w ścianach. Gdyby nie dryg nowego towarzysza do wykończeniówki, z opuszczonego przez „królową” pałacu niewiele by zostało.

– Pomogę – oznajmił, przekraczając próg po raz pierwszy. Był mężczyzną jeszcze młodym, niezwykle przystojnym z natury i wyjątkowo eleganckim z zamiłowania. Oszłomił gospodarza pachnącym ciałem i zadbanym ubraniem, może tylko poza kaloszami zupełnie niepasującymi do reszty kreacji. Uszy miał tylko dziwne, według wdowca bardziej do schowania, bo spiczaste jakieś, jakby z choroby albo poturbowania. Blondyn był jednak krótko przystrzyżony i zdawał się nie przejmować deformacją swoich stożkowych małżowin.

Wielbił się w rozpytywaniu gospodarza o jego samopoczucie, przeciwny był zaś tylko pytaniom zwrotnym, stosując nawet groźby ukrócenia świeżej znajomości. Szantaż działał, a wdowcowi szybko zaczęło zależeć na tych spotkaniach. Bo choć „uchol” sam nie był zbyt wylewny, to słuchał zacięcie i zachłannie, aż mu czasem żyła na środku czoła pulsowała od skupienia. Dzięki szczeremu zainteresowaniu wynurzeniami gospodarza ten czuł z kolei kojące uczucie. Domniemany, nieznan wcześniej szwagier ciągle tylko dopytywał o ich życie i o to, jaka była ta jego „siostrzyczka” na co dzień. I ciągle było mu mało. A że robił to uporczywie, czasami, kiedy sam wdowiec chwilowo miał już dość gadaniny, jego gość irytował się, jakby nagle brakło mu powietrza.

Wreszcie jednak stwierdził, że wszystko pojął. Przede wszystkim to, co ostatecznie stało się z jego

nieodżałowaną siostrą. Uspokoił wtedy wdowca, że jej śmierć jest z winy nagłości zdarzeń, temperamentów, dawnych i teraźniejszych, nie mniej parszywych czasów. Złością za jej odejście obdzielił wiele osób i nawet samej pokrzywdzonej pośmiertnie się dostało. Że za dobra, za cierpliwa, że zbytnio go tuliła i głaskała. Że pozwalała się obrażać, że w szarpaninie powinna być podmiotem sporu, a nie przedmiotem do rzucania o ściany. Poza tym „ten gagatek”, jak zaczął go w myślach zwać wdowiec, skądś też wiedział, że gospodarz od dzieciństwa ma problem z głową, co powinno być motywem przewodnim ewentualnej linii obrony, kiedy sprawa ujrzy światło dzienne. Bo, że kiedyś ujrzy, to obaj byli przekonani. Na pytania podejrzliwego gospodarza, skąd jego szeroka wiedza, ten zasłonił się jednorazowym ale stanowczym zdaniem: „Mam kochankę. Imię jej Intuicja. Ale nie ja tu jestem cierpiętnikiem, skupmy się na tobie, bidny chłopie pańszczyźniany”. Miał przy tym taki urok, że jego obietnica dochowania tajemnicy w sprawie brzmiała jak złożenie ślubów czystości.

Nazywanie zmarłej „królową” nie było jedyną oznaką psychodelicznego nastroju alkoholowych uniesień wdowca i gościa, również konsumującego, ale oszczędniej. Mężczyźni polewali na przykład do trzech kieliszków, idąc o zakład, że poskutkuje to rychłym powrotem chociażby *spiritus* kobiety. Mimo uporu coraz bardziej paranoiczno-modlitewne ciągi wciąż nie przynosiły efektu, może nie licząc sypiącego się na ich oczach budynku. To jednak, po prawdziwym, ciężkim spirytusie, nie robiło na nich już większego wrażenia.

Coś ty za jeden, ale tak naprawdę?

Mimo początkowej fascynacji spotkaniami żalobne libacje wkrótce musiały przyjąć charakter pewnej rutyny. Pewnego wieczoru zdarzyło się, że osjaniczny gość upił się jak na niego niezwykajnie, bo do reszty. Doprowadziło to dyskutantów do naparzanki pośród wzbudzonego pyłu z białych hańdek gruzu zamiatanego pod ściany. Gospodarz od początku relacji miał wrażenie, że przybysz zachowuje się niemalże jak jego lustrzane odbicie. Kiedy wdowiec się śmiał, jego gość ten humor podzielał. Kiedy wdowcowi puszczały nerwy, „szwagrowi” udzielało się to samo. Kiedy wdowiec go zrazu popchnął dla żartu, od razu nadział się na jego żylaste ramiona, sztywne i długie jak kopie rycerskie. Jednak tego wieczoru, krzepki gospodarz jakimś cudem zdążył uprzedzić zamroczonego alkoholem anioła z uszami diabła, gdy ten podziwiał akurat swoje lico w lusterku okalonym okrągłą ramką w kształcie słoneczka.

Po bójce tajemniczy przybysz zapowiedział koniec swoich wizyt w domu pod lasem, zapewniając na odchodne, że odpłaci się pięknym za nadobne, a za „rozkwaszony nos, po przemyśleniu sprawy, pomści jednak Stasię”. A roztrzęsiony był tak, że zapomniał portfela, który wskutek szarpaniny skończył pod stołem. Wdowiec nie pamiętał zbyt wiele, ale mógłby przysiąc, że informacje w dowodzie nijak wskazywały na pokrewieństwo „szwagra” z jego żoną. Potem sam stwierdził, że na pewno wszystko pomieszał, zaś dokumenty wyrzucił za okno, jeszcze zanim Bóg spojrział na tę część świata słonecznym okiem. Rankiem polazł od niechcienia pod okno, ale niczego już tam nie znalazł.

I tak samotność wróciła. Spotęgowana, bo gospodarz tęsknił już nie tylko za żoną, lecz także za frymuśnym

gościem. Budynek w tym czasie konsekwentnie podupadał, jakby sam szatan zamieszkał pod fundamentem. Zły, któremu wdowiec podpisałby cokolwiek za choć jedną rozmowę z żoną. W ostateczności za jeszcze jedno spotkanie ze złotowłosym chłopcem z uszami w kształcie kielni.

Tak bardzo cię przepraszam, kochanie.

Gorzej było z Bogiem. Bywał epizodycznie w umyśle mężczyzny, ale majestatem nie mógł równać się z duchem zmarłej. To ona była zawsze, tu i teraz, toteż Pan Najwyższy, przyzwalając na ostatnie wydarzenia, zupełnie stracił względy wdowca. To ją obarczał paranoicznymi wizjami i to ona dawała mu wolną wolę, ale tylko tyle, ile potrzebował. Nie jak Bóg, dowolnie, ile się chce. Wreszcie, to ona emanowała światłem, rozświetlając przy okazji ich siedlisko pośrodku lasu sensem życia. Na tyle, że wilgotny pomrok ponurej natury, w objęcia której ich domostwo wtulało się coraz mocniej, nie przenikał do jego wnętrza.

To, że nie wadzili nikomu swoimi ekscesami, też musiało mieć wpływ na wszystko. Mieszkali z dala od wszystkiego. Na podgniętej wyspie otoczonej zielonym oceanem, do której nie prowadziła żadna z ubitych ścieżek. Nawet maleńka wieś daleko za lasem była cywilizacyjną idyllą, do której rzadko witali. Na świadka swojego żywota wzięli więc matkę naturę, a ta jak wiadomo nie znosi próżni i z empatią wobec słabych niewiele ma wspólnego, dlatego kiedy kobieta wyzionęła ducha, drzewa na skraju olszyny zamiast pochylić się w płaczu, zaczęły nienaturalnie potężnieć, a ich złowieszczo szumiące korony sięgały coraz wyżej, ukrywając dom przed zabłąkanymi aniołami w zupełnej ciemności. Tak jakby las rozwarł

paszczę, chcąc dożyć wszystko, co jeszcze tu ludzkie. Dla owdowiałego mężczyzny mogło oznaczać to tylko jedno. Koszmar z dzieciństwa powrócił. Niejako przyznając mu wtedy rację, z sufitu oderwał się potężny okrucuch tynku, zaczepiając krawędzią o jego czoło. Opadł z rozciętą głową na podłogę. Tracąc przytomność, przypomniał sobie wygląd i genezę swojego prześladowcy.

Kiedy był chłopcem, ojciec powtarzał mu, że tutejsze lasy zamieszkuje przebiegły Pełzacz. Demon uparty i podstępny, bo zmieniający wygląd. Raz przybierający oblicze bladego młodzieńca, raz dzikiej bestii o kreciej gębie i grubej szyi osadzonej na ciężkiej tuszy dzika, balansującej jednak na sprężystych wilczych nogach. Czort ten, wedle przekazów ojca, za uciekanie do lasu rzucił na niego niezwykłą klątwę, sprawiającą, że do końca życia będzie przeżywał sytuacje, które tak naprawdę nigdy się nie wydarzyły. Dlatego syn instynktownie bardziej kochał matkę, która w przeciwieństwie do wiecznie pijanego ojca zawsze była trzeźwa, a po drugie tłumaczyła cierpliwie, że żadne demony po świecie nie chodzą, tym bardziej na wilczych nogach zakończonych końskimi kopytami. Przekonywała też, że jedyne diabły, jakie istnieją, nie mają ciała, a są emocjami zagubionych ludzi i to od nich samych zależy, kiedy pokonają zło w swoich umysłach. Obiecała również, że wkrótce na jego przypadłość wynajdą lekarstwo i stanie się „normalny”. Niestety, niedługo później zginęła pod kołami ciężarówki pędzącej pobliską szosą. Inny alkoholik za kierownicą nie zdążył pokonać swojego demona na czas. Pod wpływem rozgoryczonego ojca syn za utratę ukochanej matki zaczął obwiniać Pełzacza, który „karze za lekceważenie”. Od tej pory osierocony chłopiec

poprzysiągł demonowi, że nigdy o nim nie zapomni i nie będzie starał się go pokonać swoją wolą. Wręcz przeciwnie, uznał go zupełnie, a ten w nagrodę zaczął z nim rozmawiać o sensie dalszej egzystencji ojca.

Te potwory mnie pożrą, tylko co z tego będę miał.

Demon powrócił więc na szczyt panteonu bóstw, które mnożyły się w jego rozwarstwionym umyśle. Bo byli jeszcze pomniejsi: Odłot, Dziad, Młot i Pedał, również z ojcowskich podań, ale mimo pewnych zagrywek były to jednak zaledwie chochliki i żaden z nich nie równał się z mocą Pełzacza. On był wyjątkowy, nieustępliwy i okropnie hałaśliwy. Poza tym władał naturą.

Sprawdzoną, nigdy nieopuszczającą wdowca boginią ucieczki od głosów Pełzacza okazywała się przekazywana z pokolenia na pokolenie, z ręki do ręki butelka wódki, którą poznał osobiście dość wcześnie, bo właśnie na pogrzebie matki. Przyjazna, pełna. W pełni zaufana. Dobra na każde okoliczności. Na przykład teraz, gdy krajem owładnęła ogólna paranoja. Od kilku dni oczekiwano chmury z Czarnobyli, który eksplodował gdzieś tam daleko, zionąc podobno promieniotwórczym szaleństwem. Spirytus, jak się na wsi wzajemnie przekonywano, miał właściwości podobne do tego płynu na „L”, przysługującego tylko ważnym i miastowym.

Ja zaś mieszkam w kostnicy na odludziu.

Dalsze dni mijały na monologicznych dyskusjach toczonych przez wdowca z pustym, rozpadającym się domem, opartego o ściany wyglądające, jakby przeprowadzano na ich tle masowe egzekucje. Zakurzone meble dawno straciły kolor pod stertami wżartego w nie pyłu i odpryśniętych kawałków tynku wymieszanych z niepoliczalną

ilością szkła z rozbitych kryształów. Tajemne moce nie odebrały mu tylko butelki z alkoholem, choć z każdym haustem zastanawiał się, czy szklana szyjka nie wybuchnie mu prosto w usta. Nadal tęsknił za towarzystwem tajemniczego szwagra, który odszedł w gniewie.

Czy ten piękny chłopak wróci do mnie, darując mi towarzystwo, zrozumienie i rozmowę?

Wdowiec coraz częściej myślał o ojcowiznie jak o więzieniu. Pilnował jedynie, aby nawet na moment nie otrzeźwieć i przetrwać do świtu na łóżku przenoszącym torturujące go wibracje drżącego fundamentu. Smród i zygzakowatość depresyjnych myśli, które niósł rano do pracy, gdzie dano mu kolejną, jeszcze jedną i ostatnią szansę, sprawiły, że miesiąc po owdowieniu powiedziano mu nieodwołalnie, że ktoś inny będzie od teraz murował nowe domy we wsi. Nie protestował, gdy dostał na odchodne drobne na wódkę. W innym miejscu potencjalnego zatrudnienia ktoś zapytał o samopoczucie żony. Wyzwał go od najgorszych, co to nieswoimi babami się interesuje, i pomknął w swoim kierunku, zahaczając jedynie o sklep.

Teraz odpocznę i zwariuję do końca.

Tego dnia upił się wyjątkowo wcześniej i jeszcze mocniej niż zwykle. Powinien paść do rowu i tam spędzić tyle czasu, ile potrzeba. Anomalia polegała na tym, że w oczach wichrował mu obraz znieprawionej wsi, od której chciał jak najszybciej się oddalić. Całkiem przytomnie obawiał się dalszych pytań wścibskich i podejrzliwych oczu. Nie chcąc zostać zatrzymanym przez przypadkowy patrol milicji, zamiast szosą okrążającą las, odważył się przezeń przedrzeć, czego od dziecka unikał jak ognia.

Zdziwił się, gdyż olchy, mokradła i kręte ścieżki otoczyły go tym razem opieką i ciepłem, które zrobiło na nim największe wrażenie. Nie zaznał ze strony natury spodziewanego niepokoju zła i złowieszczych szelestów. Nie spotkał Pełzacza, który najwyraźniej nie lubił słońca.

Jako że pierwszy raz od dawna podszedł do domu od północy, odkrył w swoim siedlisku coś zastanawiającego. Pod oknem sypialni w zaschniętym błocie zobaczył mnóstwo wydreptanych śladów. Pomędzy dziesiątkami odcisków różnych łap dostrzegł odbicia butów o płaskiej podeszwie, najpewniej kaloszy. Od razu pomyślał o przyszłości, który zawsze odwiedzał go ubrany w długie, eleganckie płaszcze w kolorze zgniłej zieleni, dżinsowe spodnie i tylko sfatygowane gumowce przyozdobione oschniętym gnojem nie pasowały do sznytu kreacji. Kiedy wdowiec badał wgłębienia, z jego żołądka wybiła rwista fala zwrotna. Zwymiotował z bólem, aż go zgięło, i w tej pozycji odkrył coś jeszcze. Niewielki wyłom w fundamencie pomiędzy cegłami, a w nim ciemność, chłód i śmierdzące gnojem powietrze. Włazł pod strop, aby choć trochę przepędzić niepokojący mrok. Zamiast tego zobaczył coś i natychmiast ogarnął go paralizujący niepokój. Wydało mu się, że w najdalszym rogu widzi coś okrągłego. Spłaszczył plecy, aby wpuścić jeszcze trochę światła, i wtedy musiał przyznać, że patrzy na czyjąś twarz. Istoty bez płci, o wielkich, ni to przestraszonych, ni to skupionych oczach, świecących niczym para gwiazd pośrodku nocnego nieba. Gdy ich właściciel dostrzegł, że nagły odkrywca jest świadomy jego obecności, cofnął się, niknąc w ciemnej pustce. Wydarzenia miały charakter tak subtelny, że wdowiec po chwili nie był już do końca pewny,

co widział. Wycofał się bez ostatecznej konkluzji prawie już całkowicie, blady i oblany zimnym potem ze strachu. I wtedy z czeluści podpiwniczenia wystrzeliła bladoszara długa ręka, chwytająca go zimnymi, kościstymi palcami za nos, ściskając do bólu. Wyrwał się z trudem, odskakując z jękiem przerażenia. Nagle, w pełnym świetle dnia, dłoń przeistoczyła się w wielkiego szczura, który zbiegł po jego ciele w zarośla. Przypomnił sobie z nostalgią, że tak właśnie figlarnie chwytala go żona, kiedy było między nimi dobrze. Kiedy z trudem, uparcie i cierpliwie szukała coraz to nowszych, niekiedy żartobliwych podchodów na wmuszenie w niego leków.

Mama byłaby szczęśliwa, kochanie. I byłaby z ciebie dumna. Ze mnie nie.

Nie wiedział już, czy myśli o Stasi, czy o matce. Nie wiedział, która żyła pierwsza, która jak wyglądała. W zasadzie najprościej było, kiedy obcował w myślach z jedną kobietą o rozmytej twarzy i uśrednionym głosie. O kobiecie, która się nim opiekowała. Rozmarzył się, leżąc na kostropatej ziemi w wydeptanych śladach, tak jakby to on był już wdeptany w tę ziemię; jakby był już w piekle, które tak sobie wyobrażał. Ludzi wgniecionych na płasko w błoto. Ujrzał wiszące nad nim olchy giganty. Szumiące, jakby radziły na temat jego nie tyle umierającej, co gnijącej świadomości. Ta jakby to usłyszała i poruszona złymi rokowaniami nakazała mu wstać i przekroczyć próg bladego budynku, aby jak najszybciej uzupełnić alkoholowe niedobory.

Gdy przekroczył próg, w nosie zawirował mu słodki zapach krwi, którą nasiąkły podziurawione ściany i rozryta posadzka. Nadal wyczuwalna była też nuta, właściwie już

ćwierćnuta cynamonowego zapachu, którym zachwycał młodzienc. Sień przywitała go wystrzałem drobiny tynku prosto w jego klatkę piersiową. Gdy spostrzegł, że na ścianie po odprysku został kształt trójkąta z zaokrąglonymi rogami, przypominający mu serduszko, zaczął się śmiać. Z siebie, i to bardzo. Ze swojej żony, która mówiła mu, że alkohol go dobije jeszcze bardziej. Ukląkł, właściwie upadł. Popadł w beczasowość po raz drugi, jak wtedy, kiedy kawał gruzu z sufitu trzasnął go w głowę. Wspomnienia i refleksje znużyły gospodarza, przez co jego umysł zgasł, ale powiedzieć, że mężczyzna zasnął, to jak nazwać ostatni oddech słońca zwykłym jego zachodem. Wdowiec po prostu stracił przytomność. Zapadnięty, sponiewierany organizm wykorzystał chwilę spokoju na kolejne opróżnienie się z nadmiaru trucizny. Wszelkimi sposobami i wszelkimi drogami.

Przyśniło mu się, że stoi przed domem, całkowicie trzeźwy. Jest ciepły, bezwietrzny wieczór. Obserwuje ścianę lasu i bijącą z niego tajemniczość. Pali pachnącego na słodko papierosa, który wystarcza mu za wszelkie przyjemności: za współżycie z kobietą, za pijaństwo, za wszystko, co miłe ciału i duszy. Śni mu się, że ujarzmił swój los naznaczony psychozą. Że mama jest z niego dumna. Wyobraża sobie, że zaraz ruszy przed siebie i przejdzie wartko ciemną doliną gęstego lasu, aby dojść do wioski. Wsiądzie w pekaesa i pojedzie do miasta, gdzie znajdzie posterunek milicji. Zezna, co się stało i gdzie pokłosism tego spoczywa jego żona. Ręka z jarzącym się tytoniem nie drga mu nawet, kiedy z głębin leśnej ciemności wyłania się strzelista postać, teatralnie snująca się pomiędzy zarosłami. To demon, którego prowokował myślami, wynurzył

się z ciemnozielonego piekła. Przechodzi od lewa do prawa wzdłuż zarośli, a co mijane drzewo zmienia błyskawicznie kreację, raz przybierając formę odrażającego potwora, którym naprawdę jest, by za chwilę znów być wielkopańskim, wygładzonym blondynem. Ale wdowiec tym razem się nie boi. Przeciwnie, sięga papierosem do ust i nasycy wargi cynamonowym posmakiem, który zlizuje zachłannie z wgniecionego filtra. Po chwili spluwa, wysyłając bestii pozdrowienia wraz z obietnicą, że zaraz ruszy w las i nie ominie go szerokim łukiem, a wręcz przeciwnie, „skopie mu dupę, która w obu formach, ludzkiej i bestyjnej, jest wąska jak tyłek niedożywionej kurwy”. Aż się zaśmiał z dumy w tym śnie, że tak mu dowalił. Komunikat dociera do Pełzacza, który najpierw zaczyna pomrukiwać, by po chwili rozłożyć szeroko ramiona i zawyc, wypełniając olchową puszcę upiornym rykiem. Kiedy resztki tytoniu zamieniają się w pył, ofiara rusza na swojego oprawcę, a ten płochliwie ucieka w głąb lasu. Co za wspaniały sen, który będzie trwał jeszcze chwilę, gdyż w głębi lasu czeka na wdowca jego żona. Nagroda, na którą zasłużył we śnie, ale nie w prawdziwym życiu. Kiedy nieopatrznie pozwala sobie na tę myśl, już wie, że zaraz się obudzi. Rusza więc czym prędzej.

Pokonam go własną wolą, tak jak mówiłyście.

Swędziała go twarz i szyja. Obgryzione paznokcie były tak nieustępliwe, że w końcu się przebudził. Póki nie przekonał się, w czym faktycznie brodzi, fantazjował jeszcze przez chwilę, że leży w torfowej ziemi. W lesie, o którym po raz pierwszy tak pięknie śnił. Otworzył oczy szerzej, aby ujrzeć na ścianie taniec wielkich cieni. To piękne olchy podświetlone przez blask księżyca oddawały

się przyjemności wolnego walca. To właśnie miało mu się zaraz przyśnić. Jak tańczy pośród nich z żoną, która życzyła mu dobrze, jednocześnie zapraszając do częstych odwiedzin ciepłego lasu, przekonując przy tym, że sensem jego żywota jest jego koniec, a zakończenie odnajdzie właśnie tam, pośród leśnego runa.

– Czy żałujesz szczerze? Czy może chcesz, żebym to ja zmartwychwstała na powrót do świata ciemności i szaleństwa, brudu i nałogu? Czy chcesz być raczej tu, ze mną, w pięknym świecie wolnych dusz? Tu nic nie dusi; nie dusi ciało, nie dusi głowa. Jest porządek i wielkie miasto, o którym zawsze marzyłeś. Piękne ulice, anonimowość, wszędzie blisko. Wreszcie sąsiedzi. Tacy jak ty. Miasto, do którego zawsze marzyliśmy się przeprowadzić. Jeszcze większe, właściwie nieskończone!

Bardzo chciał wrócić do tryskającego kolorem snu i gdyby nie żrący nozdrza odór wymiocin, delektowałby się tańcem długich cieni majestatycznych drzew do ponownego zaśnięcia. Niczym przebudzony głodem niemowlak, prędko wracający do słodkiego snu wraz z łykiem matczynego mleka. Znowu. Przecież tylko tego mu brakowało. Matki i opiekunki, którą raz pokocha, raz znenawidzi. Kogoś, kto będzie mu przypominał, że jest zwyczajnie chory, a picie go dobije. Kogoś, kto nie narzeka, że w łokciu boli i ramię drętwieje, gdy trzyma cierpliwie wyciągnięte w jego kierunku leki. Obrócił poduszkę, by zasnąć na jej suchej stronie, samemu przerzucając się na drugi bok.

I wtedy... Wtedy nagle ją dostrzega. Stasię. Tu i teraz. Jest tu, leży tuż obok niego. Tak blisko, że mógłby położyć rękę na jej ciele. Przerażony, zwichrowany

umysł każe mu jednak zastygnąć. Mimo odurzenia, pękającej głowy i zalepionych oczu spostrzegł, że nie wszystko jest tak, jakby sobie to wymarzył. Stasia ma na sobie suknię, w którą ją ubrał. Materiał znacznie się zmechaniał, a kreacja gdzieś jest mocno rozdarta. Zaraz potem zauważył na szyi i dekolcie zmienioną skórę. Ze zgrozą określa ją jako ciemną i włochatą.

Wstaje i rusza powoli w kierunku korytarza, niezdarnie potykając się o butelkę, która toczy się po nierównych deskach podłogi jak po rozstrojonych cymbałkach. Odgłosy ściągnęły uwagę tajemniczej postaci. Wdowiec skrywa się za rogiem korytarza. Chwieje się przy tym, obserwując powstającą sylwetkę, która coraz mniej przypominała mu z anatomii ludzką postać, a coraz bardziej dzikie zwierzę. Dziwaczna strzyga podnosi się do pozycji półleżącej. Spektakl drzew zaproszonych do tańca przez silny tej nocy wiatr jest jednak tak efektowny, że znowu skupia na sobie jej uwagę. Usta mężczyzny, oblepione warstwą żółci, rozkleiły się niepewnie. Nie mógł się powstrzymać, obiecywał sobie, że będzie przecież odważny. A może znów nie pomyślał, oddając swoje ciało impulsowi, jak wtedy, gdy sięgnął po młotek.

Pełzacz?

Ten reaguje szybkim ruchem łba. Odwraca się, prezentując swój przedziwny profil. Duże, niemal trójkątne uszy wystają ponad górną linię czaszki. Dalej wysokie czoło, prawie pionowo opadające na obły, wyciągnięty nos, pod którym ciągnie się długa linia zaciśniętych warg, sugerująca skryte rzędy szablanych kłów. Najstraszniejsze są jednak wężowate oczy. Blade, ślepe, otoczone czarną obwódka. Stasia miała oczy niebieskie, jak kapselki

ulubionej oranżady, jedyne go napoju bez procentów, który mu smakował. Wdowiec cofa się jeszcze o krok, czując, że musi zamknąć drzwi. Udaje mu się to w ostatnim momencie, gdy bestia wybija się na niego z czterech łap. Po chwili zaczyna szaleńczo oskrobywać pazurami wejście z drugiej strony.

Wdowiec znowu doznaje wizji z dzieciństwa. Późniejszego, pozbawionego już matczynej piersi, kiedy przyparty do ściany słyszy ojca pełnego furii, walącego w drzwi, a często skrobiącego po ich powierzchni swoim wojskowym bagnetem. Bardzo prosił wtedy mamę, aby wróciła i pomogła. Zamiast niej przyszedł Pełzacz, który wkrótce pokierował jego ręką ku kuchennemu ostrzu. Pewnych rzeczy nie mógł wtedy jeszcze zrozumieć. Dlaczego stało się to w dzień jego osiemnastych urodzin, a pierwszym sprawdzianem dorosłości było pochowanie ojca tak, aby nikt oprócz niego w tej ceremonii nie uczestniczył. Dziś jest inaczej. Mężczyzna ma już przeciwnika rozpracowanego.

Kim jest Pełzacz? To czarci kłamca, który mami, łże i kantuje. Myli, kiwa i dezorientuje. Oszukał go na tym przeklętym ziemskim padole. Kazał zabić i kłamać, że ojciec wyjechał. Może nawet wtedy, kiedy matka ginęła na drodze, też jej coś obiecał, może zdrowie dla syna za jej poświęcenie. Na koniec oszukał też znienawidzonego ojca, któremu podpowiadał, że syna pozbawionego matki trzeba chować gorzej niż psa, pojąc tą samą trucizną, którą diabeł rzeźwił i jego.

Tu ktoś jest, ale to nie ty. On oszukał jeszcze kogoś.

Kiedy nasłuchuje na przemian urwanych szczeków i agresywnych ryków po drugiej stronie drzwi, coś

niedużego naciska na lewą część jego łędźwi. Hałas w sypialni ustaje. Wdowiec skupia się na źródle bólu. Coś go kłuje. Wydaje mu się, że to ostre krawędzie zbitej butelki coraz mocniej wbijają się w jego plecy. Mocno, coraz mocniej. Za chwilę do krwi. Coś dyszy mu przy głowie, wpychając chłodny pomruk w jego ucho. To faktycznie stłuczona butelka, która rozrywa teraz jego skórę cienką jak papierek i draży w żywym mięsie. Odurzony bardziej niż zwykle wdowiec odczuwa to tylko symbolicznie. Piecze go jedynie ledwie co, gdy butelka dotyka już żeber, tak bardzo jest pijany.

Do niej chciało ci się iść. Do wody. Do Stasi nie. Nawet kiedy umierała.

Wdowcowi wydaje się, że to znajomy głos, za którym tęsknił, ale teraz prezentuje inną barwę. Jest cięższy, o krystalicznie czystej złości, przepełniony wypolerowanym, nieskażonym wątpliwością złem, przez co brzmi według wdowca... jeszcze prawdziwiej. Kolejne drżenie podłogi cuci go nieco i sprawia, że odzyskuje kontrolę nad ciałem, zrywając się nagle w dzikim pędzie. Omija sylwetkę ciemnej postaci, która osaczyła jego skołatana duszę. Bezbronną już duszę, w której poczucie winy i wódka przelały do reszty pozostałości rozsądku. Wybiega w niełasce, opuszczając dom po raz ostatni. Ma wrażenie, że słyszy za sobą ciężkie, toporne kroki. Przyśpiesza, choć myśli już o całkowitej kapitulacji. Gna w stronę drzew, które bujają gałęzistymi fryzurami, zapraszając go przed sąd ostateczny. Będą łaskawe, a po wszystkim wypełnią go senną opowieścią. Zaśnie na zawsze w najdelikatniejszej, najcieplejszej i najżyźniejszej glebie na Ziemi. Las wskazuje mu drogę. Widzi aleje i skrzyżowania, zakątki

i zaułki. Znów czuje ciepło. Płacze, poci się i szczęśliwi, czując, że do końca jest już bliżej niż dalej.

To tu. Ciemnobrązowa plama ziemi otoczona gęstwiną pulsuje, jakby skrywała przejście do innego świata. Świata, który oddycha, a jego mieszkańcy, w przeciwieństwie do tych ze wsi, są pracownicy, skromni i niezawistni. Szczęśliwi. Również w przeciwieństwie do tego tutaj, który skoczył właśnie na niego, dźga i maluje na jego plecach krwawe wzory krawędzią rozbitego szkła. Gdy krwisty kryształ zgrzyta już o kości i czaszkę; gdy wdowiec słyszy odgłos mlaskania, a zaraz potem czuje, jak coś szoruje po jego odsłoniętej, częściowo oskalpowanej głowie, doznaje olśnienia.

Przypomniał sobie, jakby to było wczoraj, a było to przecież z miesiąc temu, gdy młody blondyn przyszedł po raz pierwszy. Wdowiec upił się wtedy do nieprzytomności, ze szczęścia, gdy obcy objawił mu, że nie on jest głównym winowajcą odejścia Stasi. „Że wszyscy w sobie nosimy grzech i nie ma sensu ważyć jego ciężaru, bo życie to nie skup złomu”. Przypomniał sobie, jak leżał na podłodze, gdy ta przyjemnie drżała, masując rozgorzałe ciało. Pokątnie otworzył wtedy przymrużone oczy. Ujrzał nad sobą mężczyznę opartego o ścianę, z nonszalancko skrzyżowanymi nogami i prawą nogawką spodni podciągniętą na tyle wysoko, że odsłoniła łydkę. Właściwie chudziutką kostkę ledwie owiniętą strzępem mięśni, za to porośniętą gęstym dywanem brązowej szczeciny.

Ja pierdolę, jak u dzika.

Ojciec miał rację. Pełzacz istnieje. Zmienia wygląd, głos i styl podstępu. Ale nie zmienia celu. Pełzacz to natura, a natura jest w opozycji do człowieka. Człowiek

jest intruzem, a musi być ofiarą. Pełzacz chce więc zabrać wszystko, chce widzieć swoją ofiarę bez wsparcia, tonącą w szaleństwie i mule zgorzknienia. To on zabrał mu rodziców nęcąc, załamując i kierując ich na tory śmierci. Wdowiec uspokaja się, wiedząc już, że śmierć żony też była w takim razie sprawką Pełzacza. Teraz, wreszcie usatysfakcjonowany, Pełzacz może już zakończyć i jego żywot, czynami młodego nieszczęśnika złamanego śmiercią siostry. A może i jemu obiecał jakąś „nagródkę”?

Ostatnia myśl mordowanego, ale ukontentowanego człowieka?

Trochę romantycznie, trochę życiowo.

Może chce naszego szczęścia? A może naszego białego domku? Nieważne. Wreszcie będę mógł cię dogonić i przeprosić.

Dwa miesiące po śmierci żony, mokradała wypychają na powierzchnię ciało wdowca. Historia nie dobiega końca, lecz zawiesza się. Mordercy nie ujęto, a okoliczni mieszkańcy chcą jak najszybciej zapomnieć o opuszczonym domostwie pośrodku gęstego lasu. Twierdzą, że po zmroku już z daleka słychać dobiegające z wnętrza krzyki. Niegdyś zwyczajne kłótnie, teraz obłąkany szal nie wiadomo czyich głosów, mrozący krew w żyłach.

Nastaje reforma samorządowa, a peerelowskie rady narodowe ustępują samorządom zmotywowanym do porządkowania lokalnych spraw. Jedną z pierwszych decyzji tutejszej gminy jest rozbiórka przekłętego pustosztanu. W kraju zaczyna się prywatyzacja i wykup wszystkiego, co możliwe. Ziemia jest za bezcen, a Niemcy chcą tu budować wielkie hale, co oznacza, że nawet dla Pełzacza nie będzie litości.

Prace rozbiórkowe ujawniają w fundamencie dwa zamurwane ciała. Świeższe należy do żony zamordowanego, zdecydowanie starsze – do jego ojca. Próby kontaktu z rodziną zamordowanej kobiety spełzły na niczym, gdyż rodzice nie żyli od dawna. Nikt nie potwierdził też, aby kobieta miała jakiegokolwiek rodzeństwo.

Miała za to kochanka, funkcjonariusza bezpieczeństwa, który pomieszkiwał od pewnego czasu we wsi. Szarmanckiego blondyna, któremu zdążyła opowiedzieć o życiu z chorym na schizofrenię. Żal jej było męża, ale przyrzekła sobie, że nie powtórzy błędów swojej niedoszłej teściowej. Że nie da się zwariować i popełnić w desperacji samobójstwa. Plan odejścia był gotowy. Nie przewidziała jednak, że Pełzacz, jak na najprawdziwsze lichy przystało, przechytrzy i uprzedzi każdego. A już najbardziej tego, kto w niego nie wierzy. Bo Pełzacz to diabeł. Upadły, który mami fałszywym blaskiem, manipuluje inteligencją, zwodzi wieczną młodością i zawsze jest niedaleko. Tuż przy twoim uchu, by znów zaszepać ci coś pięknego.

W dniu jej śmierci mąż zapytał ją, czy to prawda, co we wsi gadają, że go zdradza. Nieopatrznie, tak po ludzku i z rozpędu, odpowiedziała mu, że chyba zwariował.

Gdybyście tylko widzieli, jak naprawdę wyglądają wasze zardzewiałe uszy. Jak pełźnie z nich czarne robactwo i wciąż odchodzi od nich nadgniła skóra pełna szram i ropiejących blizn, gdy oszczerca, którego macie za anioła stróża, szepcze wciąż swe fałszywe pieśni o przepastnych urokach, podsycza pokusy i rozbudza grzech w najgłębszych zakamarkach waszych straconych dusz, gdzie rodzi się niepokalane zło, które zrodzicie w samotności i cierpieniu.

Skrzydło dolne

Od jakiegoś czasu mieszkam w mieście duchów. Mój dom, niczym nie wyróżniający się od pozostałych z szeregu ciągnącego się aż za horyzont, znajduje się na przedmieściach, ale powoli dochodzę do wniosku, że w mieście tym nie ma żadnego centrum. Takiego, do którego jedziesz popracować albo rozerwać się. W ogóle nie ma tu rozrywek. Są białe domy obrośnięte wysokimi krzewami ciernistego typu. Ulice między nimi to szerokie pasy równo przyciętej trawy. Żadnego asfaltu, znaków drogowych, chodników. Nic. Całość infrastruktury publicznej ogranicza się do skrzynek pocztowych, które znajdują się przy każdym z domów.

Niby pięknie. Tylko sąsiedztwo trafiło mi się jednak okropne. Dwoje duchów, których jedyną rozrywką są wieczne awantury. Jedyne moment zgody między nimi jest wtedy, kiedy buchający gęstym dymem duch z drugiej strony ulicy zwraca im uwagę, że miał obiecany spokój wieczny, a nie może zaznać choćby jego chwili. Wtedy dochodzi do wątpliwie ekscytującej draki. Może i efektownej, bo bogatej w niskie i szybkie przeloty białych obłoków, ale dziwnej, bo pozbawionej konkretnych odgłosów i argumentów. Ja już dałem sobie z nimi spokój, uzależniając się od spoglądania w drugą stronę.

Na dom, który na razie stoi pusty. Czekam, aż ktoś się w nim pojawi, licząc też, że jegomość okaże się upiorem spokojnym, jednocześnie niestroniącym od rozmów. Chciałbym móc z tym kimś ustalić, czemu tu jesteśmy i czy miejsce to daje poczucie wolności, czy jednak zdaje się być więzieniem. Sam tego określić nie

potrafię, a wiecznie piękna pogoda, której przewodzi grzejące białym światłem słońce, nie pozwala mi się skupić na naturze rzeczy.

I znowu. Znowu słyszę, a może bardziej wyczuwam szelesty kłótni duchów z sąsiedztwa, a za chwilę najpewniej poczuję odrzucający swąd spalenizny sąsiada z naprzeciwka. Ponieważ nie ma tu czasu i zegarów, moim punktem odniesienia jest właśnie nawrotowy teatrzyk latających „prześwitów i pustaków”, jak się tu wzajemnie przezywamy.

Kiedy ucicha, wybieram się do skrzynki pocztowej po nowe listy. Te są wtórne. Nie potrafię się z nich cieszyć, nie potrafię też nad nimi zapłakać. Właściwie nie ciekawią mnie, tak jakbym tego oczekiwał. „Myślę, jak...”, „życzę Ci...”, „przeklinam ten...” powtarzane po sto razy na stronę, bez żadnego rozwinięcia. Żaden z nich nie jest podpisany, a nawet jakby był, to pewnie nie przypomniałbym sobie jego nadawcy. Kartki pergaminowego papieru lądują na dywanie utkanym przez naturę. Patrzą, jak zaraz po zetknięciu z ziemią zmieniają się w siwy popiół.

Pewnego razu tę wieczność przerwała jedna jedyna niezwykłość. W dalekim punkcie bezkresnego tunelu utworzonego przez prosty pas zieleni coś eksploduje. Następuje błysk jaśniejszy nawet od blasku karzącego swym spojrzeniem słońca, a potem przez moment wszystko przykrywa oślepiające światło. Podmuch towarzyszący eksplozji jasności uderza we mnie tak mocno, że wisząc przy skrzynce pocztowej, po chwili mimowolnie znalazłem się sporo za nią.

Kiedy znów zaczynam cokolwiek widzieć, spostrzegam, że przed skromnym gankiem sąsiedniego domu pojawił

się nowy duch. Smukły, z pewnością wyższy ode mnie. Rozgląda się we wszystkie strony, z miejsca zdradzając płochliwym zachowaniem zagubienie i dezorientację. Patrzy też po sobie, jakby przeraził go jego własny wygląd. Jako że byłem blisko, od razu zaproponowałem towarzystwo. Gdy usłyszałem tembr jego myśli, coś się we mnie obudziło. Jakieś dziwne pragnienie. Jakby ekscytacja. I strach.

W końcu jednak zjawia pyta mnie wprost:

– Czy to dzielnica morderców i gwałcicieli?

Parsknąłem mimowolnie, by po chwili z lekkim zażenowaniem odpowiedzieć oczywiście przecząco:

– Czy tak wygląda niebo dla morderców i gwałcicieli? – dorzuciłem jeszcze z ironią, roztaczając przed duchem widok nieskończonego rajy trwale pozbawionego szkaradności ciemnej nocy.

Duch, który nieprzerwanie chłonał wzrokiem okolice, spojrział w końcu na mnie, a potem lekko się nachylił, jakby jednostajne, uporządkowane i powtarzalne elementy architektury zabrały mu dech i w gruncie rzeczy szybko zaczęły go męczyć. Dłuższe milczenie mnie zaniepokoiło. Wreszcie rzekł, najspokojniej jak potrafił: „To ja, Witoldzie... Witku, bidulu mój. To ja, Stasia. Przybywam do ciebie. Z miejsca, w którym wstaje żywy dzień i zapada hipnotyzująca noc. Gdzie jest piękno na wskroś i estetyka brzydoty. Z miejsca, gdzie prowadzimy swobodne dysputy i dajemy sobie radość sobą. Z miejsca, w których mamy swoje sylwetki, skórę, ubrania... gdzie mamy swoje dawne twarze. Przybywam z miejsca, które nazywamy niebem, choć wcześniej, przez jakiś czas byłam w czyścu. I wołam teraz Boga, tu jest tak męcząco, tak duszno, i proszę, aby

dał wam trochę swej łaski. Ta czerwień ziemi i czerń domostw, krwawy horyzont i odwrócone krzyże przed podwórzem. Nie mogę na to patrzeć. Jak ty dasz tu radę? Co za wyrok cię spotkał przeokrutny i nieodwracalny! Za mocny, na Boga!”.

Teraz ja zamilkłem, ledwo przymierzając się do powtórzenia imienia swojej żony, podczas gdy ona kontynuowała.

– Wiedz, że moja podróż była bardzo długa, trudna i wyczerpująca. Nie chciano się na nią zgodzić. W końcu jednak ulegli, pod jednym warunkiem. – Zapytałem mechanicznie, jakim, choć mój umysł był na etapie rozumowania, jak cudowna może być różnorodność piękna i brzydoty, w świetle dnia i tajemniczości nocy. – Powiedzieli mi, że powinnam przypomnieć ci, kim byłeś i co się wydarzyło... Ale nie potrafię. Nie chcę. To przecież byłoby... takie okrutne, a przecież ty już musisz tu tak cierpieć. Wydajesz się taki delikatny i osamotniony w tym strasznym miejscu. Tak mi przykro. Wybaczam ci! Wiedz, że nie mam ci niczego za złe. Teraz żegnaj. Tylko tyle dali mi czasu!

Poczułem za sobą delikatny podmuch. Obejrzałem się, przekonany, że to kontynuacja tej nadzwyczajnej sytuacji. Okropnie się zdziwiłem, gdyż zobaczyłem, że to tylko para duchów z sąsiedztwa po raz enty wszczyną swoją nawrotową kłótnię. Poirytowany, podświadomie zerknąłem ze zniecierpliwieniem na drugą stronę ulicy, wiedząc, że za chwilę przez białe drzwi przeniknie dymiący sąsiad ze swoim lamentem. Odwróciłem się z obrzydzeniem, nie chcąc już nigdy, przηνigdy być świadkiem tej nigdy niewygasłej sytuacji.

Tymczasem przybyszki zwiastowanej jasnym gromem już nie było. Jej oblicze, jak się potem okazało, zniknęło na zawsze.

– Hej, ty! – usłyszałem za sobą. – Widziałem, że ktoś cię odwiedził. Nieźle. Więc prawda to, co diabły z centrum wołają, że i tu można czasem doczekać się tych nazistowskich bydlaków z góry. Któż to był dokładnie, kogo dali na zsyłkę? – zapytał sąsiad.

– Nie wiem. Ale to było... właśnie takie krótkie.

– Krótkie? Ach tak, więc był to jakiś katorżnik niebios, dostał czasową przepustkę i przyniósł ze sobą część czasu. Czas to wspaniała sprawa, tyle pamiętam. W przeciwieństwie do podłej wieczności. Tego jednak mi tu brakuje jak nie wiem. Tego poczucia czasu, tego przemijania, cholera. Nawet w niebie u tych więźniów sumień wszystko przemija. Zmienia się. Ewoluuje płonem, które zbiera ze swoich ziaren. Są spotkania, eventy i meetingi. Jest Q&A z Bogiem. Tak przynajmniej słyszałem od znajomej narkomanki, która mieszka o tam, hen daleko, na skraju następnej dzielnicy. Jej matka kiedyś ją odwiedziła. A płakały obie tak, że nie wiem. I matka powiedziała, że mogą ją nawet w samym Jordanie utopić, ona od córki nie odejdzie. W końcu Naziolowie po nią przylecieli świetlistym komandem, w konwoju pancernym i w berła uzbrojone. Żli i bezczelni, że sobie nie wyobrażasz. Smagali światłem wszystkich naokoło, jak leci. Berłem bili w ziemię, że każdy upiór w okolicy trząsł się jak galareta, prawie do rozszczepienia obłoku. Tak, że do dziś pamiętam ten ból i porażenie. Ależ to była draka.

– Kiu end ej? – powtórzyłem nieporadnie. – Zresztą nieważne. Czy nasza ulica to dzielnica morderców

i gwałcicieli, mów szybko sąsiedzie – zapytałem wprost i z bólem, jakby to pytanie było owym berłem w moim ciele. Duch sąsiada zbliżył się do mnie i nachylił swoje upiorne widmo tak, że w swędzie jego dymu odkryłem nowe tonacje. Para duchów z sąsiedztwa również w końcu spostrzegła, że dzieje się coś niespotykanego. Widzieliśmy, jak zawisły przy ganku swojego domu.

– Słuchaj, stary. – Towarzyszący mi prześwit nie przedstawiał na nich patrzeć. – Widzisz ich? Tamci to dopiero pustaki głupie. Nie lubiłem ich, zwyczajnie, darli się dzień i noc. Szczególnie on. Byłem wtedy pijany. Po prostu poszedłem tam i go zabiłem. Gołymi rękoma tłukłem w jego głowę tak długo, aż dotarło do mnie, mimo pijaństwa, że w krwawej brei przebiłem się do samej podłogi. A potem coś..., coś podpowiedziało mi, że skoro już go zabiłem i tylko piekło na mnie czeka, to fakt, że wezmę się za tę wariatkę, nie będzie miał już znaczenia. Wiesz, jak... jak za kobietę. Oboje wiedzieliśmy, i ja, i ona, że mi nie ucieknie. Pamiętasz ten ekscytujący podział? Zresztą, nieważne. Wyżyłem się wtedy okrutnie. I pamiętam... pamiętam, że mnie to bardzo usatysfakcjonowało. Tak, takie rzeczy nazywają czasami brutalnym gwałtem ze szczególnym okrucieństwem. A co ty tu robisz, tego ci nie powiem. Ale fakt, że tamta dwójka to nie świętochy, a dzieciobóje, podpowiada mi, że i w twoim wypadku również nie można zakładać pomyłki.

– Skąd ten dym?

– Mogłem ich tak zostawić. Ale pomyślałem, że wszystko podpale i nie będzie śladu. Udało mi się, ale po chwili zasnąłem. Przypadkiem... z pijaństwa... a może tego chciałem?

– Czego?

– Końca – dokończył.

– Przypomniałem sobie.

– Co? – zapytał znudzonym głosem.

– Przypomniałem sobie. I to, jaki zazdrosny byłem – wycodziłem już ledwo, dostrzegając Pełzacza w górnym oknie domu, który tak namiętnie obserwowałem, licząc, że spotkam tam kogoś, kto mnie zrozumie.

Tak cicho, że obłok mordercy, gwałciciela i samobójcy mógł już nawet tego nie słyszeć. Śmierzące wspomnienie złej istoty popatrzyło na mnie jeszcze chwilę, ale wkrótce odleciało do swojego domostwa, pozostawiając za sobą smugę dymu, w obłoku której zawisłem. W tym bezruchu powoli przypomniałem sobie już wszystko.

To był jedyny raz, kiedy wydarzyło się tu coś niezwykłego. Od tamtego czasu milion razy powtórzyła się już niema sąsiedzka scysja, a ja nadal patrzę na opustoszały dom. Wiem, że osoba, na którą tak długo czekałem, jest na łasce pańskiej i nigdy więcej się tu już nie pojawi. Ale raz mnie odwiedziła. Stasia. Moja ukochana. Miałem rację. Mimo tamtego blondynka, to mnie kochała bardziej. I chyba dlatego ją zabiłem.

A że zabiłem ją po wieczność, niech i karą za to będzie wieczność.

Agata Poważynska

Puzderko na zęby

Lało jak z cebra, zmierzchało już, ale my biegliśmy za cyrkową karawaną, ja, Mak, Wilkas, Gruby Eli i Matylda.

W naszym miasteczku nigdy nie było cyrku, nigdy, przenigdy. Rozpluskiwaliśmy kałuże, nie martwiąc się o brudne buty i mokre skarpety. Trzeba było biec naprawdę szybko, żeby za nim nadążyć. Gruby Eli został nieco z tyłu, a Mak upadł i rozbił sobie kolana, ale ja dogoniłem ostatnią ciężarówkę i zobaczyłem kolorowe chorągiewki łopoczące nad przednią szybą. Widziałem światełka, którymi obwieszono były plakaty na boku czerwonej furgonetki: na jednym była wielka świnia w stroju czarnoksiężnika, pod krawatem, z kapeluszem i różdżką w rączce, śmiejąca się do rozpuku; na drugim trzy małpy w złotych turbanach grały w karty i kurzyły papierosy, a ich stolikiem była dama serce, puszczająca ślicznie pomalowane oczko. Na tyłach ciężarówki był największy plakat: wielka kobieta z ognistym biczem w ręce stała nad ryczącym tygrysem w pomarańczowe i czarne pasy. Zapatrzyłem się tak, że strąbił mnie wracający do wsi mleczarz na rowerze.

– Alarik, niecnoto! – krzyknął za mną.

Usłyszał to kierowca ciężarówki z plakatami, wyłysiały, przypominający żabę czarnoskóry mężczyzna o najszerszych ustach, jakie kiedykolwiek widziałem. Pomachał mi i uśmiechnął się od ucha do ucha.

Wróciłem do domu przemoczony i zgrzany, ale nie mogłem przestać myśleć o cyrku. Matka dała mi w ucho za brudne buty i nie chciała o niczym słuchać, lecz ojciec puścił do mnie oko, tak samo jak dama-karo z cyrkowego plakatu.

– Niech idzie – przekonywał matkę. – Wolisz, żeby rzucali kamieniami w kaczkę przez całe lato?

– Nie podobają mi się te atrakcje. Są zbyt straszne dla dziesięciolatka.

– Odrobina grozy jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Może oduczy się dokuczać, gdy sam się porządnie wystraszy.

Matka myślała o tym cały wieczór, sprząając po kolacji, myjąc naczynia i składając pranie. Chciałem być dobrym chłopcem, więc wyczyściłem buty i nasmarowałem je pastą, aż lśniły. Matka znalazła mnie zapracowanego w kącie, westchnęła i posadziła na stołku w kuchni, żeby wytrzeć umorusaną pastą twarz wilgotną szmatką.

– Możecie iść do cyrku – uległa. – Ale poproszę Elizę, żeby poszedł z wami Norman.

– Nie lubię Normana – poskarżyłem się. Wiedziałem, że matka jest rozczulona, a więc mogłem ugrać coś marudzeniem. Jej oczy zawsze były wtedy duże i lśniące. – Norman jest stary.

Oczy matki zgasły.

– Módl się, żeby Norman miał ochotę poświęcać czas na te dziwolaży. Jesienią wyjeżdża, żeby zostać lekarzem w mieście. Mógłbyś wziąć z niego przykład.

Pomyślałem, że prędzej ucieknę z cyrkiem, niż zostanę lekarzem jak Norman, który nie potrafił strzelać z procy, nie umiał paradować, rzucać szyszkami ani robić pułapek na króliki, wcale nie potrafił niczego, co liczyło się w życiu. A przynajmniej w życiu moim, Maka, Wilkasa, Grubego Eliego i może trochę mniej w życiu Matyldy, która lubiła jeszcze szyć fartuchy ze starych worków na mąkę i pleść pierścionki z gałązek jarzębiny.

Postanowiłem jednak być dobrym chłopcem. Wiedziałem, że Norman dostał ostatnio dziesięciocentówkę za odebranie porodu klaczy, a to znaczyło, że będzie mógł kupić nam watę cukrową, a może i prażone kasztany. Nocą śniłem o słodyczach, choć oknami wstrząsał wiatr, a poddasze okładał wściekły, zwiastujący grozę deszcz.

Rano zbudziłem się z krwią w ustach. Wyplułem ząb na poduszkę. Obejrzałem go, a potem schowałem do blaszanego pudełka, gdzie trzymałem skarby. Byłem trochę zdziwiony – był to nowy ząb, który wyrósł na miejsce tego, którego miałem już w blaszanej skrzynce. To musiało znaczyć, że dorastałem jeszcze szybciej, niż mówiła moja matka. Czując się doroślejszy niż wczoraj, ubrałem się w elegancki strój: założyłem marynarkę, szelki i lakierki. Chcieliśmy pojawić się w cyrku wcześniej niż inni. Przyrzekłem matce, że wrócę przed zmierzchem, a potem poszliśmy z Makiem i jego bratem Normanem po Wilkasa, Grubego Eliego i Matyldę.

Wędrówka na skraj pola strasznie się dłużyła, choć szliśmy wartko, zwartym szeregiem jak żołnierze.

Maszerowanie ćwiczyliśmy z chłopakami od początku lata, ale Matylda zmęczyła się tak bardzo, że Norman wziął ją na barana. Słońce skryło się za chmurami, jakby zbliżał się wieczór, choć niedawno byłem jeszcze w łóżku – wiedziałem o tym, bo mój ząb wciąż krwawił. Gruby Eli powiedział, że on tak dłużej nie może, jest głodny i idzie do domu. Gdy Wilkas zaczął go przedrzeźniać, a w końcu uszczypnął w łokieć, zauważyłem, że brakuje mu paznokcia na kciuku, ale Wilkas schował ręce do kieszeni, nim zdążyłem go o to zapytać. Pomyślałem wtedy, że to nic nadzwyczajnego. Wilkas strzelał z procy i mógł się skaleczyć.

– Na pewno mają watę cukrową i prażone kasztany – powiedziałem Grubemu Eliemu, żeby przestał marudzić.

– Na pewno robią słodczyce z dzieci, które przychodzą do cyrku – dodał Mak złowróbnym głosem, łapiąc Matyldę za piętę.

Norman trzepnął go w tył głowy i Mak przestał żartować.

– To już niedaleko – zarządził. – Zachowujcie się.

Czułem końskie łajno i przypalony cukier. Było wspa-
niale. Namioty miały czerwono-niebieskie pasy, a pod
żółtymi chorągiewkami stały metalowe klatki na kołach.
Słysząc było trzaski wybuchającego prochu i kataryn-
kową muzykę zapętloną w radosnej melodii. Zagłębiliśmy
się w cyrkowy obóz. Świąteczka zdawały się być oczami
metalowych masek goblinów, które ruszały zardzewia-
łymi szczękami, wydając z siebie przerywany, metalicznie
brzmiący chichot: *ha-ha-HA, ha-ha-HA, ha-ha-HA!*

Mak naciągnął czapkę na oczy i zaczął gonić Grubego Elięgo, wrzeszcząc: *ha-ha-HA!*, ale drogę zaszała im na szczudłach kobieta w stroju jelenia.

Gdy zrozumiałem, co widzę, zdałem sobie sprawę, że nie miała szczudeł... choć była wyższa od Normana, a nawet od mojego ojca. Smukła, o bardzo długiej szyi, miała na twarzy maskę jeleniego pyska o wygarbowanej, pomalowanej różem, pudrem i szminką sierści, o podkreślonych zalotką rzęsach i pożółkłych rogach przytwierdzonych do metalowej opaski na czubku głowy. Pochyliła się ku nam, poruszając powoli, po czym powiedziała przymilnym głosem:

– Najodważniejsze dzieci zaczynają od tygrysa.

Najbardziej na świecie chciałem zobaczyć tygrysa. Spojrzałem na Normana, ale ten nie spuszczał wzroku z jeleniej kobiety, stojąc jak głupi z poczerwieniałą twarzą.

Szturchnąłem Maka, mojego zastępcę. Byłem generałem i musiałem przejąć przywództwo. Mak gwizdnął na Wilkasa, który zasalutował i wydobył z kieszeni swoją procę. Ja, Mak i Wilkas wbiegliśmy do namiotu, który wskazała smukła kobieta. Rozejrzałem się w podnieceniu, ale w półmroku czekał na nas tylko karzeł. Ubrany był w czerwony kubrak z wyszytymi nań różami, a szczeciniasta ruda broda otaczała owal jego malutkiej, śmiesznej twarzy. W pokracznej ręce trzymał świecę. Odpalił zapałkę o podeszwę drewnianego chodaka, zapalił knot i szepnął:

– Tylko nie spalcie nas żywcem, kochani chłopcy.

Był wzrostu Matyldy, a gdy skrył się w cieniu, zdawało się, że zniknął, on jednak wdrapał się kaczym

chodem na drewniane podwyższenie za zasłonami. Dobiegł nas jego ochryply głos:

– Panie i panowie, smakołyki i trutki na szczury, żywi i martwi! Oto biegnie na czterech nogach pasiasta bestia!

Zasłony się rozsunęły, a z głębi namiotu wyskoczył kształt. Wilkas krzyknął i naciągnął procę, ale w półmroku rozległ się dźwięk napinającego się nagle łańcucha, a my nabraliśmy odwagi. Podszedłem bliżej. Bestia kłusowała wkoło, przykuta łańcuchem do żelaznego pierścienia na środku namiotu. Wydawała z siebie syczące odgłosy i wypinała grzbiet.

To nie był tygrys, lecz człowiek.

Truchtał lekko na rękach i nogach, sprężyście odbijając się na długich chudych palcach. Czarny, obcisły strój opinał jego sylwetkę. Przeciśnięta przez wąski golf głowa nie była większa od niemowlęcej główki. Kłusująca kreatura zostawiała pierścienie w piasku, a łańcuch zdawał wydłużać się z każdym okrążeniem.

Mak wypiął pierś i zawołał:

– To nie jest tygrys! Oszuści!

Bestia zatrzymała się na te słowa. Stała przed Makiem, wyprostowana jak człowiek, przekrzywiła niemowlęcą główkę i wydała z siebie niski, przeciągły krzyk. Uciekliśmy z namiotu. Karzeł na podeście kiwał się ze śmiechu, wrzeszcząc ochryple:

– Tygrys! Tygrys, tygrys!

Norman kupował Matyldzie i Grubemu Eliemu różową watę cukrową i zdawał się wcale nie zauważyć, że zniknęliśmy.

– Gdzie jest Wilkas? – zapytałem Maka, ale ten biegł już do brata, oczy świeciły mu się na widok waty cukrowej.

Maszynę obsługiwało dwóch identycznie wyglądających mężczyzn z króliczymi maskami nasuniętymi na pulchne twarze. Reszta ich kostiumów wyglądała jak wata cukrowa, którą rozdawali. Różowi i puchaci, droczyli się z Matyldą, udając, że zabierają jej patyczek, na którym chybotął się słodki cukrowy obłok. Nie wydawali z siebie głosu, choć ruszali ramionami i trzęśli brzuchami, jakby zaśmiewali się do rozpuku. Norman podał watę i choć przeszła mi ochota, spróbowałem odrobinę. Choć cukier rozpuścił się na języku, poczułem przeraźliwy ból w ustach. Zakrztuśiłem się i wyplułem kolejny ząb. Ścisnąłem go w zakrwawionej pięści, w niedowierzaniu obserwując, jak wszyscy wokół rwą watę palcami i zajadają się nią ze śmiechem. Norman dostrzegł, że nie jem swojej porcji.

– Jesteś niewdzięczny – powiedział mi z wyrzutem.

Na cukrowym puchu zostało trochę krwi, którą wyplułem wraz z zębem. Czułem, jak zbiera mi się w ustach. Przycisnąłem dłoń do warg, by ją powstrzymać.

– Będziesz to jadł? – zapytał Gruby Eli, po czym, nie czekając na odpowiedź, wyrwał lepkimi od cukru dłońmi czerwoną watę z mojej ręki. Pożerając, stękał jak wieprz.

– Madame Z’lucru i jej Cudowne Kruszyny! – zapowiedziała nagle kobieta-jeleń, odchylając połę głównego namiotu. – Zapraszamy ze słodyczami, moje słodkości.

Kątem oka widziałem, jak dwóch mężczyzn w króliczych kostiumach umyka z wózkiem na kółkach między wysokie namioty. Kicali przy tym jak prawdziwe króliki.

Puchate różowe kostiumy pokrywały tylko przód ich ciał, z tyłu byli zupełnie nadszy.

Wbiegłem za Normanem i resztą do namiotu Madame Z'locru.

Na ścianach podrygiwały cienie – wyglądały, jakby tańczyły, choć robiły to niezręcznie, słaniając się bezsilnie po ziemi i podrygując nagle, ledwo jedynie do rytmu melodii. Dostrzegłem sznurki podtrzymujące ich kończyny, a potem zobaczyłem lalki. Przypominały małe dzieci, lecz ubrane na galowo, jak dorośli. Maszerowały wokoło, stawiając długie kroki na sztywnych nogach kierowanych pociągnięciami żyłek, splecionych na drewnianym krzyżaku w dłoni przeraźliwie chudego czarnoskórego mężczyzny w kapeluszu. Człowiek był ubrany w chłopięcy strój. Przykrótkie spodenki uwydatniały kościste kolana, a bufiaste rękawy ledwo zakrywały krzywe ramiona. Prowadził na sznurkach niezgrabne kukiełki, które poruszały drewnianymi ustami, śpiewając dziecięcymi głosami do skocznej melodii:

*Była sobie panna z ciasta i pudru,
O lokach ze skórki pomarańczy.*

Korbą katarynki kręciła największa kobieta, jaką widziałem w życiu. Jej blade, tłuste policzki naprawdę wyglądały jak ulepione z surowego ciasta, a na głowie miała białe i rude loki, przypominające obierki ze struganego ołówka.

*Każda kruszyna przepysznie zatańczy,
Dla cukrowej Madame Z'locru.*

Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że jedna z kukiełek była podobna do Wilkasa.

– Chrupiące paluszki! – zagrzmiała ochryłym, donośnym głosem Madame Z’lucru, oddając katarynkę karłowi, który wyłonił się zza kotary, niosąc srebrną matową tacę. – Jeden pens za jeden gryz!

Gdy się uśmiechnęła, odsłoniła szereg zepsutych, doszczętnie spróchniałych zębów. Wyciągnęła do mnie dłoń w pękającej w szwach aksamitnej rękawiczce, ale zdążyłem uskoczyć w bok. Upudrowana kobieta oblizała pulchne usta. Podsunęła mi pod nos tacę z różnej wielkości biszkoptami przypominającymi ludzkie palce.

– Nie mam pieniędzy – oznajmiłem, odsuwając się.

Rozejrzałem się za Normanem, ale ten gdzieś przepadł. Korowód ślaniających się ze zmęczenia drewnianych kukiełek paradował wokół namiotu, cienie podrygiwały na grubych czerwonych kotarach.

– Słodziutki. Na pewno masz w kieszeni coś, czym mógłbyś zapłacić.

Posłusznie sięgnąłem do kieszeni, lecz był tam tylko ząb, który wyplułem po spróbowaniu waty cukrowej. Madame Z’lucru wydała z siebie tryumfalny skrzek. Porwała ząb z mojej dłoni i wręczyła mi ciastko na patyku.

Było zimne i ciężkie, a skórka sina.

Drobny serdeczny palec wciąż miał na sobie pierścień. Znieruchomiałem z przerażenia, rozpoznając go. Pierścionek był plecionką z gałązki i jarzębinowych koralu, taki sam, jaki nosiła Matylda. Rozejrzałem się za nią, ale nie widziałem ani jej, ani Grubego Eliego, ani nawet Normana.

Doskoczyłem do Maka, który podziwiał kawalkadę kukiełek, jedząc jabłko w karmelu. Nie odpowiedział mi, gdy zapytałem, gdzie jest Matylda, więc wyrwałem mu głupie jabłko z ręki i rzuciłem na oślep za siebie. Mak wykrzywił twarz. Odepchnął mnie, a potem zdzielił mnie pięścią w nos.

– Zapłaciłem za nią! – wrzeszczał, szarpiąc mną. – Za tygrysią główkę!

Złapałem go za kołnierz i potrząsałem.

– Gdzie jest Norman?

Ale Mak jakby oszalał, wcale mnie nie słuchał, a gdy walnął mnie z całej siły w szczękę, rozerwał mi wargę. W przerażeniu przycisnąłem obie dłonie do ust. Rozchwiane zęby zadrżały, a ja wybałuszyłem oczy, czując nagle, jak wszystkie jednocześnie wypadają z dziąseł. Zadźwięczały o siebie jak twarde ziarna nieuprażonej kukurydzy, którymi bawiliśmy się z chłopakami, gdy dla zabawy usiłowaliśmy zmieścić w ustach jak najwięcej. Niczym kości do gry podrzucone w dłoni i wysypane na stół, rozsypały mi się na języku i wyduły policzki. Tylko cudem nie wyplułem ich pod własne nogi, kiedy ze łzami w oczach wybiegłem z namiotu. Dyrygujący kukiełkami człowiek w ciasnym chłopięcym stroju zaśmiewał się bezgłośnie, a podrygujące na sznurkach pajacyki klekotały drewnianymi szczękami, śmiejąc się męskim, kpiącym głosem.

Wpadłem do zaułka i pogałem dalej, między długie żelazne klatki. Przystanąłem za jedną z nich, by zwymiotować krwią, zębami i odrobiną waty cukrowej. Usłyszałem krzyk, w oszołomieniu zdałem sobie sprawę, że ktoś woła mnie po imieniu.

– Alarik! Alarik! Tutaj jesteś, szybko!

Matylda objęła mnie, nie zważając na krew. Poczułem, jak dygocze i zapomniałem na moment o własnym bólu. Zobaczyłem, że brakowało jej palców na prawej dłoni. W przerażeniu, drżącymi rękami, wyjąłem z kieszeni chustkę i zawiązałem ją na ranie, najlepiej jak potrafiłem. Zdałem sobie sprawę, że miałem rację – biszkopty, które sprzedawała Madame Z'Lucru, wcale nie były słodyczami. „Na pewno robią słodycze z dzieci”, żartował Mak, gdy szliśmy skrajem pola. Spróbowałem zapytać Matyldę, co się stało, ale nie mogłem wydusić z siebie słowa. Usta miałem poranione i opuchnięte.

– Zabrali Eliego – wyjaśniła szeptem dziewczynka, nie przestając dygotać. – Zamknęli go ze świniami! Byliśmy z Madame, kazała wsunąć rękę do balii z wodą, by wylosować jabłko... Coś mnie złapało, a wtedy...

Nie rozumiałem wiele prócz tego, że musieliśmy uciekać, jak najszybciej. Złapałem Matyldę mocno za lewą rękę i zacząłem iść wzdłuż klatek na długich naczepach z ciężarowymi kołami. Dziewczynka zapała się nogami.

– Musimy wrócić po Normana! Alarik, proszę...

Próbowałem wydać z siebie głos, by zaprotestować, żeby zrozumiała, że jedyne co możemy zrobić, to biec z powrotem do wsi i sprowadzić pomoc. Jednak Matylda wyrwała rękę z mojego uścisku.

– Zjedzą go! – zaprotestowała. – Oni jedzą ludzi! Jelenia kobieta na szczudłach zabrała go do zielonego namiotu, by go pożreć!

Norman nie mógł zostać pożarty. Był jedynym dorosłym, który mógł pomóc.

Usłyszeliśmy przeraźliwe, piskliwe kwiczenie, jakby ktoś odzierał świnie ze skóry. Dźwięk przypominał mi pracę z poprzedniego lata, do której zmuszał mnie ojciec. On i paru ludzi ze wsi wybudowali nową rzeźnię z zabudowanym wybiegiem. Wąskie przejście skręcało tak, by świnie nie mogły zobaczyć, co czeka przed nimi. Zdaniem mojego ojca robiliśmy świniom przysługę, gdyż w ten sposób mniej się bały. Nigdy jednak nie zrozumiałem, jak istota, która się nie boi, może wydać z siebie tak przeraźliwy dźwięk.

– To Eli! – krzyknęła ze zdumieniem Matylda, przylegając do mnie w strachu.

Gestami kazałem jej ukryć się pod naczepą, po czym pobiegłem w stronę nawoływania. Wrzask brzmiał w połowie jak świński, a w połowie chłopięcy. Ze zdławionym sercem zakradłem się na tyły zielonego namiotu, zza którego dobiegał rumor. Niedaleko grała muzyka, zwalniając i przyspieszając na przemian.

– *Ala-kwik!* – łąkał głos. – *Ala-rik!*

– *Kwik, kwik, kwik* – wtórowały świnie.

Było ich pięć lub sześć, stłoczone w brudnej od świeżego łąjna klatce na kołach. W rozdeptanej słomie przebierały raciami szczeciniaste, łaciate świnie, z których tylko jedna miała ludzką twarz. Gruby Eli był tak blady, że aż białe, o sinych rumieńcach na trzęsących się fioletowych policzkach, a jego drobne, wypukłe usta w przerwach między kwiknięciami usiłowały jednocześnie nabierać powietrza i wołać o pomoc, czym przerażał pozostałe świnie.

– Ratuj mnie – piszczał grubas głosem wyższym od Matyldy.

Spróbowałem zapytać go, co się stało, ale wydałem z siebie tylko jęki.

– Złapa-*LI*-mnie – kwiczał Eli. – Wciągnę-*LI*-mnie. Zostawi-*LI*-ście mnie.

Im dłużej mówił, tym bardziej zniekształcony był jego głos, aż Eli tylko kwiczał, a ja nic nie rozumiałem, czułem tylko przytłaczające poczucie winy, tak bolesne, że musiałem uciec.

Między klatką ze świniami a ciężarówką było wejście do zielonego namiotu. Był szeroki jak dom o pokojach odgradzonych kotarami. Słyszałem muzykę dobiegającą z głównej części, widziałem światła, wstęgi i tańczące kukły, a hałas dziecięcych głosów zwiastował, że do cyrku przybyły inne dzieci, które zajadały się słodyczami i śmiały z pokracznego tańca kukieł. Chciałem biec prosto do nich, ale w kącie, w umeblowanym kawałku przestrzeni złożonym z łóżka, biurka oraz szerokiego zagraconego stołu, siedział na taborecie Norman.

Podbiegłem do niego ze łzami w oczach, ale nie zwrócił na mnie uwagi.

Szył.

Długą zakrzywioną igłą zszywał leżącą na wznak na stole sztywną kukłę. Gdy złapał długimi palcami ciężką głowę lalki i odwrócił ją na bok, rozpoznałem twarz Maka.

Rzuciłem się, żeby zatrzymać Normana, ale ten spojrział na mnie z góry zubożonym wzrokiem. Oczy miał białe, a źrenice zwężone do rozmiaru czarnych kropek. W skupieniu wrócił do szycia. Głowa Maka była spuchnięta i napęczniała jak krwihak, a rozcięcie zszyte tylko do połowy. Pomyślałem, że doszło do jakiegoś

straszego wypadku, ale Norman ratuje Makowi życie, Norman miał przecież zostać lekarzem, a Mak był jego bratem. Lecz starszy chłopak zdawał się mnie nie rozpoznawać nawet wtedy, gdy złapałem go za ramię. Syknął w irytacji, po czym uderzył mnie otwartą dłonią, a ja w zdumieniu upadłem na ziemię.

Zobaczyłem, że na polowym łóżku leży pod stertą koców kobieta. Nawet śpiąc, miała na sobie jelenią maskę. Wydawała się na stałe przyszyta do jej twarzy, choć jaskrawy makijaż pobladł, a rumieńce wytarły się o poduszkę. Wyglądała jak z cyrkowego plakatu, rozebrana do pończoch i z rozsznurowanym gorsetem, smukła kobieta o zwierzęcej głowie.

– Jesteś słodki – westchnęła przez sen. – Połóż się obok mnie.

– Głupi chłopak! – usłyszałem burkliwy głos, a potem coś mną szarpnęło. Pomyślałem sobie, że nieznajomy poderwie mnie wysoko w górę, ale stanąłem oko w oko z karłem. – Po co tu wróciłeś? – syknął. Wściekła brodata twarz zbliżyła się do mojej. – Zaraz kończy się spektakl. Trzeba cię schować, bo do niego dołączysz. Madame nie odpuści takiej buzi.

Pchnął mnie ku przejściu pod podwieszoną kotarą, niskim jak on sam. Stałem zdumiony w umeblowanej kuchni. Zdażyłem poczuć słodki zapach pary bijącej ze stojącego na gazie ogromnego gara bez pokrywy, o wielkich kwadratowych uchwytych. Woń przypominała mi gotowaną długo żelatynę.

– To ptasie mleczko – mruknął karzeł. – Nie waż się go jeść. Nie jedz niczego, co jest kolorowe i słodkie.

Wepchnął mnie do szafki pod zlewem, a potem sam do niej wskoczył, zamykając drzwiczki tuż przed tym, gdy do kuchni weszło dwóch mężczyzn. Obaj wielcy i muskularni, o łysych głowach i pustych spojrzeniach, niczym nieprzypominający pary sprzedawców waty cukrowej w króliczych kostiumach. Karzeł przyłożył krzywy palec do warg. Zauważyłem, że miał tylko ten, jeden palec na lewej dłoni. Widziałem przez szparę, jak dwaj siłacze zdejmują gar z ognia. Jeden z nich wbił rożen w gotującą się masę i wyciągnął nabity nań płat różowej, parującej skóry. Gdy rulon się rozwinął, przypominał kształtem rękawiczkę.

Ze zduszonym gardłem patrzyłem, jak mężczyźni wynoszą garnek poza namiot. Rozległ się dźwięk wody wylewanej strumieniem na bulgoczącą ziemię. Zagłuszył kroki lalkarza, który pojawił się jak cień w progu kuchni. Czarnoskóry chuderlak sięgnął długą kościstą ręką do najbliższej szuflady, wyjął ciemnozieloną butelkę z czarnym płomieniem na etykiecie i wyszedł chyboczącym krokiem, kołysząc się do muzyki dobiegającej z głębi namiotu.

– Nieustraszony tygrys ujarzmi płomień! – rozległ się kobiecy, donośny krzyk, na który zareagował rwetes podnieconych dziecięcych głosów. – Płomienny pejcz Madame Z'Lucru poskromi każdą bestię!

Karzeł złapał mnie za kołnierz, kiedy chciałem wyskoczyć z szafki.

– Chcesz skończyć jak twoi przyjaciele? – warknął, potrząsnawszy mną. – Tygrys jest nafaszerowany tym samym, co żrą dzieciaki. Lalkarz sprawia, że słodko śpią. Trafisz albo do kotła, albo będziesz śpiewał piosenki na

cześć upudrowanej dupy Madame, póki się tobą znudzi. Nie widziałeś, jak tańczył ten rudzielec, twój kumpel?

Myśl o Wilkasię mnie zatrzymała. Przypomniałem sobie, jak wręczyłem mu medal, który zrobiła Matylda ze wstążek i liści kasztana. Zasłużył na niego za znakomite strzelanie z procy. Pomyślałem, że jestem dowódcą naszej bandy, a nie tchórzem. Kopnąłem karła, a gdy mnie puścił, zerwałem szafkę z zawiasów. Pobiegłem, nie zważając na jego siarczyste przekleństwa.

W głównej cyrkowej sali stały kołem płonące obręcze, każda mniejsza od poprzedniej, ostatnia wielkości główki człowieka-tygrysa, którą uderzał o pręty klatki w straszliwym cierpieniu. Być może wywoływała ją muzyka, groźna i przerażająca swym szybkim, skocznym tonem, a być może rząd tańczących kukieł, którymi kierował górujący nad nimi lalkarz, długi i cienki jak jego sznurki. Madame Z'locru stała na drewnianym podestacie ponad zgromadzonymi w dole dziećmi, strzelając płonącym pejczem do rytmu piosenki śpiewających kukieł.

Madame Z'locru ma dzieci trzydzieści,

Wszystkie są z trocin i mąki.

Zakradłem się niedostrzeżony za klatkę z tygrysem. Zobaczyłem z bliska jego kostium, wyświechtany i porzrywany. Na plecach wygiętych na stałe w garb widniały różowe paski, blizny po pejczu Madame. Widząc, jak kuli się ze strachu, przestałem się go bać. Rozejrzałem się, by wiedzieć, dokąd uciekać, gdy Madame i lalkarz zajmą się tygrysem. Wtem w tłumie kukieł dostrzegłem Wilkasa.

Nabrałem pewności, że to był on – choć śpiewał głośno jak reszta, jako jedyny patrzył prosto na mnie.

*Każde zamieni, gdy już popieści,
W słodkie lukrowe oponki.*

Postanowiłem uwolnić tygrysa.

Rygiel jego klatki był taki sam, jakiego używaliśmy w zagrodach dla świń. Potrafiłem go otworzyć. Gdy to zrobiłem, człowiek w przebraniu tygrysa zaskomlał cicho. Nim zdążyłem cokolwiek zrobić, napiął chude kończyny i wyskoczył z klatki, a ja stanąłem twarzą w twarz z Madame Z'locru. Dzieci zgromadzone pod podestem patrzyły na nas z zadartymi głowami.

Krzyknąłem, by uciekały, lecz moje wołanie brzmiało jak skowyt.

Oczy Madame stały się nagle duże i lśniące, jak oczy mojej matki, kiedy ją czymś wzruszyłem. Ujęła mnie pod brodę. Pomalowane zjełczałą szminką usta rozciągnęły się w uśmiechu spróchniałych zębów.

– Nie możesz dla mnie śpiewać, słodki. Wypadły ci wszystkie ząbki. Od młazszczącego zawodzenia uschną mi uszy. W moim chórze nie ma miejsca dla jąkaadeł.

Czułem, jak zionęła cytrynowymi perfumami i słodkim odorem zgnilizny. Jej oddech ugiął mi kolana. Wielką szponiastą dłonią złapała mnie za gardło, tak mocno, że poczułem, jak miądzdy mi obojczyk. W drugiej ręce miała pejcz, widziałem pomarańczową smugę, gdy rozwinął się w powietrzu.

Tygrys wpadł na nas, wierzgnięciem wepchnął Madame w płonąca obręcz. Kobieta machnęła rękami i spadła z podestu razem z rekwizytem.

Najpierw zajęła się jej peruka, biała, o puszystych lokach i kosmykach sięgających kołnierza jej sukni, którą natychmiast dosięgnął rosnący płomień. Nagle Madame Z'Lucru stanęła w czerwonym ogniu. Wiła się, wrzeszcząc niskim basowym głosem. Widziałem, jak topi się skóra przedramion, niknęła na moich oczach jak brzozowy puch albo wełna. Płonącymi dłońmi złapała się kurtyn, by podciągnąć z powrotem na nogi, lecz ogień ją wyprzedził, wskoczył na tkaninę i zaczął wspinać się pod sufit.

Zobaczyłem, jak tygrys dusi lalkarza swoimi zdeformowanymi, ludzkimi dłońmi. Odwróciłem wzrok, bo nie potrafiłem na to patrzeć. Namiot zakołysał się nad nami, drewniany stelaż zatrzeszczał. Dzieci przebrane za kukły rozbiegły się na wszystkie strony, część dotarła do wyjścia akurat wtedy, gdy się zawaliło. Namiot ukląkł, a nas przykryła kurtyna ognia. Przedzierałem się przez wrzaski i płacz, szukając Wilkasa.

Gdy stanął nade mną tygrys, upadłem. Jego kostium płonął, odsłaniając nagą, pokiereszowaną skórę. Zobaczyłem, że niemowlęca główka jest wąską maską z porcelany, która skruszyła się na krawędzi, odsłaniając wąskie, chude usta. Rozchyliły się, jakby zamierzały mi coś powiedzieć, lecz nie zdążyły.

Kula z procy rozbiła na szczątki tygrysi łeb.

Gdy czaszka rozprysła się w mgiełce gorącej białej krwi, zamknąłem oczy. Otworzyłem je z trudem. Poznałem bezbłędny strzał mojego drugiego oficera. Wilkas zasałutował, patrząc na mnie, przez moment wyprostowany,

z powagą na twarzy, nim osunął się bezwładnie na ziemię. Zdążyłem odpowiedzieć mu salutem, nim zawałił się dach.

Pośród dymu i ognia zdawało mi się naraz, że nie żyję i że słyszę, jak kukły nadal śpiewają:

*Madame Z'lucru ma kukiel trzydzieści,
Z lukrem, polewą, wisienką.*

– Alarik! – wołał inny głos. – Proszę, nie bądź już kukłą! Nie tak, jak Wilkas! Przestańcie natychmiast!

*Ojciec hen we wsi notkę zamieści,
Rozstanie się ze swą dziecinką.*

– Nie chcę dłużej się w to bawić! Obudź się, Alarik!

Widząc Matyldę, oniemiałem. Czy ona też umarła? Poderwałem się resztką sił. Matylda rozplakała się ze szczęścia. Wcisnęła mi w dłonie procę Wilkasa, jak gdyby przekazywała mi broń. Gdy mnie tuliła, planowałem. Dym sprawiał, że oboje kaszleliśmy. Zrozumiałem, że musimy wspiąć się na płonący stelaż i przeskoczyć przez dziurę w rozdartej kotarze zawalonego namiotu. Wsunąłem za koszulę procę Wilkasa i docisnąłem mocno szelki. Pomyślałem, że nie dam rady.

Matylda pomogła mi wstać, a potem wciągnęła nas na podstawę chybotliwej konstrukcji. Była nieustraszona. Przeskoczyłem przez płomień pierwszy, a ona tuż za mną. Postanowiłem wtedy zrobić dla niej medal, na jaki zasługiwali członkowie mojej bandy. Pomyślałem, że mógłby to być pierścionek.

Biegliśmy między namiotami, czując w powietrzu gorzki odór płonących opon. Przez dymne obłoki majączyły metalowe maski goblinów, wciąż chichoczące: *ha-ha-HA!*, *ha-ha-HA!*, *ha-ha-HA!* Usłyszałem przenikliwy dźwięk klaksonu. Czerwona ciężarówka obklejona cyrkowymi plakatami czekała, podrygując w miejscu w kłębach czarnego dymu. Zza opuszczonego okna wyjrzał czubek głowy karła.

– Ruszać się, małe gamonie! Ledwo prowadzę tę bestię, nie mam jebanych palców!

Wskoczyliśmy na siedzenie z tyłu, na którym leżał dziurawy akordeon. Na podłodze turlały się rozsypane piłki do zonglerki. Usiedliśmy, ściśnięci, ja i Matylda, a karzeł zagrział z fotela przed nami:

– Zapchałem generator dwoma szmatami nasączonymi benzyną, to cud, że ten stary drań jeszcze nie wybu...

Przerwał mu odgłos wystrzału jak z armaty. Był tak głośny, że pomyślałem, że usłyszał go cały świat. Karzeł zaklął i zwolnił hamulec. Prowadził ciężarówkę przywiązanymi do butów szcudłami. Roześmiał się ochryplym głosem w największym rozbawieniu, wciskając pedał do podłogi. Minęliśmy płonące namioty i zaczęliśmy mknąć czarnym polem, posłanym związanymi szczepkami ściętego żyta. O okna ciężarówki rozbijały się żółte ścinki i strzelające spod kół kamienie. Hałas był kojący, a prędkość, z jaką jechaliśmy, mroczyła mi w głowie. Wróciłem do zmysłów dopiero na skraju wsi, gdy zdałem sobie sprawę, że – nie licząc krztuszącego się silnika stojącej ciężarówki – zapanowała całkowita cisza.

Karzeł otworzył drzwi po stronie pasażera, sięgnął ku nam i wyrzucił nas z furgonetki, jak natrętnie bezdomne koty.

– Weź pamiętkę – powiedział charknięciem, po czym cisnął na trawę coś blaszanego.

Nim zdążyłem to odnaleźć, karzeł odjeżdżał już zwirową drogą. Cyrkowe plakaty trzepotały, ledwo tylko trzymając się boków ciężarówki. Podziurawiły je iskry, a dym zwinął rogi w ciasne rulony.

Na polu było tak cicho, że słyszałem swój własny oddech. Noc była przeraźliwie zimna. Gdy się obejrzałem, wydawało mi się, że zza pagórka bije dym, widziałem przez chwilę szarą łunę na horyzoncie. Pamiętką zostawioną przez karła okazało się okrągłe cynowe puzderko owinięte w wymięty kawałek papieru. Gdy nim potrząsałem, zagrzecotało.

W środku były moje zęby.

– Chodźmy do domu – powiedziała odległym głosem Matylda.

Trzymając się za ręce, pobiegliśmy skrajem pola do wsi. Gdy dotarliśmy na znajomą ścieżkę, pomyślałem, że jest zupełnie tak, jakbyśmy wracali znad rzeki po całym dniu zabawy. Wrażenie było upiorne, choć nie potrafiłem dokładnie go nazwać. Wydawało mi się, że nie istnieję; nie czułem ani zmęczenia, ani dłoni ściskającej mnie Matyldy. Dopiero wtedy, gdy mnie puściła, przypomniałem sobie, że jest obok mnie. Rozstaliśmy się przy krzywym płocie, choć nalegałem, że odprowadzę ją do domu. Nie mogłem nic zrobić, gdy rozplakała się i uciekła. Schowałem zmięty papier do skarpety, zdając sobie sprawę, że zgubiłem buty. Za to właśnie zbeształa mnie matka, gdy tylko przekroczyłem próg, ale gdy pokazałem jej cynowe puzderko z zębami, zemdląła.

Lekarz, którego sprowadził ojciec, zajął się głównie matką. Na mnie spojrzał jedynie srogo spod zwięzonych brwi. Kazał mi otworzyć usta i przelotnie zajął mi w gardło.

– Ma spuchnięte język i dziąsła. Na pewno się bił. Nic mu nie będzie.

Nic mi nie było, ale nie mogłem mówić. Gdy ojciec mnie pytał, nie potrafiłem opowiedzieć o tym, co wydarzyło się w cyrku. Mogłem tylko kiwać lub kręcić głową, a ojciec zadawał nieistotne pytania. Kiedy wyszedł, spędziłem w łóżku cały dzień. Minał, upalny i parny, wspaniały słoneczny dzień na brodenie w strumieniu i łapanie żab.

Ocknęła mnie kłótnia rodziców, z której zrozumiałem tyle, że Matylda niczego nie powiedziała, a ojciec Normana i Maka wywiesił na skraju wsi notkę. Próbowiałem poukładać sobie w głowie, co dokładnie się stało, by opowiedzieć rodzicom jak najkrótszą historię, kiedy odzyskam głos. Lecz oni przestali zwracać na mnie uwagę. Cynowe puzderko potraktowali tak, jakbym je ukradł. Schowali je albo dokądś zabrali. Została mi tylko proca Wilkasa, którą Matylda zabrała z płonącego cyrkowego namiotu. Była dowodem na to, co się wydarzyło, nie mogłem jednak wspomnieć nikomu o procy. Wiedziałem, że straciłbym ją na zawsze.

Wymknąłem się przez okno na strychu i zszedłem po starym kasztanie. Poślizgnąłem się trzy razy, choć nigdy mi się to nie zdarzało. Pobiegłem nad ruczaj. Była bezgwiezdna noc, kiedy pochowałem procę Wilkasa w dołku wykopanym pod kamieniem. Obłe szare głązy wzdłuż rzeki służyły nam za nagrobki, gdy bawiliśmy się w żołnierzy. Matylda udawała wtedy, że nad nami płacze,

sypiąc płatki maków i stokrotek na ziemię. Wydrapałem nożem na kamieniu: *Wilkas, który pokonał tygrysa*.

Zdałem sobie sprawę, że wciąż mam w skarpecie zmięty papier. Gdy go rozwinąłem i odwróciłem, okazał się być wyblakłym wycinkiem z cyrkowego plakatu, który widziałem, biegnąc za ciężarówką z Makiem, Wilkasem, Grubym Elim i Matyldą. Wielka kobieta z ognistym biczem w ręce stała nad ryczącym tygrysem w pomarańczowe i czarne pasy.

Wracając polem, minąłem kapliczkę na skraju wsi, obok której na drewnianej tablicy wisiało zawiadomienie.

ZAGINIENI

Norman Ansel (16)

Maksymilian Ansel (10)

Wilkas Randal Beringer (9)

Elias Lacy Jr (11)

Nie mogłem mówić, ale mogłem dosięgnąć tablicy, jeśli stanąłem na palcach. Pod notką z zaginionymi dziećmi przypiąłem pinezką wycinek z cyrkowego plakatu, przedstawiający Madame Z'locru.

A całą historię spisałem dwadzieścia lat później, dla dzieci moich i Matyldy.

Hubert Smolarek

W górę!

I

Przełom XIX i XX wieku zapamiętaliśmy jako okres rewolucji przemysłowej i dynamicznego rozwoju technologicznego. Przekraczaliśmy kolejne bariery, wciąż zadziwiając samych siebie tym, do czego jesteśmy zdolni. Coś, co jeszcze kilkadziesiąt, ba, kilkanaście, a nawet kilka lat wstecz wydawało się niemożliwe, stało się faktem. Odkryliśmy i opisaliśmy cały świat, wznieśliśmy się ku chmurom, a ziemię poprzecinały nieskończone płataniny kabli, dróg i torów, po których sunęły potężne pociągi. Postęp był tak szybki, że wielu odczuwało niepokój na samą myśl, co będzie dalej. Niektórzy ówcześni myśliciele odmawiali nawet prawa do podróżowania koleją niewykształconemu społeczeństwu, bojąc się, że znający dotąd tylko swoje poletko prosty chłop ze wsi popadnie w obłąd, gdy w ciągu raptem kilku godzin przejedzie pół świata.

Właśnie, obłąd. Do końca swych dni jestem skazany na pobyt w pokoju bez klamek, obitym przyjemnym w dotyku materiałem, z rzadka mogąc poczuć rozkoszne promienie słońca na twarzy, gdyż byłem jednym z tych, którzy nie wiedzieli, co to strach, i dali porwać się temu, co nieznanne. Ponoszę dotkliwą karę, niewspółmierną do zarzucanych mi czynów, do których, mimo upływu lat przyznać się nie mogę. Swoją historię zacznę jednak od początku.

Odkąd tylko pamiętam, fascynowało mnie niebo. W każdej postaci i o każdej porze. I od małego robiłem wszystko, by stać się częścią tej nieskończonej inspirującej przestrzeni. Wspomniany rozwój dał mi zatem wyjątkowe szanse realizacji marzeń. Dreszcze podniecenia przechodziły mnie na samą myśl, że mógłbym choć przez chwilę skosztować tej wolności.

Nietrudno zrozumieć, że całe swe zarówno prywatne jak i zawodowe życie poświęciłem niebu. Pilnie studiowałem wszelkie możliwe nauki mogące mi pomóc w zrozumieniu tego, co nad nami – astronomię, geografię, matematykę, fizykę, nawet religijne wizje boskiego rajy. I każda z nich wносиła coś nowego do mej filozofii i rozwijała jako człowieka. W dowolnej chwili byłem gotów, by wznieść się ku chmurom. Upór ostatecznie przyniósł efekty.

Będąc jeszcze młodzieńcem, porzuciłem szkołę i wybrałem wojsko. Robiłem wszystko, co w mojej mocy, by zostać przydzielonym do oddziału baloniarzy, który dynamicznie się rozwijał i przekraczał kolejne bariery. Potrzebowali takich jak ja – niezdrowych marzycieli lub nieodczuwających przed niczym strachu straceńców, którzy wyznawali zasadę „żyj szybko, umrzyj młodo”. Od razu doceniono moją gruntowną wiedzę oraz zapał

i z czasem angażowano mnie do coraz trudniejszych zadań. Dwudziestolecie międzywojenne było wszakże wspaniałym czasem dla pionierów takich jak ja. Świat, przynajmniej pozornie, był złałkniony inspiracji, czegoś, co pozwoli choć odrobinę przywrócić wiarę w człowieczeństwo po makabrycznej Wielkiej Wojnie. Zaś my, Polacy, jak mało kto czuliśmy potrzebę manifestowania swojej przynależności i celebrowania sukcesów, tak przecież tłamszonych przez ostatnie dekady. Grunt, by rozwijać swoje pasje, był zatem doskonały.

Dość już jednak o mnie i mojej karierze w wojsku. To dla postronnego odbiorcy może nie wydać się tak fascynujące jak dla mnie i po prawdzie nie ma wielkiego znaczenia dla właściwej historii, którą chciałbym się podzielić. I która sprawiła, że jestem tu, gdzie jestem. Niemal wszystkie ślady tego wydarzenia zostały zatarte, pozostały tylko w postaci niepokładanych myśli w mojej głowie i spisanych przeze mnie wspomnień. Oto moja opowieść, zaś czytelnikowi zostawiam prawo do oceny wiarygodności tejże.

31 sierpnia

Dzień startu zawodów o balonowy Puchar Gordona Bennetta. Jestem bardzo podekscytowany przed swoim debiutem, lecz staram się walczyć z presją. Trzy wcześniejsze triumfy polskich załóg nakazują upatrywać jakiegokolwiek reprezentanta biało-czerwonych w gronie faworytów. Także mnie i mojego partnera – Antoniego Pawlaka, który startował zarówno rok i jak dwa lata temu, lecz nigdy jeszcze nie udało mu się zwyciężyć. Teraz głośno mówi o swoich nadziejach na sukces, co jeszcze bardziej mnie, jako debiutanta, ekscytuje. Nie chcę zawieść jego oczekiwań, zaś myśl o pucharze sprawia, że od kilku tygodni nie sypiam najlepiej.

Z Antonim porozumiewamy się bardzo dobrze, skądinąd to on wybrał mnie do załogi, niezadowolony z marnego zaangażowania mego poprzednika. Czuję jego wsparcie, ale i duży bagaż oczekiwań. Liczę, że zaufanie, którym mnie obdarzył, zaprocentuje.

Przed ostatnią odprawą rozmawiamy z mediami. To moje pierwsze tak długie wystąpienia, więc nie jestem zadowolony z ich przebiegu. Trochę się jąkam i gadam od rzeczy. Sytuację ratuje mój kompan, lew salonowy o modelowej aparycji, który jednym uśmiechem kupuje sobie wdzięki wszystkich otaczających. Proszę go, by zwolnił mnie z tego nieprzyjemnego obowiązku, na co przytakuje. Czas ten poświęcam na ostatnie przygotowania i sprawdzenie sprzętu, choć czyniłem to już kilkakrotnie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak mawiają.

Wreszcie nadchodzi moment startu. Wznosimy się ku górze przy aplauzie wiwatującego tłumu. Mimo, że nadal mamy lato, to pogoda iście listopadowa. Jest chłodno, wietrznie, gęsta zawiesina chmur znacznie ogranicza pole widzenia i możliwość rozkoszowania się widokami pięknej Warszawy. Mimo to jesteśmy dobrej myśli i ruszamy nie tylko po zwycięstwo, ale i pobicie rekordu zawodów wynoszącego 2191 kilometrów. Wygrana według naszych założeń ma być tak spektakularna, jak to tylko możliwe. Nadajemy meldunek przez radio i nabieramy prędkości.

1 września

Pogoda nadal płata nam figle i nie sprzyja planom. Deszcz co rusz łupie o powierzchnię balonu, mgła i gęste chmury utrudniają nawigację. Choć nasza podróż nie trwa długo, to już niejednokrotnie sprzeczaliśmy się o nasze położenie. Brakuje punktów orientacyjnych – nie widzimy słońca, nie widzimy powierzchni ziemi, mapy są zatem bezużyteczne. Ostatni raz pewni tego, gdzie się znajdujemy, byliśmy nad ranem o godzinie 4:30, przekraczając granice Związku Sowieckiego. Teraz lecimy, zdaje się na wschód, lecz niekiedy i za to nie dałbym głowy. Wszechogarniający ziąb drażni i nie ułatwia zadania. Kapitan Antoni Pawlak podejmuje decyzję, by lecieć możliwie najniżej, gdyż przy obecnych warunkach tylko to może nas uratować.

Ku naszemu zaniepokojeniu wszechogarniająca ulewa przeradza się w opady śniegu. Pierwsze płatki zauważamy w okolicach godziny 13:00, co skrzętnie notujemy w dzienniku. To dramatyczne pogorszenie i tak fatalnych warunków powoduje u nas uczucie przygnębienia.

W chwili, gdy liczymy na poprawę, sytuacja staje się katastrofalna. O ile z deszczem i brakiem orientacji jakoś sobie radzimy, to coraz intensywniejszy śnieg jest dla nas przeszkodą, która sprawia, że nie wszystko już zależy od nas. Ten, topniejąc na powłoce balonu, mocno poniewiera nasze mapy, a nieznosna wilgoć powoduje spięcie i uszkadza nasze radio. Łączność z krajem i organizatorami zostaje utracona. Nie jesteśmy w stanie meldować o naszej sytuacji, nie usłyszymy także żadnych komunikatów meteorologicznych czy tych o przebiegu zawodów. Jesteśmy zatem zdani tylko na siebie.

2 września

Chmury zawieszane nisko nad ziemią zmuszają nas do zejścia na poziom 300-400 metrów. Na szczęście deszcz czasem, choć na krótko ustaje, możemy zatem dostrzec w dole tutejsze wioski i miasteczka. Wszystkie jednak wyglądają tak samo, jednolity teren pozbawiony charakterystycznych rzek, jezior czy wzniesień sprawia, że wytypowaliśmy co najmniej kilka miejsc, w których możemy się znajdować. Notujemy te strzępki informacji, coraz bardziej godząc się z myślą o niepowodzeniu naszej wyprawy, lecz kapitan zdaje się mimo wszystko nie dopuszczać do siebie najgorszego scenariusza. Kolejny rok bez triumfu byłby dla niego zapewne bardzo bolesny, stąd rozumiem jego zapał. Obawiam się tylko, by jego pasja nie okazała się dla nas zgubna. Sytuacja wszak nie raz była już niebezpieczna.

Po południu, z braku lepszych pomysłów na odkrycie naszego położenia, Pawlak decyduje się obniżyć lot

do ryzykownej wysokości 40 metrów. Przelatujemy niemal nad głowami ludzi, raz nawet bardzo blisko wieży kościoła, w którą prawie uderzyliśmy. Zdesperowany Antoni wykrzykuje do ludzi w dole: *Kakoj rajon!?* *Kakaja dieriewnia!?* (co znaczy „Jaki rejon!? Jaka wieś!?”), lecz jego próby okazują się daremne. Głos ginie w szumie wiatru i odgłosów ujadających psów. Żaden z mieszkańców, choć skierowanych w naszą stronę i patrzących z zaciekawieniem, a może nawet podziwem, bądź to nie usłyszał, bądź to nie był rad do udzielenia nam informacji. Rozczarowani brakiem efektów, utrzymujemy jeszcze tę wysokość z nadzieją, że do wieczora uda nam się znaleźć jakieś charakterystyczne punkty.

Około godziny 17:00 w oddali ujrzeliśmy bardzo duże miasto. Nareszcie wyczekiwany przełom! Jesteśmy jednak od niego tak daleko, że poza rozmiarem jego zabudowania nam nie mówi. Jest jednak rzeka. I tory kolejowe z sunącym na nich w stronę miasta pociągami. Rzucamy się czym prędzej do z trudem uratowanych, pomarszczonych od deszczu i wilgoci map, próbując ustalić nasze położenie. To Moskwa? A może Twer? Niestety mogliśmy tylko przypuszczać. Emocje nam towarzyszące i wielkie rozczarowanie powodują pierwsze tarcia. Apeluję jednak do kompana, że to nie czas na kłótnie i tylko współpracując, zachowamy zdrowy rozsądek i wybrniemy z tej trudnej sytuacji. Mimo to nie udaje się z całą pewnością rozpoznać terenów pod nami. Lecimy dalej przed siebie, teraz z prędkością 60 kilometrów na godzinę.

Wczesny wieczór przynosi dramatyczną sytuację. Prawie uderzyliśmy w ziemię! Nie do końca wiem, jak to możliwe, ale najpewniej gęste mgły i nie w pełni

sprawne przyrządy uniemożliwiły nam zauważenie coraz to wyższych wzniesień. Silny, wyjątkowo silny wiatr miota naszym balonem i nieomal rzuca w porastające je drzewa. Ukojenie przynosi dopiero wzniesienie się i miarowy stukot deszczu. Znów jesteśmy sami pośród gęstej zawiesiny chmur i mgieł.

3 września

Nasza sytuacja z pewnością nie uległa poprawie. Rozbiliśmy się! Być może wyczerpani po całodziennych trudach, być może oniemiałymi z negatywnych emocji przestaliśmy w pełni skupiać się na locie. I niestety, w środku nocy naszym oczom ukazała się ściana drzew, jakieś 400-500 metrów przed nami. Wichura rzuca nas wprost na nią. Czym prędzej ruszamy, by pozbyć się wszystkiego, co może odciążyć balon i nas ocalić – balast, butle z tlenem, cokolwiek, co nie najistotniejsze. Nasz kosz dramatycznie uderzał już o czubki drzew, gdy okazało się, że na pokładzie nie zostało już nic do wyrzucenia. Byliśmy skazani tylko na łaskę natury, która nie była skłonna do pomocy. Gwałtowny wstrząs rzucił nas na burtę, rozpaczliwie chwytamy się olinowania, drżąc o własne życie. Słysząc tylko huk łamanych gałęzi. Zamknąłem oczy i zacząłem się modlić w duchu. Teraz chodziło już tylko o przetrwanie. Niestety bagaż zrywa się z uprzęży i spada na nas. Jesteśmy poobijani, choć nie czuję silnego bólu towarzyszącego złamaniom. Trzaski nie ustają, puszczają więzy, następuje gwałtowny skok i spadamy niczym kamień. Nic już nie możemy zrobić. To koniec.

Kosz zawisł kilka metrów nad ziemią, niepewnie zaczepiony o korony drzew rozdartą powłoką balonu. Wzajemnie sprawdzamy, czy przeżyliśmy katastrofę. Antoni także nie odniósł poważnych kontuzji. Całe szczęście. Tylko tego brakowało. Ogarniający nas mrok nie sprzyja w zorientowaniu się w sytuacji. Czym prędzej spuszcza my na linie worki z żywnością, przyrządami, mapami i wszystkim tym, co może okazać się przydatne. Ku rozczarowaniu ocalał tylko jeden pistolet i jeden zapasowy magazynek. Dobrze i to, miejmy jednak nadzieję, że nie przyjdzie nam go użyć. Potem przychodzi kolej na nas. Bardziej doświadczony kapitan sugeruje, bym poszedł pierwszy. Kilka otarć później jestem na ziemi. Towarzysz bez większych strat również. Ku naszemu przerażeniu raptem kilka minut po opuszczeniu kosza ten z przeraźliwym hukiem spadł tuż obok nas. Zdążyliśmy dosłownie w ostatniej chwili.

Pierwsze co musimy zrobić, to oszacować, co udało się uratować. Ocaliliśmy większość worków z żywnością, trochę ubrań, przyrządy, które przydadzą się tu, na ziemi. Największą stratą okazały się mapy, z których większość nie przetrwała trudów podróży. Po wszystkim, przy nędznym świetle naszych lamp, przepakowaliśmy bagaż tak, by zmieścić go w możliwie najmniejszej ilości toreb i plecaków. Ostatecznie wyszło kilka sztuk, łącznie po jakieś 15-20 kilogramów na człowieka. Nieźle.

Antoni prosi mnie, bym zanotował okoliczności i czas wypadku, co niezwłocznie czynię. Zostało niedużo czasu do świtu, czekamy więc na nadejście słońca i wówczas podejmiemy decyzję, w którą stronę iść. Niestety otaczająca nas zewsząd las nie ułatwia zadania. Zapewne

podejmiemy losową decyzję, licząc, że ostatecznie uda nam się opuścić ten gęsto porośnięty teren.

W oczekiwaniu na poranek ogarnia nas uczucia goryczy i rozczarowania. Mogliśmy lecieć dłużej, mimo kiepskich warunków mieliśmy szansę na triumf. Kapitan, choć nie daje po sobie tego poznać, jest zdruzgotany porażką. Próbuję go pocieszać, lecz ten daje upust swoim emocjom. Podejrzewam, że była to jego ostatnia szansa, po wypadku nie będzie już stawiany w gronie faworytów i być może nigdy nie wystartuje już w zawodach o puchar, który stał się jego obsesją. Chyba pierwszy raz odkąd poznałem tego ujmującego człowieka, widzę go w tak złym stanie. Niepokoi mnie jego nastrój, nasza podróż wszakże nie dobiegła jeszcze końca, a być może najtrudniejsze dopiero przed nami. Mam nadzieję, że otrząśnie się z rozpacz i wspólnie odnajdziemy drogę do cywilizacji.

Nadchodzi oczekiwany świat. Znikąd sygnału życia. Słysząc tylko ponure zawodzenie wiatru i jednostajny odgłos padającego deszczu. Jesteśmy przemoknięci do żywego. Otaczają nas tylko bagna i moczary, w którą stronę się nie udamy, wędrówka jest udręką. Przytłacza nas przygnębiający krajobraz, jeszcze nigdy nie czułem się tak mały i słaby w obliczu sił natury.

Dotkliwie potłuczeni, wciąż obolali, nie pomyśleliśmy nawet o posiłku, dlatego dopiero po kilku kilometrach marszu dopada nas głód. Przystajemy na chwilę, by spożyć suchary, i wbijamy chorągiewkę. Po to, by wiedzieć, że nie krążymy wkoło i by zostawić po sobie ślad. Obyśmy nigdy tej, ani kolejnych nie ujrzeli. A najlepiej nie musieli ich więcej wbijać.

W trakcie krótkiej narady przypominam sobie o rzece, nad którą przelatywaliśmy. Obaj zgodnie uznajemy, że musimy udać się w jej kierunku, na zachód. Odległość do niej od miejsca katastrofy oszacowałem na jakieś 15-25 kilometrów, mając na uwadze dość strome wzgórza, które, co możliwe, będziemy musieli okrążyć. To była dla nas nadzieja. Znaleźć ją i iść wzdłuż brzegu. Wówczas na pewno dotrzemy do wsi czy dróg do nich prowadzących.

Nasze opinie w temacie tego, kiedy natrafimy na pierwsze zbiorowiska ludzi, są rozbieżne. Ponieważ nie rejestrowaliśmy trasy naszego lotu, mogliśmy tylko strzelać w ciemno. Kapitan jest zdania, że zajmie nam to góra 2-3 dni. Ja, przeczuwając, jak dalece zdradziecka może być tajga, przygotowywałem się mentalnie nawet na kilkunastodniową wędrówkę. Oby tylko starczyło nam sił.

Maszerując, dopadają mnie różne myśli. Gdzie tak naprawdę jesteśmy? Czy organizatorzy wysłali po nas akcję ratunkową? Czy w ogóle wiedzą, gdzie nas szukać? Kto wygrał zawody? Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy to może nasza załoga? Warunki były równie fatalne dla pozostałych załóg, może dystans, który przelecieliśmy, wystarczył do zajęcia pierwszego miejsca? Regulamin nie definiuje przecież sposobu zakończenia lotu, chodzi tylko o pokonane kilometry. Karkołomne założenia zachowują jednak dla siebie, obawiając się, że mogą one zdekonzentrować kapitana, odzyskującego równowagę i skupionego na poszukiwaniu wyjścia.

Po południu organizujemy kolejny postój. Krajobraz nie zmienia się, wciąż błądzimy w gęstwinie. Pora na kolejną chorągiewkę wraz z przymocowanym do niej

komunikatem, spisany w dwóch językach – polskim i rosyjskim, takim samym jak wszędzie:

Kapitan Antoni Pawlak i porucznik Stanisław Opadło z Polski. Rozbiliśmy się w lesie, w nocy 3 września, po dwudniowym locie balonem. Braliśmy udział w zawodach o Puchar Gordona Bennetta. Nie wiemy, gdzie jesteśmy, poszliśmy na zachód, w kierunku rzeki, nad którą przelatywaliśmy. Prosimy o pomoc.

Naturalnie szanse, że na tym odludziu ktokolwiek znajdzie naszą notkę i zainteresuje się nią, były bliskie zeru, niemniej nie mieliśmy nic do stracenia, pozostawiając po sobie takie ślady istnienia. Cokolwiek się z nami stanie, zapiszemy choćby drobiny naszej podróży.

Do wieczora nic się nie zmieniło. Wycieńczeni trudami wędrówki szukamy dobrego miejsca na obozowisko. Nim zajdzie słońce, chcemy dobrze przygotować się na nadejście nocy. Wybieramy solidną jamę, budujemy prowizoryczny szałas i próbujemy rozpalić ognisko. Pozostaje jeszcze problem zabezpieczenia się przed dziką zwierzną, której w takim lesie zapewne nie ma. Wyposażeni w noże przygotowujemy kilka ostro zakończonych kijów, tak też będziemy czynić co wieczór. Mamy mało amunicji, na jej użycie zdecydujemy się tylko w ostateczności.

Nasze obawy okazały się słuszne. Puszcza z zapadnięciem nocy budzi się do życia. Zewsząd słychać niepokojące szmery – pohukiwanie sów, tętent kopyt i wycie wilków nie pozwalają nam spać mocnym snem. W pewnej chwili z odpoczynku wyrывa nas głośny huk. Polowanie? Ktoś strzela? Niestety. Zdaje się, że to trzask

łamanej gałęzi. Przemoknięci i zmarznięci trwamy tak do godziny 5:00, nie czując ulgi. Boli mnie całe ciało, na stopach dokuczają otarcia, brakuje suchych ubrań. Ulewa wzmaga się wraz z nadejściem porannej szarówki. Ocalić nas może tylko hart ducha.

4 września

Mimo wielu niedogodności staramy się wzajemnie wspierać. Opowiadamy dużo o swoich rodzinach i planach na przyszłość. Wyrzucamy z głowy myśli o pucharze, próbach znalezienia drogi i innych zmartwieniach. Tylko tak możemy przetrwać na tym odludziu. Niestety tego dnia droga robi się znacznie gorsza, choć to znak, że nie krążymy wkoło. Opuściliśmy gęsty las, lecz co rusz natrafiamy na bagniska i mokradła, niekiedy trudno znaleźć stabilne, twarde podłoże, musimy skakać pomiędzy wysepkami i wspomagać się tykami. Wreszcie trafiamy na wielkie rozlewisko, które musimy obejść łukiem. Tracimy czas i siły, a w linii prostej pokonaliśmy może dwa kilometry. Grząski teren wymaga od nas większych nakładów sił. Skuszeni na pozór bezpieczną trasą udajemy się w kierunku brzozowego gaju. Zapadam się po kolana, a następnie po pas w bagniska. Modłę się, by nie stracić w nim obuwia lub, co gorsza, nie zapaść się po szyję. Antoni mówi, by iść dalej. Wleczone się niczym żółwie. Ostatecznie skrajnie wyczerpani, po kilkuset metrach docieramy do stabilnego gruntu. Spragnieni, ubabrani w błocie decydujemy się na odpoczynek i zatknięcie kolejnej chorągiewki. W tych warunkach nasza podróż nie ma najmniejszego sensu. Choć idziemy już od kilku godzin, to zdaje się, że przeszliśmy znacznie mniejszy

dystans niż wczoraj. Pokonanie czasem jednego kilometra zajmuje nam ponad godzinę. Staram się nie patrzeć za siebie, by nie odczuwać rozczarowania, że drzewo, które mijiałem tak dawno temu, jest raptem na końcu polany, którą właśnie przeszliśmy.

Wciąż poruszamy się od kępy do kępy. Dopiero późnym popołudniem docieramy do wysokopiennego lasu, który widziany z daleka wydawał nam się rajem. I faktycznie podłoże jest tu nieco suchsze, decydujemy się spędzić tu nadchodzącą noc. Jeszcze wcześniej niż wczoraj czynimy adekwatne przygotowania, rozpalamy ogień i nim zrobi się kompletnie ciemno, wracamy wspomnieniami do domów.

Antoni, choć znałem go już kilka dobrych lat, nigdy nie był mi szczególnie bliski. Kolegowaliśmy się głównie przez wzgląd na nasze zajęcia, jednak rzadko kiedy spotykaliśmy się na niwie towarzyskiej, nasze żony nie były koleżankami, nie zapraszaliśmy się na urodziny. Oczywiście kurtuazyjnie składaliśmy sobie życzenia, darzyliśmy się wzajemnym szacunkiem i doskonale współpracowaliśmy, lecz nigdy nie narodziła się między nami prawdziwa przyjaźń. Tego wieczora bez specjalnej zachęty zaczął mi opowiadać o swoim życiu. O tym jak poznał swoją wybrankę, jak zakochał się w niej do szaleństwa od pierwszego wejrzenia, jak przyszło na świat ich pierwsze, a następnie drugie dziecko. Był bardzo rodzinny i mimo niezwyklego powodzenia u płci pięknej zawsze pozostawał wierny żonie, a priorytetem był czas z bliskimi. Otoczony przez egipskie ciemności i niepokoiony zewsząd przez przyprawiające o ciarki odgłosy lasu, poczułem pierwszy raz od kilku dni odrobinę ulgi. Te prozaiczne opowieści z pewnością dodały mi otuchy, zrewanżowałem się

memu towarzyszowi niedoli tym samym. Kto wie, może to ostatnia szansa? Skądinąd nasze racje żywnościowe malały i znikąd nie było nadziei na ratunek. Czy w ogóle uda nam się wrócić do domu? Z tą myślą zasnąłem.

5 września

Obudziła nas ogromna ulewa. Nie pomogły żadne nakrycia, więc czym prędzej, by rozgrzać wyziębione ciała, zebraliśmy manatki i ruszyliśmy w dalszą trasę. Nie byliśmy głodni, posiłek zaplanowaliśmy dopiero wówczas, gdy faktycznie przyjdzie na to ochota.

Droga była nieco lepsza niż wczoraj. I stosunkowo szybko, bo już po 2-3 godzinach marszu dotarliśmy do rzeki. Czy tej, którą mieliśmy na celu? Tego jeszcze określić się nie dało. Grunt, że słyszany z daleka nurt nie okazał się złudny i wreszcie mogliśmy bez obaw zaspokoić pragnienie do oporu i obmyć ubłocone twarze. Był to chyba znak z niebios, bo niedługo przed dotarciem na brzeg ulewa ustała, a spomiędzy chmur nieśmiało przebiło się kilka promieni słońca.

Owa szczęśliwa okoliczność sprowokowała nas do rozłożenia swoistego pikniku. Cieszyliśmy się jak dzieci, mogąc w spokoju spożywać posiłek i czuć ciepło na twarzy. Ta odrobina ulgi wlała w nasze serca nadzieję i dodała energii do dalszego marszu. Pozostawało jeszcze podjąć decyzję, w którą stronę się udać. Z nurtem? Pod prąd? Obaj byliśmy zgodni co do tego, że musimy iść wzdłuż, pod żadnym pozorem nie oddalać się bądź, co gorsza, próbować ją przekroczyć. Ostatecznie wyższy rangą kapitan orzekł, że idziemy w dół rzeki.

Decyzja ta okazała się w skutkach fatalna. Brzeg stawał się coraz bardziej porośnięty i stromy. Stopniowo musieliśmy wspinać się coraz wyżej i wyżej, ostatecznie na rzekę zerkaliśmy z góry, gdyż ta schowała się w czymś w rodzaju wąwozu. Niewykluczone, że gdybyśmy poszli w przeciwną stronę, sytuacja byłaby podobna, zdecydował jednak ślepy traf. Tereny znów stawały się coraz mniej przyjazne, las na powrót zaczął nas przytłaczać, wzmógł się deszcz. Ostatecznie wędrówka była tak ciężka, że stała się trudną gimnastyką pomiędzy powalonymi drzewami i szczepionymi konarami korzeni. Prócz bagnisk był to najtrudniejszy moment naszej podróży. Błądziliśmy bez sensu byleby tylko iść dalej. W końcu szum rzeki zaczął słabnąć, ale nijak nie było możliwości, by się do niej zbliżyć. Tajga złapała nas w swoje sidła i nie chciała wypuścić. Powrót nie wchodził w grę. Wspinamy się na oślizgłe od deszczu, porośnięte mchem pnie, kaleczymy się, spadamy. Całe ściany zwalonych drzew wyglądają jakby niedawno przeszedł tędy huragan. Niekiedy zaś jest tak stromo, że znów musimy szukać drogi okrężnej. Brudnoszara aura, ziąb i wzmagający się wicher znów otuliły nas depresyjnym nastrojem. Po radości z odnalezienia rzeki nie pozostał choćby ślad, pojawiła się frustracja i skrajne wyczerpanie. Nie wiedziałem nawet, czy w tych chaszczach zostawiać chorągiewki, gdyż nie wyobrażałem sobie, by jakikolwiek człowiek mógł się zapuścić w tak niedostępne tereny. Prócz nas oczywiście.

Zgodnie uznajemy, że musimy odpocząć. Widzę po Antonim, że jest zły. Czy na siebie? Nie winię go za tę decyzję, to był przypadek. I jak wspominałem, żaden z nas nie wiedział, jak wyglądałaby trasa w innych kierunkach.

Musimy dotrzeć do choćby odrobinę bardziej przyjaznych terenów, by rozbić obozowisko i przeczekać noc. Nie zakładamy na dziś żadnego innego celu. Byleby opuścić ten upiorny las. Ostatecznie nie udaje się. Znajdujemy grube, przewalone drzewo, skrywamy się pod nim i zapadamy w sen. Nie chcemy rozpałać ognia z obawy przed jego rozprzestrzenieniem się w tej gęstwinie. Niby mokro, niby mech, ale tu chyba niebezpieczne zwierzęta do nas nie dotrą. Oby.

6 września

Rzeka była już tylko ulotnym wspomnieniem. Zgubiliśmy ją. Ponownie musieliśmy kierować się na zachód i liczyć, że być może uda nam się na nią trafić. Lub choćby wyostać się z tego lasu.

Nadzieja na poprawę sytuacji pojawiła się koło południa. Niemal równo o godzinie 12 stanęliśmy na szczycie wzniesienia, a naszym oczom ukazało się wrzosowisko, wyglądające niczym omiatane wiatrem fioletowe morze ciągnące się aż po horyzont. Antoni od razu ochrzcił je mianem wrzosowej pustaci. Faktycznie nie sposób było dostrzec choćby krzty cywilizacji. Ani dróg, ani chat. Jedynym urozmaiceniem krajobrazu były kępy suchych traw, smukłe krzewy jałowców, skarłowaciałe sosny i samotnie stojące brzozy. Przemęczeni po wędrowce przez powalone konary i gęstwiny uznaliśmy ten widok za dobry omen. Spokojny spacer po płaskim terenie będzie zapewne ulgą dla naszych umęczonych ciał. Jednomyślnie decydujemy o wędrowce na zachód przez nowoodkryte

okolice. Zostawiam jeszcze na skraju chorągiewkę z obowiązkowym komunikatem i ruszamy w drogę.

Pustać okazuje się przyjemnym terenem, tempo naszego marszu przyspieszyło, mogliśmy także odpocząć. Pierwsze dni września to czas kwitnienia tych roślin, towarzyszył więc nam gryzący zapach, lecz i do tego mogliśmy się przyzwyczaić. W końcu zaszliśmy tak daleko, że las, z którego się wydostaliśmy, był tylko majaczącym hen w oddali zielonym pasemkiem. Przed nami zaś nadal rozpościerała się nieprzenikniona pustka. O tyle dobrze, że nie krążyliśmy wkoło bez sensu, o tyle gorzej, że bez punktów odniesienia nie wiedzieliśmy, w którą stronę się skierować. Szliśmy więc tylko za wskazówką kompasu.

Późnym wieczorem decydujemy się rozbić prowizoryczny obóz i pod małym drzewem lokujemy swój bagaż. Niestety nasze zapasy żywności i wody kurczą się, stopniowo zmniejszamy racje. Nim pójdziemy spać, robimy przegląd naszego wyposażenia. Martwi mnie stan naszego obuwia i ubrań. Wędrując przez chaszczę, dość mocno uszkodziliśmy odzienie, które w tych warunkach ma niebagatelne znaczenie. Szczególnie dają o sobie znać stopy, okropnie okaleczone i piekące ze wszystkich stron. Brakuje już bandaży i innych środków, które zabezpieczyłyby je przed kolejnymi otarciami. Jutro decydujemy się zwolnić nasze tempo, by dać im odpocząć. Zасыpiamy, nie rozpalając ogniska.

7 września

Budzimy się otuleni upiorną mgłą. Zewsząd nieprzeniknione mleko. Widoczność sięga może pięciu-sześciu

metrów. Liczymy, że koło południa zniknie i będziemy mogli wypatrywać jakichkolwiek oznak życia. Nim to nastąpi, możemy tylko próbować iść przed siebie, na ślepo, kierując się na zachód. Rosyjska tajga kolejny raz okazuje się dla nas nieprzyjazna.

Wczesnym popołudniem zagościła w naszych sercach radość. Ujrzeliśmy bowiem zarys chatki, co zgodnie uznaliśmy za bardzo dobry znak. Ktoś tu jednak mieszka! Przyśpieszamy kroku, by możliwie najszybciej do niej dotrzeć. Na miejscu czeka nas jednak ogromne rozczarowanie. Coś, co z daleka przypominało solidną budowlę, okazuje się nędzną, opuszczoną ruiną, w której od dawna nikt nie przebywał. A już myśleliśmy, że jesteśmy u kresu naszej wędrówki!

Antoniego ta sytuacja prowokuje jednak do dalszych działań. Uznaje, słusznie zresztą, że skoro nie tu, to już niedaleko natrafimy na ludzi. Odmawia sobie prawa do odpoczynku i rusza, licząc, że nim nadejdzie wieczór, będziemy uratowani.

Niestety źle oceniliśmy nasze siły. Szybko okazuje się, że nie powinniśmy dawać ponieść się euforii. Czuję, jak w moich butach chlupocze krew, ręce trzęsą się ze słabości, znów zrywa się silny wicher i ulewa, przed którymi nijak na tej płaszczyźnie nie możemy się schować. Przemoknięci, zziębnięci rozpaczliwie szukamy miejsca, gdzie możliwy będzie odpoczynek. Ostatecznie, wyczerpani siadamy pod marnym drzewem, którego nie umiałem nazwać, i padamy na ziemię wraz z całym bagażem. Antoni przeprosza tylko za pochopną decyzję, ja jestem tak wycieńczony, że odpowiadam skinieniem głowy i rzucam się na marny posiłek. Jutro będziemy zmuszeni

podjąć próby upolowania jakiegokolwiek nadającej się do zjedzenia zwierzyny. Jestem tak zmęczony, że nie mogę spać. Udaje mi się przymknąć oczy dopiero nad ranem.

8 września

Wita nas kolejny pochmurny, deszczowy poranek. Jestem wycieńczony. Mój towarzysz również. To chyba nasz najgorszy dotąd moment. Właśnie powinniśmy ruszać w drogę, a tymczasem żaden z nas nie czuje się na siłach. Przy życiu utrzymuje nas już tylko hart ducha.

Na nasze szczęście, po może dwóch godzinach marszu natrafiamy na kolejną izdebkę, niestety także zrujnowaną, lecz w przeciwieństwie do poprzedniej posiadającą dach. Jednomyślnie decydujemy, że w obecnym stanie, przy obecnych warunkach dalsza droga nie ma sensu. Chcemy pierwszy raz od kilku dni spędzić trochę czasu bez lejącego się niemal bez przerwy deszczu, osuszyć, może nieco obmyć. A gdy nieco odsapniemy, spróbujemy ruszyć na polowanie.

To okazuje się umiarkowanym sukcesem. Ostatecznie udało się złapać jednego królika. Wracamy więc do naszej chaty, by czym prędzej rozpalić ogień i skosztować najprawdziwszego mięsa.

Chata szybko wypełnia się gryzącym dymem, choć w ścianach nie brak szpar, a wejście pozbawione jest drzwi. Nie narzekamy jednak, posileni gorącym posiłkiem odczuwamy przypływ energii, czeka nas również, mam nadzieję, spokojna noc. Nim zapadnie zmierzch, opatrujemy nasze rany i by umilić sobie czas, rozmawiamy o tym, co zrobimy, gdy wreszcie wydostaniemy się z potrzasku. Zасыpiamy bardzo wcześnie.

W środku nocy budzi mnie przeraźliwy chłód. Ognisko dawno wygasło, znów leje jak z cebra. Antoni śpi jednak spokojnie, nie chcę mu przeszkadzać, więc i ja próbuję na powrót zasnąć, ale do rana nie zmrużyłem oka.

9 września

Aż się nie chce wierzyć, że dziś mija tydzień, odkąd błąkami się po tych nieznanym terenach. Staram się jednak o tym nie myśleć, by nie osłabić zapału do dalszej drogi. Skądinąd udało nam się nieco wypocząć i mam nadzieję, że będzie nam nieco łatwiej pokonywać kolejne kilometry pustaci. Widoczność jest bardzo dobra, nie pada, więc rozglądamy się dobrych kilka minut we wszystkich kierunkach, licząc, że uda nam się wypatrzyć jakiegokolwiek punkty zaczepienia. Zewsząd jednak otacza nas fioletowa łąka. Nic to, będziemy dalej kroczyć na zachód. Zabieramy nasze coraz lżejsze bagaże i ruszamy.

Opuszczają nas siły. Kilkudniowa wędrówka daje się coraz bardziej we znaki. Tracimy poczucie czasu, zamiast rozglądać się wokół, idziemy jak automaty z głowami spuszczoneymi w dół. Ze mną jest już tak źle, że chyba zaczynam majaczyć, a z letargu wyrывa mnie dopiero Antoni pytający co jakiś czas, czy wszystko ze mną w porządku. Myślami jestem już gdzie indziej, zapominam nawet, dlaczego się tu w ogóle znalazłem. W pewnym momencie mój towarzysz przywołuje mnie do siebie, gdyż idąc beładnie, znacznie oddaliłem się od niego. Wracam i próbuję zamienić z nim kilka słów, by przywrócić trzeźwość umysłu. Widzę, że i on funkcjonuje na resztkach energii, lecz w przeciwieństwie do mnie stara

się myśleć racjonalnie. Ja nazwałem go imieniem mojego brata, co ten przyjął z niepokojem. W krótkich żołnierskich słowach stawia mnie do pionu, obiecuje także, że już za chwilę cały ten dramat się skończy. Problem w tym, że spodziewamy się tego codziennie, a poprawy naszej sytuacji jak nie było, tak nie ma.

Około godziny 16:00, wciąż przemierzając wrzosowisko, docieramy do dziwnej kamiennej budowli. Pierwszy raz w życiu widzę podobny twór. Chciałem wydać z siebie okrzyk radości, lecz Antoni hamuje moją euforię. Szybko ocenia, że to dolmen, i od razu tłumaczy mi, że to prehistoryczna konstrukcja wzniesiona w charakterze grobowca. Ciarki przechodzą mi po plecach. Kolejne rozczarowanie, ale i zachwyt tym upiornym widokiem rzuconej gdzieś pomiędzy dziką przyrodę prastarej budowli.

Szybko na swej drodze napotykamy kolejne tajemnicze znaleziska, tym razem kamienie opisane nieznanym językiem. Te, skoncentrowane blisko siebie, niekiedy na planie kręgu tworzą razem coś w rodzaju cmentarza. Kapitan nazywa je po prostu nagrobkami. Lecz kto u licha zdecydował się na chowanie ciał na tym nieprzyjaznym, opuszczonym terenie? Czy to miejsce miało dla kogoś jakieś szczególne znaczenie? Czy ktoś będzie mi to umiał wytłumaczyć po powrocie? A może to właśnie my dokonaliśmy wiekopomnego odkrycia, niczym ci chłopcy kilka lat temu w Biskupinie?

Cała ta sytuacja niepokoi mnie jeszcze bardziej. Przy całej tej wykańczającej wędrówce chyba ostatnią rzeczą, którą chciałbym ujrzeć, były prehistoryczne, zapomniane dolmeny wśród nieprzeniknionych wrzosów. Proszę Antoniego, byśmy opuścili to miejsce, czułem się z tym

wszystkim źle. Ten nie miał nic przeciwko, to nie pora na podziwianie enigmatycznej architektury.

Powłóczyliśmy dalej otuleni coraz gęstsza mgłą, która gromadziła się nad pustacją. Wieczorem, po raz pierwszy odkąd opuściliśmy balon, szczerze chciałem się poddać, lecz miałem ku temu swoje powody. Albo zacząłem tracić zmysły, albo zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Stawiałem na to pierwsze, narastające zmęczenie prowokuje wszakże do omamów. Pokróćce opowiem o tym wydarzeniu.

Zmierzchało i musieliśmy rozejrzeć się za przyzwoitym miejscem, gdzie spędzimy noc. Dotąd szedłem niczym kukła, bezwiednie gapiąc się pod nogi. Podniosłem jednak wzrok i ujrzałem przed sobą trzy ludzkie sylwetki. Krzyknąłem do Antoniego, że coś widzę i czym prędzej ruszyłem przed siebie. Niestety wzrok mnie zawiódł. Coś, co wziąłem za ratunek okazało się tylko strzelistymi jałowcami, choć jeszcze chwilę temu zdawały się mieć ręce, nogi i poruszać się! Zziębnięty padłem przed nimi na kolana i zacząłem płakać z bezsilności niczym dziecko. To się chyba nigdy nie skończy!

Antoni próbował mnie pocieszać, lecz i w jego głosie dało się usłyszeć rezygnację. Oceniałem, że w naszym stanie zostały nam góra dwa, może trzy dni na znalezienie wyjścia z tej pułapki. Potem albo padniemy z wycieńczenia, albo postradamy zmysły.

Pora, by rozbić obóz. Poszukaliśmy pagórka, nazbieraliśmy drzewa na ogromne ognisko i rozpaliliśmy je, mając nadzieję, że ktoś je zauważy. Nacinamy sobie sosnowych gałązek, by zbudować z nich prowizoryczne, miękkie leże. Zасыpiam z myślą, że jutrzejszy dzień może okazać

się decydujący. Musimy chyba podjąć jakiś rozpaczliwy zryw, może zmienić kierunek, by szukać ocalenia?

10 września

Od rana Antoni skarży się na okropny ból głowy. Wymiotuje. Mówi, że to chyba... choroba morską. Przyznał, że podróżując tak długo przez pustać, czuje się, jakby pływał. Smagane wiatrem nieskończone, fioletowe wrzosowiska przypominają mu morskie fale. Brakuje niekiedy równowagi, jakiegoś punktu odniesienia, także i on zaczyna majaczyć. Staram się go wspierać, lecz nie wiem, co powiedzieć. Sam jestem o krok od poddania się, zatem niełatwo mi podtrzymać na duchu mego osłabionego kompana.

Nie radzę sobie w tej sytuacji. Antoni czuje się z każdą chwilą coraz gorzej, przystaje, by złapać tchu, nie zawsze dotrzymuje mi kroku, lecz i ja nie mam już w głowie myśli, by sprawdzać, co z nim. Idziemy tak przed siebie niczym dwie zjawy, nie wiedząc tak naprawdę, po co, gdzie i w jakim celu. Z maligny wyrwał mnie tylko kolejny napotkany na naszej trasie dziwny kamień, o który się potknąłem i dotkliwie pokaleczyłem.

Popołudniu czeka nas długa przerwa. Razem z Antonim padamy na ziemię, nie mamy jednak siły, by opatrzyć rany. Beznamiętnie pożeramy suchary, uzupełniamy posiłek o zebrane gdzieś owoce, nie wiedząc czasem, czym konkretnie są, zwilżamy usta wodą i ruszamy dalej. Chce mi się płakać. Moje ręce to już tylko sinofioletowe patyki, spodnie zapiąłem na ostatnią dziurkę w pasku, lecz co rusz muszę je podciągać, tak bardzo schudłem przez te kilkanaście dni.

Gdy zbliża się wieczór, rozglądam się wokół w poszukiwaniu przyjaznego miejsca na obóz, lecz wszędzie wciąż ta sama cholerna pustać. Dopiero po chwili orientuję się, że zgubiłem Antoniego, co natychmiast otrzeźwia mój umysł. To chyba najgorsze, co mogłoby mi się teraz przytrafić. Stracić w takim momencie mojego jedyne go kompana, jedyną iskierkę nadziei. Szukać go będzie niełatwo, gdyż zapada zmierzch, zostało może kilkadziesiąt minut, nim będzie zupełnie ciemno. Odwracam się i przyspieszam kroku, nawołując towarzysza. Nie myślę o tobołkach, o planach na obóz, na jutrzejszy dzień, liczy się tylko Antoni.

Ku mojej radości dostrzegam jego sylwetkę gdzieś w połowie drogi między mną a małym gajem! Wołam go po imieniu, ten odpowiada i namawia, bym do niego dołączył. Resztkami sił doczłapuję się. Kapitan patrzy gdzieś obok, pustym wzrokiem. W tak złym stanie jeszcze go nie widziałem. Łapię go za rękę i delikatnie ciągnę w swoją stronę, by zachęcić do dalszej drogi, lecz ten nie ma na to ochoty. W końcu udaje mi się go namówić do współpracy. Idę przodem, by dyktować tempo i kierunek. Po kilkadziesiąciu metrach odwracam się za siebie i widzę, że znów pozostał w tyle i w skupieniu wpatruje się w mijany przed chwilą gaj. Zaczyna kogoś wołać, świętuje ocalenie. Rzuca się w szaleńczym biegu w stronę drzew. Panująca szarówka z trudem umożliwia mi dopatrzenie się tego, co i on, lecz faktycznie w gaju widzę ruch! Tym razem to muszą być ludzkie sylwetki! Odpowiadam, żeby uważał na siebie, ale ten nie zwraca na mnie uwagi. W zapadających ciemnościach dostrzegam, jak wbiega między drzewa i był to ostatni raz, gdy go widziałem. Po chwili, Bóg mi

świadkiem, usłyszałem najbardziej przerażający odgłos w moim życiu – paniczny krzyk Antoniego i przeraźliwy chrzęst czegoś łamanego. Potem już tylko niczym niezmaczona cisza. Rzucam się na ratunek, lecz szybko rezygnuję z tego zamiaru. W miejscu, w którym przed chwilą był Antoni widzę kilka... cieni. Czarnych jak smoła cieni. Kierują się w moją stronę. Wystraszony nie mam zamiaru zbliżyć się do tego złowrogiego zjawiska. Nie mam pojęcia co to, lecz wygląda strasznie. Zaczynam biec, ale w przeciwną stronę. Potykam się, to kolejny dolmen. Co one tu robią do diaska? Wstaję, pędzę, tracę rozum, panikuję.

11 września

Podobno nad ranem, mającego w obłąkańczym szale, odnaleźli mnie lokalni wieśniacy. Łaziłem bez celu w samej tylko koszuli i spodniach. Nie potrafili nawiązać ze mną kontaktu, zabrali do chaty, zawołali po doktora, ostatecznie, zauważając moje polskie oznaczenia, wywieźli do najbliższego miasteczka na posterunek. Te wydarzenia znam tylko z ustnych relacji przekazywanych mi przez tutejszych lekarzy, sam nie pamiętam nic od momentu ucieczki.

Trafiłem do miejsciny o nazwie Matriona. Wreszcie po wielu dniach odkryli moją tożsamość. Organizatorzy zawodów o puchar Gordona Bennetta wysłali po nas misję ratunkową, nawiązali również współpracę z Rosjanami i w końcu trafił się ktoś, kto mógł się domyślić, skąd w środku zdradliwej tajgi znalazł się oszalały osobnik w resztkach polskiego ubioru wojskowego.

Do kraju wróciłem pociągiem 30 września. Wbrew oczekiwaniom moje przybycie i cudowne odnalezienie po wielu dniach tułaczki nie okazały się sensacją. Od razu trafiłem do warszawskiego szpitala pod opiekę najlepszych specjalistów. Stopniowo odzyskiwałem zmysły, lecz całą historią mogłem podzielić się dopiero po kilkunastu dobrych dniach rekonwalescencji, wcześniej nie byłem w stanie.

Wedle możliwie najlepszej wiedzy opisałem naszą katastrofę, całą wędrówkę i wreszcie okoliczności, w których rozstałem się z Antonim. Moi rozmówcy byli tym wszystkim bardzo wstrząśnięci, lecz jak mi przekazano, nie znaleziono ani balonu, ani nieszczęsnego kapitana. Nikt również nie umiał określić choćby przybliżonej lokalizacji bądź trasy naszej tułaczki, gdyż opisywane przeze mnie formacje roślinne, rzeki, wzniesienia, wreszcie ogromna pustać wrzosowa, która wedle moich słów powinna ciągnąć się przez dziesiątki kilometrów, nie miały swych odpowiedników na żadnej z map tamtych terenów. Nikt również nie słyszał o jakichkolwiek dolmenach czy prehistorycznych nagrobkach. Miejsce, w którym mnie odnaleziono, znajdowało się raptem kilka kilometrów od osad ludzkich i było nierzadko odwiedzane przez myśliwych. Ja jednak upierałem się przy swojej wersji, co rzuciło na mnie podejrzenie, że wciąż nie jest ze mną najlepiej. I nadal nikt nie był w stanie udzielić mi odpowiedzi, że skoro zmyślam, to jak tam trafiłem i dlaczego nadal nie odnaleziono choćby jednej chorągiewki czy innych naszych pozostałości? Przecież nie znalazłem się tam przez przypadek!

Na nic zdały się moje starania. Z szacunku dla Antoniego, którego zawiodłem w najważniejszym momencie, musiałem trzymać się swojej wersji wydarzeń, nie zataiłem nawet okoliczności jego zaginięcia, mówiąc wprost o dziwnych cieniach. Nie pomógł również szczery żal i troska, nie pozwolono mi porozmawiać z jego rodziną, nadal przetrzymywano mnie w miejscu odosobnienia, w końcu na twarzach słuchaczy pojawiły się wykpiwające uśmiešky, a w dokumentach jasna diagnoza – oszalał.

I tak sobie tkwię w tym pokoju od wielu lat, sam już nie wiem ilu, rozmawiając z otaczającymi mnie ścianami. Wciąż śnię o zamglonej, zalanej deszczem tajdze, o moim towarzyszu-mentorze, o ciągnących się po horyzont wrzosowiskach. Nie zostało mi już wszakże nic innego. Sporo czasu myślę o tym, co tak naprawdę wydarzyło się tamtego września 1936 roku. I choć jeszcze do niedawna sądziłem, że cała ta historia wyglądała tak, jak opisałem w powyższej relacji, i pamięć mnie nie zwodzi, to teraz, gdy usłyszałem, że człowiek stanął na Księżycu, jestem już niemal pewien, że postradałem zmysły. Miejcie litość.

IV

Dwóch lekarzy – jeden przyprószony, o zmęczonych oczach, tuż przed emeryturą, drugi wyraźnie szczuplejszy i młodszy – spotkało się w gabinecie. Powodem jest nowa publikacja, nad którą pracuje adept.

– Więc mówi pan, że chce opisać przypadek Stanisława Opadły w jednym ze swoich rozdziałów?

– Tak, to doprawdy fascynująca sprawa.

– Faktycznie, choć może nie tyle fascynująca, co frapująca. I przykra – podsumował starszy.

– Sądzi pan, że która wersja jego historii jest prawdziwa?

– Nie ma mowy o jakiegokolwiek debacie nad prawdziwością tej lub innej opowieści. Ten osobnik najzwyczajniej w świecie zabił i zjadł swojego kompana, by nie umrzeć z głodu w dalekiej tajdze, a cała reszta to tylko jego wymysły, wyparcie prawdziwej wersji. Lub rzeczony obłąd spowodowany traumatycznymi przeżyciami i wyrzutami sumienia – nie pozostawił pola do dyskusji starszy.

– Jest pan stuprocentowo pewien?

– Wątpi pan w moje słowa? – odpowiedział pytaniem.

– Nie, rozumiem. Czy możemy już udać się do jego izolatki? – nie mógł doczekać się adept.

Wstali z miejsc, wyszli z gabinetu i spowitym mrokiem korytarzem udali się w stronę pomieszczenia, w którym resztę swego żywota spędzał szanowany onegdaj porucznik Polskich Wojsk Balonowych Stanisław Opadły.

Piotr Tomczak

Ożywić to, co martwe

Nie wiedziałem, dlaczego szukam jej w tej głuszy. Ze wszystkich stron otaczały mnie cienie i drzewa. Mizerne, ukryte pod rozłożystymi konarami, wyglądały jak poskręcane ludzkie sylwetki. Każda z obranych ścieżek prowadziła w obce miejsca. Wspomnienia o babci zniknęły, w mojej pamięci zostały tylko historie, które tak zawzięcie opowiadała. Nie pamiętałem nawet jej twarzy, niczego już nie kojarzyłem, biegłem przez zarośla, by muszki wpadające do oczu nie pożarły mnie i nie śmiały się złośliwie, jak to muszki.

Biegłem. Drzew było coraz mniej, las wypuścił mnie na łąkę, od tygodni niekoszonej. Mimo że już dawno straciłem orientację w terenie, czułem, że nie mogę odpuścić, że jestem blisko czegoś znajomego. Za łąką rozpościerało się pole, przez które prowadziła gdzieś dalej dróżka. W oddali, szybko i zwinnie przeskakiwały niewyraźne kształty, stanąłem na chwilę, by im się przyjrzeć. Nie zdążyłem jednak uchwycić, co to mogło być, bo w tej chwili rozległ się dźwięk syreny strażackiej – ciągłe, nieprzyjemne wycie przyprawiające o dreszcze. Przyspieszyłem.

Las za mną zmienił się, był mroczny, jakbym wzbudzał w nim wstręt. Drzewa górowały nade mną, a dziwne, nieuchwytnie cienie ciągle tam były. Komuś nie spodobało się to, co zrobiłem? Ale przecież musiałem to zrobić!

Szedłem, aż ścieżka przez pole urwała się tuż przed starym domem.

Było to miejsce ponure, surowe i brzydkie, w niczym nie przypominało czerwonej chaty babci. Drewniane ściany budynku pokrywał brunatny nalot, a kilka drzew rozłożyło gałęzie na dachu. Nieokryte krokwie porastały roślinami, nad którymi latały pszczoły.

Pomyślałem, że dom stoi pusty, jednak płot pomalowany jakąś farbą zabezpieczającą, mimo upału musiał być niedawno konserwowany – wyraźnie czułem ostry zapach chemikaliów. Strzepnąłem z ubrania gałązki i resztki roślin, jakbym próbował ugasić ogień. Robiąc to, zobaczyłem, że mam rozdartą koszulkę na brzuchu. Spodnie zresztą też prezentowały się byle jak, zabrudzone czymś czarnym i podarte. Przeczesałem palcami włosy, czując zapach dymu w powietrzu. Ogarnął mnie niepokój. Obmacałem kieszeń, myślałem już, że po drodze zgubiłem zapałki, ale były na miejscu; nigdy nie wiadomo, kiedy się przydadzą. Uniosłem lekko furtkę trzymającą się płotu na sznurkach i wszedłem na nieznaną teren. Zwyczajne podwórko. Mały zbity z desek garaż, wokół trociny. Pustka. Prawie, bo był tam kogut. Stał na metrowym pieńku przed oknem, z dziwnie podniesioną głową i opadłymi skrzydłami. Zobaczyłem gałąź w jego dziobie, która usztywniała mu szyję. Ptak zastygł, a jego oko zaczęło już mętnieć. Kto robi takie rzeczy? Po co?

Gdy czułem coraz mniejszą chęć poznania odpowiedzi, drzwi do domu otworzyły się.

Kobieta ledwo mieściła się w wąskich drzwiach. Z purpurowej twarzy pokrytej zmarszczkami ściekał pot wprost na koszulę z dekoltem. Staruszka przysłoniła ręką oczy i lekko poirytowana zapytała:

– Zabłądził?

Głos miała głęboki.

– Dzień dobry. Chyba tak... szukam babci – odpowiedziałem zmieszany.

Parsknęła i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Poza mną i Jadźką nikt w tym lesie nie mieszka, popytaj we wsi.

– Babcia mieszkała w takim lesie jak ten, gdzieś w okolicy. Może pani kojarzy, czerwony nieduży dom?

Zmarszczyła brwi.

– A kto ty jesteś?

– Student – powiedziałem, czując się jakoś niepewnie.

– Nie za stary na studenta?

Za stary? Miałem dwadzieścia cztery lata, o co chodziło tej dziwacznej kobiecie?

Wzruszyła ramionami i pogoniła kota, który bawił się końcem jej sukienki.

– Imię ma student?

– Oczywiście, nie przedstawiłem się. Tomasz Fi... – przerwałem, lepiej było nie zdradzać swojego nazwiska.

– No, wejdzie pan, wypije coś, odpocznie – powiedziała znużona. – A skąd student?

– Z Warszawy.

– O, no to tym bardziej, taki kawał drogi, trzeba odpocząć.

Wizyta w domu kobiety niezbyt mi odpowiadała, ale błądziłem już długo po dusznym, pełnym robactwa lesie. Znowu spojrzałem na koguta, którego w tym upale zaczęły obsiadać muchy, i wszedłem niepewnie do domu przez sień, rozdeptując kawałki czerwonej, złuszczonej farby. W korytarzu poczułem odór potu zmieszany z kocim moczem. Przykrą woń tłumił nieco mdły zapach wszechobecnych ziół i przypraw, pozawieszanych w pęczki przy suficie. Ktoś bardzo wysoki musiałby chodzić zgarbiony, jednak ja poruszałem się swobodnie, zahaczając tylko głową o zwisające rośliny. Oblepione gęstymi pajęczynami przypominały wielkie kokony. Korytarz prowadził do sypialni. Przy oknie stało niepościelone łóżko z wplątanim w kołdrę biustonoszem. Na ścianie wisiał chyba portret ślubny, chyba, bo monidło wyblakło, tracąc ostrość...

– Tu też zabłądził? – zawołała gospodyni.

W pomieszczeniu obok bawiły się dwa koty. Początkowo nie zwracały na mnie uwagi, aż mniejszy podszedł do mnie i przypatrując się chwilę, syknął nieprzyjemnie. Drugi kot, jak na komendę, spojrzał w moją stronę, porzucając zabawę. Teraz oba parskały i syczały nieprzyjaźnie.

– Zazwyczaj są spokojne – powiedziała. – Czasem im coś odbije, jak to kotom. Wczoraj znajomy nie mógł się odpędzić; jak ciął drewno, pod piłę mu podłaziły, byle w trociny. Siądź tu. – Wskazała na krzesło, po czym zebrała farby i pędzle ze stołu.

Sprawdziłem, czy krzesło jest na pewno czyste, i usiadłem. Połyskujące ślepia wydały mi się oślizgłe. Nadawały kotom wygląd paskudnych gadów, o podłużnych szyjach i ostrych kłach, jak u nietoperza. Ich ślepia przenikały mnie na wylot, a ich syki miały w sobie coś z groźby i obelgi.

– O się uwzięły cholery! – krzyknęła. – No, już – Pacnęła starszego kocura. – Spokój!

Zaczęła chować szybko farby do kredensu. Teraz wszystko rozumiałem. Za oknem kogut, a przy stole sztaluga.

– Pani jest malarką? – zapytałem.

– Czasem maluję, nic wielkiego – zakończyła krótko, jakby zawstydzona.

Dziwnego modelu sobie pani wybrała – ale tego już nie powiedziałem. W rogu kuchni stał nieco podniszczony, szeroki piec kaflowy. Przy wyciągu wisiały czosnek, szczypiorek i chochła. Poczułem się swojsko w miejscu, w którym jakby zatrzymał się czas. Gdy gospodyni zamknęła drzwi prowadzące z kuchni do sypialni, zobaczyłem obraz wiszący przy kredensie. Był dziwnie rozmyty, przedstawiał kobietę w chuście, pochyloną nad mężczyznę w trumnie. W lewej ręce staruszka trzymała dużego szczura, blisko ust zmarłego. Zdawała się nie istnieć w tej rzeczywistości, była czymś obcym, jakby doklejonym. Wyobraziłem sobie tę kobietę jako swoją babcię, która siedzi teraz przy stole oświetlonym świeczką, coś szepcze, skubiąc jeszcze podrygującą kure. Z szyi pozbawionej głowy kapie krew. Wstrętnie rozbryzguje się na podłodze...

Gospodyni westchnęła i usiadła ciężko.

– Nalej sobie. – Przysunęła dzbanek i szklankę. – Z truskawek i mięty.

Podziękowałem i chwytając dzbanek drżącą ręką, przełałem czerwoną ciecz do szklanki. Szkarłatny strumień...

– Co masz takie brudne ręce? – zapytała.

– Nie wiem. – Spojrzałem na dłonie. – Pewnie jak chodziłem po lesie, to się pobrudziłem.

– A coś taki zgrzany? Biegłeś?

– Jest przecież bardzo duszno, już od samego spaceru pot leje się po karku – wyjaśniłem niepewnie.

– Wyglądasz, jakbyś biegł przez zarośla.

Czemu tak dopytywała? Co ją to obchodziło! Zbyłem ją szybko opowieścią o przechadzce wzdłuż pól, z których przeszedłem do lasu od strony głównej drogi.

– Aż tam byłeś? – zdziwiła się. – Widziałeś dom niedaleko parowu?

Po plecach przemknęło mi coś zimnego, dreszcz.

– Nie przypominam sobie – powiedziałem.

Patrzyła na mnie, popijając sok. Dźwięk syren był teraz głośniejszy, rozlegał się z kilku stron.

– Bo to właśnie od strony Jadźki wyje, tam niedaleko parowu... – powiedziała, spoglądając przez okno.

– Żyje pani z malowania? – zapytałem, próbując nie myśleć o tym okrutnym dźwięku i zmienić temat.

– Od lat nie – powiedziała smutno.

– Jest magia w tym obrazie – chwaliłem. – Widać technikę. Za malowanie na zlecenie mogłaby pani sporo zarobić.

Patrzyła na obraz zamyślona.

– Starcza mi to, co mam. Kiedyś pracowałam w akademii, ale przestało im odpowiadać moje podejście.

Akademia! Przecież dopiero co musiałem od nich uciekać, by szukać babci. Nigdy nie podobało jej się, że chcę wyjechać na studia. Tak głośno krzyczała tamtego dnia, gdy postanowiłem odejść, jak palona żywcem... Potem już całe lata tylko akademia. Musiałem uciekać, by ją w końcu znaleźć, nigdy by mi na to nie pozwolili. Pytanie, czy ta staruszka mnie nie wyda? Może wydałaby, gdyby w zamian znowu mogła wkupić się w ich łaski! Ale przecież nie wiedziała, że stamtąd uciekłem, byłem więc bezpieczny.

– Do namalowania takiego obrazu – mówiła gospodyni – potrzebny jest kadr wyjęty z rzeczywistości, by go potem obrobić. Oczywiście mogłabym wszystko wymyślić albo połączyć każdy element oddzielnie, jak robi wielu malarzy, co również przez wiele lat sama praktykowałam, ale zauważałam, że to nie mój styl. Ja chciałam ożywić.

Rozbudziły się w niej wspomnienia, mówiła chętnie, już bez naleciałości wiejskiej gwary, tonem specjalisty, zainteresowała mnie.

– To znaczy, że malowała pani zmarłego mężczyznę? – zapytałem.

– Swojego męża. – powiedziała stanowczo. – Zmarłych trzymało się wtedy jakiś czas w domu, sama musiałam go ubrać. Któregoś dnia ustawiłam trumnę przy oknie, żeby ostatni raz go namalować, ale idąc na górę po sztalugę, zobaczyłam, że w pułapkę złapał się ogromny szczur. W głowie miałam już swój obraz. Przywiązałam szczura przy ustach męża i zaczęłam malować.

Nie dałem po sobie poznać wstrząsu, jaki wywarł na mnie sekret jej sztuki.

– Kobieta została dodana w takim razie później. Znała ją pani?

– Tak, masz dobre oko – pochwaliła. – Jedyne element, który dodałam.

– To pani przyjaciółka?

– Nie, nie znałam jej. To moje wyobrażenie dawnej właścicielki tego domu.

Przyglądałem się kobiecie w chuście, która na płótnie wyglądała jak żywa. Mimo że jej twarz była niewyraźna, ponownie dostrzegałem w niej babcię. Leżała na łóżku, krzyżując na mnie, tym swoim histerycznie okrutnym głosem. Podawałem jej szklankę i gdy odbierała ją ode mnie, jej słaba ręka zadrżała, a woda wylała się na kołdrę. Krzyk, przekleństwa i ja zapłakany. Jej twarz rozmywała się.

– W sypialni, w tej dużej szafie, możesz zobaczyć inne – powiedziała gospodyni.

Gdy otworzyłem drzwiczki, poczułem woń stęchłego drewna. Obrazy stały jeden za drugim. Wszystkie namalowane tym samym stylem, przedstawiały różne historie. I wszystko to po raz kolejny wydało mi się dziwnie znajome: sceny z życia codziennego na wsi. Pracujący w polu ludzie z użyciem pługów i kos, głównie mężczyźni, zbierające coś gołymi rękami rodziny. Ostatni obraz na końcu szafy musiał być namalowany dawno. Kolory były nieco stłumione, ciemne. Przedstawiał rudego kota chodzącego po płocie. Ale to czerwony dom w tle przykuł moją uwagę. To był dom babci! Pomyślałem o przegniłym dachu, nalocie na deskach... Czy mógłbym po latach nie

rozpoznać tego domu? Tych kawałków złuszczonej farby w progu? Boże, przecież to był ten dom! Rozejrzałem się po sypialni. Łóżko stało w innym miejscu, wyglądało inaczej, a mojego w ogóle nigdzie nie było, ale to nasz dom! Tam w rogu, przy oknie, tworzyłem swój własny ką. Zbierałem skrawki gazet i robiłem z nich książki. Udawałem studenta. Robiłem to po kryjomu, bo babcia biła mnie różgą za takie zabawy.

Po wejściu do kuchni zakręciło mi się w głowie, nie widziałem przez chwilę pieca ani szafki. Usiadłem i wypłem sok.

– Piękne, naprawdę wyjątkowe – powiedziałem wyczekującej z uwagą gospodyni. Nie wiedziałem, co dalej robić. Dlaczego ta kobieta zajęła nasz dom? Jak to możliwe, że przetrwał? I co stało się z babcią?

– Wie pani coś o poprzedniej właścicielce? – zapytałem.

Twarz gospodyni zmieniła się, spochmurniała. A więc trafiłem celnie!

– To straszna historia. Aż wierzyć się nie chce.

– Proszę mówić. – Czułem, jak serce przebija mi się przez klatkę piersiową, mimo duchoty poczułem przesywające zimno.

– No, to było jakieś trzydzieści lat temu – zaczęła niechętnie. – Kupiliśmy ten dom z mężem od gminy. Cena była bardzo niska, od razu wzbudziła nasze podejrzenia. Ta sypialnia, przez którą przechodziliśmy, wymagała remontu, ściana nadpalona, trzeba było podreperować sufit, dom na szczęście cały nie spłonął.

– Nie spłonął!?! – krzyknąłem. Opamiętałem się i łagodniej poprosiłem kobietę o kontynuowanie historii.

– A no nie spłonął. W ostatniej chwili ugasili go i się nie rozeszło, ale właścicielka... Filewska chyba jej było. Nie miała tyle szczęścia, spaliła się.

Przez zaciśnięte gardło nie zdołałem wykrztusić ani słowa. Rozglądałem się ogłupiały, to musiał być sen, to był sen!

– Chyba najgorsze w tym wszystkim było to – podjęła po chwili – że zrobił to jej własny wnuczek, wyobraża sobie pan?

Zerwałem się z krzesła. Podła wiedźma! W zmowie z tamtą z parowu... Babcia mnie przecież zawsze ostrzegła przed wiedźmami z lasu. Nie wolno było mi opuszczać domu, bo one przyjdą i ją spalą... Boże, więc to wszystko była prawda!

– Co pan wyrabia? – zapytała przestraszona.

Miałem ochotę wytopić z jej ciała tłuszcz, ale musiałem być ostrożny. Bądź co bądź, to była wiedźma.

– Muszę zaczerpnąć powietrza – burknąłem.

– Za domem jest wychodek, wszystko dobrze?

– Chcę tylko przemyć twarz.

– Studnia zaraz przy furtce...

Wiedziałem doskonale, gdzie jest studnia. Wiedziałem też, że nie zabłądziłem. Dotarłem do celu, do domu babci, którego spodziewałem się nie znaleźć. Co teraz powinienem zrobić? Wszystko do mnie docierało. Babcia nie pozwalała mi iść na studia i nienawidziłem jej za to, chciałem popatrzeć, jak płonie... Ale nie chciałem jej śmierci. Nie ja ją wtedy spaliłem! Uciekłem od niej, zabrali mnie do akademii. Tak, to na pewno nie byłem ja. Ile czasu minęło, jak długo mnie tam trzymali?

Upał był nieznośny, musiałem się schłodzić. Otworzyłem klapę i spuściłem blaszane wiadro, wyciągnąłem pełne zimnej wody. Nachyliłem się nad nim, by obmyć twarz i ulżyć sobie przez chwilę. W rozedrganej tafli formowało się moje odbicie. Ujrzałem obcą twarz, pokrytą zmarszczkami i kilkundniowym zarostem. Ogorzała twarz... pięćdziesięciolatka! Cofnąłem się, nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. To nie byłem ja, to nie mogłem być ja!

Ożywić to, co martwe... ale co to właściwie znaczy? Teraz miałem już pewność, że stara malarka to wiedźma, to ona zamordowała moją babcię, jak tylko tamci z akademii mnie zabrali i przetrzymywali przez tyle lat! Ale teraz wróciłem i mogłem wszystko naprawić, ożywić... Tylko jak? Jak nakłonić wiedźmę, by zdradziła cały swój sekret? Może już wie, kim jestem? Przed oknem stał na pniu nieporuszony kogut, tak jak przedtem. On musiał być kluczem do zagadki. Czemu wiedźma postanowiła go namalować? By ożywić to, co martwe?

Nagle mój umysł rozjaśnił się, wszystko stało się logiczne i połączone w misterną sieć. Kogut musiał zdechnąć niedawno. Gdy przyszedłem, wiedźma właśnie go ożywiła! Dlatego była taka zdenerwowana, gdy ją nakryłem. To była część jej rytuału. Ale to nie łączyło się z obrazem jej męża i mojej babci... nie, tu działał inny mechanizm.

Kogut był ofiarą. Za jego pomocą wiedźma może ożywić to, co martwe. Tak, teraz wszystko było jasne! Wiedźma chciała ożywić tego mężczyznę, używając mojej babci, ale postąpiła zbyt pochopnie. Spaliła ją, zanim zapamiętała

twarz, i zakłęcie nie zadziałało. Wcześniej spróbowała ze szczurem, ale widocznie zwierzę za człowieka nie wystarczy. Wiedziałem, że babcia byłaby dumna. Rozwiązałem tajemnicę, wszystko jasne, nie byłem mordercą! A tę kobietę mieszkającą w parowie musiałem spalić, rozpoznała mnie, zbyt głęboko wierzyła w kłamstwa akademii o mnie albo wiedźma ją przekabaciła. To nie było ważne. Dym z jej domu kłębił się nad lasem, ogień musiał strawić już wszystko. Ale nie to było najważniejsze, musiałem działać. Wszedłem na ganek, otwierając drzwi ostrożnie. Było niezwykle cicho. Przez ściany przebijały się tylko stłumione dźwięki syren strażackich. W tej ciszy usłyszałem cichy głos wiedźmy.

– Mój Boże, to u Jadzi się pali?... Jest... wyszedł na dwór... dobrze, przyjeżdżaj szybko.

Poczułem na karku uścisk. To był już koniec, wszystko stracone. Już o mnie wiedzą, przyjadą tu! Zerwałem się i wybiegłem na zewnątrz. Musiałem uciec, tylko dokąd? Pobiegnę do małego garażu, licząc na jakikolwiek środek transportu. Przez otwarte drzwi zobaczyłem tylko drzewo ułożone pod ścianą na opał, żadnego pojazdu. To już naprawdę był koniec. Chciałem zrezygnować z walki, lecz gdy tylko wszedłem do środka, w nozdrzach poczułem cudowny i jedyny w swoim rodzaju zapach benzyny. Na posadce stała piła w wyschniętej kałuży, od której wydobywała się ta cudowna, intensywna woń. Obok stała pięciolitrowa bańka. Wypełniona żółtawą cieczą prawie do połowy. Podniosłem bańkę, delektując się zapachem. Ręką sprawdziłem, czy pudełko zapalek nadal jest w mojej kieszeni, i odetchnąłem z ulgą.

Dom płonął w lipcowym słońcu. Kłębiący się nad nim dym prześcigał już niknący czarny obłok z parowu. Mimo to nie byłem szczęśliwy. Nie udało mi się ożywić tego, co martwe. Kazałem wiedźmie ujawnić swój sekret, ale była nieugięta. Płakała, krztusiła się benzyną, ale nie wyjawiała niczego dotyczącego rytuału. Moje niezdarne próby domalowania twarzy babci na obrazie ze szczurem też nic nie dały. Nawet, gdy krzyki wiedźmy zajmującej się ogniem ucichły, nic się nie wydarzyło. Babcia była martwa, wszystko popsulem. Siedziałem nieopodal buchającego żaru. Leśne cienie przybierały już fizyczne kształty biegnących ludzi. Syreny wyły z każdej strony. Pośród krzyków i przekleństw wpatrywałem się w ogień. Wiedziałem, że niedługo znowu trafię do akademii i już nigdy nie zobaczę twarzy babci. Musiałem zostać tu do końca, aż drewniana chata spali się, tym razem już na pewno.

Spis treści

Dagmara Adwentowska	
<i>Poręba</i>	5
Jakub Chilimończyk	
<i>Charyzmatyk: Druga strona szafy</i>	15
Agata Francik	
<i>Tam, gdzie mieszka kosmiczny Kocur</i>	49
Lidia Gręda	
<i>Międzyrzeczywistość</i>	78
Nika Gris	
<i>Przez rzekę</i>	107
Adrian Iwaniak	
<i>Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz</i>	131
Paulina Kajoch	
<i>Nie płacz, bekso!</i>	147
Marek Kolenda	
<i>Za ciemną doliną</i>	159
Michał P. Lipka	
<i>Jak wiśniowe żelki</i>	181

Adam Loraj	
<i>Po drugiej stronie nic nie ma</i>	189
Krzysztof Marciński	
<i>Czarny brzeg</i>	213
Karol Matlachowski	
<i>Tęsknota</i>	235
Wiktor Matyszkiewicz	
<i>Pasożyt</i>	253
Wioletta Mielnik	
<i>Doren Mattan musi umrzeć</i>	272
Marcin Nadratowski	
<i>Jajo Chakiry</i>	284
Jarosław Adam Pankowski	
<i>Bezsenność</i>	313
Jarosław Adam Pankowski	
<i>Paraliż</i>	320
Jarosław Adam Pankowski	
<i>Szary Kuba</i>	328
Jarosław Adam Pankowski	
<i>Szmary w tunelu</i>	339
Jarosław Adam Pankowski	
<i>Pułapka na muchy</i>	347

Aneta Pazdan	
<i>Tanatologia. Opowieść o miłości</i>	358
Artur Pomierny	
<i>Dyptyk piekielny</i>	377
Agata Poważńska	
<i>Puzderko na zęby</i>	403
Hubert Smolarek	
<i>W górę!</i>	426
Piotr Tomczak	
<i>Ożywić to, co martwe</i>	455